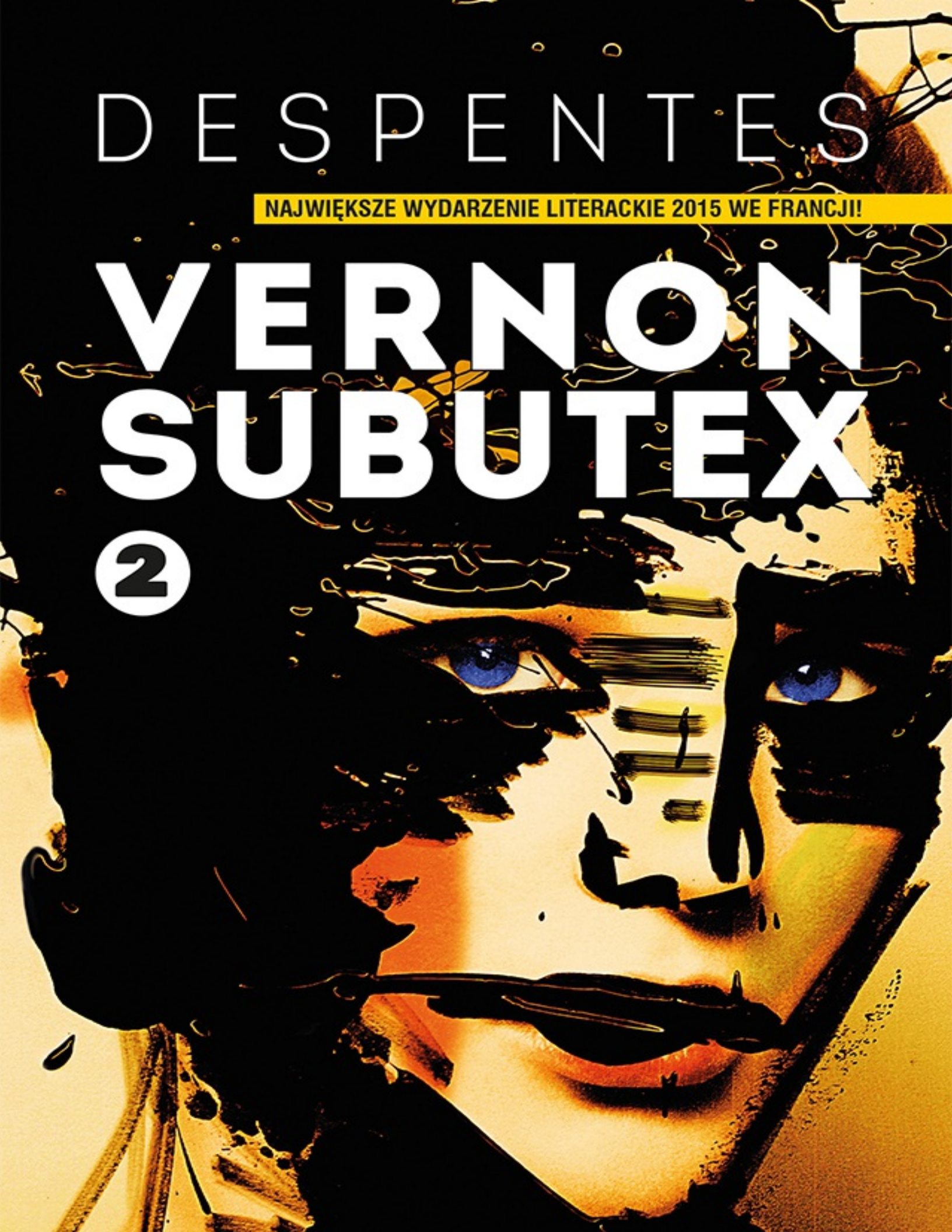


DESPENTES

NAJWIĘKSZE WYDARZENIE LITERACKIE 2015 WE FRANCJI!

VERNON  
SUBUTEX

2



VIRGINIE  
DESPENTES

# VERNON SUBUTEX

TOM 2

TŁUMACZENIE JACEK GISZCZAK



*Dla*  
*Fabienne Mandron,*  
*Aurélie Poulain,*  
*Rolanda i Schultza Parabellum*

„Ring the bells that still can ring  
Forget your perfect offering  
There is a crack in everything  
That’s how the light gets in”.  
Leonard Cohen, *Anthem*

## **LISTA OSÓB POJAWIAJĄCYCH SIĘ W PIERWSZYM TOMIE**

### **Vernon Subutex**

Główny bohater książki. Były sprzedawca płyt. Po eksmisji z mieszkania pomieszkiwał u dawnych znajomych, by pod koniec pierwszego tomu znaleźć się na ulicy.

### **Alexandre Bleach**

Popularny wokalista indierockowy, śpiewający w języku francuskim. Zmarł w hotelu na skutek przedawkowania narkotyków. Był przyjacielem Vernona z lat młodości, wspomagał go finansowo i zostawił w jego mieszkaniu kasety, na których nagrał wywiad z samym sobą, kiedy Vernon, odurzony narkotykami, zasnął. Wiele osób szuka tego skarbu...

### **Emilie**

Była basistka. Przyjaciółka Vernona. Jako pierwsza udzieliła mu gościny, ale tylko na jedną noc.

### **Xavier Fardin**

Niespełniony scenarzysta filmowy. Dawny przyjaciel Vernona, gościł go u siebie przez weekend. Pod koniec pierwszego tomu odnalazł Vernona na ulicy i został pobity przez grupę faszoli.

### **Marie-Ange Fardin**

Żona Xaviera.

### **Céleste**

Spotkała Vernona w barze. Myślał, że go podrywa, ale ona tylko go rozpoznała: kiedy była mała, ojciec zabierał ją czasem do jego sklepu z płytami. Wytatuowana, pracuje w barze Rosa Bonheur w parku des Buttes-Chaumont.

### **Laurent Dopalet**

Producent filmowy. Uwaga: niebezpieczny dla otoczenia...

## **Hiena**

Kiedyś prywatny detektyw, dziś wyspecjalizowała się w cybernetycznym linczowaniu ludzi. Została zatrudniona przez Laurenta Dopaleta, który chce zdobyć kasety z wywiadem Alexa Bleacha.

## **Anaïs**

Asystentka Laurenta Dopaleta.

## **Sylvie**

Była dziewczyna Alexandre'a Bleacha, która przez jakiś czas gościła u siebie Vernona i wdała się z nim w krótki romans. Opuszczając jej mieszkanie, Vernon „pożyczył” sobie kilka książek i zegarek. Sylvie poszukuje go na wszystkich portalach społecznościowych, pragnąc mu zaszkodzić.

## **Lydia Bazooka**

Krytyk muzyczny, fanka Bleacha, chce napisać jego biografię. W ten sposób poznała Vernona, który mieszkał u niej kilka dni.

## **Daniel**

Była gwiazda porno, obecnie transseksualista, który zmienił nazwisko. Prowadzi sklep z papierosami elektronicznymi. Pozostaje w bliskich stosunkach z Pamelą Kant.

## **Pamela Kant**

Była gwiazda porno. Mistrzyni w grze Tetris online.

## **Kiko**

Spekulant giełdowy uzależniony od kokainy. Gościł Vernona przez kilka dni, po czym go przepędził.

## **Gaëlle**

Przyjaciółka Kiko, Marcii, Vernona i Hieny. Chcąc oddać przysługę tej ostatniej, gościła Vernona przez kilka dni (w apartamencie Kiko, gdzie pomieszkuje).

## **Marcia (wcześniej Leo)**

Piękna brazylijska transseksualistka, fryzjerka gwiazd, mieszka u Kiko.

## **Vodka Satana (prawdziwe imię Faïza)**

Była gwiazda porno. Matka Aïchy. Niegdyś kochanka Bleacha. Dawna koleżanka Daniela i Pameli.

### **Sélim**

Były mąż Faïzy. Naukowiec o postępowych i laickich poglądach. Po śmierci Faïzy (Vodki Satany), która przedawkowała narkotyki, sam wychowuje córkę.

### **Aïcha**

Córka Faïzy (Vodki Satany) i Sélima. Praktykująca muzułmanka. Sélim poprosił swoją dawną przyjaciółkę Hienę, by pomogła mu znaleźć wspólny język z córką, której nie rozumie.

### **Patrice**

Dawny przyjaciel Vernona i były mąż Cécile. Mężczyzna, który stosuje przemoc w rodzinie. Zerwał wszystkie więzi ze środowiskiem muzycznym. Jest ostatnią osobą, która gościła u siebie Vernona, nim ten znalazł się na ulicy.

### **Noël**

Pracownik H&M. Przyjaciel Loïca.

### **Loïc**

Goniec, przyjaciel Noël'a. Pod koniec pierwszego tomu to on zadał Xavierowi Fardinowi potężny cios w głowę, po którym ten w stanie śpiączki trafił do szpitala.

### **Laurent**

Bezdomny. Udzielił Vernonowi kilku rad, przydatnych w jego nowym życiu kloszarda. Wałęsa się w okolicach parku des Buttes-Chaumont.

### **Olga**

Bezdomna. Tęga rudowłosa kobieta o zawziętym charakterze. Ubliza naziolom, którzy rozdają koce bezdomnym. Ulica jest jej królestwem.

Vernon czeka, aż zrobi się ciemno i wszystkie okna wokół niego zgasną, by wdrapać się na ogrodzenie i przedostać na teren ogródków działkowych. Czuje bolesne rwanie w kciuku lewej dłoni. Już nie pamięta, kiedy się skaleczył, ale zranione miejsce, miast się zbliżnić, puchnie i Vernon się dziwi, że taka drobna rana aż tak bardzo boli. Schodzi ścieżką po zboczu, mijając krzewy winorośli. Stara się zachować ostrożność. Nie chce, by ktoś go usłyszał lub rano domyślił się, że tu był. Zbliża się do kranu i łapczywie pije. Potem się schyla i moczy sobie kark. Energicznie przeciera twarz i długo trzyma zraniony palec w lodowatym strumieniu wody, żeby poczuć ulgę. Wczoraj było dość ciepło i skorzystał z okazji, aby się trochę obmyć, ale ubranie tak cuchnie, że czuje się jeszcze brudniejszy niż przedtem.

Prostuje się i przeciąga. Czuje się ociężały. Myśli o prawdziwym łóżku. O gorącej kąpieli. Ale to mrzonki. Ma to gdzieś. Czuje jedynie absolutną pustkę, która powinna go przerażać, jest świadomy, że to nie jest właściwy moment, by się dobrze czuć, a jednak przepelniają go niezmacona cisza i spokój. Był bardzo chory. Teraz gorączka opadła i kilka dni temu poczuł się dość silny, by stanąć na nogi. Ma przytępiony umysł. Wie, że lęk na pewno powróci, już niedługo. Na razie niczym się nie przejmuje. Jest w stanie zawieszenia, jak ten dziwny zakątek, do którego się teraz zabłąkał. Wzgórze Bergeyre jest oplecione kilkoma ulicami, a na jego szczyt można wejść po schodach, rzadko widuje się tam samochody, nie ma świateł na skrzyżowaniach ani żadnych sklepów. Jedynie mnóstwo kotów. Vernon patrzy na bazylikę Sacré-Cœur w oddali – wydaje się unosić nad Paryżem. Miasto tonie w widmowej poświacie księżycy w pełni.

Odpływa. Chwilami traci świadomość. To nie jest nieprzyjemne. Od czasu do czasu próbuje sobie tłumaczyć, że nie może tu tkwić w nieskończoność, lato jest dość chłodne, znowu się rozchoruje, nie może się poddawać, musi zejść do miasta, znaleźć czyste ubrania, działać... Ale właśnie wtedy, gdy stara się trzeźwo myśleć, to znowu powraca: zaczyna majaczyć. Obłoki dźwięczą, czuje na skórze powietrze miękkie jak tkanina, noc pachnie, miasto do niego przemawia, a on rozumie ten szept, który wznosi się nad dachami i go otula, więc zwija się w kłębek i ulatuje w górę. Nie wie, jak długo niesie go to łagodne szaleństwo. Nie stawia oporu. Jego umysł, wstrząśnięty wydarzeniami ostatnich tygodni, naśladuje działanie środków odurzających, które zażywał w swoim poprzednim życiu. Potem za każdym razem coś się odblokowuje i następuje powolne przebudzenie – zaczyna myśleć

normalnie.

Pochylony nad kranem, znów pije wielkimi haustami, które podrażniają tchawicę. Po silnym przeziębieniu ma obolałe gardło. Myślał, że się wykończy, siedząc na tej ławce. Wszystko, co jeszcze naprawdę do niego dociera, to odczucia fizyczne: okropne pieczenie w plecach, pulsowanie w zranionej dłoni, ropiejące pęcherze w okolicy kostek, trudności z przełykaniem... Zrywa jabłko w głębi ogródka, jest kwaśne, a on łaknie cukru. Z trudem przechodzi przez ogrodzenie, które oddziela ogród od opuszczonej willi, gdzie śpi od jakiegoś czasu. Chwyta się gałęzi, żeby podźwignąć ciało, i omal nie rozkwasza sobie facjaty po tamtej stronie. Kończy ten manewr na kolanach, na ziemi. Chciałby poczuć dla siebie litość albo przerażenie. Cokolwiek. Ale nic. Tylko ten absurdalny spokój.

Wchodzi od tyłu do opuszczonego domu, który obrał na swoją kwaterę. Na parterze miało być coś w rodzaju patio z pięknym widokiem na stolicę i pozostał po nim betonowy dziedziniec, w którego głębi można się schronić przed wiatrem i deszczem. Nośne filary z zardzewiałego żelaza wytyczają przestrzeń. Vernon dowiedział się niedawno od gościa z pobliskiej budowy, że od lat nie prowadzi się tu żadnych prac. Fundamenty osiadły, ściany nośne popękały i właściciel rozpoczął generalny remont. Ale zginął w wypadku. Spadkobiercy nie mogli się z sobą dogadać. Toczą spór za pośrednictwem notariuszy. Dom opróżniono i zamknięto na kłódkę. Vernon śpi tam już od wielu nocy, nie byłby w stanie powiedzieć, czy od dziesięciu dni, czy może od miesiąca – stracił rachubę czasu, tak jak całą resztę. Lubi swoją kryjówkę. O świecie otwiera oczy i leży bez ruchu, zachwycony rozległą panoramą. Ma przed sobą Paryż widziany z tak wysoka, że wydaje się gościnnie. Gdy chłód staje się zbyt dokuczliwy, kuli się, podciągając kolana do piersi. Nie ma koca. Może liczyć tylko na ciepło własnego ciała. Rudy kot, jednooki i tłusty, przychodzi czasem, by przyłgnąć do jego boku.

Pierwsze noce na wzgórzu Bergeyre Vernon spędził na ławce, na którą się osunął, kiedy tutaj dotarł. Przez kilka dni bez przerwy padał deszcz. Nikt mu nie przeszkadzał. Majaczył, wstrząsany silną gorączką, i odbył niewiarygodną podróż, nieustannie bredząc. Stopniowo wracał do siebie, z żalem wyłonił się z wygodnego kokonu swojego obłądu. Jakiś stary pijaczek, zobaczywszy go na swojej ławce w pierwszy słoneczny dzień, najpierw go ostro zbeształ, ale widząc, że Vernon jest zbyt słaby, żeby odpowiedzieć, zaniepokoił się jego stanem i rozczulił się nad nim. Przyniósł mu pomarańcze i opakowanie paracetamolu. Charles jest gadatliwy i trochę stuknięty. Lubi gderać i wspominać swoją rodzinną północ, gdzie jego ojciec pracował na kolei. Często wybuchają śmiechem, uderzając dłońmi o kolana, i te ataki śmiechu zmieniają się w mokry kaszel, który go niemal dusi. Vernon usiadł na „jego” ławce.



Po szybkiej ocenie sytuacji wedle kryteriów, które na zawsze pozostaną jego tajemnicą, stary zdecydował, że będzie jego kumplem. Zajmuje się nim. Przychodzi, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Ostrzegł go: „Nie śpij tu teraz, kiedy jest ciepło”, i wskazał mu dom parę kroków dalej. „Spróbuj wejść do środka i schowaj się na tyłach. Zniknij na kilka godzin dziennie, inaczej miejskie służby szybko cię stąd przepędzą. Musisz jeszcze trochę wypocząć, chłopie...”

Vernon nie posłuchał Charles’a, ale już w drugi słoneczny poranek zrozumiał sens jego rady. Pracownicy służb oczyszczania miasta polewali wężem chodniki. Nie usłyszał, że się zbliżają. Jeden z nich skierował strumień wody prosto w jego twarz. Vernon zerwał się z ławki, a śmieciarz zmył z niej kawałki tektury, które chroniły go przed zimnem. Był to młody Murzyn o delikatnych rysach, który patrzył na niego nienawistnym wzrokiem. „Spieprzaj stąd. Ludzie rano otwierają okna i nie mają chęci oglądać twojej brudnej gęby, nierobie. Wynocha”. A Vernon wyczuł z tonu jego głosu, że powinien niezwłocznie wypełnić polecenie, jeżeli chce uniknąć kopniaków. Zaczął kuśtykać, bo od długiego leżenia zdrętwiały mu kończyny. Snuł się po okolicznych uliczkach. Nasłuchiwał odgłosów polewaczki i starał się od niej oddalić. Było mu zupełnie obojętne, że to niesprawiedliwość. Właśnie tego dnia uświadomił sobie, że coś jest z nim nie tak. Zadawał sobie pytanie, gdzie właściwie trafił. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, dlaczego ta okolica wydała mu się tak dziwna: nie mijał go żaden samochód, nawet żadnego nie słyszał. Wokół stały tylko małe domki w ogródkach, jak w odległych czasach. Gdyby z ławki, z którą się właśnie rozstał, nie widział Sacré-Cœur, pomyślałby, że w stanie silnej gorączki wsiadł do pociągu i znalazł się na prowincji. Lub w latach osiemdziesiątych...

Zbyt słaby, żeby wałęsać się po ulicach, wrócił do punktu wyjścia, gdy tylko polewaczka się oddaliła. Pocierał policzki wnętrzem dłoni, dziwiąc się, że ma tak gęsty zarost. Był przemarznięty do szpiku kości, chciało mu się pić, czuł woń uryny. Dobrze pamiętał wydarzenia ostatnich dni. Po ulicznej bójce zostawił przyjaciela w szpitalu. Xavier stracił przytomność i wylądował na ziemi, a on nie zastanawiał się nawet, czy dojdzie do siebie. Włóczył się w deszczu i znalazł się tutaj, czuł się jak zbity pies, a jednocześnie cieszył się jak wariat. Jednak czekał na próżno, nie poczuł straszliwego ukąszenia lęku. Może to skłoniłoby go do działania. Czuł tylko swoje obolałe ciało i własny zapach, które, prawdę mówiąc, były przyjemnym towarzystwem. Zwykle uczucia go opuściły. Przyglądał się niebu i zajmowało mu to cały dzień. Charles wrócił i usiadł obok, na tej samej ławce, na krótko przed zmrokiem. „Nareszcie wychodzisz z letargu, biedaku. Najwyższy czas!”

Charles wyjaśnił mu, że znajdują się w północnej części Paryża, niedaleko parku des

Buttes-Chaumont. Podał mu piwo i pół miękkiej, zgniecionej bagietki, którą od jakiegoś czasu musiał nosić w torbie i na którą Vernon zachłannie się rzucił.

„Cholera, wolniej, bo się rozchorujesz. Będziesz tu jeszcze jutro? Przyniosę ci trochę szynki, musisz nabrać sił”. Stary nie był kloszardem, nie miał zniszczonych dłoni, na nogach miał nowe buty. Jednak nie wyglądał zbyt świeżo. Najwyraźniej zwykł pić z facetami, których czuć szczykami. Siedzieli tak przez chwilę, nie mówiąc za wiele.

Teraz Vernon czuje się, jakby był w stanie nieważkości. Niewidzialna dłoń rozregulowała gałki na jego stole mikserskim: wszystkie dźwięki są zniekształcone. Nie może się oddalić od tej ławki. Dopóki go stąd nie wyrzucą, wzgórze Bergeyre jest jego maleńką wyspą zawieszoną w powietrzu. Dobrze się tu czuje.

Robi krótkie przechadzki, by rozprostować nogi i nie zajmować ławki przez cały dzień. Czasem siada na schodach wyznaczających jego terytorium, stoi na ulicy, ale zawsze wraca do punktu wyjścia. Do swojej ławki naprzeciwko ogródków działkowych z niezrównanym widokiem na dachy Paryża. Zaczyna się przyzwyczajać.

Robotnicy pracujący tuż obok, przy ulicy Rémy’ego de Gourmonta, z początku nie zwracali na niego uwagi. Do czasu gdy kierownik budowy zbliżył się podczas przerwy, żeby zapalić papierosa i do kogoś zadzwonić. Podeszedł do ławki, a Vernon ustąpił mu miejsca, już się oddalał, by o nim zapomniano, kiedy gość go zawołał. „Od dwóch dni ci się przyglądam... Nie miałeś sklepu z płytami?” Vernon się zawahał – przez sekundę miał ochotę zaprzeczyć i pójść swoją drogą. Jego dawna tożsamość przestała go zajmować. Zsunęła się z jego pleców jak stary płaszcz, ciężki i niewygodny. To, kim był przez dziesiątki lat, nie miało z nim związku. Ale facet nie zostawił mu wiele czasu do namysłu. „Nie pamiętasz mnie? Pracowałem w piekarni, tuż obok... Często przychodziłem”. Jego twarz nic mu nie mówiła i Vernon rozłożył ramiona – nie wszystko już kojarzę, a tamten facet się zaśmiał. „Taa, rozumiem, życie dało ci nieźle popalić...” Odtąd codziennie podczas przerwy przychodzi, by pogawędzić z nim przez dwie minuty. Kiedy cały czas przebywa się na ulicy, trydniowy rytuał staje się starym nawykiem. Stéphane nosi bermudy i sportowe buty, ma kędzierzawą czuprynę i skręca papierosy. Lubi wspominać o festiwalu w Cannes, mówić o swoich dzieciach i o problemach z robotnikami na budowie. Unika wszelkich aluzji do tego, że Vernon śpi na ulicy. Trudno stwierdzić, czy to niezwykły takt, czy kompletne zobojętnienie. Proponuje, by Vernon sięgał do jego paczki tytoniu, czasem zostawia mu chipsy czy reszkę coli... I pozwala mu korzystać z toalety na budowie. Dla Vernona to wszystko zmienia, wykopał już dwa dołki w ogrodzie domu, gdzie śpi, ale niełatwo jest grzebać w ziemi gołymi rękami, potem to zakopywać, tak by nie było nic czuć, nawet gdy jest ciepło... Na dłuższą

metę to by go zgubiło. Okoliczni mieszkańcy w końcu zaczęliby się uskarżać na smród.

Od trzech dni Jeanine dyskretnie składa mu wizyty. Karmi też kilka bezdomnych kotów. Przynosi Vernonowi jedzenie w plastikowych pojemnikach. Robi to po kryjomu, bo miejscowi już jej mówili, by nie zachęcała bezdomnych do pozostawiania w tym miejscu. Nie jest pierwszy. Opowiedziała mu o tym: na początku wszyscy sądzili, że to sympatyczne z jej strony i chcieli pomagać bliźnim, ale było z tym za dużo problemów: ślady wymiocin, radio włączone na cały regulator i pozostawione tak na całą noc, jakiś nawiedzony gaduła, który nie znał granic przyzwoitości i chciał wchodzić ludziom do domów, by z nimi dyskutować, inny na psychotropach, który rozmawiał sam z sobą i straszył dzieci... Ludzie z sąsiedztwa nie mieli wyboru: trzeba dawkować współczucie. Jeanine upiera się, by dzielić się z nim kolacją. To drobna, poczciwa kobieta, trochę przygarbiona, o filuternym spojrzeniu, podkreśla brwi kredką, chociaż niezbyt równo, za to szminka na ustach jest zawsze bez zarzutu, a siwe loczki idealnie okalają upudrowaną twarz. „Codziennie używam lokówki, przestanę, kiedy mnie spuszczą do grobu”. Lubi żywe kolory i żałuje, że lato jest takie brzydkie, bo nie może włożyć swoich pięknych sukni, „a nie wiem, czy za rok będę jeszcze żyła, żeby się nimi nacieszyć”. Mówi Vernonowi, że jest „milutki, to od razu widać, w moim wieku ma się to oko, jest pan słodkim chłopcem i ma pan cudowne oczy”. To samo mówi kotom, które dokarmia. Przynosi mu butelki z wodą i ryż, w którym rozpuszcza duże porcje masła. Nigdy nie robi żadnych uwag, lecz Vernon podejrzewa, że zdaniem Jeanine to, co jest dobre dla kociej sierści, musi być dobre także dla mężczyzny. Stara przyniosła też kilka kostek czekolady w folii aluminiowej. Zdziwił się, z jaką przyjemnością je zjadł. Już zapomniał, jak to jest, gdy wkłada się do ust coś, czego smak się lubi.

Jak co dzień około godziny osiemnastej Charles wychodzi z punktu bukmacherskiego przy ulicy des Pyrénées i idzie aleją Simona Bolívara w stronę sklepiku spożywczego naprzeciwko parku. Chłopak za ladą nie był skory do uśmiechu. Gdy mu wydawał resztę, z trudem oderwał wzrok od ekranu, na którym śledził mecz krykieta.

Stary wchodzi powolnym krokiem na parkowe wzgórze. Nigdzie mu się nie spieszy. Rodzice czekają, nie rozmawiając z sobą, przed teatrzykiem lalek Guignol de Paris. W środku ich pociechy krzyczą co chwila: „Uwaga, z tyłu za tobą!”. Jego ulubiona ławka znajduje się po lewej, niezbyt daleko od toalety publicznej. Przeciera wnętrzem dłoni pomalowane na zielono drewno, zawsze jakiś kundel musi zostawić na nim warstwę błota, gdy stawia łapy na ławce, by robić pompki z podparciem. Otwiera zapalniczką pierwszą butelkę. Naprzeciwko dwa koty krążą wokół siebie, wydając od czasu do czasu niepokojące miauknięcia, ale nie decydują się na frontalny atak.

Charles zawsze lubił ten park. To tu przychodzi na aperitif, kiedy już wyjdzie z bistra, gdzie spędza popołudnia, unikając bladego światła dnia. Problemem w Buttes-Chaumont są nierówności terenu. Któregoś dnia padnie, próbując wejść na wzniesienie.

Pojawia się Laurent. Dobrze zna rozkład dnia Charles'a. Wie, że zawsze może tu liczyć na piwo. W kółko opowiada pięć czy sześć historyjek, które przerywa wybuchami dudniącego śmiechu. Gdy po raz dziesiąty słyszysz opowieść o tej samej burdzie, masz chęć zmienić płytę, ale Charles nie wymaga zbyt wiele od współczesnych. Nie można być jednocześnie kirusem i wybrzydzać, gdy chodzi o towarzystwo. Laurent jest częścią jego codzienności. Rzecz jasna, wolałby wypić aperitif z grubą Olgą. Zawsze miał słabość do postrzelonych kobiet. Z chęcią jeszcze raz wpakowałby się w tarapaty, gdyby w któryś z letnich wieczorów znów miał okazję przystawiać się do Olgi. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, miała na nogach jaskrawozielone pepegi, więc sobie z niej zażartował, nazywając ją cyrkowym błaznem, i od razu dostał z liścia. Musiał jej oddać. Chciała się zrewanżować, ale nie była w stanie. Olga to pocziwina. Gdy cię okłada pięściami, to tak jakby ci dawała całusy. Starego to wzruszyło, że tak się szamocze, a on widzi w tym tylko oznaki czułości. Olga do dziś ma mu za złe to pierwsze spotkanie. A on takie właśnie lubi: szalone i brzydkie. Zawsze twierdził coś wręcz przeciwnego. Kiwa głową, gdy kumple mówią, że kobieta, która nie jest specjalnie zołzowata, to prawdziwy skarb, często opowiada, że marzy o zgrabnej bezproblemowej cizi, która nigdy nie tłucze talerzy, ale to zwykłe bzdety, jakie opowiada się w męskim gronie. Gdy jeszcze stać go było na laskę jak się patrzy, został z Véro, i za każdym razem, kiedy ją zdradza, rywalka

okazuje się do niczego. Nie wszystko złoto, co się świeci. Przyzwoite kobiety go nudzą.

Aleje parku są mokre. Deszcz padał przez wiele godzin. W bistrach wszyscy mówią już tylko o tym, o pogodzie, i jaka to była beznadziejna wiosna. Spacerowicze zbyt szybko nie wrócą. Wokół nich widać już tylko ludzi uprawiających jogging, którzy musieli schronić się w zaroślach, by się teraz wyłonić i dyszeć jak katorżnicy. Niektórym chciałoby się tego natychmiast zabronić w imię zdrowego rozsądku, na pierwszy rzut oka widać, że to, co robią, zagraża ich zdrowiu. Laurent patrzy na buty Charles'a ze zdegustowaną miną.

– Nie nosisz czasem czterdziestki?

– Noszę czterdzieści cztery. Czemu pytasz?

– Zawsze masz niezłe trepy. Potrzebna mi para... Te, które mam, nie bardzo mi się podobają.

– To obuwie robocze. Na pewno niezbyt wygodne.

– Byłem w magazynie pomocy społecznej, żeby czegoś poszukać... Ale nic nie było. Jest kryzys, ludzie niechętnie pozbywają się rzeczy.

– To masz problem.

– Przejdę się jutro na ulicę Ramponeau, może znajdę parę w moim rozmiarze, bo te ocierają mi piętę, nabawię się odcisków.

\*

Na ławce obok czarnoskóry olbrzym w srebrzystym dresie pastwi się nad chuderlawym białasem w szortach, który się dwoi i troi, wykonując jego komendy. Trener wykrzykuje stentorowym głosem: „Jazda, jazda, jesteś na wirażu, żadnych pauz, śmiało naprzód!”, a nieborak podskakuje w miejscu, z nieobecny spojrzeniem, na skraju wyczerpania, bliski zgonu. Laurent nie przygląda im się długo, jego wzrok przyciąga jakiś kaszalot w niebieskim kombinezonie toczący się pod górę jak pijany kosmonauta. Charles podaje Laurentowi kolejne piwo i mówi:

– Gdyby to ode mnie zależało, zabroniłbym sportowcom wstępu do parku. Psują nam atmosferę.

– Chciałbyś nas pozbawić widoku biegających półnago foczek? Spójrz na tamtą, nie szkoda by ci było takiego przedstawienia?

Problem z facetami takimi jak Laurent, a jest ich bez liku, polega na tym, że każdą ich reakcję można od razu przewidzieć. Schludna jasnowłosa studentka zbiegająca truchtem ze zbocza jest do niczego. Czuć ją mydłem, nawet kiedy biegnie. Nie chodzi o to, że Charles ocenia libido innych wedle jakiejś z góry założonej skali. Ale dziś faceci niczym się już nie

różnią, jakby chodzili na kursy wieczorowe, żeby się do siebie całkiem upodobnić. Gdyby otworzyć mózg Laurenta i przyjrzeć się, jak działa, znaleźlibyśmy w nim dokładnie ten sam szajs co w mózgu biznesmena, który cierpi obok, wykonując brzuszki: superszczupłe lasencje, błyskotki w rodzaju rolexa i wielki dom na plaży. Marzenia idioty.

Między jego pokoleniem a pokoleniem Laurenta jest zasadnicza różnica. W jego czasach ludzie nie schlebiali burżujom. Bez względu na to, co sami o tym mówią, dzisiejsi przedstawiciele ludu pracującego chcieliby, wszyscy bez wyjątku, urodzić się w dobrych domach. W Lessines, gdzie dorastał, czas odmierzały fabryczne syreny. Ludzie gardzili burżujami z zamożnych przedmieść. Nie piło się z szefami. To było niepisane prawo. W bistrach rozmawiało się tylko o polityce, nienawiść klasowa tworzyła prawdziwą plebejską arystokrację. Ludzie potrafili gardzić swoim szefem. To wszystko zniknęło, tak samo jak zamiłowanie do dobrze wykonanej pracy. Nie ma już czegoś takiego jak robotnicza świadomość. Teraz każdy z tych gości chciałby się upodobnić do swojego bossa. Gdyby ktoś taki jak Laurent mógł wybierać, miałby gdzieś, czy bogacze dzielą się swym bogactwem z innymi, chciałby jedynie dołączyć do ich klubu. Mają dokładnie takie same pragnienia. Banda ćwoków. Będzie z nich niezłe mięso armatnie.

W głębi alejki, obok klombu, stoją czterej parkowi strażnicy, paląc papierosy w towarzystwie mężczyzny w szarym garniturze. To krępy, uśmiechnięty Azjata, stały bywalec parku, który zawsze ma na głowie kowbojski kapelusz i wchodzi na zbrocza po trawniku tyłem. Zawsze tak robi, kiedy przychodzi do parku, i z nikim nie rozmawia. Stary pies o długiej szarej sierści i króciutkich łapach biega wokół niego. Charles pyta kolegę:

- Wiesz, dlaczego Chińczycy to robią?
- Wchodzą tyłem na górki? Nie mam pojęcia. To inna kultura.
- Fakt, my tak nie robimy.

Laurent ulokował się na zarośniętych trawą torach kolejowych, przecinających park w jego dolnej części, na początku kwietnia. Niewielu ich tam śpi i strażnicy przymykają oko, byle nikt nie wałęsał się po trawnikach nocą.

Jakaś kobieta przystanęła w pobliżu ich ławki, wydaje się zagubiona. Ma na sobie długi czerwony płaszcz zapięty pod szyję, ubranie małej dziewczynki, co kontrastuje z nieco przywiedłą twarzą. Wygląda na nauczycielkę. Gdyby często miała do czynienia z dorosłymi ludźmi, ubierałaby się inaczej. Laurent podnosi ramię na jej widok, pozdrawia ją. Wydaje się zdziwiona, potem go rozpoznaje i podchodzi bliżej.

- Dzień dobry! Co u pana słyhać?
- Wszystko super. Może mały łyeczek? – pyta, podając jej napoczętą butelkę.

Kobieta odruchowo się cofa, jakby chciał siłą wcisnąć jej szyjkę butelki do ust.

– Nie, nie, nie, dziękuję. Szukam baru Rosa Bonheur, wiecie, w którą stronę powinnam się kierować?

– Ależ pani zawsze czegoś szuka...

Laurent zamienił się w uwodziciela. Charles czuje się zażenowany jego zachowaniem. Ty dupku, niby jak elegancko ubrana i schludna dama miałyby pić z twojej butelki i interesować się kimś takim jak ty?

– Rosa Bonheur to blisko, pójdzie pani tą ścieżką, prosto, jakieś pięćset metrów. Znalazła już pani tego Subutexa?

– Nie. A pan już go nigdy więcej nie widział?

– Ani razu... Ale mogę wziąć od pani namiary, jeśli coś usłyszę, od razu dam pani znać...

Laurent wciska jej ten bajer tonem hostessy w salonie. Wypina pierś i rozchyła gabardynową kapotę barwy khaki, wyciąga z zanadrza stary pomarańczowy notes i prosi kobietę o długopis ze zniewalającym szczerbatym uśmiechem. Przykro na niego patrzeć, kiedy próbuje pokazać, że potrafi się zachować jak człowiek cywilizowany. Dama w czerwieni lekko się krzywi i odruchowo wyrывa sobie włoszek między brwiami. Laurent nie przestaje mówić, jak zwykle kiedy znajdzie sobie nowego słuchacza, tak łatwo nie odpuszcza.

– Vernon wpakował się w niezłą kabałę, bo zaczął się włóczyć z jedną wredną jędzą... Typowe u nowicjusza: za bardzo potulny. Gdybym zobaczył go z Olgą, kazałbym mu uważać. Wszystkich robi w konia. Z początku wydaje się sympatyczna, tyle że jak już zaczniesz się z nią zadawać, łądujesz nosem w gównie... Ulica to nie jest miejsce dla kobiet. Zresztą bez problemu mogą tego uniknąć. Taka Olga mogłaby sobie zrobić ze trzy bachory, kiedy był na to czas, i od razu zasiłek, mieszkanie socjalne, jako samotna matka miałyby to jak w banku. My, bezdzietni faceci, możemy sobie zdychać, ale rodzina to świętość! Nic z tego, dla niej rodzenie dzieci to też za duży wysiłek... Olga nie ma za grosz ambicji. I wszystko musi robić tak samo jak facet... Stale szuka guza, ale jak przyjdzie co do czego, oberwie ktoś niewinny...

– Gdyby go pan zobaczył, proszę powiedzieć, że wciąż go szukamy, dobrze? Wszyscy: Emilie, Xavier, Patrice, Pamela, Lydia... Że się o niego martwimy... I że mamy mu coś ważnego do powiedzenia, coś bardzo ważnego...

– Mogę zapisać pani numer? I zapytać o godność?

\*

Kobieta w czerwonym płaszczu nie potrafi powiedzieć nie. Ma na imię Emilie,

niepewnym tonem podaje numer swojego telefonu, po czym spiesznie się oddala. Ma dość szerokie biodra, idzie niepewnym krokiem. Charles pyta: „Skąd ty ją znasz?”, a Laurent wydyma wargi i zaczyna się popisywać:

– Jest ich już całkiem sporo. Szukają Vernona Subutexa, ale nie mam bladego pojęcia, gdzie mógł się zamelinować...

– A co to za gość?

– Włóczęga. Świeżo upieczony. Typ kompletnie nie z tej bajki. Za miękki. Za delikatny. Nie wiem, co mu się przytrafiło, ale było widać, że facet nie jest przygotowany do życia w plenerze. Stare ćpuny mają przynajmniej jakieś pojęcie o ulicy, ale ten... to taki wycackany koleś. Stale wdawał się w bójkę, aż w końcu jego kumpel dostał w dziób i nie mógł wstać z chodnika. Wtedy gość zniknął. A znajomi zaczęli go szukać...

– Nie była na niego wściekła.

– Nie, nie wydaje mi się, żeby mu chcieli dać wycisk... To tylko zgraja czubków. Od trzech dni go szukają.

– A jak on wygląda?

– To Francuz, taki wymoczek, ładne oczka, pedalski look rockersa, długie pióra... W sumie nic szczególnego, ale nie żadna menda.

Ten opis dziwnie pasuje do jego znajomka ze wzgórza Bergeyre. Charles woli być ostrożny. Facet był tak bardzo chory, wydawało się, że wyzionie ducha na jego ławce. Jeżeli się ukrywa, na pewno ma powody. Każdy ma swoje sekrety i to jego sprawa.

– Nie wiesz, czego od niego chce ta paniusia?

– A dlaczego tak bardzo cię to interesuje?

– To dziwne, że taka dama ugania się za bezdomnym.

– Kobietom nigdy nie należy ufać. Zawsze coś ukrywają... To na pewno ma związek z jakimś nagłym zejściem.

– Z zejściem?

– Bez przerwy nam wciskają, że zajmują je tylko dzieci... Rodzenie bachorów, opieka i cały ten bajzel... I oczywiście wierzymy im na słowo. Ale tylko pomyśl. Prawdziwą obsesją tych wszystkich damulek są zmarli. Tu jest pies pogrzebany. Nigdy o nich nie zapominają. Starają się ich pomścić, pogrzebać na cmentarzu, muszą mieć pewność, że spoczywają w pokoju, i wszyscy muszą szanować ich pamięć... Kobiety nie wierzą w śmierć. I tak naprawdę właśnie tym się różnimy.

– Nie wiem, skąd wzięłaś tę swoją dumną teorię, ale trzeba przyznać, że jest oryginalna.



- Pomyśl o tym, gdy dziś wieczorem będziesz trawił sikacza. Zobaczysz. To ma sens.
- Nadal nie wiemy, czego od niego chce.
- Nie. Ale chętnie pogaworzyłbym sobie o tym i owym z tą panią. Jestem bardzo uczynny. Lubię takie kobietki, nieśmiałe, od razu ma się ochotę porządnie je wyobrazić...

\*

Charles pozwala mu wygłaszać te obleśne przechwałki. Naprawdę jest zaskoczony, że kobieta w czerwonym płaszczu się do nich odezwała. Charles też wygląda jak kloszard. Ludzie niechętnie wdają się z nim w rozmowę. Ale gdy on ma ochotę z kimś podyskutować, wie, jak się do tego zabrać. Trzeba nieustannie okazywać rozmówcy względy, tak jak się nęci gołębie i wrony. Postępuje tak samo jak staruszka, którą można było spotkać w dzielnicy aż do ostatniego lata. Mieszkała przy ulicy de Belleville, a gdy wychodziła z domu o szesnastej, gołębie od razu ją rozpoznawały. Zbierały się w wielkie chmary na niebie i na ziemi i podążały za nią. Rozrzucała pod drzewami garście okruchów i ziaren. Nie wolno karmić ptaków. Jeśli ktoś nie zwrócił uwagi na jej zachowanie, te ptasie roje, które nagle lądowały na alei Simona Bolívara, były w najwyższym stopniu niepokojące. Któregoś dnia jej dzieci umieściły ją w domu opieki. Charles dowiedział się o tym przy kontuarze baru, który znajduje się na wprost wejścia do parku. Była właścicielką mieszkania. Dzieci musiały wyczuć, skąd wiatr wieje, przewidzieć zbliżający się kryzys, wołały sprzedać mieszkanie, nim straci na wartości. Jazda do wykańczalni! Była jeszcze na chodzie i nigdy nie dawała w palnik, jedyną przyjemnością tej starej wariatki było karmienie gołębi na spacerze... Nikogo nie wkurzała. Charles'a śmieszą ludzie, którzy robią sobie bachory, sądząc, że jest to polisa na starość. Zdążył już zauważyć, że to tylko dożywanie niecierpliwych sępów. Nikt nie lubi staruchów, nawet ich własne dzieci.

W parku jest jeszcze jeden gość trochę do niej podobny. Facet, który też chodzi przygarbiony i stawia się co dzień ze słuchawkami na uszach. Ma długie włosy i nosi wysłużoną czarną skórzaną kurtkę. Ten z kolei jest przyjacielem wron. Gdy tylko się pojawi, ptaszyska go rozpoznają i otaczają kręgiem. Wrony wyglądają na znacznie lepiej zorganizowane niż gołębie. Są wielkie jak kury, połyskliwie czarne i ludziom, którzy zwykli uważać, że zwierzęta nie rozumieją zbyt wiele, wydają się dziwnie inteligentne. Parkowe wrony szybko się orientują, z kim mają do czynienia. Nie potrzebują starego, by znaleźć pożywienie – patroszą dno plastikowego worka zawieszzonego w pojemniku na śmieci i same się obsługują. Ale wygląda na to, że lubią życie społeczne. Nie zbiegają się, kiedy przychodzi z ziarnem: już na niego czekają. A jeśli gość musi się przemieścić, bo przyglądają mu się

parkowi strażnicy, ptaszyska wcale nie wydają się zaniepokojone. Idą jego śladem i uprzedzają się w języku kruków, że miejsce spotkania zostało zmienione. Stary przestał przychodzić z początkiem wiosny. Charles nigdy się nie dowiedział, z jakiego powodu. Pewnie trafił do szpitala. Jest za młody, by dzieci mogły go umieścić w zakładzie. Nawet jeśli im spieszo, by zainkasować swoją część mamony, trudno się pozbyć rodzica, który jest jeszcze w formie, zwłaszcza kiedy logicznie myśli – trzeba uzbroić się w cierpliwość. Charles poprosił Véro, by sprawdziła w internecie, co jedzą te ptaki. I zaczął przychodzić codziennie o tej samej porze, w to samo miejsce, by karmić głodomory. Pomyślał, że ktoś powinien przejąć pałeczkę. I zrozumiał, dlaczego niektórzy to robią – wrony są tak samo zabawne jak kumple z bistra. Mają małe żywe oczka i potrafią cię rozśmieszyć. Charles co tydzień zagląda do działu z karmą dla zwierząt w Bricoramie. To dział, w którym śmierdzi najbardziej w całym sklepie i roi się od muszek, bo worki z psim żarciem są przedziurawione – łązi tam, pomimo rwania w plecach i kolanach, które już nie są zbyt sprawne, nogi odmawiają mu posłuszeństwa, człowiek się kończy, to wiek, normalna sprawa. Ale nie odpuszcza. Ta mania dobroci dla zwierząt przyszła z wiekiem.

Charles wygrał w lotto. Tak. On, stary grzyb. Niezły żart. Często obstawia wyścigi, ale rzadko kupuje losy. Jak wszystkim stałym bywalcom punktów bukmacherskich zdarzało mu się wypełnić kupon, kiedy skusiła go wielka kumulacja. W sumie najbardziej niezwykle było nie to, że wygrał, ale to, że wieczorem w dniu losowania siedział w domu przed telewizorem i nie chciało mu się wstać, żeby zmienić kanał, a baterie w pilocie właśnie się wyczerpały. Trzeba było tego splotu okoliczności, by zaciekawiał go wynik – nie wyobrażał sobie, że mógłby być jednym ze zwycięzców. W sumie jednak taka jest idea tej gry: może się to przydarzyć każdemu. Nawet komuś takiemu jak on. Zawsze skreśla te same liczby, datę urodzin swojej matki. Niezbyt skomplikowane. Kule powędrowały do komór maszyny losującej – nigdy nie mógł zrozumieć zatwardziały graczy, nic nie może rywalizować z nudą losowania. I zaczęły padać liczby, jedna po drugiej, z tą przerażającą precyzją przeznaczenia, które przychodzi właśnie do ciebie i do nikogo innego. To go wyrwało z letargu. Serce biło mu coraz mocniej i poczuł ucisk w piersi. Zbyt wielka radość to niezbyt przyjemne uczucie. Od razu całkiem wytrzeźwiał. Véro rozłożyła się na kanapie, ucięła sobie drzemkę i leżała nieruchomo jak kłoda, z otwartymi ustami i śladami czerwonego wina wokół warg. Gdyby teraz się obudziła, dostałaby plombę jak jeszcze nigdy w życiu, za nic by się nie przyznał, że przywidziało mu się coś takiego. Bo nie przywykł do miłych niespodzianek i z początku, rzecz jasna, myślał, że się sfrajerował.

Uniósł patkę kieszeni marynarki, zaczął w niej grzebać i odnalazł kupon. To zakrawało na

rud, zważywszy, że odruchowo zwinął go w rulonik i przestał o nim myśleć. Dziesięć minut wcześniej nie byłby w stanie dojść do umywalki, nie zwalając się z nóg, a teraz był nagle zwinny jak koziołek. Umysł w stanie rui, mój Boże. Nie mógł się poczuć szczęśliwy, tak bardzo był wstrząśnięty. Próbował sobie tłumaczyć: ty stary capie, przestań się podniecać bzdetami, które w pijackim zwidzie sobie uroiłeś, źle usłyszałeś, jutro się przekonasz, może trafiłeś dwójkę albo trójkę, ale na pewno nie szóstkę, co ty sobie myślisz? Nigdy się już nie wyleczysz z tego kretynizmu? Nie spał przez całą noc. Kładł się w ubraniu, potem włókł się na fotel, próbował zbudzić Véro, otwierał butelkę piwa i opróżniał ją, stojąc przy oknie, potem wracał do wyрка. Na próżno.

Nazajutrz już o ósmej był w bistrze. Starannie przepisał liczby, dwa razy sprawdzając, czy się nie pomylił. Obracał kupon na wszystkie strony, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Usiadł przy kontuarze, w głębi, kryjąc się w półmroku, choć nie znał nikogo, kto bywał tu o tej porze, a para Chińczyków, która przejęła lokal, gdy Ahmed, od zawsze właściciel tego bistra, pewnego wieczoru, siedząc przed telewizorem, zszedł z powodu pęknięcia tętniaka, i tak raczej nie nawiązałyby z nim rozmowy. Wiele razy wyrzucali go za drzwi, kiedy był zalany, i nie żywili do niego sympatii. Ale to było jego bistro i wracał tu co rano.

Charles rozłożył gazetę i sprawdził jeszcze raz. Rano, na trzeźwo, wydało mu się to jeszcze bardziej nierzeczywiste niż wczoraj. To nagłe przerwanie jego naturalnego rytmu wywoływało w nim raczej trwogę niż radość. Jeszcze trochę, a zacząłby się skarżyć, że los nigdy nie chce zostawić go w spokoju. Oto jak słabo znamy samych siebie: mógłby przysiąc, że nie cierpi swojego życia, i dałby wszystko, by je całkiem zmienić. Lecz teraz, gdy to na niego spadło, czepiał się swych nawyków, jak gdyby mu ktoś groził, że kopniakami w tyłek wypędzi go z domu. Dwa miliony. Co ty na to, pasztecie? I w ciągu jednej nocy Charles utracił pogodę ducha. Przez ponad sześćdziesiąt lat żył w tej alkoholowej śpiączce od rana po aperitif, wrzeszcząc przy kontuarze, że ma to wszystko gdzieś, absolutnie wszystko, i niech go nikt nie wkurza. Beztroska się skończyła.

A przecież żył już na najrozmaitsze sposoby. Widział, jak jego matka wypruwa sobie żyły, żeby ich wyżywić, widział, jak ojciec znika z dnia na dzień, nigdy więcej nie próbując zobaczyć się z żoną i swoim potomstwem, był praktykantem, gdy w latach sześćdziesiątych w Belgii wybuchły wielkie strajki, był królem gry w bule i szoferem ciężarówki, gryzipiórkiem i zawziętym graczem w taroka, rozlepił afisze i został rogaczem, zabijaką, tynkarzem. Wielką pasją jego życia była i pozostanie butelka, bary i sklepy otwarte całą noc. Upija się na wesoło. Butelka nigdy go nie zawiodła ani nie porzuciła. Dawał kwiaty idiotkom i zachowywał się jak kretyn, gdy był z dupencjami, miał dziesiątki kochanek, z których jedna

była głupsza od drugiej. Najgorszą suką okazała się burżujka z przedimkiem przed nazwiskiem, jej rodzina wciąż miała zrujnowany zamek, a ona lubiła się szlajać po barach. Urodziła mu dziecko. Powiedział: nie chcę być ojcem, to były lata osiemdziesiąte, a ona na to: sama się nim zajmę i przestań biadolić, mogłeś sobie podwiązać nasieniowody, głupku. Faktycznie nie uznał tego dziecka. I nigdy nie chciał go widzieć. Véro też zaszła w ciążę. Ale gdy jej powiedział, że nie chce być ojcem, spędziła płód. Boczyła się na niego, ale to zrobiła. W dodatku całkiem sama, nie prosząc, by jej towarzyszył, i nie chcąc od niego nawet franka. To twarda sztuka. Zachowała się jak prosta dziewczyna. Nic tak bardzo nie łączy jak ciężkie życiowe próby, ludzie pracy nauczyli się trzymać razem. Véro to stary model, jest córką nauczycielki, która wyszła za mąż za wieśniaka, takie nie zdradzają swojego mężczyzny. Doskonale widział, że dużo ją to kosztuje, że nie może urodzić dziecka. I nawet jemu w pewien sposób to doskwierało. Ale trzeba być realistą, przy dwóch takich gąbkach jak oni biedny dzieciak mógłby drzeć japę całymi nocami, nikogo by nie obudził. A biorąc pod uwagę, jak są urodziwi, do czego ten grzdyl mógłby być podobny? Spędziła. Nie tak jak tamta cipa z przedimkiem. Gdyby wieść o jego szczęśliwej wygranej dotarła do uszu fałszywej baronowej, zjawiłaby się tutaj lotem błyskawicy z gotowym testem na ojcostwo. A w tym wypadku facet nie ma prawa do obrony, zostaje ojcem z urzędu. Zażądałaby części szmalu i zgotowałaby mu prawdziwe piekło. Véro dałaby się na niego jak stare prześcieradło i miałyby baba rację.

Zresztą nie zamierzał też mówić o tym Véro. Nie tak szybko. Musi się zastanowić, zanim cokolwiek wyjawí. Poszedł ulicą des Pyrénées, zajrzał na pocztę, żeby poprosić o książkę telefoniczną. Chciał poszukać numeru do siedziby totalizatora, ale kobieta z okienka, młoda, gruba i odpychająca Murzynka, zaśmiała mu się w nos. Potraktował ją z góry: „To jednak szczyt wszystkiego, żeby nie można było zadzwonić z urzędu pocztowego”, a ona mu wygarnęła ze śmiechem: „Proszę, jest pan za młody, by się wyrażać w ten sposób!”. W końcu nie taka duma, jakby się wydawało. To go rozbroiło, westchnął i opuścił to miejsce, nie wywołując skandalu. Dotarł na plac Gambetty, lecz piwiarnia, w której kiedyś na dole była kabina telefoniczna, przeszła gruntowny remont. Nie mogą się powstrzymać. Coś dobrze funkcjonuje, wszyscy się cieszą, to wszystko ma sens i solidne podstawy – i zawsze znajdzie się ktoś, kto to wszystko zburzy, by w zamian zaproponować coś, czego nikt nie rozumie. Ostatnia mania to otwieranie barów, w których amator trunków nie czuje się za dobrze. To twoja klientela i wyrzucasz ją za drzwi? Potem się skarżą, że muszą zamykać lokal. Ale nie utrzyma się baru dzięki trzem turystom, którym wystarczy, że schrupią zapiekankę. Potrzebujesz filaru, żeby się tu ostać, gości, którzy sprzedadzą dom, by mieć za co pić. Jeśli

handlujesz alkoholem, potrzebna ci klientela prawdziwych wyznawców, a nie miłośników kiru z syropem truskawkowym.

Charles kupił kartę telefoniczną. Cholera, gdyby się okazało, że to totalna pomyłka, gdyby nic nie wygrał, po prostu wyrzuciłby w błoto dziesięć euro za kartę, z której już nie skorzysta. Nie znosi telefonów. Od razu przestaje dobrze słyszeć, nie rozumie, co ktoś do niego mówi. Masakra, odpowiada byle co, zaczyna pyskować. Zaczął się rozglądać za publiczną kabiną w jakimś spokojnym miejscu, gdzie nikt go nie rozpozna i nagle nie otworzy drzwi: „Co ty tu robisz, brachu? Chodź, łykniemy po jednym”.

Nie wiedział, jak wyartykułować to, co chciał powiedzieć. „Jestem posiadaczem zwycięskiego kuponu” albo „dzwonię, żeby się zorientować, jak to jest z główną wygraną”... Zwracanie się do instytucji było dla niego zawsze kłopotliwe, tak jak dla wszystkich prostych ludzi. Nie chciał, żeby od razu dało się wyczuć, że jest zwykłym żulem, i wiedział, że im bardziej będzie się starał mówić poprawnie, tym bardziej to będzie widać.

Pińdzia w słuchawce miała doświadczenie. Uspokoila go. Najwyraźniej nie był jedynym kmiotem, który postanowił zadzwonić do siedziby lotto. Bywali gorsi. Szybko pojęła, o co mu chodzi – wygrany kupon to dla niej było coś, co może się zdarzyć, „niech pan chwilę poczeka”, słuchał *Bolera* Ravela, potem z kolei jakiś typ uprzejmie wysłuchał jego zagmatwanej gadki, poprosił, by raz jeszcze odczytał liczby z kuponu, i powiedział: „Proszę od razu nas odwiedzić, sprawdzimy to wspólnie”, a Charles spanikował, to był typowy odruch w kontaktach z administracją. „Nie, niestety jestem bardzo zajęty”, wtedy tamten powiedział: „Spokojnie, może być poniedziałek, proszę przyjść w poniedziałek, oto adres, jeśli chodzi o anonimowość, może pan być spokojny, będzie całkowita, nikt nie czeka przed naszym wejściem, by namierzać szczęściarzy, nie, wie pan, wielu ludzi wchodzi i wychodzi z budynku, nie sposób będzie pana odróżnić od gracza, który chce złożyć reklamację, albo od urzędnika, tak, w łonie naszej ekipy pewne osoby poznają pańską tożsamość, ale mamy niezwykle ścisłe klauzule poufności, sam pan rozumie, to nie tylko pański przypadek, nie, nawet jeśli jest pan za stary, żeby u nas pracować, nikt nie sfotografuje pana w drzwiach wejściowych, jeśli wolno mi coś doradzić, niech pan nie próbuje się jakoś przebierać, czasem nie chcąc rzucać się w oczy, stajemy się właśnie zbyt widoczni, proszę unikać okularów, peruk”... Faktycznie, nie był pierwszym skunksem, który zgarnął pulę.

Po powrocie do domu żałował, że przesunął spotkanie na poniedziałek. Bał się nawet wysrać, a jeśli w tym momencie otworzy się okno i spadnie tranzystor, który otworzy szufladę, wtedy wystarczy podmuch wiatru i pff: po kuponie. Ach, wolne żarty, można by wyprasować... Nie przesadzał nawet z sikaczem, aby nie narobić głupstw. Czuł się naprawdę

nieswojo... I nie był to tylko lęk przed jakimś nieszczęściem, typowy u ludzi z jego warstwy społecznej, przed tym ziarnkiem piasku, które cię uwiera i sprawia, że na zawsze będziesz przykuty do gleby, przed losem, który zrobi co się da, by ludzie z plebsu pozostali w swym gównie... Był też strach dużo gorszy. Co robi z taką kupą szmalu? O przynajświętszy Boże, przez trzy dni i trzy bezsenne noce miał dość czasu, żeby przeżuwać tę kwestię na wszelkie możliwe sposoby. Dom? Po kiego mu jakiś dom? I niby gdzie ten dom? Na zadupiu, gdzie nikogo nie zna? Na południu, u tych porąbanych faszystów? Gdzie w bistrach siedzą sami myśliwi i opowiadają, że trzeba wybić nutrie? W szesnastej dzielnicy, gdzie atmosfera w barach przypomina więzienie? W Normandii? Co, u licha, miałby robić w jakimś innym miejscu? Dom. Wspaniale! Czy naprawdę miał ochotę kupić sobie dom? Wkurzał się, że mógłby zostać właścicielem. A na myśl o tym, że miałby iść do notariusza, na myśl o tych wszystkich papierach... O, nie, nie. Nic z tych rzeczy, jest na to za stary.

W poniedziałek poszedł do siedziby lotto. Spodziewano się, że pomyśli o jakichś lokatach, długofalowych planach finansowych... Słuchając ze stoicką miną porywającej perory jakiegoś urzędasza, czuł, że wygląda trochę jak Jean Gabin i jest gotowy w każdej chwili oświadczyć: „Chłopcze, mam nadzieję, że nie będziesz przynudzał zbyt długo”. Ale zachował milczenie, czekając, aż mu pozwolą oddalić się z czekiem. Przez całe życie gardził ludźmi, którzy się dorabiają bez pracy, i nie ma zamiaru w tym wieku spekulować na giełdzie.

Gdy znalazł się w swojej kuchni, był kompletnie rozbity. Więc co: co zrobić z taką forszą, tatku? Kupować garnitury? Wisi mi to. Podróżować? Już lepiej zdechnąć. Nie znosił walizek, słońca ani plaży, a najbardziej uczucia wyobcowania. A zatem? Ale masz problem... Będzie chodził na ksiuty. Ani trochę by mu nie przeszkadzało, gdyby jakaś młódka wylizała mu dziurę w zadku tylko po to, żeby się dostać do jego pieniędzy... Ale gdzie będzie te siksy wrywał? W bistrach, gdzie przesiadywał, nie roіło się od lolitek... Mój Boże, jeszcze nawet nie dotknął tych pieniędzy, a już na horyzoncie rysowały się same kłopoty, spotkania w banku, papierzyska, nowi przyjaciele, hipokryci i wszelkie możliwe komplikacje...

Przez dłuższy czas siedział tak przed lodówką, oszołomiony. Véro wstała i urządziła mu chryję jak wszyscy diabli, bo zapomniał kupić oliwę, a to była jego kolej. Codziennie przed aperitifem o godzinie szesnastej wypija łyżkę oliwy, bo to, jak twierdzi, uszczelnia jej żołądek i potem znacznie lepiej toleruje alkohol. Charles pozwolił jej się wygadać, włożył płaszcz, nie odpowiadając i powtarzając w myślach, idę na kurwy. Oto na co będzie wydawał pieniądze. Tyle że gdy znalazł się na ulicy de Belleville i stanął przed małym gabinetem masażu, o którym w bistrze słyszał tyle dobrego, zerknął tylko na hol, plastikowe krzesła i wiszące na ścianach afisze zachwalające terapię zonową. Po czym zawrócił.

Kiedyś często chodził na kurwy, w czasach gdy stały za dworcem Saint-Lazare. Zdarzało się, że przez pół godziny krążył wokół dziewczyny, nim zdobył się na odwagę, by spytać, ile bierze. Był nieśmiały wobec kobiet, dopóki się nie upił. A jednak go lubiły, mówi to bez przechwałek. Poznał prawdziwe damy trotuaru. Te, których wcale nie trzeba bajerować. Nie były ładniejsze niż dzisiejsze laski. Ale miały gadane, zamykały ci dziób i musiałeś mieć się na baczności. Pod koniec, kiedy trzeba ich było szukać na wielkich bulwarach, to już nie było takie proste. Nie miał samochodu. Chodził tam pieszo. Żadna nie miała pokoju. Dał sobie spokój, gdy przeniosły się na drugą stronę obwodnicy. Przecież nie będzie wsiadał do podmiejskiej kolejki, żeby ktoś mu zrobił laskę... Gdy Chinki opanowały okolice Belleville, obsłużył raz w alejce damę w anoraku, która była pełna wigoru i miła, ale nie mówiła słowa po francusku i to, że nie mogą nawet powiedzieć sobie dzień dobry, nie bardzo go podniecało. Pomyślał, proszę, nawet kurwy były kiedyś lepsze, i nigdy więcej nie chciał słyszeć o dziewczynach z bulwaru de la Villette. To go nie interesowało, tak samo jak teraz. Nie będzie się zmuszał tylko dlatego, że nagle ma pieniądze. Postawił kolejkę koniaku przy kontuarze w Zorbie, potem spotkał się z Véro, jak co dzień, w punkcie bukmacherskim przy ulicy des Pyrénées. Gdyby ktoś mu powiedział, że któregoś dnia trafi główną wygraną i jak zwykle będzie się musiał użerać ze swoją starą...

Véro jest nie do zdarcia, ujeżdża ją i czuje się dobrze w środku. To nie przypadek, spędził dwadzieścia długich lat z jedną miotłą, głupią i upierdliwą, a zatem coś w niej jest. Nadal jej nic nie powiedział. Postanowił zachować to dla siebie. Bał się, że wieść o jego wielkim szczęściu rozejdzie się lotem błyskawicy i zza krzaków wypadną całe hordy samic, twierdząc, że jest ojcem ich dzieci, i domagając się testów DNA, żeby się dorwać do jego pieniędzy.

Powoli przyzwyczajał się do tej sytuacji i zrozumiał, co powinien zrobić z pieniędzmi: nic. Sam był tym zdziwiony, ale gdy spokojnie rozważył wszystkie za i przeciw, jego życie wydało mu się najlepsze z możliwych. Będzie żył tak jak dotąd, tylko o wiele wygodniej. Będzie częściej zaglądał do fryzjera, gdy przyjdzie mu na to ochota. Zacznie sobie dogadzać. Markowe piwo i maszynki do golenia z pięcioma ostrzami... Koniec ze zginaniem się wpół przed regałami supermarketu Dia, żeby zobaczyć cenę camemberta: będzie wybierał to, na co ma ochotę, nie zastanawiając się, ile to kosztuje. Véro czegoś się domyślała. Wbiła sobie do głowy, że odziedziczył spadek – po jakimś zmarłym wujku, którego dom sprzedano. Bo, rzecz jasna, pochodzi z takiej właśnie rodziny, gdzie każdy wuj po prostu sra pieniędzmi... Ale w końcu widziała, że żarcie jest teraz lepsze, że więcej się pije, czuła, że dzieje się coś dziwnego. I to ją, starą krowę, bardzo nurtowało. Charles mówił sobie od czasu do czasu, że powinien się z nią ożenić, tyle że zaproponowanie jej czegoś takiego bez wzbudzania

podejrzeń nie było rzeczą łatwą, bo co mogłoby usprawiedliwiać fakt, że nagle zapalał chęcią poślubienia tej prukwy? Odtąd za każdym razem, kiedy się dowiadywał, że ten czy ów odszedł bez uprzedzenia, na zawał czy przewrócony przez skuter na ulicy, czuł wewnętrzny niepokój i miał zepsuty dzień. Cholera, mina, jaką zrobiłaby biedna Véro, gdyby kopnął w kalendarz, nie upewniwszy się przedtem, że to ona będzie po nim dziedziczyć... Co za historia z tą wielką wygraną. To było jednak tylko zawracanie głowy.

Prawdziwą przyjemność sprawiły staremu buty nabyte w sklepie Go Sport. To jakoś samo wyszło. Stare trepy były dość niewygodne, pomyślał więc, dobrze, kupię sobie nowe, eleganckie półbuty. Nie wiedział jednak, gdzie czegoś takiego szukać, i tak trafił na siedzisko w Go Sport, gdzie jakiś młokos zaproponował mu szereg modeli. Zmierzył jedną parę z czystej ciekawości. I wówczas otworzył się przed nim nowy nieznany świat, a w każdym razie dziedzina, w której postęp nie jest pustym słowem. Jasny gwint, jesteśmy tak zaawansowani, gdy chodzi o obuwie, a on wciąż człapie w tych starych sabotach. Odtąd co miesiąc kupował sobie buty na miękkiej podeszwie. Na próżno starał się je ukrywać i gdy tylko Véro otwierała oczy, zaczynała wrzeszczeć: „Widzę, że masz pieniądze, złotko, na stare lata całkiem ci odbiło!”.

Nigdy nie zainwestował kasiory. Szybko podjął decyzję. W tym wieku nie zostanie rekinem finansowym. Gość z Banku Pocztowego, który zajmował się jego kontem, omal się nie udusił na widok jego nowego salda. Zaczął mu proponować, by zainteresował się meczami ekstraklasy, ale Charles miał to gdzieś. Sport śniadych. Nie, z nikim nie zamierzał dyskutować o przyszłości swoich pieniędzy. To była jedna z przyjemnych niespodzianek, które przychodzą z fortuną. Jeśli mamy pieniądze, niełatwo nas przekupić. Wcześniej nie przyszłoby mu to do głowy. Myślał, że będzie chytry, stanie się interesowny, że straci głowę na widok kilku zer na czeku. Wcale nie. Zdał sobie sprawę, że nic go nie kosztuje powiedzenie nie. Nie. Nie chce zarabiać więcej, niż potrafi wydać. Jednak sprawiało mu przyjemność, że gnojek z banku wyrasta jak spod ziemi, gdy tylko on się tam pojawi, żeby wysłać list. Charles z przyjemnością go beształ: „Co ty wyprawiasz, podchodzisz do mnie w kolejce, zwariowałaś czy co? Chcesz, żeby cała dzielnica zwała mi się na głowę?”. Biedaczyna mógł jedynie przeprosić i dostać rumieńców. Charles był najważniejszym klientem placówki, może nawet najważniejszym człowiekiem w dzielnicy. Niezła heca.

Raz późnym popołudniem Véro obejrzała francuski film w telewizji, wetknęła sobie zapalniczkę w zadek i zaczęła się z nią przechadzać, uważając, żeby nie spadła na podłogę, podobno, aby wzmocnić mięśnie pośladków. Charles patrzył z rozbawieniem, jak gibie się na boki, a potem zwrócił jej uwagę, że aktorka w filmie miała zgrabną dupkę, podczas gdy jej



kufer nie mieści się w drzwiach i musiałyby zdarzyć się cud, by zapalniczka wypadła.

– Co ty chcesz wzmocnić, ten tłuszcz? Najpierw trzeba by go wytopić.

Zaczęła się wydzierać, że zanim go poznała, była smukła i niczego sobie, trochę jak Mariah Carey z Belleville, tylko on zapycha lodówkę tym całym słodkim syfem, a szafki chipsami, przez co ona traci linię. Znał Véro od dwudziestu lat i zawsze wyglądała jak trzydrzwiowa szafa, lecz ona była przekonana, że kiedyś była piękna. Kiedy dostrzegła przy barze jakąś młodą gąskę, zanudzała go historiami o tym, że kiedyś była niczego sobie i wszyscy faceci ślinili się na jej widok. Legendy. Ta baba zawsze była paskudna. Tyle dobrze, że na stare lata nie ma czego żałować.

Ale Véro już się nakręciła, to jego wina, że straciła sylwetkę, a zresztą chciałaby wiedzieć, skąd nagle ma tyle pieniędzy, i czy to nie okropne dzielić życie z mężczyzną, który robi dzieci za twoimi plecami, że na pewno coś odziedziczył i to niezłą sumkę, tylko boi się przyznać.

– Ale z ciebie pierdoła, co ty sobie myślisz? Że jak się wujek przekręcił i zostawił ci w spadku dziesięć tysięcy euro, to my wszyscy obleziemy cię jak wszy łonowe? Żal mi cię, stara kutwo... Śmiało, wyduś to z siebie, ile odziedziczyłeś?

– A co by to zmieniło, bidulo, gdybym ci odpowiedział, że faktycznie odziedziczyłem? Wiedziałaś, co robić z pieniędzmi? Nie pójdziesz kupować ciuchów: wyglądasz jak beka, co sobie wyobrażasz? Do fryzjera? Masz cztery włosy na krzyż. Wydepilować wąsy? Dobrze, nie ruszaj się, zaraz przyniosę maszynkę. Co ty sobie myślisz? Zafundowałaś sobie liposukcję? Idź, śmiało, wyssij ten tłuszcz, idiotko, tylko pozwól mi w spokoju dokończyć to piwo!

Myślał, że przybierze minę pazernej starej kokoty i zacznie mu opowiadać o domu letniskowym, gdzie żyłaby jak pani. Jak każdy golec, któremu wbito do głowy, że nie ma nic lepszego niż posiadłość z ogródkiem. Kiedy patrzysz na pokój Véro, nie życzysz jej domku... O nie. Ta kobieta to okropna fleja.

Véro wzruszyła ramionami, godząc się z faktem, że jej marzenia nie mogą się ziścić, ale zadowolona, że może się nimi łudzić, i bez chwili wahania odparła:

– Gdybym miała pieniądze, głąbie, poleciałabym do Nowego Jorku. Nowy Jork, Los Angeles, Wielki Kanion i Chicago.

Powiedziała to tonem, którego nie rozpoznawał, tonem pozbawionym jadu i bez śladu wyrzutu, tak naprawdę tonem młodej dziewczyny, i mógłby z niej sobie zadrwić, że tak szybko opuszcza gardę, ale dał się schwytać w pułapkę, zdołała go wzruszyć. Ta stara wywłoka miała swoje sposoby. Nie przypuszczała, że jest w stanie zafundować jej podróż, tak jej się powiedziało, nie chciała go przechytryć ani owinąć go sobie wokół palca. Odłożyła te mrzonki na bok, rzadko do nich wracała. Od dwudziestu lat włóczył się z nią od baru do baru,

podtrzymując ją, gdy się zachwiała, słuchając, jak wymiotuje w domu, i nigdy jeszcze mu o tym nie mówiła. A teraz się uśmiecha, pokazując popsute zęby – ma jeszcze wszystkie pieńki, ale biorąc pod uwagę ich barwę i stan, lepiej by było, gdyby wszystkie wypadły. Fuknął na nią z przyzwyczajenia. Ale go wzruszyła. Przed trzema miesiącami, kiedy ledwie zipsał i miał na głowie masę niezapłaconych rachunków, nie pozwoliby sobie na tego rodzaju luksus, żeby się rozczulać, przeciwnie, skopałyby jej tyłek za to, że opowiada bzdury. Przed trzema miesiącami nie był nawet ciekaw, co ona myśli. A więc na tym polega tajemnica pieniędzy: że możesz sobie pozwolić na takie uczucia.

– Nigdzie byś nie pojechała, stara lampucero. Bo nie masz paszportu i nie wiesz, jak się kupuje bilety. I co byś tam robiła, cholerna wariatko?

– Ale z ciebie kanalia. Pojechać tam to tak samo, jakbym wsiadła do metra, tyle że bilet jest droższy. A paszport mogłabym sobie wyrobić i już. Papiery mam w porządku, jeśli chce pan wiedzieć.

– Nawet nie chciałoby ci się ruszyć tego grubego zadka. Jesteś jak każdy kirus: mocna w gębie.

– Po co ja z tobą w ogóle rozmawiam? Nigdy nigdzie nie byłeś. Jesteś zwykłym obszcymurem. Od kiedy cię znam.

– Nie lubię podróżować. Co byś tam robiła, czego nie możesz tutaj?

– Przechadzałabym się, palancie. Poszłabym wypić whisky, wsiadłabym do taksówki i pojechała do parku, jeśli są tam wiewiórki, chciałabym którąś złapać, posłuchałabym, jak mówią miejscowi w wersji oryginalnej, przejechałabym się metrem. Nigdy nigdzie nie byłeś, nie wiesz, jak jest za granicą.

– Już cię tam widzę, klucho. Turystka za dychę.

Véro wiodła normalne życie, nim zaczęła podpierać bar w pełnym wymiarze godzin. Przez ponad dwadzieścia lat była nauczycielką. Języka francuskiego. Była jedyną stukniętą babą, jaką znał, która dała się wylać z placówki oświatowej. Cztery miesiące wakacji w ciągu roku i tylko dwadzieścia lekcji tygodniowo, ale nawet to było dla niej za wiele... Charles nie cierpi podróży. Nic go tak bardzo nie wkurza jak pakowanie walizki, może z wyjątkiem mycia zębów z dala od własnego domu. Nigdy nigdzie nie zabrał tej starej raszpli. Nie ma mowy, by mieli trwonić jego kasę na kretyńskie podróże.

\*

Późnym popołudniem wyjrzało palące słońce i zatarło ślady po całodziennej ulewie. Charles czuje przez materiał spodni jego gorący dotyk na udzie. Parkowy ogrodnik

w kombinezonie khaki pcha pustą tawkę, pogwizdując pod nosem. Przechodzi jakaś para, mężczyzna idzie kilka kroków przed kobietą, porusza ramionami miarowo jak wojskowy. Charles'owi coś nagle świta w głowie. Pozwolić kobiecie w czerwonym płaszczu odejść to nie był dobry pomysł, powinien uprzedzić Vernona, że ktoś go poszukuje.

– Daj mi numer do tej kobiety. Gdybym przypadkiem...

– Wiesz, gdzie on jest?

– Nie.

– Oczywiście, że wiesz, znam cię... Nie bądź złą, powiedz... Sam chcesz wyrwać tę małą, tak?

– Przyjrzyj mi się dobrze. Jakie mam szanse, że ją przekonam i pójdzie ze mną w krzaki?

– To zależy. Jeśli naprawdę chce wiedzieć, gdzie kryje się jej koleś, może być nawet gotowa na...

– Dokładnie. I właśnie dlatego nie powiem ci, gdzie jest Vernon. Otwieram ostatnie piwo, daj mi ten numer albo zmienimy temat.

– Proszę, powiedz, co wiesz. Pierwszy poznałem Vernona.

– Wstawaj. Idziemy na małą przechadzkę.

Dziewczyna na ławce, ubrana w białą sukienkę z falbankami, ćwiczy motyw z *Carmen* na akordeonie. Mijając ją, Emilie zastanawia się, czy wraca moda na halki. Gdyby nie była taka gruba, chętnie nosiłaby tego typu rzeczy, zwiewne i kobiece. Lecz nawet gdyby była szczupła, jest za stara, żeby się tak ubierać. To ją w pewien sposób uspokaja.

Ten głupi menel kompletnie wytrącił ją z równowagi. „Nawet nie zrobiła sobie trzech bachorów”. Logicznie rzecz biorąc, kontakt z najbiedniejszymi powinien poprawiać nam samopoczucie, a nie sprawiać, że czujemy się jeszcze gorzej. Jednak nawet w konfrontacji z ludźmi upośledzonymi przez los takie dziewczyny jak ona czują się bezwartościowe. Emilie szuka Rosy Bonheur, nie mając pewności, czy zmierza we właściwym kierunku. Zawsze miała problemy z orientacją przestrzenną, a dziś, gdy jest zgorzkniała, jest z tym jeszcze gorzej.

Odkąd wyrzuciła Vernona z mieszkania, stale o nim myśli. Rekonstruując jego perypetie, uświadomiła sobie, że była pierwszą osobą, do której się zwrócił, gdy stracił mieszkanie. Może niepotrzebnie była taka nieugięta.

A jednak pierwszego wieczoru poczuła satysfakcję. Kiedy wróciła do pustego mieszkania, cieszyła się, że obroniła swoje terytorium. Wciągnęła spodnie American Apparel, przedziurawione w kroku, i czarno-różowy T-shirt Hello Kitty, który wkłada tylko, gdy jest sama. Ściągnięcie z siebie dżinsów po przyjściu do domu to zawsze wielka ulga. Kupuje zbyt obcisłe, licząc na szybkie zrzucenie kilogramów. Co sprawia, że przez cały dzień obciąża sweter, aby jej zakrywał biodra. Waleczki tłuszczu wylewają się na wysokości talii i wyglądają jak nieświeża muffinka. By stworzyć intymny nastrój, zapaliła świecę zapachową Dyptique, która od miesięcy tylko zbierała kurz. Jak ktoś mógł uraczyć ją takim prezentem? To kosztuje krocie i ponoć jest toksyczne. Przeciągnęła się kilka razy jak na zajęciach z jogi, słuchając tybetańskich mantr z YouTube'a. Leżała na podłodze, wyciągając otwarte dłonie w stronę sufitu, oddychając głęboko od przepony po obojczyki, rozluźniając szczękę i brzuch. Podwójne szare zasłony, kupione w Zara Home, chroniły ją przed światem zewnętrznym, zimnem, hałasem, spojrzeniami ludzi. Potem puściła album z coverami w wykonaniu Cat Power, powtarzając sobie, że dobrze się czuje sama. Może się odprężyć, skupić na sobie. Podgrzała sobie mrożoną pizzę z Monoprix, usadowiła się z tacą na łóżku i obejrzała w internecie dokumentalny film telewizji Arte na temat lalki Barbie. Gdyby nie była sama, nie mogłaby robić żadnej z tych małych rzeczy, które sprawiają jej tak wielką przyjemność. Po kolacji dokończyła butelkę białego wina, pochłaniając całą dwustupięćdziesięciogramową paczkę maltesersów, mimo że zjadała kuleczki jedną po drugiej, czekając, aż czekolada

rozpuści się na podniebieniu, zanim schrupała nadzieję... Wcześniej się położyła, ale nie mogła zasnąć.

Mysłała o chłodzie panującym na zewnątrz i na próżno zwiijała się w kłębek pod grubą różową kołdrą, próbując się uspokoić – zastanawiała się, czy Vernon znalazł jakieś lokum na noc. Prześladowała ją baśń o dziewczynce z zapalkami. Emilie próbowała sobie tłumaczyć, że nie powinna poczuwać się do odpowiedzialności za życie dorosłego mężczyzny, który nie raczył zareagować, kiedy szukała u niego wsparcia. I który by ją wkurzał, gdyby u niej został, bo co mieli sobie do powiedzenia. Dlaczego miałyby się do tego zmuszać? Nie, Vernon, zabieraj swoje zabawki i idź sobie gdzie indziej. Nie po to chodziła na psychoanalizę, żeby powtarzać stare schematy klasowego poczucia winy. Tak, rodzice kupili jej mieszkanie w Paryżu i było jej łatwiej, niż gdyby urodziła się w ubogiej rodzinie w centrum Brazzaville. Nie ma zamiaru przez całe życie sobie tego wyrzucać!

Zresztą nie miała powodów, żeby się zadreć, bo Vernon na pewno już sobie poradził. Gdy ona to roztrząsa, sama w swoim pokoju, on jest już pewnie w świetnym towarzystwie, ktoś go nakarmił, a teraz mu dogadza. Vernon to kłamca, Vernon nigdy w życiu specjalnie się nie wysiłał, Vernon nie zajął się nią po śmierci Jeana-No. Ale Vernon był także jej przyjacielem. Naprawdę go lubiła i przez lata przychodziła do jego sklepiku, by wygadawać głupstwa, i czuła się z nim dobrze, bo zawsze był otwarty i życzliwy dla każdego. Starał się, by wszyscy czuli się tam wyjątkowi i ważni. I to jej się podobało. A teraz wydarzyło się coś takiego. To było paskudne. Bała się przyjąć do wiadomości, że obecność Vernona w jej mieszkaniu krępowałaby ją, zwłaszcza dlatego że stałby się świadkiem jej życia. Dopóki nikt nie widział, jak żyje, mogła twierdzić, nie do końca nieszczerze, że wiedzie dosyć bogate życie. Egzystencję, na którą nie musi się uskarżać. Tego się bała najbardziej: że uzna ją za ofiarę. Ale gdy patrzy na swoją codzienność oczyma osoby trzeciej, sprawa się komplikuje. Ma beznadziejną robotę. Zgadza się na dowolne godziny pracy, ponieważ boi się pokazać ze złej strony. Zobaczyłby, że nie ma przyjaciół, a nawet znajomych. Nie chodzi na imprezy, w ogóle prawie nigdzie nie wychodzi. Zobaczyłby jej internetowe flirty. Spotkania z nieznajomymi z Meeticu, dla których szykuje się godzinami, depiluje, nakłada makijaż, czesze się, ubiera, by wyczytać w oczach osoby, która ją poznaje, tylko rozczarowanie. Wiek zaczyna jej przeszkadzać. Cóż innego Vernon mógłby zobaczyć? Jej kuchnię, na którą chucha i dmucha. Całą ścianę ziołowych herbatek. Witrynę z biooliwami. I wszędzie zabawne przedmioty w landrynkowych kolorach – magnesy na lodówkę, solniczka i pieprzniczka w kształcie Myszki Miki, blaszane puszki z motywami z lat pięćdziesiątych... Nagromadzenie oznak desperacji: im więcej stara się zebrać dowodów życiowego sukcesu, tym bardziej

podkreśla swoją głęboką rozpacz. Nie ma nawet kota, który dotrzymywałby jej towarzystwa. Wieczorem wchodzi do domu i od razu włącza telewizor. I nalewa sobie kieliszek. W takiej kolejności.

Powiesiła nad biurkiem mapę świata, wbija czerwone pinezki w miejsca, w których była, i żółte tam, dokąd wkrótce pojedzie. Oszczędza i kupuje sobie trochę egzotyki.

To takie wyczerpujące. Ale nie chce, żeby Vernon to zobaczył. Boi się, że ktoś patrzący na to z zewnątrz uzna wszystko, co przywykła uważać za oazę rozkoszy i spokoju, za symptom prawdziwej obsesji.

Emilie źle spała tej nocy. Wstała, żeby zajarać fajkę, potem żeby otworzyć drugą butelkę wina, spojrzała na pustą ulicę o czwartej nad ranem. Jakies stare wspomnienia nagle nabrały kształtu. Jej pamięć jest jak kompost, wszystko się w niej wymieszało i powoli zgniło... Musiała się nad nią ostrożnie pochylić, żeby rozpoznać kształty, jakie przybrały rzeczy, nim wszystkie zleją się w jedno wielkie uczucie rozgoryczenia. Przypomniała sobie któreś z pierwszych spotkań z Vernonem w jego sklepie. Szukała pierwszej płyty grupy Adam and the Ants, nie miał jej i dodał bez cienia uśmiechu: „Ale zasługujesz na coś lepszego”, i puścił płytę The Cure. Miał sygnet z głową Indianina w pióropuszu z niebieskich i czerwonych piór, to powinno wyglądać kiczowato, ale do niego pasowało. Przy takich dłoniach szkoda byłoby nie nosić sygnetów. Wspomniała jego gesty, gdy wyjmował winyle z okładek, palec wskazujący na środkowej dziurce, kciuk na brzegu płyty, obracał czarny krążek szybkim ruchem nadgarstka, by wyszukać numer, który zamierzał puścić. Pamięta, jak kiedyś rano ni stąd, ni zowąd zaczął się z nią lizać przed otwartą przez całą noc piekarnią, gdzie o piątej nad ranem kupili ciepłe croissanty. Odsunęła go, to jej schlebilo, ale nie była tak pijana jak on, i powiedziała, że nie mogą zrobić tego Jeanowi-No. Gadanie! Powinna była skorzystać z okazji.

Jednak poczucie winy związane z Vernonem zacierało się w miarę upływu dni, zwłaszcza że rzucała czasem okiem na jego profil na Facebooku i uspokajała się, widząc, że daje sobie radę. To wtedy Sylvie zaczęła zamieszczać komentarze. Na koncie Subutexa eksplodowały steki szalonych wyzwisk, pojawiły się fotografie ukazujące zamiary porzuconej kobiety: żołnierze jedzący łyżeczkami mózg nieprzyjaciela wprost z czaszki, fotosy z filmu *Nadzy i rozszarpani* albo *Piła*, sceny dekapitacji, rozstrzelania przez pluton egzekucyjny, powieszenia, wyrzucenia przez okno... Z początku Vernon próbował usuwać wiadomości, w miarę jak się pojawiały, co podziałało na Emilie w perwersyjny sposób: przez cały dzień nie odrywała oczu od jego strony, bo nie chciała przegapić kolejnego odcinka.

Jednak nie pochwalała szalonego zachowania Sylvie. Ta publiczna demonstracja agresji,

gdy była to przecież ich osobista sprawa, miała w sobie coś groteskowego i żalnego zarazem. Ukradł jej jakieś książki i zegarek. To nie było eleganckie. Jednak nie było też potrzeby, by robić taki skandal. Olał ją, a ona się tego nie spodziewała. Emilie miała ochotę powiedzieć: to się zdarza co dzień. Jeśli za każdym razem, gdy facet nas zawiedzie, będziemy mu podpalali stronę na Facebooku, to mamy *White Riot* w sieci... Nie pochwałała tej otwartej wrogości, ale gdy Sylvie wysłała zaproszenia do wszystkich znajomych Vernona, ponieważ ją zablokował, a chciała kontynuować spektakl, także Emilie wyraziła zgodę. Bez wahania. Tak samo robimy, czytając artykuł o hemoroidach Jennifer Lopez: myślimy, że to naprawdę wstrętne pisać na ten temat, lecz nie zamierzamy pozbawiać się dostępu do informacji.

Szaleństwo Sylvie ją fascynowało. Emilie nigdy się nie złości. Gryzie się w język, zaciska zęby, spina się, dostaje wrzodów żołądka. Ale nigdy nie straciła nad sobą kontroli do tego stopnia, żeby na kogoś krzyknąć. Powstrzymuje się, bo inaczej miałyby wrażenie, że się obnaża, i umarłaby ze wstydu – tak myśli. Toteż szaleństwo Sylvie, która przekroczyła wszelkie granice, jakie narzuciła sobie Emilie, zadziało na nią prawie jak katharsis. Zraniona kobieta walczyła z zapalem budzącym podziw. Nie miała racji, była śmieszna, ale wszyscy ją zachęcali. Internauci uwielbiają wymianę ciosów. Trzeba przyznać, że groźby Sylvie, że wykastuje Vernona własnymi zębami, jeśli go tylko spotka, były ciekawsze niż filmiki o małych nietoperzach. Świadoma swojej popularności, stworzyła hashtag „gdziejestsubutex”. W pierwszych dniach jej inicjatywa nie odniosła sukcesu. Nikt nie miał chęci uczestniczyć w polowaniu na ludzi. Sylvie sprawiała wrażenie osoby niebezpiecznej. Mimo to jakiś imbecyl umieścił na Twitterze zdjęcie zamieszczone przez Lydię Bazookę, ukazujące naćpanego Vernona, który uśmiecha się przed ekranem komputera... Jednak sprawa naprawdę nabrała przyspieszenia dopiero w chwili, gdy na scenę wkroczyła Pamela Kant. Kiedy włączyła się do dyskusji pod swoim scenicznym pseudonimem, zaczęła się obława. Chłopcy sprzedaliby własną matkę za pochwałę od hardcorowej aktorki. Emilie, tak jak wielu innych, przez cały dzień siedziała w internecie, a kiedy grupa przeniosła się na WhatsAppa, zrobiła to samo. Właśnie tam natrafiła na Xaviera i Patrice’a, dwóch dawnych znajomych, i nawiązała z nimi kontakt. To ciekawe, że im bardziej Vernon znikał z pola widzenia, tym większego znaczenia nabierał w ich życiu. Wspólnota przedziwnych byłych klientów Rewolweru wracała podczas rozmów i ludzie zadawali sobie pytanie: ach to ty co u ciebie słyhać. Tymczasem Pamela Kant, mająca kilka tysięcy followersów, wskazała trop całej armii wałkoni, którzy rzucili się w pościg za Subutexem. W końcu ktoś go rozpoznał na drugim planie zdjęcia ilustrującego artykuł o publicznych łaźniach w dziewiętnastej dzielnicy miasta. Wtedy pojawił się jakiś inny internauta, twierdząc, że widział go przy wejściu do parku des Buttes-Chaumont.

\*

Emilie śledziła to z bardzo bliska, ale nie śmiała zabierać głosu aż do dnia, w którym wracając po pracy do domu, zajrzała jeszcze do Dia, by kupić papier toaletowy, mleko i kilka porów, a potem pod bramą swojego domu natknęła się na Pamelę Kant. Widziała jej zdjęcia w internecie. W rzeczywistości była o wiele niższa niż na zdjęciach. Przebrała się jak Amerykanka, która nie chce, by ją ktoś rozpoznał – kaszkiet, dresy i ciemne okulary. Wpatrywała się w ekran swojego telefonu i kiedy Emilie podeszła nieco bliżej, dostrzegła, że Pamela gra w Tetris.

- Ma pani na imię Emilie?
- To zależy, o co właściwie chodzi.
- Wie pani, kim jestem?
- Nie mam pojęcia.

Emilie była wściekła, że niesie dwanaście rolek papieru toaletowego i torbę, z której wystają pory. Pomimo sportowych ciuchów Pameli od razu zwróciła uwagę na jej wąską talię i brzuch jak w kolorowym piśmie: ultraplaskie ciało, ozdobione ogromnym biustem. Jakby była lalką wyprodukowaną w innej fabryce niż ona. Trudno jej cieszyć się szczęściem innych. Chciałaby, lecz nie potrafi. Ładne dziewczyny nie budzą w niej żadnych szlachetnych uczuć. Wolną dłonią podciągnęła spodnie i zapragnęła, by ta laska ulotniła się na skutek samozapłonu.

- Ma pani czas na kawę?
- Kim pani jest?
- Jestem przyjaciółką Vernona Subutexa.
- Spieszę się, nie będę mogła długo z panią rozmawiać.
- Powiedział mi, że zostawił u pani jakieś rzeczy, i prosił, żebym je odebrała.

– A nie dał pani mojego komputera? Dziwne. Zostawił u mnie torbę i miał ją odebrać, gdy mi odda komputer. Ale tak bardzo mnie to nie dziwi. Słyszałam, że teraz to w jego stylu, pożyczać rzeczy przyjaciół i ich nie oddawać... Powinnam się cieszyć, że mi niczego nie ukradł.

\*

To był cios poniżej pasa. Lecz Emilie poczuła się urażona, że miał czelność wysyłać do niej tę idiotkę, i była gotowa opowiedzieć jej byle co, żeby odreagować. Pamela nalegała, od razu było widać, że nie przywykła do tego, że ktoś jej mówi nie. Ładna skóra, lśniąca włosy,



zgrabny nos, jasna cera, uniesiona do góry głowa, kurwa, im dłużej na nią patrzyła, tym bardziej chciała zobaczyć, jak wpada pod autobus.

Emilie nie mogła pojąć – ale nie chciała o to pytać i pokazywać, że to ją interesuje – co też ta dziewczyna ma wspólnego z Vernonem? Potem doznała olśnienia: kasety! Vernon jej mówił, że to nagrania Alexa Bleacha, Emilie o nich zapomniała, sądząc, że nie mają znaczenia. Ponieważ zostawił u niej torbę, w sumie nic jej nie mówiąc, uznała, że Vernon sfilmował wokalistę w kuchni, kiedy ten smażył omlet... Ale skoro Pamela chce odzyskać torbę, widocznie nie jest to zwykłe nagranie z imprezy nawalonych ćpunów... Jeżeli te kasety mają jakąś wartość, to naturalne, że zjawiała się u Emilie, która je przechowuje. Teraz coś zaświtało jej w głowie: tego samego szukała ta dziennikarka od siedmiu boleści, Lydia Bazooka. Emilie nigdy nie skojarzyła torby stojącej pod jej łóżkiem z tym, co tak wszystkich ciekawi. Nagle znalazła się w samym środku tego zamieszania. Była zachwycona. Jednak nawet ten nowy status nie skłonił jej do okazania uprzejmości.

\*

– Proszę powiedzieć Vernonowi, że chcę odzyskać laptop.

– Mogę pani zapłacić za tego kompa, nie widzę problemu. Powie mi pani, jaka to była marka, i się dogadamy.

– Nie mogę dać pani tej torby bez pozwolenia Vernona. Jestem wściekła, że nie dotrzymał słowa i mi nie oddał laptopa, ale nie chodzi o to, sama pani rozumie... Nie znamy się, nie mogę oddawać pani jego rzeczy, jeśli sam się z tym do mnie nie zwróci. Skąd mam wiedzieć, że to jego decyzja?

Emilie doskonale wiedziała, że Vernon jest nieuchwytny. Chciała zyskać na czasie. Grała komedię. Nieczęsto się zdarza, że możemy rozmawiać z Pamelą Kant i mieć nad nią przewagę. Korzystała z okazji.

– Naprawdę nie chce pani pomówić o tym w kawiarni?

Emilie spostrzegła, że młoda aktorka stara się unikać wzroku dziwnego typka, który się kręcił w pobliżu. Gość miał wygląd kretyna, okulary w grubej oprawie i za krótki bordowy sweter, w jego zachowaniu było coś nie tak, rozpoznał Pamelę Kant i próbował zwrócić jej uwagę, wykonując groteskowe gesty. Emilie uśmiechnęła się, licząc na to, że wyraziła tym uśmiechem wszystko.

– Nie, naprawdę nie mam czasu.

Błysk zawodu, który dostrzegła w spojrzeniu Pameli Kant, trochę zbił ją z tropu. Wreszcie mogła się zrewanżować, ale zemsta miała ohydny smak.

– Naprawdę mi się spieszy, proszę mi wybaczyć – powtórzyła, ale blokując drzwi wejściowe ramieniem, dodała: – Niech pani powie Vernonowi, żeby do mnie zadzwonił lub napisał.

– Nie sposób go znaleźć.

– A jednak prosił, żeby odebrała pani jego torbę?

– Jeszcze zanim zniknął. Vernon był z Xavierem, to jego stary kumpel, i Xavier został pobity, pojechaliśmy razem do szpitala i wtedy Vernon zniknął.

– Poznała pani Xaviera?

– Tak, Patrice’a także. Widziałam w internecie, że dobrze się znacie.

Emilie była tak zaskoczona tym, czego się dowiedziała, że omal nie zaproponowała Pameli, by wypily tę kawę w jej mieszkaniu. Nie było dwóch tak skrajnie różnych od siebie ludzi jak Patrice i Xavier. Jakim cudem ich poznała? Ale przyjemność płynąca z faktu, że zatrzaska jej drzwi przed nosem, była silniejsza, zrobiła więc skruszoną minę i powtórzyła:

– Proszę zrozumieć. Nic do pani nie mam. Ale niech pani sobie wyobrazi, że Vernon przyjedzie jutro i spyta, gdzie jest jego torba. Co mu odpowiem? Przyszła jakaś dziewczyna i o nią poprosiła, więc dałam jej wszystko, co ci pozostało?

– Rozumiem.

– Wie pani, gdzie on jest?

– Ostatnim razem widziano go w parku des Buttes-Chaumont. Przejdę się tam, zresztą zapytam Xaviera i Patrice’a, czy chcą mi pomóc...

– Może ja się do czegoś przydam?

\*

Tego samego wieczoru dołączyła do dyskusji grupy na WhatsAppie. Dwa dni później wszyscy spotkali się w okolicy parku des Buttes-Chaumont – Xavier, Patrice, Lydia Bazooka, Pamela Kant i jej przyjaciel Daniel, homoś, którego Emilie uznała najpierw za osobę zbyt zmanierowaną, potem uroczą, tak bardzo był dla niej miły. Przez cały dzień wypytywali bezdomnych z okolicy, a wieczorem rozmawiali o tych spotkaniach w małej pizzerii i różowe wino nazajutrz całkiem ją rozłożyło, ale cieszyła się, że znowu mogła się z nimi zobaczyć. Naprawdę niepokoił ich o Vernona, to ich łączyło. Pamela zastanawiała się pewnie, co by było, gdyby się okazało, że Vernon nie żyje – czy odzyskałaby te pieprzone kasety. Nie potrafiła ukryć, że to ją gnębi. Ale ogólnie rzecz biorąc, była dość sympatyczna. Śmiała się jak wariatka, tak że na dłuższą metę trudno było zachować dystans.

\*

Następnego dnia wieczorem, wracając do domu po sesji w solarium na tej samej ulicy, Emilie ujrzała, że drzwi do jej mieszkania są otwarte. Ktoś złożył jej wizytę. Najpierw podbiegła do szuflady, w której chowała trochę gotówki, potem sprawdziła, czy nikt nie otwierał szkatułki z biżuterią, i dopiero wtedy pomyślała o tym, by na czworakach zajrzeć pod łożko. Torba Vernona zniknęła.

\*

Wpadła w panikę. Powiadomiła innych, czekając, aż przyjedzie policja i spisze protokół. Była przekonana, że to ta dziwka Pamela Kant. Udając niewiniątko, postanowiła sama się obsłużyć. Gwałtowne zaprzeczenia samej podejrzanej wcale jej nie przekonały. Emilie poczuła się wyjątkowo nieswojo. Włamywacze nie przetrzasnęli całego mieszkania, wysypali tylko zawartość kilku szuflad na podłogę i zrzucili rzeczy z półki. Lecz pozostało nieprzyjemne poczucie obnażenia – miejsce, które miało ją chronić, było otwarte na oścież.

Ustalili, że spotkają się w barze Rosa Bonheur, nazajutrz. I właśnie błędziła po parku des Buttes-Chaumont, szukając tego miejsca. Bała się, że będą krzywo na nią patrzyli, bo gdyby jednak przekazała kasety Pameli Kant, sytuacja wyglądałaby znacznie lepiej.

Patrice przysłała wiadomość, że jest już na miejscu. Emilie nie ma pojęcia, w której części parku właściwie się znajduje. Jedno jest pewne, nadal nie widzi baru. Idzie wzdłuż sztucznego jeziora, przy brzegu baraszkuje duże wodne ptaki.

Słyszała od koleżanki, że Patrice bił swoją żonę. Nie wie, czy to prawda. Zdarza się, że kiedy ludzie się z sobą rozstają, obrzucają się błotem. Ale tak bardzo by jej to nie zdziwiło. To ważniak zadzierający nosa, arogancki facet, który ma zawsze rację, nieokrzesany gbur... Może sobie wyobrazić, że uderza pięścią w twarz swoją dziewczynę, bo nie zgodziła się z nim wystarczająco szybko. Jak na jej gust jest zbyt prymitywny. Marynarskie tatuaże pokrywające jego ramiona raczej to potwierdzają. Emilie nigdy nie mogła zrozumieć, co laski widzą w tego rodzaju pawianach. O czym taki facet mówi przy śniadaniu? Warczy, pochylony nad zlewem, waląc się pięścią w pierś, gdy zarzynamy kurczaka, bo czeka na porcję krwi, zanim wypije kawę? To całkiem nie w jej stylu. U mężczyzn Emilie ceni inteligencję. Pragnie ich podziwiać. Lecz tak naprawdę gdyby facet w rodzaju Patrice'a zaczął ją podrywać, pewnie długo by się nie zastanawiała... Już tak dawno nie zasypiała w objęciach mężczyzny. Nie jest zrozpaczona do tego stopnia, by myśleć, że każdy by się nadał, ale jest tego bliska...

Obaj, Xavier i Patrice, brzydko się zestarzelili. Roztyli się. Ramiona, pośladki, podbródek. Nie zadbali o zęby. Intelktualnie zwolnili. Dziwny widok, kiedy razem żartują. Gdy mieli po

dwadzieścia lat, nie mogli przejść spokojnie jeden obok drugiego. Dziś nie można powiedzieć, by byli bardziej tolerancyjni, ich poglądy raczej się nie zmieniły ani na jotę, stały się tylko martwymi językami, paplaniną, której nigdy nie spróbowali odświeżyć. Ale nie mają już dość wigoru, by skakać sobie do oczu jak zaciętrzewione koguty. Z wiekiem zaczęli się do siebie fizycznie upodabniać. Alkohol wychodzi na wierzch. Rysy obrzmiewają, twarz zastyga w bezruchu. Jakby łączyły ich więzy krwi. Kiedyś Patrice był przystojnym mężczyzną. Trzeba nie lada wysiłku, by to sobie przypomnieć, patrząc na niego dzisiaj.

Xavier jest bardziej zgorzkniały. Paradoks, bo to jemu najlepiej powiodło się w życiu. Napisał scenariusz filmu, który był dość znany, ma ładne mieszkanie, dba o wygląd, żona z nim została, mieszka ze swoją córką, stać go na wakacje. Ale jest bardziej sfrustrowany. Ma podobne poczucie humoru jak kiedyś, choć trochę stonowane, z nutą rezygnacji, podczas gdy wcześniej jego śmiech był nieokiełznany. Emilie czytała, że kobiety lepiej znoszą więzienie, gdyż na przestrzeni historii przywykły do życia w zamknięciu, do nadzoru, krępowania, karania i braku wolności. Nie chodzi o to, że mają to we krwi, lecz takie jest ich dziedzictwo. To samo można by odnieść do kwestii społecznego sukcesu: kobiety łatwiej godzą się z tym, że im się nie powiodło. Są zawiedzione, ale żyją dalej. Ktoś taki jak Xavier, kto miał wszelkie predyspozycje, żeby odnieść sukces – dobre pochodzenie, narodowość i rasę – i kto na początku otarł się o sukces, nie potrafi pogodzić się z porażką. Proszę, zmarnowałem życie, podjąłem złe decyzje, nie skorzystałem z okazji, kiedy się pojawiła, i jest już za późno, skończone... Emilie, która potrafi się godzić z takimi myślami, widzi, że Xavier straszliwie się miota. Gnije od środka, zatruwa go gorycz nieudacznika. Nawet jego oddech tak pachnie. Nie trawi. Przeżuwa – muzułmanie masoni Żydzi feministki Chińczycy Niemcy Portugalczycy Romowie protestanci cioty – zapewne chciałby, żeby Patrice dostał białej gorączki, słuchając jego dowcipów, ale ten ziewa, wpatrując się w niego i od czasu do czasu zadając mu pytanie: „Nadal się leczysz?”. Z jakiegoś niejasnego dla niej powodu Patrice postanowił nie iść z nim na udry. A przecież na ogół nie jest ugodowy.

Emilie straciła humor. Głędzenie Xaviera ją nuży. Już dawno temu zablokowała go na Facebooku. Nie usunęła go z listy znajomych, ale ukrywa jego posty. Jednak po jego niedawnej przygodzie, w dniu gdy wszyscy się zebrali, żeby szukać Vernona, nie mogła być dla niego tak chłodna, jakby chciała; nie potrafiła znaleźć związku między reakcyjnym głupkiem, który ją irytuje na społecznościowych portalach, i facetem, którego tak dobrze znała. Xavier nigdy nie używał specjalnie subtelnego języka, nie powinna udawać zgorzzonej dziewczicy – przynajmniej on niczym ich nie zaskoczył, w przeciwieństwie do wielu innych. I w pewien sposób to, że Patrice śmieje się z jego żartów, sprawiło, że zamiast się oburzyć,

wyluzowała się. Patrice zawsze był kimś w rodzaju komisarza politycznego czy pasterza, który przygarnia lub wyklucza ze stada. W sumie była zadowolona, że zachowała luz: ten dzień był taki przyjemny, nie miała serca psuć tak miłej atmosfery.

Spędzić wieczór z Xavierem, Patrice'em, Lydią Bazooką, małą Pamelą Kant i Danielem, jej kumplem, miłym, chociaż homo, to było trochę tak, jak przespać się z niespecjalnie ciekawym facetem, bo już od dawna nie miało się żadnej okazji. Myślmy, że wprawdzie mogłoby być lepiej, ale odczuwamy ulgę. Oczywiście wolałaby spotkać się z ludźmi ciekawszymi, bardziej wyrobionymi, bardziej na jej poziomie. Lecz musiała przyznać, że być z kumplami, którzy znali ją z tamtych czasów, to była niesamowita przyjemność, cieszyło ją, że Lydia Bazooka spija słowa z jej ust, gdy tylko przypomni jej się coś z dzieciństwa, że Patrice się z nią przekomarza, jakby rozstali się wczoraj i wrócili do przerwanej przed chwilą rozmowy. A kiedy zobaczyła otwarte drzwi swojego mieszkania, poczuła ulgę, wiedząc, że może powiadomić innych: „Kurwa, ktoś się do mnie włamał”, i że oddzwonią do niej po pięciu minutach, by ją wypytywać, co się właściwie stało i czy czegoś nie potrzebuje. W kontakcie z nimi Emilie uświadomiła sobie, jak bardzo ciąży jej życie w pojedynkę, i to od wielu lat.

Patrice nie znosi parków. Przygnębiają go te przyszczyżone trawniki, na których rodziny urządzają pikniki, podczas gdy młode głupki popalają skręty. Gdy się widuje z synami (dwa razy w miesiącu), pozwala im grać w piłkę na dole przed domem, często zabiera ich na basen, mimo obowiązkowych czepków, ale nigdy nie chodzi z nimi do parku. Czterdzieści rozbrykanych bachorów na metr kwadratowy, dwa razy tyle rodziców, których to zachwyca, i zawsze znajdzie się bubek z jakąś głupią kłepą, żeby go zirytować – w tego rodzaju miejscach po prostu świerzbią go ręce.

Jego noga nigdy nie postąpiła w barze Rosa Bonheur przed tą historią z Vernonem Subutexem. Właśnie tu się spotkali ostatnio wieczorem, gdy już przeczesali dziewiętnastą dzielnicę, wypytyując wszystkich napotkanych bezdomnych. Piwo jest drogie, ale atmosfera nie najgorsza. Najbardziej podoba mu się w tym barze wytatuowana kelnerka. Ucieszył się, kiedy wszedł i zobaczył, że dzisiaj pracuje. Ale na próżno podwija rękawy, żeby pokazać swoje tatuaże, dziewczyna nie reaguje. Sięga po gazetę pozostawioną na sąsiednim stoliku. „Rynki finansowe zaniepokojone wynikami wyborów we Włoszech”. Nagły przypływ niepohamowanej wściekłości, jak język gorącej smoły. Jak mają czelność drukować coś podobnego. Wbija się ludziom do głów ideę zadłużenia, żaden dziennikarz nie wykonuje swej pracy jak należy: nie pisze o tym, co się naprawdę dzieje. Trzeba wskazać różnicę między długiem prywatnym a długiem publicznym, przedstawić tę sprawę w całej jej złożoności, nazwać rzecz po imieniu – bogaci wypowiedzieli wojnę światu. Nie tylko ubogim. Całej planecie. I przy życzliwym poparciu mediów przygotowuje się opinię publiczną do barbarzyńskich reform. Dostaje od tego szału. W sortowni młodzi mają na ustach tylko Front Narodowy. To się bez przerwy syczy, „Marine Le Pen ma rację, jeśli chodzi o euro, zrobili nas na szaro”, jakby ona sama nie była częścią tej całej kamaryli. To wcale ich nie szokuje, że elity tak łatwo dogadują się z Frontem Narodowym. „W końcu jesteśmy u siebie”, mówią. U siebie. W sortowni, gdzie ma umowę na czas określony, każą im pracować od czwartej dwadzieścia rano, żeby nie płacić im dodatku za nocną zmianę. Tak to wygląda „u nas”, w urzędach państwowych. Teraz w urzędach państwowych jest tak samo jak wszędzie: wszystko dla kadr kierowniczych. Trzeba było mianować ich coraz więcej, coraz lepiej im płacić, dawać im przywileje, a to, co im przyznano, odebrano zwykłym pracownikom. Tym, którzy wykonują rzeczywistą pracę. Banda kretynów, jak mogą nie widzieć, że do białości podgrzewa się atmosferę, że nastawia się jednych przeciwko drugim, żeby mieli chęć przyłożyć sąsiadowi z tego samego piętra? Banki opróżniają państwową kiesę, bo narobiły

głupstw, nacjonalizuje się ich deficyt, prywatyzując zyski, a głupi obywatele żądają, by dać wycisk Romom.

Mélenchon jest lepszy od Marine w każdej dziedzinie. Jego jedynym problemem jest to, że nie jest rasistą. Przez ostatnie dziesięć lat ludziom tak sprano mózgi, że mają tylko jedną obsesję: wykrzyczeć swoją nienawiść do arabusów. Odebrano im całą godność, jaką zdobyli dzięki stuleciom walki, nie ma ani jednej chwili w ciągu dnia, by się nie czuli jak oskubywane kurczaki, i by poprawić im samopoczucie, wciśnięto im kit, że mogą do woli wrzeszczeć, że są biali i w związku z tym mają prawo wyżywać się na śniadych. I tak jak dzieciarnia z przedmieść podpala samochody stojące pod blokami, ale nigdy nie atakuje szesnastej dzielnicy, tak samo Francuz tyrający za grosze wyżywa się na współpasażerach w środkach komunikacji miejskiej. Jest potulny mimo irytacji: dzień wcześniej w telewizji dano mu do zrozumienia, że są ludzie bardziej upośledzeni od niego, bardziej zadłużeni, bardziej nieszczęśliwi – śmierdzące czarnuchy, muzułmańscy zabójcy, cygańscy złodzieje. Podczas gdy to, co stanowiło o prawdziwej kulturze francuskiego narodu: zdobycze socjalne, państwowa edukacja, wielkie polityczne teorie, zostało z rozmysłem zlikwidowane, to prawdziwym wyczynem tej dyktatury zamożnych było zmanipulowanie ludzi. Święte przymierze banków i międzynarodowych spółek wygrało batalię. Sprawilo, że obywatel nieposiadający schedy wyzbył się swoich praw, a w zamian może tęsknić do imperialnej przeszłości. Zresztą i tu robią cię w bambuko, kolego: sądzisz, że kolonialne skarby były własnością wszystkich, a już wtedy miałeś prawo tylko do tego, żeby czuć się białym, to znaczy traktowano cię trochę lepiej niż twojego kolorowego kumpla. Od górników po stado baranów popychających wózki w supermarketach nigdy nie żyliśmy długo pod rządami świątłych obywateli. Trzeba przyznać, że bogatym puszczały już nerwy, mieli dość tego, że muszą jechać do Rosji albo do Tajlandii, żeby zobaczyć poczciwych nędzarzy, którzy zdychają z głodu, niepiśmiennych, obdartusów, dzięki którym możesz poczuć, że jesteś człowiekiem wykształconym, uprzywilejowanym, i rzecz jasna, wszyscy ci zazdroszczą. Początek tego stulecia to dla niego prawdziwa tortura, dusi się z wściekłości, gdy tylko usłyszy, co dzieje się wokół niego.

\*

Z daleka rozpoznaje Emilie, która idzie główną aleją, rozglądając się na prawo i lewo. Idzie, kołysząc biodrami, kolebiąc się na boki. Przytyła, toczy się jak kula, wygląda na zagubioną. Ktoś ukradł jej kasety Vernona. To ją przerasta, wpadła w histerię po utracie tej torby. W gruncie rzeczy Patrice ją lubi, a jednak wyraźnie widać, że estrogeny buzują, trochę

się boi, że się rozplacze, nim siądzie przy stoliku.

– Zgubiłam się w parku, krążę tu już od dwudziestu minut – mówi.

Z trudem łapie oddech. Wachluje się gazetą.

Ta dziewczyna kiedyś była zabawna, przypominała trochę pankówkę z zapadłej prowincji – czerstwa i opryskliwa. Z tych, które po pijaku w końcu się całuje, bo tylko na to czekają, są ujmujące, są pod ręką i nie ma obawy, że wyślą cię na drzewo. Przespał się z nią kilka razy, dziwiąc się, że w wyrku jest taka zmysłowa i kobieca. Ale zawsze potem przez kilka dni jej unikał, bo czuł się idiotycznie, nie wiedząc, jak dać jej do zrozumienia, że nie chce tego ciągnąć. Na trzeźwo nie miał na nią ochoty. Miała dość taktu, by udawać, że się nie czuje zraniona, twierdziła nawet, że zapomniała, co się wydarzyło. Woń potu miesza się z zapachem jej perfum, zbyt silnym jak na tę porę roku. Wygląda gorzej niż przed dwoma dniami. Pewnie źle spała i poświęciła mniej czasu na toaletę. Opadając na oparcie krzesła i unosząc podbródek, mówi:

– Nie mogę w to uwierzyć... O co właściwie chodzi z tą pieprzoną torbą?

– Szkoda, że nigdy nie obejrzałaś tych kaset, może byśmy wiedzieli, dlaczego wszyscy tak się tym podniecają...

– Dołóż mi jeszcze. Śmiało. Tak bardzo mi tego trzeba. Ktoś musi mnie przekonać, że jestem do niczego...

– Spokojnie, słonko, nie unosi się tak... To wcale nie był zarzut. Gdyby Vernon zostawił u mnie trzy kasetki nagrane przez Alexa Bleacha, też nie rzuciłbym się od razu, żeby je oglądać...

– A widzisz. Dziękuję.

\*

Zdziwił się, kiedy zobaczył, że Emilie bierze udział w dyskusji na WhatsAppie. Stracił ją z oczu, sądził, że jest zbyt zajęta innymi sprawami, żeby interesować się grupką nieudaczników, którzy szukają Subutexa. Szybko zrozumiał, że Emilie nie może sobie darować, że wyrzuciła Vernona, gdy szukał u niej schronienia. Była pierwszą osobą, do której się zwrócił. Musiał się dziwnie poczuć, gdy potraktowała go jak obcego. Jeśli go pamięć nie myli, kiedyś byli z sobą bardzo mocno związani. Równie szybko Patrice uświadomił sobie, że Emilie się zmieniła: teraz bez przerwy na coś się uskarża. Jakby wciąż sporządzała długie listy osób, które nie były wobec niej w porządku, chociaż jej samej nie stać na wielkoduszność. Stawia Patrice'a w niezręcznej sytuacji: ma chęć ją olać, ale jednocześnie czuje się winny, bo wie, że w gruncie rzeczy to dobra dziewczyna, tylko nie miała szczęścia. Także z facetami.



Czuje, że sam się do tego przyczynił – to z powodu takich facetów jak on laski, które były na początku miłe, zamieniły się w harpie.

Nie miał zamiaru godzinę tłuc się podmiejską kolejką, żeby szukać Vernona razem z Pamelą Kant. Uważał, że to raczej chory pomysł. Ona go ledwie zna, czego chce od faceta? Ale gdy Emilie wmieszała się w to wszystko, powiedział zgoda, wezmę udział. Poruszyło go, że Emilie tak bardzo martwi się o sprzedawcę winyli, a on sam nie był z siebie dumny, że pozwolił Vernonowi spać na ulicy. Kiedy Subutex opuszczał jego mieszkanie, nie powiedział: nie wiem, gdzie jutro będę spał. Spakował torbę, wydawał się rozluźniony, stwierdził: „Nie chcę się dłużej narzucać”, i Patrice pozwolił mu odejść. Znacznie później dowiedział się, że facet znalazł sobie kawałek kartonu, żeby się przespać na dworze. Oczywiście poczuł się trochę dziwnie. Vernon jeszcze przez dwa czy trzy tygodnie mógłby u niego pomieszkać i nie miałby nic przeciwko. Facet jest czysty, w ciągu dnia małowówny, dobrze gotuje i Patrice lubił oglądać z nim telewizję. Zresztą, także z tego powodu dołączył do grupy postrzelenców, by znaleźć Subutexa. Gdyby go znaleźli, powiedziałyby mu: przestań robić z siebie ofiarę losu, i wręczył mu klucze do swojego mieszkania.

Włókł się do parku, przeklinając pod nosem, że traci cały dzień na takie głupoty. Jednak perspektywa spotkania z Pamelą Kant paradoksalnie łagodziła tę złość. Nie rozumiał, dlaczego tak się upiera, by namierzyć Vernona, jednak darzył tę dziewczynę sympatią. Często rozmawiają z sobą na WhatsAppie i Facebooku. Podoba mu się. Chociaż nie znosi porno. To go poniża. Nie chce, żeby mu stawał na widok kobiet sprowadzonych do roli wyuzdanych suk, a jednak mu staje, a głowę wypełniają mu różne świństwa, których nigdy nie robi. Nikt go nie pyta o zdanie: podsuwają mu pornosy pod nos, nieustannie. To go krępuje. Nie sposób załadować gry albo serialu, by na ekranie nie pojawiły się zdjęcia dziwek, które mieszkają niecałe sto metrów od niego i pragną jego kutasa, natychmiast. Wszystkie sąsiadki są oczywiście gołe, inaczej mógłby przeoczyć wiadomość. Rzecz jasna, zdarzyło mu się rzucić okiem. I to napawa go odrazą. Podnieca i zarazem budzi niesmak. Ale komu faceci mogą się poskarżyć? Istnieje milczące założenie, że łykną wszystko, co im się podsunie, i nic im się nie stanie. Dziewczynom jest znacznie łatwiej: gdy tylko otworzą usta, by powiedzieć, że czują się zbrukane lub nie wyrażają zgody, maszyny rotacyjne stają i wszyscy wsłuchują się w ich szloch. On czuje się zbrukany przez pomografię. Czuje się wykorzystywany, ale niby komu miałby się poskarżyć? Faceci muszą znosić wszystko, co im się narzuca, nigdy nie wspominając o swojej wrażliwości. Z góry się zakłada, że muszą być za. Nikt się nie zastanawia, czy im się podoba, że na każdym kroku ktoś chwyta ich za jaja, tak samo jak nikogo nie obchodzi, czy chcą być ojcami, czy mają z czego płacić alimenty, które się im

zasądza... Wszystko działa na tej samej zasadzie. Jesteś mężczyzną, więc ma ci stawać, a potem będziesz bulił, nie ma innego wyboru.

Toteż z początku, widząc Pamelę Kant, nie był zachwycony. Ale teraz, kiedy ją poznał, nie patrzy już na nią jak na gwiazdkę porno. To raczej *pin-up girl*. Przede wszystkim jest zabawna. Jest podniecająca, nie można zaprzeczyć. Ale się nie narzuca – żadnych dekoltów na co dzień, żadnych wyzywających ciuchów. W sumie nawet trudno sobie wyobrazić, że kiedyś to robiła. W filmach porno grają laski ze społecznych dołów – faceci stamtąd zostają bokserami, a dziewczyny pracują w pornobiznesie.

Kręcił się w okolicach parku, przystawał, gdy zobaczył jakiegoś bezdomnego, by spytać, czy zna gościa, który nazywa się Vernon Subutex. Rozmawiał z jakimś młodzieńcem o zmierzwionych włosach, niosącym śpiwór na plecach jak żółw swą skorupę; pił piwo z parą ćpunów, hipisów jakby żywcem wyjętych z *Mad Maxa*, tak brudnych, jakby od urodzenia mieszkali na squacie, grali mu piosenki na gitarze, żadne nie umiało wziąć podstawowego akordu i oboje cuchnęli, lecz byli dość zabawni; spotkał Malijczyka, dumnego i wyniosłego, musiał dokonać cudów, by zgodził się z nim pomówić, ale nie, on też nie spotkał nikogo, kto przypominałby Subutexa; pił bełta z jakimś starym wyjadaczem, który mu powiedział, że smaruje ciało foczym tłuszczem, by chronić się przed zimnem, ale chyba wciskał mu kit... W końcu upił się wraz z innymi w barze Rosa Bonheur, opowiadali sobie, co widzieli, z pewnym zakłopotaniem – żadne z nich dotąd nawet nie pomyślało, że istnieje tak wiele typów bezdomnych. Na krótko przed zamknięciem lokalu Xavier zaśpiewał kawałek grupy Les Vierges: „Hej, chłopcy, idziemy na plażę? Co? Wolałbym zdechnąć”, a Emilie uderzała dłońmi w stół, jakby grała na perkusji, aż miło było patrzeć na jej rozbawioną minę, i doskonale pamiętała słowa: „Nie jesteśmy głupkami, by się na plaży byczyć, jeśli chcesz nas odnaleźć, musisz zejść do piwnicy, nikt z nas nie jest aniołem, lubimy balangi, nikt z nas nie jest aniołem, lubimy pójść w tango”, i brzmiało to raczej wesoło niż ponuro. I to go zaskoczyło.

Na razie Emilie wcale nie jest do śmiechu. Jest zmartwiona, gwałtownym gestem otwiera paczkę papierosów, wkłada fajkę do ust niewłaściwym końcem, podnosi zapalniczkę, podpala filtr, wzdycha z rezygnacją, wyrzuca papierosa i bierze następnego. Patrice nie bardzo wie, jak ją pocieszyć, by sobie nie pomyślała, że się do niej zaleca, laska jest nagrzana jak piec, trzeba być miłym, ale bez przesady, żeby nie wyobrażała sobie nie wiadomo czego.

– Spróbuj spojrzeć na to trzeźwym okiem... To w końcu nie było nic aż tak...

– Weszli do mojego mieszkania. Teraz naprawdę czuję się zagrożona...

Pomyśleć, że gdy grali koncerty w Bretanii, widział, jak ta laska łyka kwasy w chwilę po przebudzeniu, popijając je kawą, „bo właśnie znalazła je na dnie torebki”. A teraz jej fryzura przypomina fryzurę jego matki. Kurwa, jednak naprawdę się zmieniamy. Sam już nie wie, co ma jej powiedzieć. Zapada krępujące milczenie. Jest mu żal Emilie. Przykro mu, że kobiety w jej wieku odpychają facetów. Patrice widzi to tak: gdy kobieta przekroczy czterdziestkę, masz prawo do reklamacji. Nie będzie pieprzył dziewczyn, które przypominają mu jego matkę. Uprzejmość, czułość, czemu nie. Ale nie pożądanie: to nie do pomyślenia. Emilie nie urodziła dziecka, co przydałoby się kobiecie w jej wieku. Dziesięcioletni dzieciak, tylko tak mogą zaspokajać swoje potrzeby, gdy mężczyźni nie mogą już niczego im ofiarować. Jest przekonany, że jest to dobrze poukładane i że kobiety rodzą dzieci właśnie z tego powodu: wydają na świat ostatnie istoty ludzkie, które na stare lata będą dotrzymywały im towarzystwa. Emilie nie zasługuje na to, by przejść obok życia. Rozgniała fajkę i od razu wyciąga z paczki drugą, uświadamia sobie ten gest, chowa papierosa, bawi się zapalniczką.

– Ale właściwie kiedy spotkałeś się z Xavierem?

– To dziwne, co?

– Tak. Dziwne widzieć was razem. Wcześniej nie chciałam o tym mówić.

Nigdy się nie lubili. Gdy się dowiedział, że Xavier został pobity, uznał, że to nawet zabawne. Kretyn długo dochodził do siebie, gdy w stanie śpiączki trafił do szpitala. Gdy oprzytomniał, chciał natychmiast wyjść i „wrócić do pracy na planie”. Mówił, że producent nie może tracić pieniędzy... Biedaczek wyobrażał sobie, że jest reżyserem. Żona musiała mu przypomnieć, że jest tylko podrzędnym scenarzystą i może spokojnie oddawać się rekonwalescencji, bo nikt na niego nie czeka. Jeżeli o to chodzi, naprawdę nie ma pośpiechu.

Xavier zawsze był dupkiem. Gdy był młody, aż się ślinił na myśl o sukcesie, ale nie wystarczy stanąć pod latarnią, żeby zbić fortunę. Jedno mu się udało – wcześniej niż inni zrozumiał, że można zarobić kasę na kinie undergroundowym. Był gotowy na wszystko, ale niezbyt zdolny. Od zawsze serdecznie się nie znosili, choć mieli dla siebie swego rodzaju respekt, tak jak gangsterzy w filmach. Bo oglądali te same. Przejęli z nich mętne zasady kodeksu honorowego, które zastępowały im zasady moralne.

Kiedy Pamela Kant wspomniała w ich prywatnej rozmowie w internecie, że Xavier jest w stanie głębokiej śpiączki – skontaktowała się z nim wkrótce po tym, jak Vernon opuścił jego mieszkanie, i odtąd korespondowali w dość sympatycznym tonie – Patrice ze zdumieniem stwierdził, że liczy na powrót Xaviera do zdrowia. Pod wpływem zaskoczenia,

a może przez słabość, zapomniał o nienawiści. Potem dał się wciągnąć w tę dumną dyskusję na WhatsAppie, Xavier do nich dołączył i Patrice nie miał śmiałości go spławić. Przeciwnie, wśród komentarzy zamieścił uwagę w przyjacielskim tonie. To było coś w rodzaju zawieszenia broni. Nie jest specjalnie wrażliwy. I zawsze twierdził, że gdyby musiał wybierać, czy woli sprawiedliwość, czy swoją własną matkę, wybrałby sprawiedliwość. Ale fakt, że Vernon się stoczył, wstrząsnął nim do głębi. I co z tego, że jesteś prawdziwym twardzielem, skoro wcale cię nie obchodzi, że twój kumpel śpi na ulicy? Subutex mógł już nie żyć. To go osłabiało.

Kiedy Xavier, zmizerniały i blady, dołączył do grupy poszukującej Vernona, Patrice się jednak ucieszył, że dureń jest na chodzie. Ten poznał Patrice'a, uśmiechnął się z absurdalną prostotą pacjenta, któremu zaaplikowano pokazną dawkę legalnych narkotyków, i wyciągnął do niego rękę, jakby byli starymi znajomymi.

– Dopiero co wybudziłem się ze śpiączki i od razu muszę oglądać twoją wstrętną gębę?

Miał cienki głosik. Emilie, Pamela i mała Lydia wpatrywały się w plan parku, starając się przydzielić każdemu strefę poszukiwań.

Patrice zwrócił się do Xaviera:

– Nie sądzisz, że trzeba być stukniętym, by wszczynać bójkę w tym wieku?

– Nie miałem czasu, by zadać sobie takie pytanie... Nawet nie zdążyłem otworzyć ust i już leżałem na ziemi.

Patrzyli na gołębie, nie wiedząc, o czym mieliby z sobą rozmawiać, potem Xavier rzekł, przymykając powieki:

– „W dniu rewolucji nie będziemy po tej samej stronie barykady”. Pamiętasz, że zawsze mi tak mówiłeś?

– Nigdy niczego takiego nie powiedziałem.

– Owszem. Kiedy napadliście na nas, bo mieliśmy ortalionowe kurtki w niewłaściwym kolorze... Wy, ze skrajnej lewicy, zawsze lubiliście bawić się w policjantów...

– Wybacz, nie wiedziałem, że krytykując twoją trójkolorową flagę, tak bardzo cię urażę, że będziesz o tym pamiętał po dwudziestu latach. Na co się skarżysz, tatku? Historia zmierza w kierunku, który ci odpowiada, prawda?

– „W dniu rewolucji nie będziemy po tej samej stronie barykady”. Przyznasz, że trzeba być ostatnim głupkiem, żeby wygłaszać takie farmazony...

– Masz zamiar mówić o tym przez cały dzień? Nie wysilaj się. To nie byłem ja. Coś ci się pomieszało.

- Jasne, że tak powiedziałaś. Nie wypieraj się.
- Dostałeś porządnie w głowę i tyle.
- A ja miałem ochotę ci powiedzieć: jeśli nie jesteśmy po tej samej stronie, głupku, to dlatego, że pomyliły ci się ideały.
- Wiedziałem, że mnie kochasz... Kiedyś wybiłeś mi dwa zęby. Rozlepiłem afisze SCALP-u<sup>1</sup>, a ty chwyciłeś szczotkę i trafiłeś mnie w dziąsło. Nie pamiętasz? Od razu poczułem, że łączy nas uczucie.

\*

To prawda, że wciąż to powtarzał. „W dniu rewolucji”. Lecz nie wypiera się swoich ideałów. Po prostu wstyd, że tak bardzo się pomylił, nie pozwala mu o tym pamiętać. Ma poczucie totalnej klęski. Hasło „rewolucja” było treścią jego życia, słońcem, wokół którego nieustannie krążył. Ale do niej nie doszło. Zdawało się, że wszystkie warunki są spełnione, jednak wydarzyło się coś innego. I jeśli teraz wybuchnie, to bez jego udziału. Nie będzie czarnych sztandarów, barykad, *Das Kapital*, Machny ani Bakunina. To będzie coś, czego ludzie w jego wieku już nie rozumieją. Wyklęty lud ziemi ma teraz inne oblicze, a Patrice jest dla niego częścią przeszłości, tak samo jak skorumpowany system, który chce obalić. Nie doszło do zawiązania sojuszu, który był nieodzowny. Teraz wszystko jest już gotowe, by ludzie, którzy nie mają niczego, zaczęli zabijać ludzi mających jeszcze mniej, zachęceni do tego przez zachwycone elity: śmiało, dumni nędzarze, pozabijajcie się wzajem. Gospodarka nie potrzebuje już części populacji. To nie są już nawet biedni ludzie pracy – to ludzie bezużyteczni. Dzięki nim funkcjonują jedynie więzienia. Trzeba się będzie ich pozbyć i elity liczą, że lud wykona tę brudną robotę.

\*

Kiedy Xavier przysiadł do ich stołu, Patrice bez wahania podaje mu rękę. Cieszy się nawet na jego widok i uśmiecha się, słysząc jego pytanie:

- Cóż to za płaszcz, Emilie? Peleryna Wonder Woman?
- Daj spokój, nie masz pojęcia o modzie.
- Nie mam pojęcia, ale potrafię rozpoznać cyrkowy kostium na ulicy.
- Nie wkurzaj mnie dzisiaj, dobrze? Mam dość powodów, żeby się denerwować.
- Pamela jeszcze nie przyszła?
- Zobaczycie, że wcale się nie pojawi.
- Owszem. Napisała na swojej stronie: muszę jeszcze wziąć prysznic, trochę się spóźnię.

Emilie obrzuca ich ponurym spojrzeniem.

– Uważam, że to kretynizm opisywać swoje życie na fejsie jak ona. Powinniśmy usuwać z grona znajomych ludzi, którzy robią sobie sweet focie.

Xavier kręci głową.

– Rzadko zamieszcza selfies. Za to chętnie fotografuje żarcie – mówi.

– To jeszcze gorzej. – Emilie ściąga włosy do tyłu. Woli zmienić temat. – Znalazłeś numer do tej agentki, o której wspominałeś? – Po czym zwraca się do Patrice'a: – Xavier mówił, że jakaś dziewczyna szukała tych kaset, jeszcze zanim to wszystko się zaczęło, i że do niego przyszła...

Xavier wzrusza ramionami.

– Hiena. Powiedziała mi, że gdybym odnalazł nagrania...

– Co też ten głupek naopowiadał ludziom, że wszystkich to tak ciekawi? – Emilie wzdycha głośno. – Masz jej numer?

– Jak wygląda ta laska? – Patrice zwraca się do Xaviera.

– Jest niezła. Nie najmłodsza. Ale jednak sexy, wiesz, coś w stylu Sharon Stone. Tylko bez zabiegów.

– Czyli raczej jak Françoise Hardy.

– Trochę tak... albo jak Marianne Faithfull, gdyby nie przytyła.

– Więc musisz koniecznie odnaleźć ten numer...

– Kurwa, nikt was nie pytał, czy to niezła laska! – wybucha Emilie. – Nie wiesz, gdzie posiałeś ten numer?

– Spokojnie, mam go. Ale byłoby głupio dzwonić do niej i mówić: nie mam tych kaset, chciałem tylko zapytać, czy nadal ich pani szuka, bo my poszukujemy ich jak maniacy i szukamy też Subutexa, jesteśmy bandą beznadziejnych kretynów... Za kogo by mnie wzięła?

Wytatuowana kelnerka sprząta ze stolika obok. Wymienia spojrzenia z Patrice'em. Bez cienia uśmiechu. Patrice patrzy, jak się oddala, w zadumie. Emilie szturcha go łokciem.

– Pamiętasz, jak w jej wieku patrzyliśmy na czterdziestolatków, amatorów młodego mięska?

– Odczep się, patrzyłem na jej tatuaż.

– Wpatrujesz się w jej tyłek jak stary oblech w rui.

– Tak bardzo to widać?

– Ona zna Subutexa – mówi Xavier. – Przychodziła do Rewolweru, kiedy była mała. Usłyszała ostatnio, jak o nim mówiłem, i powiedziała mi, że ojciec zabierał ją do sklepu.

– Nie? Rozmawiałaś z nią? Wkurza mnie, że to nie byłam ja.

Emilie lekko się spina. Ma dość tego, że chcieliby zerznąć wszystko, co się rusza, tylko nie ją. Patrice raz jeszcze się nad nią lituje. Ale droczenie się z nią sprawia mu dziwną przyjemność. Emilie bawi się zamkiem torebki i szarpie za metalowe sprzączki, które wydają irytujący dźwięk. Jej komórka wibruje i delikatnie sunie po stole, sama, jak wyczerpany łyżwiarz. Emily spogląda na ekran, marszcząc brwi.

– Dałam numer jednemu bezdomnemu w parku, który twierdził, że zna Vernona, ale wydaje mi się, że to jakaś bzdura... Mam nadzieję, że to nie on.

– Odbierz.

– To on, jestem pewna, że będzie się do mnie przystawiał.

– Przecież nikogo nie masz, więc?

\*

Emilie zatyka lewe ucho palcem i słucha, z pochyloną głową i zmarszczonymi brwiami, jakby ktoś mówił do niej w obcym języku, który usiłuje zrozumieć. Kiwa głową, dziękuje, rozłącza się i krzywi.

– To ten żul... Mówi, że jeśli zaczekamy, sprowadzą tu Subutexa.

– Poważnie?

– Tak czy owak, warto poczekać...

– Zwłaszcza że nigdzie nam się nie spieszy.

---

<sup>1</sup> SCALP (Section carrément anti Le Pen – Sekcja Zdecydowanie Anty-LePenowska, zwana też Réseau No Pasarán) – antyfaszystowski i anarchizujący ruch lewicowy, który zawiązał się w 1984 roku w Tuluzie (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Wiatr hula po korytarzu i uderza w drzwi wejściowe, aż trzęsą się futryny. Hiena próbowała je zablokować, wsuwając we framugę gruby, zgięty we czworo karton, ale wciąż słyszy łomot, w regularnych odstępach, jakby ktoś próbował się dostać do środka, gwałtownie uderzając ramieniem w drzwi.

Siedząc po turecku przed niskim stolikiem, śledzi na WhatsAppie dyskusję grupy, która szuka Subutexa. Spotykają się w Buttes-Chaumont. Emilie musiała im powiedzieć, że pod jej nieobecność ktoś się do niej włamał, żeby ukraść torbę. Hiena pije małymi łydkami gorący napar z imbiru, czuje się tak, jakby przełykała ogień. W radiu jakiś mężczyzna mówi poważnym głosem, że niektóre ptaki potrafią omijać huragany, gdyż odbierają infradźwięki, które je zapowiadają. Wyciąga rękę i ścisza odbiornik, który nie pozwala jej się skoncentrować.

Odnalezienie wywiadu Alexa Bleacha było dziecinnie łatwe. Wystarczyło mieć trochę cierpliwości i pozwolić działać Pameli Kant, która wywołała prawdziwą burzę na Twitterze, rozpuszczając wiadomość, że szuka Vernona Subutexa. Hiena przyglądała się temu dosyć obojętnie, najpierw trochę zaniepokojona tym zbiegiem okoliczności, potem dochodząc do wniosku, że chodzi im o to samo. W dniu, w którym Kant zamieściła swoje zdjęcia z dwoma policjantami, ogłaszając triumfalnie: „Subutex tu jest! Wielkie dzięki wszystkim!”, Hiena od razu zadzwoniła do dwóch dawnych znajomych, by jej pomogli zlokalizować ten komisariat, i podziękowała niebiosom, widząc, jak Pamela wychodzi z Subutexem... Zaczęła śledzić ich taksówkę jadącą do szpitala i popełniła błąd: zostawiła ich w chwili, gdy wchodzili do środka, sądząc, że zdąży zaparkować swój nowiutki skuter. Lało jak z cebra i straciła pięć minut, szukając osłoniętego miejsca. Gdy wróciła, Subutex bez śladu rozpląnął się w ciemnościach nocy. Zawiedziona, postanowiła nie spuszczać z oka Pameli. Nietrudno było śledzić tę niunię: niemal nie podnosi nosa znad ekranu swojego telefonu. Hiena nie musiała być specjalnie dyskretna – jej obiekt robi wszystko, co może, by nie widzieć, co dzieje się dookoła. Wie, że jeśli choć na chwilę podniesie wzrok znad komórki, narazi się na zaczepki, zaraz zbliży się jakiś gbur, by jej powiedzieć, co myśli o jej nogach, karierze czy depilacji okolic intymnych.

Najbardziej uciążliwe było długotrwałe tkwienie pod jej domem. Pamela może przez trzy dni z rzędu nie wychodzić z domu. Na szczęście nikt nie zajmuje się dostawą fajek do domu, bo wtedy nie miałaby już żadnego powodu, żeby go opuszczać. Za to obserwując jej konto na Twitterze, można się dowiedzieć, co robi w ciągu dnia, godzina po godzinie. Czego słucha, co ogląda, o której godzinie pomalowała paznokcie u stóp czy spaliła pieczeń w piekarniku, co



sądzi o reformie służby zdrowia przeprowadzonej przez Baracka Obamę, można też poznać wynik jej ostatniej rozgrywki w Tetris, w której zmierzyła się z jakimś niesamowitym Koreańczykiem... Zaczynamy myśleć, no nie, ile ty masz lat, dziewczyno, wciąż uważasz się za nastolatkę? Ale szybko przyzwyczajamy się do jej cyrku. Pamela Kant jest osobą ujmującą, również dlatego, że trudno ją zaszufładować. Jak wiele osób profesjonalnie zajmujących się seksem, w życiu prywatnym sprawia wrażenie kompletnie aseksualnej – podobne zubożenie na tego rodzaju sprawy można pewnie zaobserwować na fermie ślimaczej. Hiena zamknęła się na tydzień w hotelu naprzeciwko, tak uważnie śledząc jej aktywność w sieci, jakby zależało od tego bezpieczeństwo kraju. Nie wie do końca, kiedy ta mała śpi, bo zamieszcza posty zarówno w dzień, jak i w nocy.

„*Al fin la tristeza es la muerte lenta de las simples cosas. Esas cosas simples que quedan doliendo en el corazón*”. Odruchowo włączyła listę odtwarzania. Głos Chaveli Vargas wypełnia przestrzeń i dobrze znany nastrój powagi pomieszany z lekkością chwyta ją za gardło. Hiena wciąż siedzi pochylona nad niskim stolikiem i już bolą ją plecy. Powinna kupić sobie jakieś krzesło. Ale zaraz potem trzeba by wstawić stół i zagrabiłaby mieszkanie na maksa... Lubi przebywać w niemal pustych pomieszczeniach. Białe ściany, kilka pudełek stojących na podłodze, stolik z komputerem i sofa na wypadek migreny. Jest specjalistką w układaniu w równe stosy książek, gazet, które gromadzi, pudełek po butach, gdzie przechowuje różne dokumenty. Wolno stojący wieszak na ciuchy obok materaca położonego wprost na podłodze. Prostota ją uspokaja. Może zmienić adres, wykonując jeden kurs furgonetką, nieraz tak robiła. Lubi to mieszkanie. Miejsca są jak ludzie, z niektórymi czujemy większą zażyłość. Lokum od razu przypadło jej do gustu, zagubione w piętnastej dzielnicy Paryża dwa pokoje z podłogą z desek, wysokim sufitem, skosami. W oknach nie ma zasłon, ale w mieszkaniu jest dużo martwych pól. Trochę brakuje tu światła. Dlatego tak łatwo je znalazła. Ludzie lubią światło. Hiena woli półmrok. „*Que el amor es simple y a las cosas simples las devora el tiempo*”.

\*

Hiena już dawno tego nie robiła. Uczepić się czyjegoś życia i ani na chwilę nie odpuszczać. Stare nawyki szybko powracają, swojskie, choć trochę już zapomniane. I Pamela Kant zaprowadziła ją prosto pod drzwi Emilie. Słuchała ich rozmowy, stojąc przed witryną biura nieruchomości, nie zauważyły jej, przez dwie minuty usłyszała na tyle dużo, by się oddalić i pozwolić im dokończyć rozmowę, obserwując je z rogu ulicy. Pamela odeszła z niczym. Wyglądała na przybitą. Hiena patrzyła, jak się oddala, i zrobiło jej się dziwnie żal tej

dziewczyny. Hiena znalazła Emilie z dyskusji na WhatsAppie. Czytała je od jakiegoś czasu. Xavier, którego poznała na początku śledztwa, ot tak po prostu podał jej swój kod. O nic go nie prosiła. Chciał jej pokazać stronę Vernona na Facebooku na dowód swej dobrej woli, gdy oznajmił, że od jakiegoś czasu nie może się z nim skontaktować. Opowiedział jej wszystko ze szczegółami: „Wylogowuję się po każdym wejściu. Nigdy nie wiadomo. Nie mam nic do ukrycia, ale lepiej uważać. Nie chciałbym, żeby moja żona na coś natrafiła, coś źle zrozumiała i martwiła się bez powodu. Wylogowuję się. Mam dość tych wszystkich haseł, których trzeba używać w internecie – wszędzie musisz założyć konto, to męczące. Wpisuję zawsze to samo: Agnostic Front, to grupa, której nikt nie zna, i mam święty spokój”. Ona też była spokojna – wystarczyło dodać „66”, jej rok urodzenia, do nazwy tej grupy i już miała dostęp do wszystkich dyskusji. Nigdy nie lekceważyć informacji, którą ktoś nam podaje, nawet jeśli na razie wydaje się bez znaczenia, każdy klucz pasuje do jakiegoś zamka, wystarczy poczekać.

Emilie jest dosyć wyluzowana jak na paryżankę. Wychodzi, by zrobić zakupy, nie zamykając drzwi na klucz, tylko je zatrzaskuje. To świetnie, bo Hiena nie miała ochoty wchodzić do jej mieszkania w nocy, wie, że ludzie tego nie lubią, a osobiście nie miała nic przeciwko swojej nowej ofierze. Karta kredytowa, trochę wycucia i była w środku. Poczowała tylko lekki przyływ adrenaliny. Sportowa torba zostawiona przez Vernona była pod łóżkiem. To drugie miejsce, w które zajrzała Hiena. Przed wyjściem poczuła się w obowiązku otworzyć dwie czy trzy szuflady, z szacunku dla pokrzywdzonej.

Odnalezienie nagrań było dziecinnie proste. Dopiero później zaczęły się problemy. Nie sięgnęła od razu po telefon, by powiadomić szefa – w porządku, wszystko znalazłam. Chciała sama rzucić na to okiem. I oszacować, jakiej sumy może zażądać. Znalezienie kamery, która czyta kasety, nie było łatwe, lecz oglądając wywiad, mogła zacierać ręce: właśnie tego obawiał się Dopalet. Zapłaciłby każdą cenę, by zniszczyć te taśmy.

A przecież naćpany wokalista nie powiedział za wiele. Odurzony whisky i kokainą, bełkotał, użalając się na swój los. Był niesamowicie przystojny, słuchałoby się go z zapartym tchem, nawet gdyby prezentował prognozę pogody dla rybaków. Miał hipnotyzujące oczy. I nie chodziło o to, że miały kształt migdałów, ani o długie podwinięte rzęsy, lecz o ich zdolność przekazywania uczuć. Jego spojrzenie magnetyzuje: bezwiednie mu ulegamy i chłoniemy emocje. Ton jego głosu, przypominający szum piasku przesypywanego w dłoniach, wzmacnia wrażenie hipnozy. Nie mówił nic szczególnie interesującego, ale Hiena zna producenta: pada tam jego nazwisko i to wystarczy, by już nie spał spokojnie. Nie może znieść myśli, że ktoś go zaniepokoi. Chociaż lepiej by zrobił, gdyby po wysłuchaniu nagrania odetchnął z ulgą i machnął na to ręką. Gdyby je ktoś upublicznił, mógłby spokojnie

powiedzieć: „Spójrzcie tylko, w jakim stanie był ten biedak na kilka tygodni przed śmiercią”. Praca, jaką wspólnie wykonali w sieci, żeby oczernić Bleacha, dopełniłaby reszty... Jednak Dopaletowi brakuje pewności siebie, więc nie jest dobrym taktykiem. Gdy napotyka najmniejszy problem, zaczyna się więc jak piskorz. Zapłaci żadaną sumę, żeby odzyskać nagranie, z pocałowaniem ręki.

Ale nie wystukała jego numeru, żeby go uprzedzić. Za bardzo jej to nie dziwi. Dotąd chowała to w sobie – już od jakiegoś czasu, nie wiedząc tego do końca, tylko przeczuwając. Teraz, gdy sobie to uświadomiła, nie jest zaskoczona. Po prostu promień słońca oświetlił ten ciemny zakamarek. Tak. Od dawna wiedziała, że zboczy z głównej drogi. Więc tak to smakuje, gdy znajdziesz się na rozdrożu. Sytuacja wcale nie jest skomplikowana. Równanie jest nawet proste: ile od niego zażąda? A jednak nie dzwoni. *Crossroad* jak w bluesie Roberta Johnsona. Tyle że jeśli chodzi o Roberta, mówi się, że podobno zaprzedał duszę diabłu. To się nazywa klasa. Czy kiedykolwiek słyszano, by ktoś podpisał cyrograf z aniołem? Nigdy. Anioły nie dilują. Problem ze zbawieniem polega na tym, że to jest trochę tak, jakby zastąpić crack naparem z rumianku: wiemy, że ma on bardzo wiele zalet, ale zabawa nie jest taka sama.

To nie powinno być skomplikowane. Powtarza to sobie jak mantrę. Powinna poinformować swojego zleceniodawcę, podnieść stawkę i wybrać się na wakacje. To dobra decyzja, najbardziej oczywista: cyniczna i opłacalna. A z drugiej strony ta absurdalna pokusa: powiadomić sześciu czy siedmiu głąbów, których to interesuje, że to ona ma nagrania w rękę, i je im pokazać. Czyli: wpakować się w tarapaty, wywrócić wszystko do góry nogami, narobić bajzlu, ściągnąć sobie na głowę całą masę problemów i w końcu przysporzyć sobie wielu wrogów. Można by nazwać tę drugą opcję wyborem lewicowym. Więc dlaczego się waha? Robi to dla pieniędzy, a nie dla zabawy. Nie wykonuje się tego rodzaju pracy, żeby przeżywać duchowe rozterki. O co właściwie jej chodzi?

Przypomina sobie Aïchę, jak się uczyła, siedząc przy stole w kuchni, gdy były w Barcelonie. Tę upartą oślicę zamkniętą w sobie do granic mizantropii, kompletnie pozbawioną wewnętrznego ciepła. Wypukłe czoło, nos trochę lśniący pod koniec popołudnia, oświetlony przez ekran komputera, obolałe ramiona, które masowała, nie odrywając się od swojej pracy. Ta pilność, ta gorliwość, z jaką zabierała się do wszystkiego. Nagranie zainteresowałoby tę małą. Wprowadziłoby kompletny zamęt w jej życie, ale z pewnością by ją zaciekawilo.

Możemy sobie wmawiać, że w nic nie wierzymy, zawsze w końcu zaczynamy podziwiać nieskazitelne piękno całego tego burdelu, który nas otacza. Jak gdyby jakiś zamroczony skryba uknuł to w swojej celi już wiele miesięcy temu. Ponieważ teraz może na to spojrzeć

w sposób następujący: ta mała zwróciła się do niej, sądząc, że dowie się czegoś o swojej matce. Ale dzisiaj wszystko wygląda inaczej. Hiena może do niej zadzwonić i powiedzieć: mam dla ciebie kilka ważnych informacji. Przyjdź do mnie wraz z innymi, obejrzymy to razem. Żeby zobaczyć, co z tego wyniknie. Z miłości do poezji – bezzasadnego czynu i kosmicznego chaosu.

Co zrobić z prawdą? Ta historia zainteresuje też Pamelę Kant. I Daniela, jej kumpla nafaszerowanego męskimi hormonami, który spędza u niej wieczory. Każdy uważa, że chciałby poznać prawdę. Prawda ma swoją określoną wartość. Ale co z nią robimy? W co ją przekształcamy? Producent chce ją przekreślić, zanegować, rozmyć. Przynajmniej on ma określony plan.

Hiena jest wściekła, że tego nie robi, ale nie dzwoni, żeby ogłosić mu dobrą nowinę. Wielu ludzi powtarza, że zmądrzeli z wiekiem. W rzeczywistości zapadają się w sobie, zwalniają tempo. Wygładzają kanty. Grzęzną w miękkim piasku i pogrążają się pełni ufności. Nazywa się to dojrzewaniem. Hiena należy do kategorii twardzieli – tych, których wrażliwość dopada w późnych latach, jak gdyby zbroja stała się naskórkiem, i którzy stwierdzają ze zdumieniem, że są podłączeni bezpośrednio do świata, choć nie przywykli cierpieć, zwłaszcza z powodu zwątpienia. Wiele zachowań wyuczonych w młodości w wieku dojrzałym nagle traci sens i Hienie dolegają teraz duchowe rozterki, tak jak innym dolegają bóle reumatyczne. Jej pakt ze złem jest bliski rozwiązania. Upieranie się przy tym było okłamywaniem siebie. To nie wielkoduszność sprawia, że nie dzwoni do producenta. Tym, co ją powstrzymuje, jest silna intuicja. Poinformuje wszystkich, którzy szukają nagrania, że nim dysponuje. I upewni się, że każde z nich pozna jego zawartość. To nie jej sprawa, ale zorganizuje ten seans.

Nic nie powiedziała Anaïs. Asystentce producenta. Nie rozmawiają o tym. Chociaż często się widzą. Z początku Hiena uległa klasycznej fiksacji: ponieważ otrzymane zlecenie trochę ją nudziło, skupiła się na tym, żeby wyrwać tę małą. Nawet zaświtało jej w głowie pytanie, co jej się w tej dziewczynie tak bardzo podoba. Anaïs nie jest w jej guście. To normalna dziunia, grzeczna i bez wyrazu. Są lesbijki, które uwielbiają uwodzić laski hetero, ona tego unika. W pierwszą noc trzeba wykazać anielską cierpliwość, „ach, nie mam bladego pojęcia, jak się do tego zabrać, jestem kompletnie dezorientowana”, jakby w relacjach z facetami były królowymi rżnięcia, ma się chęć im powiedzieć, laska, jeśli nie wiesz, co robić ze mną w łóżku, wątpię, żebyś lepiej dawała radę, kiedy w grę wchodzi klejnoty i wacek. W końcu to żadna sztuka zabawiać się w łóżku, gdy są w nim dwie osoby mające na to ochotę. Jeśli chcesz leżeć jak kłoda, faktycznie z dziewczyną to trochę kłopotliwe. Ale w innym wypadku wyluzuj, zobaczysz, to samo przyjdzie. Laski hetero są zbyt zestresowane. Jakby zdawały

egzamin z dobrego wychowania.

Lecz mała Anaïs bardzo jej się spodobała i Hiena pomyślała, że ostatecznie heteroseksualność to nie jest jakaś wada – zawsze w końcu godzimy nasze zapatrywania z celami – i zaczęła kręcić się wokół niej, nie dając po sobie poznać, że ma jednoznaczne zamiary. Często zaglądała do biura. Dopalet nigdy nie mówił: nie, nie mam dziś czasu, żeby się z tobą zobaczyć, przeciwnie – Hiena była mu nieodzowna, jak talizman, dzięki któremu można zaklinać los. Sprawa, którą jej zlecił, niepokoiła go w najwyższym stopniu. Mogła prosić o audiencję o każdej porze dnia i zawsze ją przyjmował. Za zgodą producenta nawiązała kontakty z ludźmi z bliskiego otoczenia Alexa, podając się za dokumentalistkę zbierającą materiał do filmu biograficznego. By usprawiedliwić swoje częste wizyty w biurze, spotykała się z kolejnymi menedżerami, których wokalista zwalniał pod wpływem kaprysu, z kierowcą autobusu z ostatniej trasy koncertowej, z szefem obsługi technicznej, rzeczniczką prasową, osobą zaufaną, która miała dniem i nocą czuwać nad gwiazdorem i również została z dnia na dzień wylana na kilka tygodni przed śmiercią Bleacha, z fotografką, grafikiem... I z wieloma lekarzami. Bleach szukał ich towarzystwa, a jego encyklopedyczna wiedza na temat ludzkich narządów, mózgu, molekuł i rodzajów terapii robiła na nich wrażenie. Żądał, by kardiolog przychodził do niego co tydzień na kawę, internista jeździł z nim na wakacje, osteopata towarzyszył mu podczas *tournée*... Lekarzom, którzy byli raczej dobrowolnymi powiernikami Bleacha niż wystawcami recept, zaczynało to schlebiać, póki nie zrozumieli, że są wykorzystywani, traktowani instrumentalnie, że są na każde zawołanie zaburzonej gwiazdy. Alex chętnie okazywał uprzejmość, skromność i szacunek, ludzie, którzy się do niego zbliżali, sądzili, że mogą wkraść się w jego łaski, nawiązać z nim jakąś szczególną więź. Wszyscy w pewnym momencie myśleli, że z nimi to będzie wyglądało inaczej, że wiedzą, jak nim zawładnąć. Wszyscy przeżyli zawód. Wokalista nie krył swoich słabości, był zabawny, ujmujący i niezwykle serdeczny. Potem się ich pozbywał. W chwili gdy najmniej się tego spodziewali, co zwykle zbiegało się z chwilą, kiedy najbardziej go potrzebowali. Wielu zastanawiało się nad źródłami tych chimerycznych zachowań – ojciec, który odszedł przed jego narodzinami, zimna i zdystansowana matka, panna z dzieckiem w zapadłej wiosce, z ciemnoskórym chłopcem, którego trzeba było posłać do szkoły, ojczym, który usynowił małego bękartą, nigdy nie zapominając, że nie jest jego biologicznym ojcem, sukces, który przyszedł zbyt wcześnie, silny pociąg do twardych narkotyków... Można było rozpatrywać to na rozmaite sposoby, ale wniosek był zawsze ten sam: facet był straszliwym desperatem. Hiena opowiadała o tym wszystkim Dopaletowi, który spijał słowa z jej ust, zapamiętując jedno: Alex nie mówił o nim ludziom ze swego środowiska. Miała chęć mu powiedzieć: oczywiście,

mój panie, pan mało kogo obchodzi, poza ludźmi pracującymi w tym biurze, ale wolała zachować to dla siebie. Nie mówiła mu też o Pamelii Kant, o Lydii Bazoocce, o Sylvie... Zatajenie informacji o kluczowym znaczeniu to podstawowa zasada owocnej współpracy. Tak jak nie przedstawiała mu swojej teorii na temat Alexa Bleacha: ludzie, którzy bez przerwy świrują tak jak on, robią to tylko po to, żeby wkurzać innych. Bo mogą sobie na to pozwolić i to musi być ekscytujące. Olać trzy kolejne sesje nagraniowe i czekać, aż menedżer wytwórni płytowej przyjdzie, by jeść mu z ręki. Bo nie ma wyboru. I Alex Bleach zawodził wszystkich – najbardziej wpływowego organizatora trasy i starego kumpla, który otwierał mały bar w dzielnicy i liczył na jego obecność podczas inauguracyjnego wieczoru, redaktora naczelnego magazynu „Vogue” i sparaliżowaną dziewczynkę, której obiecał wywiad do webzinu walczącego o prawa ludzi niepełnosprawnych. Miał opinię kanalii i żadna zażyłość nie wpływała na jego sposób postępowania: oczarować, dać nadzieję i nawiązać kontakt, zniknąć bez uprzedzenia. Mówił: tak, przyjdę, w sposób szczerzy i przekonujący. Bo w tym momencie z pewnością wierzył w swoje obietnice. A potem wystawiał ludzi do wiatru. Twierdził, że nieswojo czuje się w roli gwiazdy, ale stale kaprysił i zwodził innych, wiedząc, że będą musieli wszystko mu wybaczyć... Od bliźnich oczekiwał zwłaszcza służalczości. To była agresywna postawa: za bardzo mnie potrzebujesz, żebyś mógł sobie pozwolić na potraktowanie mnie w sposób, na jaki zasługuję. I w tej chaotycznej choreografii, której był autorem, Bleach różnił się od innych gwiazdorów i fanów strzykawki tym, że nagrywał dobre płyty, jeśli już to robił, i dawał dobre koncerty, jeśli już raczył wystąpić. Nic mu się nie udawało prócz tego, co najważniejsze. Gdy całe jego otoczenie powtarzało, że jest już skończony, Bleach powracał i zawsze potwierdzał swoją pozycję. Od lat się wydawało, że to nie może trwać, mówili Hienie ludzie, z którymi się spotykała. Otoczenie Alexa Bleacha było zdziwione nie tyle jego śmiercią, ile tym, że stało się to tak późno... Ale najbardziej szokował ich jego wielki sukces. Po każdym nowym albumie znawcy w zadumie kiwali głowami: tym razem się pogubił, ale publiczność mówiła kocham cię, i płyta spotykała się z entuzjastycznym odbiorem. A jego sława przekraczała granice kraju. Jego czar działał. Te łatwe melodie, które ledwie dekonstruował, by odbiorca nie miał wrażenia, że słucha *variété*, choć pozostawały w rejestrze przejmujących, sentymentalnych doznań. Miał swoją formułę, która zawsze okazywała się trafna, i był scenicznym zjawiskiem. Wszędzie, gdzie występował, widzowie zmieniali się w tłum wiernych wielbicieli.

Jego dawne sympatie były pobłażliwe. Należał do tych chłopców, których dziewczęta lubią – otwierał przed nimi świat marzeń. Nie dotrzymywał obietnic, a jednak sprawiał, że były szczęśliwsze niż kiedykolwiek przedtem. Książniczki kilku tygodni były rozanielone

i dozgonnie wdzięczne, nigdy nie miały mu za złe, że złamał im serce. Zostawił każdą z nich po kolei, choć się tego nie spodziewały, najpierw je ubóstwiał podziwiał stawiał na piedestale, a potem ni stąd, ni zowąd znikał. Tylko Sylvie, gwiazda sieci, czuła do niego urazę. Wszystkie inne przyjaciółki Bleacha mówiły o nim z żalem, jakby wciąż były przekonane, że gdyby nie nagła śmierć, któregoś dnia na pewno by do nich wrócił i razem cieszyliby się szczęściem. Alex nie miał swojego typu dziewczyny, był wielkoduszny, doceniał je wszystkie. Czy była to młoda modelka z Europy Wschodniej, czy zblazowana księżniczka, każdej wmawiał, że właśnie z nią jest mu najlepiej. Miał talent do górnolotnych wyznań. Raczej były mu wdzięczne, że mogły śnić przez chwilę, niż czuły się przez niego porzucone i oszukane.

Relacja Bleacha z Subutexem była nietypowa. Jeśli chętnie spotykał się z ludźmi ze swojej przeszłości, to zawsze w ostatnim momencie ich zawodził. Jednak nigdy nie wystawił do wiatru Subutexa. A nawet powierzył mu swoje nagrania. Choć przecież musiał wierzyć – czy wiedzieć – że nie są bez znaczenia.

Hiena starała się jak najczęściej przychodzić do biura Dopaleta. Mijała się z Anaïs, kadziła jej, czuła, że ta czuje się skrępowana, i to wprawiało ją w znakomity nastrój. W ciągu dnia rzadko o tym myślała. To ją uspokajało. A nawet sprawiło, że bez zadawania sobie zbędnych pytań pokonała jeden po drugim kolejne etapy, dzięki którym pokusa, żeby się z kimś przespać, zmienia się w historię intymnego zbliżenia. Mówiła sobie: nie myślę zbyt często, wszystko jest w porządku. Nie, oczywiście, że nie: Anaïs nie stanowi żadnego problemu. Myślimy jedynie o dziewczynach, które nas wkurzają. Te, z którymi wszystko dobrze się układa, które są zawsze tam, gdzie się ich spodziewamy, robią się mokre, gdy je tylko dotknąć, szczytują, drżąc jak liść na wietrze, pytają, kiedy się zobaczymy, gdy wkładamy kurtkę – te dziewczyny rzadko zajmują nasze myśli. Wystarcza im, że robią wszystko jak trzeba, nie zwracając głowy. W jej świadomości Anaïs to waga piórkowa, jednorazowa, ulotna przyjemność. Takich jak ona jest na pęczki. Tyle że Anaïs przyciąga ją jak magnes. I bardzo szybko doszło do zbliżenia. Ale zabawa na tym się nie skończyła. Przeciwnie. Anaïs czekała wieczorem, gdy wszyscy wyszli z biura, i miała pod ramoneską tylko bieliznę *pin-up girl* w landrynkowych barwach. Lubiły się pieprzyć, leżąc na biurku, na stojąco przy automacie z kawą, na fotelu producenta, trzymając się fotokopiarki w pokoju księgowego... Potem Hiena musiała się ulokować w hotelu naprzeciwko mieszkania Pameli Kant i kiedy dała Anaïs adres tego hotelu, zaczęła rozumieć – ta mała nie zaprzęta wcale moich myśli, ale nie mogę się bez niej obejść nawet przez dwa dni. To metamorfoza. Któregoś ranka wstajemy i uświadamiamy sobie, że całkiem niepostrzeżenie staliśmy się kimś innym. Patrzy na ten związek złym okiem. Ale nie potrafi nad sobą zapanować. Szaleje za nią, nie może temu

zaprzeczyć.

Kładzie się między jej rozłożonymi, ugiętymi w kolanach nogami i obejmuje dłońmi jej pośladki, by ją unieruchomić, tuż po rżnięciu, i czuje, jak jej podbrzusze regularnie pulsuje, o wiele mocniej niż krew w tętnicach szyjnych, cipka Anaïs wysyła impulsy, które rozchodzą się wzdłuż jej ud. Nie przypomina sobie, by kiedykolwiek poznała dziewczynę, która faktycznie dygoce, jakby dostała palpacji.

Hiena nie wysyła ani nie odbiera esemesów od Anaïs, zakazuje jej do siebie dzwonić czy wysyłać maili. Gdyby ktoś niepowołany zajrzał do ich telefonów albo komputerów, nie powinien znaleźć niczego konkretnego. Lepiej być ostrożnym. Umawiają się na spotkania, kiedy widzą się w biurze, udając, że rozmawiają o pracy. Lubi to. Tak samo jak Anaïs. Inne dziewczyny zawsze na początku mówią: „Ja też wolę dystans, wiesz, idealnie byłoby się widywać, gdy przyjdzie nam na to ochota, jestem dość niezależna”. A potem, już po tygodniu, chcą wiedzieć, kiedy zjemy razem kolację, co robiłaś wczoraj, dlaczego nie spałaś w domu. Ale Anaïs jest jak czarny pejzaż, wypalona ziemia. Nie zadaje pytań. Rzadko mówi o sobie. Jest śmiała, a zarazem bezbronna i ten dysonans sprawia, że jest tak ujmująca. Kryje się za tym jakaś niedawno zakończona historia, wystarczy zobaczyć jej mieszkanie. Przestrzeń, którą ktoś opuścił tak niedawno temu, że nie da się ukryć pustki, jaką po sobie zostawił.

Któregoś dnia Anaïs powiedziała: „Nie sądziłam, że będę miała taką pracę. Nie myślałam, że poświęcę mój czas czemuś, w co nie wierzę. Wyobrażałam sobie, że zostanę pracownikiem socjalnym i będę pomagała ludziom. A potem po prostu skorzystałam z okazji. I tak się tu znalazłam. Pośród ludzi, którzy mogliby robić naprawdę genialne rzeczy, lecz z tego zrezygnowali. I nie wiem, jak z tego wyjść”. Po raz pierwszy zaczęła mówić o sobie i Hiena poczuła, że coś się nagle zmieniło, miała chęć jej powiedzieć: nie idź tam jutro, dokąd chciałabyś pojechać, chodź, wyjedziemy razem. Uświadomiła sobie, że ma na to ochotę – wyjechać razem z nią. Kurwa, gdyby to wcześniej wiedziała... Zawsze tak jest ze związkami: tworzą je na pozór nic nieznaczące zdarzenia, które są jak nakrętki, gdy się je poluzuje, otwierają się nieoczekiwane poziomy porozumienia.

„*Y siento tus cadenas arrastrar en mi noche callada*”. Młoda para, która przez trzy miesiące zakłócała spokój mieszkańcom budynku, prowadząc nieznośnie hałaśliwe prace remontowe w niedawno kupionym mieszkaniu, w końcu się wprowadziła: mają kilkumiesięczną niemowlę, płacze bez ustanku. Współwłaściciele są wściekli – w tej dzielnicy lubi się młodych ludzi, ale nie harmider – jednak nie można ich poprosić, żeby przecięli struny głosowe dziecku tylko dlatego, że to wszystkim przeszkadza. Podkręca muzykę, aby głos Chaveli zagłuszył hałas zza ściany.



Hiena sięga po telefon i czyta wiadomości z WhatsAppa. Są w parku des Buttes-Chaumont. Lydia Bazooka, Pamela Kant i Daniel. Będą tam wszyscy. Dzwoni do Aïchy. „Cześć, pulpeciku, mówi córka Szatana, co u ciebie słychać?” Aïcha nieczęsto się śmieje. Naprawdę trzeba się nieźle postarać. Pyta ją, czy jest wolna, mówi, że to ważne, mówi: „Spotkajmy się za chwilę w parku des Buttes-Chaumont, spędzimy razem wieczór”. Potem wybiera kurtkę i perfumy. Nie spieszy się. Uprzedzi ich, będąc już w drodze. Gdy się dowiedzą, że jedzie do nich z taśmami, na pewno się nie rozejdą.

Na niebie zawisły szare chmury, są jak pokrywka nad miastem. Vernon przygląda się błękitnej smudze na horyzoncie, tak równej, jakby ktoś rozwinął tuż nad dachami rolkę jasnego papieru. Ostatni uparty promień słońca wniknął pod ciemną warstwę, by rozświetlić szare dachówki Paryża.

Kobieta zjawiała się po południu, nie powiedziała, jak się nazywa. Jest chyba młodsza od Vernona, lecz bardzo zaniedbana. Ma krótkie, źle obcięte włosy, rozbieżnego zeza, nie wiadomo właściwie, w które oko należy patrzeć, gdy się do niej mówi. Jest czysta, nie cuchnie, ma schludne ubranie. Podeszła do niego, gdy siedział sobie spokojnie na ławce, rozkoszując się fajką, którą dał mu kierownik budowy, Stéphane.

– Przepraszam pana mam AIDS to straszne w schronisku powiedzieli że do piątku nie ma wolnych miejsc muszę znaleźć hotel niech mi pan pomoże jedna pani chciała wypłacić pieniądze z bankomatu i dać mi osiemdziesiąt euro ale zapomniała karty to straszne proszę pana to na hotel niech mi pan pomoże.

Wykrzywił usta w uśmiechu i wzruszył ramionami.

– Przecież pani widzi że jestem bezdomny... Jeśli ktoś da pani osiemdziesiąt euro na hotel, proszę mnie powiadomić, też chętnie przespałbym się w łóżku...

Otaksowała go wzrokiem, nieufnie, nie taka głupia, jak na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać.

– Śpisz na ulicy? Nie wyglądasz na bezdomnego.

Jakby podejrzewała, że ją oszukuje. Usiadła obok niego i ściągnęła buty, które nosiła bez skarpetek.

– Spójrz, to okropne.

Paznokcie jej dłoni, poczerwieniałych i spuchniętych od zimna i leków, były zarośnięte brudem, ale paznokcie stóp to było dopiero coś: pomarańczowe szpony, tak grube i długie, że skrzyły się w serpentyny i zahaczały o siebie. Vernon nie mógł oderwać wzroku od jej stóp. Patrząc na swój spuchnięty palec, zadawał sobie pytanie: ile potrzeba czasu, żeby wyglądać w ten sposób? Kiedy przestanie przypominać osobę, którą kiedyś był? Wprawdzie nie czuł nostalgii za swoją społeczną rolą, której przymusy, mgliście zapamiętane, wydawały mu się obecnie zupełnie absurdalne, jednak nadal obawiał się fizycznej degradacji. Zatem miał przed sobą jeszcze kawałek drogi, zanim skapituje.

– Widzisz muszę je obciąć to mnie bardzo boli mam poranione stopy. Ale potrzebuję

dwadzieścia pięć euro. Nie mam tyle! Muszę coś z tym zrobić...

Osiemdziesiąt euro na hotel plus dwadzieścia pięć na pedikiurzystkę, trzeba przyznać, że kobiecie nie brakuje ambicji, pomyślał Vernon.

– Jeśli nie chce pani spać tej nocy na dworze, proszę pójść tą ulicą w dół... Wrócić do Belleville, na dole jest więcej ludzi i łatwiej coś uzbierać. Tu może pani nikogo nie spotkać. A tam jest mnóstwo biednych, dają chętniej niż bogaci, którzy tu mieszkają, bo bardziej ich to dotyczy...

Teraz on radził, jak przeżyć w miejskim środowisku, jakby się na tym znał. Pragnął jedynie, żeby się oddaliła, bo wiedział, że tutaj przysporzy mu kłopotów.

– Ale nie mogę zebrać ludzie się mnie boją niech pan na mnie popatrzy mam AIDS boją się mnie.

Vernon pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Może lepiej od razu im tego nie mówić, może pani powiedzieć, że zbiera pieniądze na hotel, nie wyjaśniając, że jest pani chora.

To prawda, że z punktu widzenia kontaktów międzyludzkich AIDS nie należy do argumentów, które należy wysuwać na pierwszy plan.

Była niespokojna, wystraszona i przekonana, że Vernon ma pieniądze i że jeśli nadal będzie wierciła mu dziurę w brzuchu, w końcu coś jej skapnie. Albo zaprowadzi ją w miejsce, gdzie ktoś jej pomoże. Ale on nie miał pojęcia, gdzie mógłby z nią pójść, choćby po to, by się pozbyć tego babsztyla. Chwytała go za ramię, milczała przez dwie minuty i znów zaczynała trajkotać. Pewnie przydarzyło jej się coś okropnego, na myśl o spaniu na dworze wpadała w panikę, dostawała drgawek i najwyraźniej obawiała się czegoś jeszcze bardziej niż zimna. Zamęczała Vernona, bez końca, i szybko porzucił myśl, by zadawać jej jakiegokolwiek pytania. Jak ma na imię, skąd pochodzi, gdzie się zwykle wałęsa... *Small talk* bezdomnych, którego nauczył się w kilka dni, w jej wypadku nie funkcjonował. Za bardzo niepoczytalna. Gdy tylko próbował ją o coś zapytać, pokazywała mu jakąś paskudną ranę. Nie wiedział, jak się od niej uwolnić.

Zapadł zmrok, a ona wciąż tkwiła na jego ławce. Vernon wiedział, że we dwoje długo się tu nie pokręcą. Ci sami ludzie, którzy okazywali mu sympatię, faceci z budowy, Jeanine czy dwaj chłopcy, którzy przynieśli mu koc, straciliby cierpliwość i wezwali policję, gdyby pojawiła się tu horda chorych na pryszczycę guźców.

Bazylika Sacré-Cœur jaśniała w oddali, widmowa biel kopuły pod jeszcze pełnym księżycem. Tej nocy pokazał jej, jak przejść przez ogrodzenie, żeby się przedostać do opuszczonego domu, a ona zajęła cały kąt i oznaczyła granice swojego terytorium, znosząc do

domu kamienie. Skorzystała z księżycowego światła, wyrzucając na zewnątrz wszystko, co poprzedni mieszkańcy zostawili na ziemi, dwie zużyte prezerwatywy, zardzewiałą zapalniczkę, pusty plastikowy pojemnik... Gdy zasiedlała swój ką, patrzyła na niego z wrogą nieufnością, jakby chciała powiedzieć: jeśli się do mnie zbliżysz, zabiję, i zadał sobie pytanie, czy nie dlatego opowiedziała mu o swojej chorobie – żeby go onieśmielić. Vernon obserwował kątem oka, jak ze śmieszłą gorliwością uprzęta swe legowisko, wykonując precyzyjne, pewne gesty, które kłóciły się z jej oczywistym obłędem. Ile potrzeba czasu, by dojść do tego etapu, to pytanie go prześladowało. Chyba właśnie tej nocy zrozumiał, że nie może tu nadal przebywać. Będzie się musiał pożegnać ze wzgórzem Bergeyre.

Kobieta nie mogła zasnąć, mówiła w ciemnościach, odpowiadała jakiemuś rozmówcy, który ją czasem rozśmieszał, ale głównie jej groził, i którego musiała uspokajać – nie, nie przysięgam że pójdę się z nią zobaczyć w piątek rano powiedziała że znajdzie się dla mnie miejsce. Vernon pozwolił jej bełkotać. W środku nocy kilka razy przeraźliwie wrzasnęła. Nie ma szans, by sąsiedzi długo to znosili.

Nazajutrz rano, gdy wstał, zrobiła to samo, i nawet nie próbował nawiązać z nią rozmowy, powiedzieć, że jeśli tu zostanie, wkrótce ich stąd wyrzucą, choć do tej pory dawał tu sobie radę... Zawsze dyskretnie wychodził z tego domu, drzwiami od tyłu, upewniwszy się, że na terenie ogródków działkowych i na balkonach domu naprzeciwko nikogo nie ma. Starał się być niewidoczny. Ale ona usadowiła się w przydomowym ogrodzie i każdy mógł zobaczyć, jak ta niechlujna przybłęda siedzi w cieniu wysokiego dębu, mówiąc sama do siebie. I Vernon ją tam zostawił, myśląc: cóż, skorzystam z okazji, skoro się nadarza...

\*

Stan euforii to delikatna sprawa. Wystarczy jedno niefortunne słowo i spadamy z obłoków – Vernon czeka na powrót swojego dawnego stanu ducha, dygotanie, lęki i tego typu rzeczy. Na wielki dramat, wstrząs, strach, poczucie odrzucenia, przyływ silnych emocji. Ale nic. Musi stąd odejść i mówi sobie, że nigdzie mu się nie spieszy. Wspomina Marcję. Czasem mu się to zdarza. Nie tyle czuje jej brak, ile Marcia mu towarzyszy. Przestał walczyć. Tak pewnie wygląda depresja. Widzieć wszystko z oddali, nie starając się reagować. Nikt mu nie mówił, że jest to raczej przyjemne. Myślał, że wiąże się to z natłokiem czarnych myśli, zniechęceniem, przykrymi odczuciami. Nic z tych rzeczy. Ciągłe zajmują go chmury. Godzinami może je kontemplować i czuje tylko wewnętrzną pustkę – spokój, który powinien być uciążliwy, a jest tak samo obojętny jak te pieprzone obłoki.

Trochę później babsztyl, chcąc do niego dołączyć, demoluje siatkę, przez którą

przechodził, uważając, żeby niczego nie zniszczyć, powala ją na ziemię i brutalnie depta. Jakby ta zołza czerpała złośliwą przyjemność z faktu, że trąta ogrodzenie i wrzeszczy. Nie należy do nędzarzy, którzy starają się być dyskretni. Jest wściekła, że coś takiego jej się przydarzyło. Nie chce, by o niej zapomniano. Vernon patrzy na nią z rozbawieniem. Żałuje jej, ale jest pod wrażeniem bajzlu, jakiego narobiła, i uświadamia sobie, jak bardzo on sam stara się być wycofany. Potem kobieta siada obok niego na ławce i od razu prosi go o pieniądze. Przypomina mu Tomcia Palucha. Mógłby zejść z nią ze wzgórze, zgubić ją gdzieś po drodze i wrócić tu samemu.

Kiedy w głębi ulicy dostrzega sylwetkę Charles'a, cieszy się, że go widzi. Nie od razu rozpoznaje Laurenta, który mu towarzyszy. Patrząc, jak się zbliża, Vernon uświadamia sobie, że jak na bezdomnego Laurent troskliwie się nim zajął. Facet lubi się popisywać, ale ma powody. Trzeba być twardym i mieć wiele uporu, żeby zachować fason – robocze buty w całkiem niezłym stanie, dzinsy w dobrym rozmiarze i tylko trzydniowy zarost... Ale godna podziwu jest zwłaszcza jego postawa – Laurent idzie wyprostowany, wypinając pierś, zadzierając podbródek, bieda go nie przytłoczyła ani nie słamsiła. Powtarzając sobie, że jest wyjątkowym menelem, że wybrał takie życie i gardzi ludźmi pracy tak samo jak tymi, którzy ich wykorzystują, Laurent sam w końcu w to uwierzył: nie nosi żadnych znamion, które zdradzałyby jego sytuację. Wymieniają męski uścisk dłoni i Vernon krzywi się z bólu, czuje rwanie w palcu tak silne, że paraliżuje mu łądzwia. Laurent puszcza do niego oko jak prawdziwy znawca przedmiotu.

– No proszę, stary draniu, znalazłeś tu sobie całkiem niezłą miejscówkę... Nie znałem tej okolicy...

Charles wykonuje obszerny gest ramieniem, jakby prezentował panoramę turystom.

– Z niepowtarzalnym widokiem na Sacré-Cœur, proszę państwa... Na bazylikę wzniesioną na zbiorowych grobach komunardów, to tak jakby ta dziwka codziennie bekała nam prosto w nos: zdychajcie, łapserdaki!

Ale nie ma czasu, żeby dokończyć monolog, kobieta już się na niego rzuciła, jakby od dawna nie miała nic w ustach i trafiła na bankiet.

– Proszę pana mam AIDS to straszne od tygodni śpię na ulicy w schronisku do piątku nie mają wolnych miejsc i potrzebuję hotelu zimno mi jestem chora.

Stary klepie ją po ramieniu bez śladu odrazy, szpera w tylnej kieszeni spodni i wyciąga banknot o nominale pięciu euro i dwa euro w bilonie.

– Mam tylko tyle, ślicznotko, nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić, ale za to mam piwo, chcesz się napić? Wtargaliśmy tu sześciopak, jest się czym dzielić...

Kobieta pada na kolana, nawet nie dziękując za otrzymane pieniądze, i zaczyna biadolić:

– Proszę pana co ja mam z tym zrobić niech pan wypłaci pieniądze z bankomatu.

Vernon rozkłada ręce na znak bezradności.

– Ma obsesję na punkcie bankomatu – mówi.

Laurent nie zwraca na nią uwagi, nawet na nią nie patrzy, i od razu sadowi się na oparciu ławki, stawiając ubłocone buty w miejscu, w którym Vernon stale przesiaduje. Z rękami w kieszeniach patrzy wprost przed siebie.

– Zajebisty widok! Masz tu naprawdę nieźle, teraz rozumiem, dlaczego nikt cię od dawna nie widział...

Potem spluwa w bok, śliną tak gęstą, że przypomina białko kurzego jajka. Vernon nie daje po sobie poznać, że zrobiło mu się niedobrze.

– Tyle że z tą babką masz prawdziwy zgryz. Takie jak ona to same kłopoty... Jeśli chcesz wiedzieć, jakie jest moje zdanie, to są nawet gorsze od czarnych bez papierów. Kiedy zaczynałem włóczyć się po ulicy, takich ludzi umieszczano w szpitalach, tam jest jej miejsce, nie tutaj... Zobaczysz, jest ich pełno. Nie da się z nimi dogadać. Czeczen, Malijczyk, bambus rozumie, że istnieją granice, dzielicie terytorium, mówisz im, żeby się nie zbliżali, a jeżeli masz nóż i potrafisz zrobić z niego użytek, prawdopodobnie zrozumieją twój język. Ale tacy jak ona... Brakuje im piątej klepki i z każdym miesiącem spędzonym na ulicy pograżają się jeszcze bardziej. To dno, nikt nie chce się z nimi zadawać. Nawet nie ma sensu rozmawiać z czymś takim, do niczego to nie prowadzi. Nic nie da się z tym zrobić. Przecież nie będziemy palić ich na stosie.

Vernon kiwa głową, zgadzając się przynajmniej z ostatnim zdaniem, czując ulgę, że Laurent nie bierze pod uwagę tak radykalnych rozwiązań.

Charles przez pięć minut dyskutuje z wariatką, próbuje przemówić jej do rozsądku – przedstawia całą listę instytucji, do których mogłaby się zwrócić, ale ona nie chce o niczym słyszeć, chce pieniędzy z bankomatu na swój hotel za osiemdziesiąt euro, i tyle. W końcu Charles traci cierpliwość i zmienia strategię.

– Może się wreszcie zamkniesz czy mam ci przyłożyć? – pyta.

Przerażona kobieta wdrapuje się na ogrodzenie, które w końcu naprawdę całkiem zdewastuje, kaleczy sobie ręce, próbując zbyt szybko przejść na drugą stronę, Vernon widzi krew plamiącą wnętrza jej dłoni, i kobieta znika w ogrodzie. Zastanawia się, czy pójść za nią. Gdy stary podniósł głos, naprawdę się przestraszyła i czmychnęła jak zwierzę. Laurent go powstrzymuje, klaszcze językiem o podniebienie.

– Nie próbuj jej pocieszać. To na nic. Znowu zaczniesz ci opowiadać o bankomacie. Zrobiła

to celowo. Wariaci to nieźli manipulanci. Masz dla niej pieniądze? Nie? Masz numer do jakiegoś dobrego konowała? Nie. Więc ją zostaw. Nie możesz jej w niczym pomóc. Niech szuka szczęścia gdzie indziej. Przez nią wpakujesz się w tarapaty i tyle z tego będzie. To beznadziejna sprawa.

Charles słucha tych reakcyjnych wywodów, nie racząc odpowiedzieć, ale sądząc po jego minie, nie podziela opinii Laurenta. Niespokojnie wpatruje się w głąb ogrodu. Stary jest wrażliwy. Vernon wspomina, jak podszedł, kuśtykając, żeby się nad nim pochylić w środku nocy, kiedy majaczył w gorączce na swojej ławce. Najpierw zaczął wrzeszczeć: „Zająłeś moje miejsce, kutasie!”, a potem, widząc, że Vernon nie jest w stanie mu odpowiedzieć, zdenerwował się. „Ależ ty jesteś rozpalony, palancie, nawet nie mogę skopać ci dupy, jeszcze mi tu wykorkujesz”. Odszedł, zataczając się i zrzedząc pod nosem, i wrócił po kilku godzinach z torbą pomarańczy, którą rzucił mu na pierś. „Musisz to zjeść i znaleźć jakieś schronienie. Tutaj się wykończysz...” Charles przyszedł znowu kilka dni później. Zdyszany. „Jasny gwint, te schody mnie wykończą. Lubię tutaj przychodzić, ale ile się trzeba namęczyć, mój Boże. Rozglądałem się za jakimś domem na sprzedaż. Chętnie bym tu zamieszkał. Wszystkich by szlag trafił”. I zachichotał, otwierając butelkę czerwonego sikacza. „Chyba już z tobą trochę lepiej, gamoniu? Jednak muszę ci zwrócić uwagę, że nadal siedzisz na mojej ławce... Zwykle w ciągu dnia piję piwo, ale dziś jest dzień wolny, miałem chęć na coś ekstra. I jak, jeszcze żyjesz? To dzięki pomarańczom, co?” I zaczęli rozmawiać, wychylając butelkę. Stary był spokojny. Odtąd co drugi dzień przychodzi się z nim zobaczyć, mówi na powitanie: „Jestem z butelczyną. Golniemy sobie po jednym”. A Vernon odpowiada: „Sądząc po słońcu, faktycznie pora na aperitif”, Charles dodaje: „Co słyhać na twojej grzędzie?”, Vernon próbuje żartować, przybiera beztroski ton, żeby okazać uprzejmość: „Jedna rzecz mnie wkurza, u mnie jeszcze nie grzeją” albo „Dotąd mi nie zmienili pościeli, ileż można czekać...”, i rozmawiają, pociągając z butelki. Charles przemawia tonem starego mantyki, ale jest delikatny i wrażliwy jak mimoza. Wyciąga z kieszeni prochowca korkociąg, blokuje butelkę między kostkami i wbija skręcony metalowy pręt w korek. Podaje pełną butelkę Laurentowi i pyta Vernona na pozór obojętnym tonem:

– Wiesz, że całe stado czubków szuka cię na dole?

– Jak to?

– Jest ich nawet sporo. Przychodzą codziennie do parku des Buttes-Chaumont i wszystkich wkurzają. Wypytyują o ciebie.

Vernon blednie, a Laurent podnosi dłoń, żeby go uspokoić.

– Nie wygląda na to, żeby byli wściekli. Raczej pomyleni... Albo nieźle udają, albo nie

chcą ci zrobić krzywdy. Wygląda raczej na to, że się niepokoją...

– Nie. Nie wiedziałem o tym.

– Ale wiesz, kto to może być? Jest tam parę osób... Zapamiętałem tylko jedno imię.

– Nie wiem, dlaczego mnie szukają... Pożyczyłem sobie jedną czy dwie rzeczy... Ale żeby organizować polowanie z nagonką, to lekka przesada...

– Mówiłem ci, kolego: chyba ci nie chcą zaszkodzić.

– Myślisz, że mnie szukają, żeby powiedzieć mi coś miłego?

– Faktycznie wyglądają jak drużyna Kubusia Puchatka... Tak czy owak, na twoim miejscu zszedłbym na dół, żeby to wyjaśnić.

Charles daje im znak, że za chwilę wraca, i oddala się, pochylony do przodu, powłócząc nogami, stary chyba nie ma problemów z kręgosłupem ani kolanami, ale kiedy zaczyna mu szumieć w głowie, lubi udawać niedołęznego starca. Vernon przypuszcza, że poszedł się wysikać, lecz Charles ostrożnie wdrapuje się na siatkę, po czym obchodzi dom dookoła, z butelką w dłoni, szukając wariatki.

Laurent unosi głowę i beka tak głośno, jakby miał w płucach kamerę pogłosową. Żeby wydawać z siebie takie dźwięki, trzeba ćwiczyć przez całe życie... Potem, zadowolony z wrażenia, jakie zrobił, dodaje:

– Powinieneś zejść na dół i się z nimi przywitać, to kwestia dobrego wychowania. Pozwolisz, że zadam ci jedno pytanie?

– Pytaj śmiało.

– Czego się boisz? Narobiłeś głupstw?

– Wiesz, jak to jest... Z początku to nic takiego. Bierzesz jakiś drobiazg i myślisz, że go zwrócisz, że jakoś to załatwisz... Na przykład wziąłem laptop, mówiąc, że go oddam, a w końcu posiałem go gdzieś po drodze. Byłoby lepiej, by jego właścicielka mnie nie odnalazła... Kiedy indziej pozwoliłem sobie pożyczyć dwie książki i zegarek... Od nieodpowiedniej osoby.

– Zawsze trzeba starannie wybierać ofiary, z niektórymi trudniej się porozumieć.

– Właśnie. Akurat ta jest bardzo pamiętliwa, bardzo.

– W sumie ma takie prawo.

– Pełne prawo. A moje polega na tym, żeby jej unikać.

– Nie skrzyknęli się w osiem osób, żeby cię poszukiwać, bo upłynniłeś dwie książki i zegarek. Uwaga, nie twierdzę, że to zrobiłeś, mówię tylko, że wcale nie wyglądają na oszołomów, którzy pozorują sympatię, żeby cię zlinczować za byle głupstwo.



– Ciekawe, co też wyprawia Charles? Poszedł pogadać z wariatką? A już mieliśmy święty spokój...

– Nie przejmuj się, to nie w jego stylu.

– Nie to miałem na myśli.

– Kiedy włączysz się z menelami, lepiej, żebyś miał to na myśli. Niektórzy pod pretekstem, że są nawaleni, korzystają z okazji i robią dziwne rzeczy...

Laurent rozkłada ramiona i ziewa, po czym dodaje:

– Ale Charles nie bierze się za klientki niepotrafiące się bronić, woli oporne. Dobra, ruszasz tyłek i schodzimy na dół? Nie udawaj, że się zastanawiasz, wrócisz na swoją ławkę. Nikt w nocy ci jej nie wyrwie... Wiesz, że możesz koczować na torach kolejowych? Coco i Pako zostawili kołdry i są dwa miejsca do spania. Jeśli chcesz zmienić klimat...

– Śpisz na torach?

– Pociągi już od dawna tamtędy nie jeżdżą, nie bój się, nie ma hałasu. To czterogwiazdkowy hotel dla meneli. Spokój, błogi nastrój, przestrzeń... Cóż, nie mam takiego widoku jak ty, ale za to mam kwiatki i żadnych domów w pobliżu.

– Ilu was tam jest?

– Proponuję ci superplan, więc przestań grymasić... Było nas trzech, ale dwóch odeszło. Mieli już tego dość, że muszą marznąć w lecie, postanowili pojechać do Tuluzy. Autobusem. Zebrali pieniądze na bilety, ale im powiedziałem: chłopaki, zdziwiłbym się, gdyby wpuścili was do autobusu... Wygląda na to, że ich jednak wpuścili. Więcej się nie pokazali. Teraz jestem tam sam, jak król. Bronię mojego terytorium. Wiesz, tory to nie lada gratka. To bardzo zaciszne miejsce.

Dołącza do nich Charles, podnosi i opuszcza ramiona na znak bezsilności.

– Odbija tej głupiej gęsi na maksa... Vernon, z przykrością muszę cię powiadomić, że możesz zapomnieć o samotności: ona czuje się tu znakomicie. I nie zamierza się stąd nigdzie ruszać.

Laurent wstaje i zapina kurtkę.

– Idziemy? Chcesz zabrać rzeczy, Vernon?

– Niczego nie mam.

Laurent gwizdże z podziwem.

– No proszę, pieprzony luzak... Nie masz kołdry? Ani szczoteczki do zębów?

– Niczego.

– Pewnie śmierdzisz jak czarnuch, mój stary... Mam nadzieję, że kumple, którzy cię

szukają, nie chcą ci dać buziaka... Idziemy?

Powoli schodzą po stopniach prowadzących na ulicę Manin. W połowie schodów Charles musi się zatrzymać. Trzyma się muru, zdyszany, kładzie dłoń na sercu i siada na schodku.

– Mój Boże, tak tu wysoko, dostaję palpacji. Pewnie tak samo czułbym się w Bogocie.

Stary podciąga cienkie granatowe skarpetki, które nie pasują do nowiutkich najków. To skarpetki faceta pracującego w biurze i Vernon zadaje sobie pytanie, z jakiego okresu jego życia pochodzą. Próbuje wyobrazić sobie Charles'a schludnego, który ma jeszcze włosy, troszczy się o to, by dotrzeć na czas do pracy, z aktówką pod pachą, trudno uwierzyć, że kiedyś był przykładnym urzędnikiem. Stary wyciera czoło, kręcąc głową.

– Macie zdrowe nogi, idźcie beze mnie...

Mówi tonem faceta, który prosi, żeby go zostawić na polu bitwy. Laurent i Vernon odpowiadają: zaczekamy, nigdzie nam się nie spieszy, a Charles, zirytowany, odpycha ich gestem dłoni, jakby opędzał się od psów.

– Nie bądźcie natrętni... Dajcie mi spokojnie odpocząć.

Laurent protestuje, potem zmienia zdanie, chwytając Vernona za łokieć i sprowadza ze schodów, szepcząc mu dyskretnie na ucho:

– Zrozumiałem, chce wrócić na górę i porozmawiać z małą, nie mając nas na głowie... Papcio już taki jest, czasami mu odbija... Wprawdzie staruszek nie odziedziczył firmy L'Oréal, ale jest w stanie przepuścić swe skromne oszczędności, bo ktoś wzbudził w nim litość...

Vernon kiwa głową. Zna Charles'a. Pewnie teraz kupuje tej wariatce siatkę pomarańczy. Oby nie rzuciła mu jej prosto w twarz.

\*

Przemierzają ulicę Manin, wchodzą do parku, rześisty deszcz moczy im ramiona. Vernon myśli, że nie spotkają nikogo, ci ludzie wrócą do domów, nie czekając na nich. To raczej go uspokaja, nie czuje rozczarowania, nie jest pewny, jak by go przywitali. Laurent idzie przodem, Vernon podąża za nim. Mijają trawiaste zbocze, teren jest pagórkowaty, chaos zieleni, listowie drzew w rozmaitych odcieniach, prawie nie słychać tu miasta. Vernona zdumiewa ten spokój. Chłonie intensywną woń mokrej ziemi, konary drzew, których nazw nie zna, wiszą nad ich głowami, uspokajający roślinny szpaler honorowy. Mijają sztuczną kaskadę. Na trawniku Chińczycy, obojętni na deszcz, powtarzają w zwolnionym tempie dziwny układ taneczny, jakby odpychali od siebie wielkie niewidzialne obłoki. Laurent bez wahania wchodzi do baru, a Vernon ostrożnie robi to samo. Zaskakuje go nagle gwar zamkniętej przestrzeni i to ciepło, o którym już całkiem zapomniał. Rozpoznaje przy stole

kilka twarzy, które zwracają się w ich stronę, wyraźnie zaskoczone, ale nie rozgniewane. I wtedy to powraca. Mechanizm się włącza. Szybko i dyskretnie. Pstryk. Najlepszym porównaniem, jakie przychodzi mu na myśl, jest blant z czystej trawy zapalony o dziesiątej rano na bezludnej plaży, w jesienny dzień, tuż po porannej kawie – chwila, gdy chcemy wstać, nogi mamy jak z waty i dostajemy lekkiego zawrotu głowy. Jest nam dobrze. Idziemy. Widziany obraz przechodzi w drugi przez czerń, rzeczywistość, która stała się dekoracją, jest obecna, ale jakby zawieszona na nitce. Czujemy się jak balon wypełniony helem. Ulega temu w najgorszym momencie, lecz nie ma wyboru. Ma czas, żeby pomyśleć – właśnie dlatego nigdy nie zszedłbym z tego wzgórza, gdyby nie ściagała mnie ta wariatka, a ci ludzie mnie nie szukali. Tam w górze delirium było jak spokojne szybowanie na lotni, nie czuł zagrożenia. Odjeżdżał szczęśliwy, że wsiadł do tego pociągu i widzi przed sobą Sacré-Cœur. Tutaj jest inaczej, jego rozkojarzenie staje się niepokojące: wezmą go za szaleńca. Ale nie może im niczego wyjaśnić. Czuje na sobie zakłopotane spojrzenia. Fizycznie z pewnością się zmienił. Degradacja, której jeszcze sobie nie uświadomił. Nie jest w stanie uśmiechać się z życzliwością, kiedy ściska dłonie, paść w ramiona Emilie. Bardzo dobrze pamięta wszystkich tych ludzi. Ale jest gdzie indziej. Widzi tę scenę, bierze w niej udział, lecz nie potrafi być naprawdę obecny. Ma nadzieję, że to przejdzie, chciałby z nimi rozmawiać i widzi, że są rozczarowani, że się w niego wpatrują i wyobrażają sobie, że teraz przez cały czas tak właśnie wygląda, jakby był nieprzytomny. Patrice – czerwona koszula w czarną kratę, rękawy podwinięte na wytatuowanych przedramionach, twarz otwarta i szczerą, naprawdę zadowolony, że go widzi – obejmuje go ramieniem i zaprasza, by usiadł obok niego. Pamela Kant ma na sobie długi czarny płaszcz, musiała przyjść tuż przed nimi, bo jest przemoknięta, ma oczy umiejętnie obwiedzione czarną kreską, a Vernon zastanawia się, co ona tu robi. Wydaje mu się dziwne, że Pamela zna wszystkich, i nagle czuje, że odjeżdża do tyłu, wewnętrzne zapętlenie, chciałby zadawać pytania, ale brakuje mu przytomności umysłu. Nie jest w stanie wymówić słowa. Odjeżdża. Lydia Bazooka obserwuje go kątem oka, podnosi kieliszek i mówi trochę zbyt głośno:

– Kurwa, Vernon, no kurwa, jak miło cię widzieć!!!

Z nią też chciałby pomówić, ale może się tylko uśmiechnąć, wywołując zmieszanie osób siedzących przy stole. Jego usta są wypełnione chmurami – nie może wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Xavier wykonuje spokojny gest: kładzie dłoń na dłoni Vernona. Zmienił się. Stracił na wadze, wydaje się przygnieciony smutkiem. Vernon dostrzega wokół siebie szary woal – jakby pajak utkał białą sieć tuż nad jego skórą. Coś krąży wokół ich stołu, patrzą na siebie, rozmawiają, przechylają się w swoją stronę i Vernon wie, że lekkie zakłopotanie,

jakie wzbudza, bo właśnie teraz traci kontakt z rzeczywistością, nie jest czymś poważnym – przede wszystkim się cieszą, że mogą być razem.

Jakaś wysoka kobieta w czarnym prochowcu ściągniętym paskiem w talii zbliża się do nich, trzymając ręce w kieszeniach, i patrzy na niego z rozbawieniem.

– To ty jesteś Subutex? – Potem podaje mu dłoń. – Nazywam się Hiena. Nie jesteś w najlepszej formie, co?

Vernon odruchowo ściska jej dłoń, ciepłą i przyjazną – chciałby, żeby jeszcze długo stykała się z jego dłonią, a patrząc jej w oczy, ma wrażenie, że ona go rozumie, i żałuje, że musi zwrócić się w stronę innych. Kiedy się pojawiła, przy stole zapadła cisza. Wszystkie spojrzenia skupiły się na niej.

– Tak, to ja.

Patrice patrzy na nią z zaciekawieniem i stwierdza z uśmiechem:

– Wcale nie przypomina pani Françoise Hardy.

Emilie jest zagniewana i chce, by wszyscy to zauważyli, oświadcza na cały głos, trochę fałszywym tonem:

– Włamała się pani do mojego mieszkania, ale nie złożę na panią skargi, bo...

– Przepraszam. Ja pierwsza dostałam zlecenie, żeby odnaleźć ten wywiad.

– To mnie nie interesuje, muszę pani powiedzieć, że...

– Musisz, musisz, musisz... Jeśli mogę ci coś doradzić, powinnaś się raczej wyluzować. Nieważne, że każdy może wejść do twojego mieszkania jak krowa do obory, ważne, że wróciłam, żeby pokazać wam taśmy. Więc podziękuj mamusi i spuść z tonu, kochanie.

Vernon nie rozumie, co dzieje się wokół. Zbliża się kelnerka i dotyka jego ramienia.

– Hej, pamięta mnie pan?

Wie, że gdzieś już ją widział. Ale nie wie gdzie. Uśmiecha się do niej jak krety. Ona mruży oko. Jest tak łagodna, że Vernon nagle ma ochotę zalać się łzami. Ona wraca do swoich zajęć. Nagle doznaje olśnienia: zajmował się suką Xaviera i spotkał tę dziewczynę w parku, jest córką klienta, który często przychodził do Rewolweru. I zaraz jego świadomość znowu się wyłącza: dźwięki i barwy, które go otaczają, tworzą bezkształtny chaos. Tam w górze, na swojej ławce, gdy czuł, że odlatuje, wcale się tym nie przejmował. Mogło to trwać dwie minuty albo dwie godziny, to było bez znaczenia. Tym razem chciałby położyć palec na guziku kontrolnym i skupić się na sytuacji, która nie wygląda na nieprzyjemną. Rozmowa się toczy, słychać odległą wrzawę, sylwetki się pochylają, wstają, przesuwają krzesło, odchylając głowę do tyłu, żeby się śmiać, twarze mają imiona, ale z niczym konkretnym mu się nie

kojarzą. Fala lęku ścina go z nóg. Ci ludzie należą do świata, który opuścił. Chciałby wstać i chodzić po parku, sam. Boi się, że ktoś zada mu jakieś pytanie, że nie odpowie jak trzeba, że to się źle skończy. Ktoś się do niego zwraca, czuje, że idiotyczny uśmiech, którego nie może się pozbyć, wykrzywia mu wargi. Jesteś pewien, że nie chcesz czegoś zjeść, to nie do wiary, że jesteś tutaj z nami, a gdzie spałeś przez cały ten czas, wiesz, możesz mieszkać u mnie, jak się czujesz, szukaliśmy cię wszędzie, to niesamowite, że jednak się pojawiłeś, to chyba znak, prawda? Jesteś pewien, że dobrze się czujesz, jesteś blady, chcesz jeszcze jedno piwo? Słyszysz głosy w oddali, lecz myśli o czymś innym, nie jest w stanie się skoncentrować. Laurent podchodzi do niego i pomaga mu wstać, gdy grupa gdzieś się wybiera, pochyła się nad nim.

– Spróbuj coś zjeść, gdy dotrzemy na miejsce, za dużo wypiliśmy, jesteś do niczego. Szkoda, są dla ciebie mili, sam widzisz, masz szczęście. Postaraj się, bo pomyślą, że całkiem zbzikowałeś.

Po drodze Pamela bierze Vernona pod ramię i próbuje raz jeszcze opowiedzieć mu o nagraniach. To, co mówi, jest niejasne, połączenie jednych informacji z innymi wymaga wysiłku, na który go nie stać. Zapadł zmierzch. Tworzą dziwną procesję, ich cienie odbijają się w lśniącym asfalcie. Nie zna milczącej młodej laski, która im towarzyszy i do nikogo się nie odzywa. Czując, że na nią patrzy, ostrzega go z wściekłością:

– Nie wiem, co tutaj robię, nie znam tu nikogo, to Hiena mnie ściągnęła.

– Ja też nie wiem, co tutaj robię – odpowiada Vernon.

Dziewczyna nie ma ochoty z nim rozmawiać. To pierwsze zdanie, jakie zdołał wymówić, ale młodzieńca dziewczyna w hidżabie nie jest zainteresowana. Idą obok siebie w milczeniu. Wokół nich tu i ówdzie rozlegają się słowa. Słyszą je w dali, monotony walc. „O kurwa już od dawna” „pani żart kosztował mnie zamek w drzwiach” „jestem pewna że to będzie nuda” „tak jak wszystkie rzeczy na które zbyt długo czekamy” „mam nadzieję że to nas nie wpędzi w depresję” „ale jestem wzruszona że znów zobaczymy Alexa” „przestań się na mnie boczyć, panienko, zwrócę ci za ten zamek”.

Wsiadają do metra, Vernona oszalał zgiełk, odwykł od ciasnych pomieszczeń, potem idą brzegiem Sekwany, a gdy docierają do mieszkania Hieny, oddycha z ulgą, że może paść na sofę. Nie jest w stanie przywyknąć do hałasu. Za dużo głosów, za dużo ścian, za dużo sufitów, za mało otwartych okien... Patrice zdecydowanym gestem wciska mu w dłoń garść migdałów i czeka, aż zacznie jeść, by spytać:

– Chcesz wziąć prysznic? To ci dobrze zrobi, nie wyglądasz najlepiej.

Podchodzi Hiena, patrzy na Vernona z niepokojem, niezbyt zadowolona, w końcu chwytając go za przegub i ciągnie w stronę łazienki.

– Na lewo od wejścia są czyste ręczniki, weź sobie któryś.

Vernon cofa się o krok. Jest oszołomiony. Jak to możliwe, że tak szybko odzwyczaił się od ścian i drzwi? Potem widzi się w lustrze i wciąż jest zaskoczony: kim jest ten nieznajomy? Najdziwniejsze, że wydaje mu się przystojny. Dostrzegł swoje odbicie, zanim się w nim rozpoznał, i miał czas pomyśleć – ten biedny facet ma piękne spojrzenie. Hiena popycha drzwi stopą. Przemawia do niego spokojnie:

– Dobrze się czujesz? Jesteś bielszy od umywalki. Nie chcesz się wykapać? Czuć cię trupem, naprawdę. Inni nie ośmielą się ci tego powiedzieć, ale to infekcja. Nie chcesz się umyć? Uważasz, że przesadzam?

Vernon czuje, że zaczyna wpadać w panikę: nie potrafi jej odpowiedzieć, nic nie przychodzi mu do głowy, słyszy ją, ale żadne słowo nie pada z jego ust, jest pusty, niezdolny wykonać żadnego gestu, choćby po to, żeby ją uspokoić i żeby sobie poszła. Tym razem to już na pewno się stało: kompletnie zwariował, jest jak zombie, stoi i wydaje się funkcjonować, ale głos więźnie mu w gardle i w żaden sposób nie może się skupić. Hiena zamyka drzwi na klucz.

– Okej. Pomogę ci.

Rozbiera go. Wykonując gesty pielęgniarki.

– Damy radę, nie panikuj. Na pewno wrócisz do siebie. Nie jestem dyplomowaną opiekunką świrów, ale to ci przejdzie. Weźmiesz prysznic. Pożyczę ci T-shirt i bojówki. Jesteśmy podobnego wzrostu. Nie jesteś tęgi, ja też nie. Włożymy twoje rzeczy do pralki, wysuszymy, jeszcze tego wieczoru będziesz mógł wyjść w swoich ciuchach, jeśli ci na tym zależy. Zgoda? Chyba mam gdzieś także bokserki.

To łagodny i monotony głos odpowiedzialnej osoby, kojący, stanowczy, Vernon godzi się na wszystko, czując ulgę, że ona zachowuje się tak, jakby ta sytuacja nie była dramatyczna ani groteskowa. Rozwiązuje mu buty, ściąga skarpetki.

– Dawno nie zmieniałeś ubrania, kutafonie... Ależ to śmierdzi, widziałeś swoje stopy? – Chichocze, rozpinając guziki jego dzinsów. – Nie można powiedzieć, bym często to robiła. Ale w twoim wypadku nie mam czego żałować. Twoje sztany są w oplakany stanie.

Potem, widząc, że nadal się nie porusza, chwyta go za ramiona, żeby go odwrócić i wprowadzić do kabiny. Zrezygnowana, też się rozbiera, zachowując białą bieliznę, a Vernonowi świta w głowie myśl, że włożyła strój pielęgniarki. Hiena sprawdza temperaturę wody, kierując słuchawkę prysznica na przegub, mówi, nie zastanawiając się nad tym, czy jej słucha:

– Tak czy siak, wiedziałam, że pakuję się w gówno, dzwoniąc do nich wszystkich, zamiast

spokojnie zająć się swoją robotą, ale nie myślałam, że tak to się skończy... Nie przejmuj się, wyluzuj... Pogubiłeś się, to się przydarza bardzo wielu ludziom. Przywykniesz. Wiem, że mnie słyszysz. Dojdiesz do siebie. Nie będzie tak samo jak kiedyś, ale się obudzisz... Przynajmniej taką mam nadzieję.

Kontakt z wodą, przyjemny, przyciąga go do kabiny, dłonie mydłą mu plecy, ramiona, rozplatają węzły i Vernon czuje przejmujący ból, a zaraz potem ogromną ulgę, rozluźnia się. Hiena pociera jego głowę, długo go opłukuje. Masuje mu kostki, Vernon czuje, że zmęczenie zaczyna go opuszczać, Hiena długo polewa mu stopy wodą, jakby rozumiała, co czuje – uwalnia go. Wówczas, nie spodziewając się tego i całkiem nieświadomie, dostaje silnego wzrodu. Nagły przypływ energii. Hiena to dostrzega, ale nie jest zmieszana, uśmiecha się, łagodnie tłumacząc:

– Nie bierz tego do siebie, to ci dobrze zrobi.

I stanowczym gestem zmienia temperaturę wody, a lodowaty strumień, jak siarczysty policzek, przywraca go do rzeczywistości. Vernon protestuje, a ona wybuchu śmiechem.

– Widzisz, zadziałało, teraz lepiej wyglądasz.

Wkłada szlafrok i zostawia go w kabinie.

– Nie spiesz się, dobrze się wytrzyj, wracam z suchymi ciuchami. Wszystko w porządku?

Wrócił do siebie. Jest wyczerpany. Chce spać. Nie ma najmniejszej chęci iść do pokoju obok i rozmawiać, mniej więcej rozumie, co się wydarzyło, strzępy informacji, które do niego docierały, kiedy trwał w delirium, zaczynają się z sobą łączyć. Ale wolałby nie uświadamiać sobie tego wszystkiego. Odbicie własnej twarzy w zaparowanym lustrze zaskakuje go. Bardzo schudł. Dobrze wygląda z brodą, odmienia jego wygląd. Policzki są tak zapadnięte, jakby układał usta w ciup.

Kiedy wychodzi z łazienki, uświadamia sobie, że wszyscy się nim przejmują, nie bardzo wiedząc, jak się względem niego zachować. Traktują go jak obłożnie chorego. Przynoszą mu chleb i miód, życzliwie się uśmiechają, wykonują powolne gesty. Zanurza wargi w kawie, od tak dawna jej nie pił. Zapomniał, że ma taki ohydny smak. Wszyscy siadają, gaśnie światło, z wolna zapada cisza, salon wypełnia głos Alexa. Na płaskim ekranie komputera Vernon rozpoznaje swoje dawne mieszkanie. Czeka na przypływ emocji, jakie ten obraz powinien wywołać teraz, gdy jego myśli są bardziej uporządkowane. Lecz czuje tylko rozgoryczenie. Był tam tak nieszczęśliwy, nie chcąc tego przyznać. Niczego nie żałuje. Widać twarz Alexa, który szuka sobie miejsca w kadrze, a Vernon czuje, że unosi go jakaś niewidzialna dłoń – pamięta czasy, gdy Alex jeszcze żył, widzi obrazy z przeszłości, rzeczy, które robili razem. O czym wtedy myślał, że nie porozmawiał ze swoim ostatnim kumplem, kiedy mógł jeszcze

go objąć ramieniem, potrząsnąć i powiedzieć: korzystajmy z życia, chłopie, korzystajmy z życia, dopóki możemy.



Przypomnij sobie, Vernon, wkraczaliśmy w świat rocka, jak wchodzi się do katedry, a ta historia była jak statek kosmiczny. Wszędzie stały figury świętych, sami już nie wiedzieliśmy, przed którą uklęknąć, żeby się pomodlić. Wiedzieliśmy, że kiedy muzyk wyciągnie jacka ze wzmacniacza, staje się takim samym człowiekiem jak inni, że robi kupę i wyciera nos, gdy złapie przeziębienie, ale to niczego nie zmieniało. Herosi nas nie obchodzili, pragnęliśmy jedynie tego brzmienia. Ono nas przenikało na wylot, powalało na ziemię, porywało w powietrze. Z początku dla wszystkich to było zaskoczenie: kurwa, ten dźwięk naprawdę istnieje? To nas przerastało. Młodość w galopie, nie zdawaliśmy sobie sprawy z własnego szczęścia... Pamiętam, jak jeden gość pokazał mi na gryfie trzy akordy piosenki *Louie Louie*, i w nocy uświadomiłem sobie, że mogę już zagrać prawie wszystkie klasyczne numery. Kiedy po raz pierwszy zrogowaciały ci opuszki palców, czułeś się tak, jakbyś obronił dyplom. Pierwszym kawałkiem, który potrafiłem zagrać w całości, był utwór *She's Calling You*. Nauka zajęła mi całe lato. Prowadziliśmy wojnę. Z nijakością. Wymyślaliśmy własne życie i żaden smutas nie próbował nam wciskać, że w końcu zrezygnujemy. Gdy miałem szesnaście lat, nikt nie zdołałby mi wmówić, że nie jestem tam, gdzie powinienem być. W wynajętej furgonetce siedziałem na kole i trząłem się razem z sześcioma kumplami, nie mieliśmy pewności, czy wlaliśmy dość benzyny, aby wrócić, ale nikt się tym nie przejmował. To była „ostatnia przygoda cywilizowanego świata”. A cała reszta, pamiętasz, była bez znaczenia, nikt nas nie wkurzał. Reszta po prostu nie istniała. Przeżyliśmy młodość w kulach z opancerzonej stali. Łączyła nas alchemia entuzjazmu, nie mieliśmy pojęcia, że istnieje druga strona medalu. Wymyślaliśmy sobie ksywki, wszystko nas ciekawiło, nawet zwyczajne głupoty. Gramy jutro? – to było jedyne pytanie, jakie sobie zadawałem. Żyliśmy w sprzężeniu włączonych mikrofonów, w syku jacków wkładanych do gniazda, w ciepłe reflektorów, zagrać support przed Les Thugs i dostać bon do kantyny, to była istotna część naszej przygody i czuliśmy się spełnieni. Nie pamiętam, żebym między szesnastym a dwudziestym trzecim rokiem życia obejrzał coś w telewizji. Nie mieliśmy czasu, przebywaliśmy poza domem albo słuchaliśmy muzyki, nie przypominam sobie, bym poszedł do kina na jakiś popularny film, obejrzał klip Madonny czy Michaela Jacksona, kultura głównego nurtu nie mieściła się w naszej wizji świata. Nawet o niej nie mówiliśmy. Nie wiedziałem, że to się kiedyś skończy. Było się trendy, na topie, posiadając automatyczną sekretarkę, jeśli ktoś miał faks, był bogiem komunikacji. Nikt z nas nie myślał o statecznym życiu, ciułaniu na wakacje, tylko surferzy chodzili napłażę, my zostawialiśmy w mieście, gdzie były koncerty. To nie było żadne

poświęcenie – chrzaniłiśmy całą resztę.

Liczyła się tylko scena. I mieliśmy rację. W tygodniu rozlepialiśmy afisze, w weekendy graliśmy w jakimś klubie, przychodziło dość ludzi, by nie wyglądało na to, że robimy próbę, tłoczyliśmy płyty, nie deklarując niczego, nie podpisując umów, nie było innego świata poza naszym. Każdy z nas miał fundację, był jej skarbnikiem, prezesem i wolontariuszem. Jeździliśmy dychawicznymi furgonetkami do Włoch, Niemiec, Szwajcarii, na Węgry, do Hiszpanii, Anglii, Szwecji i byliśmy panami tego świata. Potem rock został zinstytucjonalizowany, zaczęto mówić o subwencjach, pojawiły się piękne sale przypominające luksusowe domy kultury, faceci, którzy wiedzieli, co trzeba zrobić, żeby dostać dotację, znali urzędowy język, byli bardziej elastyczni, obrotni. Zaczęliśmy wypełniać papiery. Płyty kompaktowe zastąpiły winyle. Single zniknęły. Nie wyglądało to groźnie. Coś nam świtało, ale nie bardzo wiedzieliśmy, co się dzieje. Te zjawiska, brane z osobna, nie budziły naszego niepokoju. Nie ogarnialiśmy całokształtu. I nasze marzenie, które było święte, zmieniło się w fabrykę szczyn. To jak historia Kopciuszka: pedał przesteru przekształcił naszą dynię w karocę i nagle wybiła północ. Znow mieliśmy na sobie łachmany. Nic nie było już naszą własnością. Wszyscy staliśmy się klientami. Rock pasował do oficjalnego języka kapitalizmu, języka reklamy: slogan, przyjemność, indywidualizm, dźwięk, który cię atakuje bez twego przyzwolenia. Nie zrozumieliśmy, że magiczne kamyki, które trzymaliśmy w dłoniach, to były brylanty. Skarby w rękach bandy młodych nieprzystosowanych. Nikt z nas nie miał planów na przyszłość. Nie wierzyliśmy w zawodową karierę. I to nas ratowało. Straciliśmy wszystko. Ale nigdy nie będziemy rozmawiali jak równy z równym z tymi, którzy nie zaznali życia zgodnego z ich marzeniami. Dzisiaj spotykam ludzi, którzy w wieku dwudziestu lat uczyli się współzawodnictwa w szkole lub marketingu w firmie i chcą mnie przekonać, że mieliśmy taką samą młodość. Nic nie odpowiadam. Ale zapomnij, facet, zapomnij. Mój arystokratyczny tytuł to moja biografia: ogołocono mnie ze wszystkiego, co miałem, ale znałem świat skrojony przez nas na własną miarę, w którym nie wstawałem rano, mówiąc sobie, że znow będę musiał wypełniać czyjeś polecenia.

Lata dziewięćdziesiąte. Nadszedł czas, gdy wszyscy zaczęli wznosić hymny na cześć pragmatyzmu. Żadna etyczna kwestia nie mogła negatywnie wpływać na wielkość zysków. To była już prehistoria. Jeśli ktoś nie chciał ujadać wraz z całą sforą, był opóźniony w rozwoju. Wszystko, co kochaliśmy, zostało podeptane. Bardzo łatwo coś zniszczyć, każdy może to zrobić. Szybciej, szybciej, jeszcze jedna reklama, grant, sponsoring i dorzućcie mi do tego jakąś spółkę partnerską, abym poczuł się całkiem wyobcowany, abym czuł smycz, kiedy chcę pobiegać. Ten nowy świat był wspaniały. Jedynie głupcy mogli w niego nie wierzyć.

A politykom z naszego obozu też zabrakło przenikliwości. Wciąż powtarzali przebrzmiałe frazesy, jakby czerpali je ze świętych ksiąg. Refleksja na temat terażniejszości ich nie interesowała – czas płynął, a oni coraz bardziej wielbili Komunę. Ta rzeź to było nasze zdjęcie z krzyża. Z taką ideologią nie da się daleko zajechać.

Śpisz, Vernon? Nie słuchasz mnie? Śpisz? Ejże, obudź się, masz trzy gramy w nosie, jak możesz spać? Zawsze pozostaniesz dla mnie tajemnicą – nigdy nie robisz tego, czego wszyscy się spodziewają, a potem każdy myśli, jakie to szczęście, że postąpił w ten sposób. Dostrzegłem to u ciebie – masz skłonność do wprowadzania lekkiego chaosu w to, co było zaplanowane. Wiem, że nie masz pojęcia, ile znaczył dla mnie Rewolwer. Jaki byłem szczęśliwy, przychodząc do twojego sklepu. Czasem puszczałeś na adapterze płytę, którą nigdy spontanicznie bym się nie zainteresował. Przypadek. Który prowadził mnie bardzo daleko. Nigdy nie nagrałbym tak wielu różnych płyt, gdybyś mi nie otworzył drzwi. Byłeś przemytnikiem, facet. Ludzie cię bardzo lubili. Nie byłeś tego świadomy. Zawsze ktoś się u ciebie kręcił. Harowałeś, żeby utrzymać ten interes. Zawsze cię za to szanowałem. Kiedy ludzie przestali kupować płyty, nadal składałem ci wizyty. To było dziwne, widzieć, jak siedzisz sam na taborecie. Zacząłeś mówić o księgach rachunkowych. Nigdy wcześniej tego nie robiłeś. Zrozumiałem, że zamkniesz sklep. Nie interesował już nikogo. Pamiętam ostatnie dwa tygodnie, kiedy wyprzedawałeś towar. Wtedy wszyscy wrócili. Przyjąłeś ich po królewsku. To ty byłeś królem. Przyglądałem ci się w tym czasie. W twojej radości, że znowu widzisz ludzi, którzy cię zdradzili, nie było śladu rozgoryczenia.

Mam dziurę w piersi. Ta pustka mnie pożera. I wszystkich nie cierpię. Wiesz, Vernon, w Piśmie Jezus złości się tylko raz. Jeden jedyny raz. Kiedy wypędza przekupniów ze świątyni. Reszta jest bez znaczenia. Wiem, że teraz często mówię o Jezusie. Dlaczego miałbym zostawiać go w rękach oszustów?

Powiedz mi, Vernon, kiedy ostatnio naprawdę wysłuchałeś nowej płyty i powiedziałeś sobie, że słuchasz prawdziwej muzyki? Przestań chrapać i odpowiedz... Wciągnę kreskę za twoje zdrowie. Wiesz, to nie muzyka się zmieniła. Tylko my. Jesteśmy wystraszeni.

Wiesz, dlaczego tak bardzo cię szanuję? Znałeś na pamięć wszystko. Miałeś za plecami regał z winylami, które stały rzędem w białych kopertach, w pudełkach trzymałeś tylko puste okładki w koszulkach z przezroczystej folii. I miałeś w głowie wszystkie swoje płyty. Ktoś podawał ci tytuł, a ty odwracałeś się bez chwili wahania i wyciągałeś longplay, od razu puszczał w właściwy kawałek, stawiałeś igłę w trochę głębszym rowku, w miejscu, które uznałeś za ciekawe. Znałeś wszystko, Vernon. Byłeś strażnikiem świątyni, a ja byłem dzieckiem. I nigdy w życiu, nigdy, nie przyszło ci do głowy, by puścić mi ska, reggae, jazz

czy funk. Tylko raz wspomniałeś o moim kolorze skóry, gdy do twojego sklepu dotarło wznowienie płyty Bad Brains na białym winylu. Nie wyobrażasz sobie, ile się potem nasłuchałem o Johnie Coltranie i Bobie Marleyu. Nigdy nie puściłeś mi Maxa Romeo, mówiąc, że zrobi to na mnie wrażenie, bo jestem czarny. Zawsze trzymałeś się na uboczu. Pewnie twoja głupota cię chroni. Przede wszystkim ciągle śpisz. Więc nie tak łatwo zrobić cię w bambuko.

Nigdy nie chciałem być numerem jeden. Na pewno nie można mi tego zarzucić. Musisz się przystosować, palancie. Sukces to genialna sprawa. Jeśli nie chcesz z niego skorzystać, zrób miejsce innym, zamiast psuć nam zabawę. Nigdy nie chciałem być numerem jeden. Istnieje coś takiego jak fascynacja upadkiem – wiesz, że powinieś wy dostać się na powierzchnię i tkwisz stłamszony na dnie. Sprzedawałem płyty. Kurwa, ileż ja ich sprzedałem... Nauczyłem się liczyć. Do jakiego boga modlisz się liczbami?

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych sprawa była zamknięta: wszystko mieliśmy już za sobą. Etap, gdy zadajemy sobie idiotyczne pytania. Pytania o zasady, pytania o emocje, pytania o wzajemną pomoc, pytania, czy grać, wyrażając nie swoje najniższe instynkty, ale to, co uznajemy za piękne. Minał czas pytań. Śmiałyśmy się z utopii. Byliśmy skłonni się przystosować, ale nie byliśmy naiwni, próbowaliśmy to kontrolować. Już nie baliśmy się ubrudzić sobie rąk. A powinniśmy się bać. Myśleliśmy: sprzedać duszę to nic takiego, odzyskamy ją, nietkniętą, pod koniec widowiska.

Odniosłem sukces. I dowiedziałem się, że jestem czarny. Niby jak miałem pomyśleć o tym wcześniej. Moja matka, jasna blondynka, wychowała mnie na zadupiu, w departamencie Creuse. Oczywiście, że od czasu do czasu nazywano mnie Królowną Śnieżką, wpychając mi śnieg do ust i śmiejąc się z kontrastu, jaki tworzy ze skórą jedyne go czarnego chłopca w klasie. Ale dobrze grałem w piłkę. Jak czarni, tyle że wtedy nikt nie zwrócił mi na to uwagi. Na szkolnym podwórku nie miałem wielu problemów: wszyscy chcieli mnie mieć w swej drużynie. Starłem się myśleć o pozytywnych rzeczach. Cóż możesz robić innego, gdy swojej własnej matce kojarzysz się z winą i upadkiem? Stałem się biały jak reszta. Dziś wszędzie mówią na mnie Bounty – nawet białasy ośmielają się nazywać mnie w ten sposób. Tak, jestem w środku biały: dlaczego miałbym się czuć inaczej? Bounty. I co z tego? Uważałem się za potomka Galów i basta. To śmieszne. Bounty. Co oni sobie myślą? Że miałem Afrykę we krwi, przychodząc na świat w departamencie Creuse? Spodobała mi się grupa Motörhead i The Stooges. Od razu. Słuchał tego mój kuzyn – siostrzeniec mojego ojczyma. Przyjechał kiedyś na weekend ze składanką. Nie wiedziałem, że tego rodzaju muzyka istnieje. To było jak objawienie. Zobaczyłem w telewizji występ Aznavoura i pomyślałem: tak różne rzeczy nie

mogą nosić takiej samej nazwy. Tylko jedna z nich może się nazywać muzyką. Nie pytaj mnie dlaczego, ale to była moja pierwsza myśl. Poczułem, że wewnątrz mnie grasuje stado wilków. Minutę wcześniej była tam pustynia i nagle byłem sforą dzikich wilków. To się we mnie zrodziło. I w tym momencie nie powiedziałem sobie: jestem czarnym, który słucha muzyki białych ludzi. Ale ile się później o tym nasłuchałem...

Pamiętasz ten tekst: „różnicę widać tylko w oczach bękartów”. Suprême NTM, za pierwszym razem, gdy zobaczyliśmy ich w telewizji, to była chyba stacja FR3. Nie mieliśmy pojęcia o hip-hopie. To zdanie wydawało nam się normalne. „Różnicę widać tylko w oczach bękartów”. Lecz czasy się zmieniły. Pokazano mi moje miejsce w szeregu. Wszyscy to robili. Najbardziej wściekali się na mnie inni czarni. Okazałem się zdrajcą. Alex Bounty Bleach. Na to też nie wolno ci się uskarżać – mogłem pozostać czysty. Co mnie obchodzi czystość? Nie słucham Iggy’ego Popa, żeby się poczuć czystym... Czarni najbardziej mną pogardzają. Mam to gdzieś. Czarnych mogę olać. Nie muszę z nimi pracować. Bez białych nie mogę się obyć. Są dziennikarzami, producentami, dyrektorami sal koncertowych, menedżerami, grafikami, fotografami, prowadzą programy radiowe. Nie można ignorować szefa. Nigdy nie ignoruje się białych.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy to się zaczęło, sądziłem, że jeśli nie będę rozwijał tematu, sprawa przyschnie, przestaną fantazjować na temat koloru mojej skóry, lecz było coraz gorzej. Przystosowałem się. Poznałem Victoire, bardzo zajmowały ją kwestie postkolonialne, w sumie wszystko ją pasjonowało. Ten związek nie trwał długo, ale poleciła mi lekturę Fanona, była załamana, gdy zrozumiała, że nie bardzo wiem, o kim właściwie mówi. Zacząłem czytać *Wyklęty lud ziemi*, bo nie zostawiła mi wyboru, i już po kilku kartkach poczułem, jak w moim wnętrzu otwiera się bezdenne przepaść. Byłem nie tylko pieprzonym czarnuchem, ale nigdy nie pozwolono mi zostać kimś innym. Jednak najgorsze było to, że uznałem to za nieistotne. Tę skandaliczną przemoc. Którą noszę w sercu. Wolałem patrzeć gdzie indziej.

Grób Karaibów, rezerwaty czarnuchów, jakość dostarczonego ładunku, tłumione bunty na Haiti... Otworzyłem kolejne książki. Nikt o tym nie zapomniał, jednak to już przeszłość, jesteśmy w innym miejscu. Ale wykonujesz swoją robotę – rozmawiasz z białymi w biurach wytwórni płytowych, którzy pracują z białymi z promocji i dystrybucji, którzy są finansowani przez białych, i negocjujesz z białymi organizatorami trasy z białymi menedżerami z białymi fotografami z białymi dziennikarzami z białymi producentami z białymi prezenterami. Tam w górze wszystko jest białe. Ale co to właściwie zmienia w twoim życiu? Moja odpowiedź brzmi, że w sumie niewiele, jestem wśród was, myślę o tych wszystkich, którzy są na zewnątrz

i muszą zrozumieć, że tam jest ich miejsce. To nie dotyczy jedynie czarnych. Ale najważniejsze, żeby przestać mówić: to, co się we mnie dzieje, to codzienne bombardowanie, nie pozwoli mi spojrzeć gdzie indziej. Trudno mi to nazwać inaczej.

Wiesz, że często proponowano mi, żebym grał zouk? Za każdym razem, gdy spotykałem się z nowym menedżerem wytwórni – a było ich na pęczki, biedaków, miałem wrażenie, że rosną na chodniku, bo co miesiąc pojawiał się kolejny – ten sugerował mi coś w związku z moją nową płytą. Hip-hop. Reggae. Jazz. Funk. A nawet zouk. Słuchali moich płyt. Słyszeli rocka. Sprzedawały się jak ciepłe bułeczki. A oni myśleli o singlu z etniczną muzyką.

Cieszę się, że śpiesz, głupku, inaczej nie mógłbym tak się nad sobą użalać. Chyba wiem, co myślisz, kiedy to robię. Mówisz sobie, że dużo byś dał, by mieć takie problemy. Bo naprawdę tkwisz w gównie. A ja nie. To nieprzyzwoite. Zdaję sobie sprawę. Wiesz, ile kosztuje moja kurtka? Dwa miesiące twojego czynszu, facet, dwa miesiące. I nawet nie będę ci mówił, ile dałem za trepy. Na szczęście nie zapomniałem o poczuciu winy.

Noszę w sobie potwora, który zaczął wzrastać, kiedy uświadomiłem sobie, że jestem dla innych ważny. Wiesz, ta chwila, gdy wchodzisz na scenę, a przez salę przebiega szmer. Jest straszny albo cudowny. Słyszałem jeden i drugi. Ale kiedy to przybrało gigantyczne rozmiary, potwór przejął kontrolę i zaczęło się piekło. Wyjście na scenę w świetle reflektorów to jak wejście do rozpalonego pieca. Dokładnie w tym momencie – i godzinach, które je poprzedzają – czuję się jak zbite i skarcone dziecko, które zamykają w szafce pod zlewem. Jakby patrzyło na mnie czyjeś oko i widząc mnie w roli uwielbianej gwiazdy, złościło się i zapędzało mnie do kąta, żeby mi spuścić manto, jakiego nigdy wcześniej w życiu nie dostałem. Szczeniaku, mówi do mnie jakiś głos, jak śmiesz? I dostaję łomot, na jaki zasługuję. Za tę przyjemność, po którą chciałem sięgnąć. Nie wiem, skąd się to bierze. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek ktoś zamknął mnie pod zlewem. Dostawałem lanie. Gdybym dzisiaj zobaczył, że jakieś dziecko jest bite, jak ja byłem bity, bardzo bym się wściekł. Ale w tamtych czasach to wydawało się naturalne.

Często się nad sobą użalam. Zbyt często. Wiem o tym, ale to niczego nie zmienia. Czy cieszy mnie, że mam tę kartę kredytową, która sprawia, że ściany wypluwają pieniądze, a ja nigdy się nie zastanawiam, ile właściwie wypłacam? Och, tak. Gdyby pieniądze nie dawały tyle radości, nie byłoby problemu. Ale dają ci więcej radości niż dragi. To ta sama zasada, ale trudniej się od nich uwolnić. I jeszcze ci wmawiają, że nie ma skutków ubocznych.

Mogę zaciągnąć zasłony w twoim pokoju? Tak czy owak śpiesz, to ci nie przeszkadza... Jestem wampirem, przysięgam. Nie cierpię świtów.

Pierwszym skutkiem ubocznym pieniędzy jest strach. Ten narkotyk jest wyjątkowo

czysty, strach przed brakiem wymyka się spod kontroli. Jeśli jutro nie będziesz mógł wejść do salonu, gdy przyjdzie ci do głowy, by podarować sobie mały klejnot, mercedesa, wykończysz się. Pieniądze szepczą ci na ucho: bez nas jesteś niczym, i chcesz mieć ich jeszcze więcej, bo zżera cię strach, a im więcej masz, tym większy tworzysz dystans między tym, kim teraz jesteś, a tym, kim zostaniesz, jeśli zbroczysz z drogi: kloszardem.

Pamiętam swój pierwszy występ w telewizji, w Canal Plus, bo w tym dniu odkryłem samotność. Po koncercie na żywo wytwórnia płytowa urządziła fetę – nie byłem już lokalną gwiazdą, stałem się osobą, do której każdy chce się zbliżyć, ale którą wszyscy mają gdzieś. Byłem otwartą bramą, musiałem wszystkim zagwarantować dostęp. To nie było specjalnie cool. Nie byłem zachwycony, że byle kto podchodzi do mnie, żeby mi powiedzieć, co myśli o moim ostatnim kawałku co myśli o moim ostatnim występie w telewizji o mojej fryzurze o miksie ostatniej płyty o okładce o moich odpowiedziach w wywiadzie o słowach moich piosenek. Czekali na kolejną, która będzie świeższa, bardziej egzotyczna – byłem gościem na fali, pluszakiem, o którego można się wybrandzlować. To nie był najlepszy moment w moim życiu. Każdy muł z okolicy czuł, że ma prawo czegoś ode mnie oczekiwać. Wchodzę gdzieś i jakiś tłuk biegnie mi powinszować: och, miałem nosa, dokładnie tak sobie pana wyobrażałem. „Tak” miało znaczyć, że kaleczę język francuski, facet uważał to za egzotyczne. Lub przeciwnie, mówi, wydymając wargi na znak zawodu i niedosytu: spodziewałem się zobaczyć kogoś bardziej dzikiego.

Vernon, nie nudzi ci się to chrapanie? Gdybyś był prawdziwym przyjacielem, ocknąłbyś się i mi powiedział: coś ty facet ja nigdy nie przestałem cię lubić jakby nic się nie wydarzyło. Ponieważ ty niewiele się zmieniłeś. Zostałeś w swoim sklepie, nigdy nie okazałeś mi wyższości, by zademonstrować, że nie robię na tobie wrażenia.

Potem nadeszła pierwsza dekada dwudziestego pierwszego wieku, wytwórnie płytowe wypowiedziały umowy artystom, którzy nie przynosili dostatecznych zysków. Byli wzywani kolejno do biura faceta, któremu płacono za to, żeby odchudził firmę. Dyrektorów artystycznych, odpowiedzialnych za to ludobójstwo, wyrzucano za drzwi, gdy tylko zakończyli swą misję, nikt nie chciał spotykać katów na korytarzach. Kiedy ludziom kazano przygotować plan czystek, wiedzieli, że potem przyjdzie kolej na nich. Firma zaczęła przypominać obóz koncentracyjny. Lapidarne prawa, zmienne decyzje, zarządzanie wytwórnią przez ekspertów od produkcji lemoniady, samobójstwa, selekcja, groźby... I wymuszona uległość, która się z tym wiąże. Nie przeszkadzało nam to grać rocka, hip-hopu, muzyki kontestującej. Ponieważ mówiono nam, że nie ma w tym sprzeczności, tylko opóźnieni w rozwoju zadawali sobie jeszcze jakiekolwiek pytania.

Moja wytwórnia mi nie podziękowała. Przeciwnie, w tym czasie tacy ludzie jak ja zaczęli zapełniać stadiony. Święte krowy, które wieczorem wracały do zagrody ze spuszczoneymi łbami, jak potulne krasule. Nie ma żadnej strategii. Nikt nie proponuje ci narkotyku, żebyś przez cały dzień stał w boksie i pozwalał się doić, nie mogąc ruszyć się o centymetr. Ale, spoko, narkotyki istnieją i właśnie do tego służą. Wieczorem wyprowadzają cię z klatki i pokazują na scenie, klepią cię po boku: ty to masz szczęście. I ćpasz, bo gdybyś w ciągu dnia miał choćby godzinę trzeźwości, na pewno byś zrozumiał, kim się naprawdę stajesz.

Znalazłem mój rytm – dragi. Joint przed kawą, alkohol do śniadania, pierwsza kreska, gdy wstawałem od stołu, a wieczorem zależy, rozpuszczałem wici. Ale nigdy nie byłem trzeźwy. Nie pisałem już żadnych piosenek. To nie był problem: stare stawały się przebojami i dzwonekami w telefonach. Nieźle się tak zarabia na życie.

Charakter jest jak kamień na brzegu wody: trzeba czasu, by żywioły pozostawiły na nim ślad swojego przejścia. Z początku jesteś czujny, pilnujesz się, jesteś uważny. Jednak na dłuższą metę się rozleniwiasz, rozluźniasz. Przystosowujesz się, jakbyś niszczył sam siebie. Zdolność adaptacji sama w sobie nie jest czymś nagannym. Wszystko zależy od systemu, do którego się dostosowujesz, od tego, czego od ciebie wymaga. Bo uległość szybko zmienia się w zdolność patrzenia w inną stronę, gdy idziesz obok rzeźni... Myślałeś już o tym kiedyś, Vernon? Ile ludzkich jednostek będzie można zgładzić w ciągu jednego dnia, biorąc pod uwagę postęp, jaki dokonał się w przemyśle mięsny? I nie mów mi, że gdy przetestujemy na nielegalnych imigrantach i bezdomnych zaawansowaną technologię ćwiartowania ludzi, opamiętamy się, mówiąc: nie, to niedopuszczalne. Od lat jesteśmy ofiarami przemocy ze strony rządu. Zachowujemy się jak bite żony, które oglądamy w filmach dokumentalnych: pod wpływem strachu zapomnieliśmy o podstawowych zasadach sztuki przetrwania. A kiedy zaawansowane technologicznie ćwiartowanie ludzi okaże się skuteczne, zobaczymy, jak naszych bliźnich wiozą do rzeźni, i będziemy mogli tylko drzeć w samotności, nie mogąc się z tym pogodzić. Nasi sąsiedzi włożą hełmy, ciemne okulary, zażyją pastylkę i pójdą obrabiać sklepy. Pastylki staną się naszymi najlepszymi przyjaciółmi. Niewielu ludzi ma chęć myśleć o tym, co zrobili w ciągu dnia, kiedy zapada zmierzch.

Nadal śpisz? Mam ochotę mówić, a ty sobie chrapiesz. To u ciebie lubię, nigdy nie jesteś na bieżąco, ale też naprawdę nie wleciesz się w ogonie. Żyjesz synkopą, facet. Chrzanię to, i tak będę do ciebie mówił: śpisz, ale tu jesteś. Kiedyś mnie wysłuchasz. Muszę zostawić to wszystko właśnie tobie.

Nie było żadnego punktu zwrotnego. Nie było wydarzenia, które należałoby oznaczyć białym kamieniem. Przedłużająca się prezentacja w zamkniętym środowisku: w kręgach



władzy. Byłem wrzodem na dupie. Pierwszej kategorii. Był to jedyny sposób, żeby zaprotestować. Musiałem łykać wszystko, bez gadania. Jęczałem, ale się nie broniłem. Łykałem wszystko, co mi wpychano do gardła. Miałem wrażenie, że ze mną jest jeszcze gorzej, bo stawiano mnie w witrynie, wszyscy widzieli, na co się zgodziłem. Na finiszu zostałem poddany przepisowej kuracji: w systemie totalitarnym zgoda na upokorzenie jest oznaką dobrego wychowania.

Straciłem całą spontaniczność. Nie mogłem umyć sobie żołądki, nie zadając sobie pytania, czy Alex Bleach zrobiłby to w ten sposób i co powiedzieliby na to hejterzy w necie. Nie mogłem już spokojnie wykonać żadnego gestu. Piłem dużo gorzały, by przestać się kontrolować. Głosy innych gasną po odpowiedniej dawce alkoholu. Więc jak miałbym być świadomy tego, co mi się przydarza? Straciłem się z oczu, byłem na wzburzonym morzu i robiłem wszystko, żeby nie utonąć.

Satana umarła. Wtedy coś do mnie dotarło. Pamiętasz Satanę? Dziwię się, że się nie budzisz, słysząc jej imię. Miałem wiele narzeczonych, Vernon, ale żadna nie interesowała tak bardzo moich kumpli jak Vodka Satana. Kiedy umarła, nie odezwałem się słowem. Wtedy zrozumiałem. Co to znaczy. Żyć i robić wszystko jak żywi. Ale być już poza. To, że nie powiedziałem słowa, mogę jeszcze przeboleć. Najbardziej szokuje mnie to, że przez wiele miesięcy sądziłem, że to w końcu normalna rzecz. Smutna i niesprawiedliwa. Ale w sumie logiczna. I kiedyś w lutym poszedłem w Marsylii na plażę, rano, całkiem sam, nazajutrz po koncercie, i patrzyłem na wrotkarzy z nadzieją, że któryś się wywróci. W barze w głośnikach leciały *Elektroniczne Cyklady* Buralata. I przez chwilę siedziałem znów obok Satany, w Grecji, gdzie byliśmy razem. Miałem ten numer na moim iPadzie, słuchaliśmy muzyki, każde w swoich słuchawkach złączonych jednym jackiem. Weszła w trans – potem to był jej ulubiony kawałek do poduszki, lecz za pierwszym razem splotła palce z moimi i była to wyjątkowo przejmująca chwila, czasem się takie zdarzają, chwile o większej głębi, kiedy płyniesz pod wodą i nagle pod twoim brzuchem otwiera się przepaść. Słuchając *Cyklad*, odnalazłem Satanę i przejrzałem na oczy. Byłem przekonany, że została zamordowana, i uznałem, że to smutne, ale jednak normalne. Zagubiłem się, Vernon. Zupełnie.

Poznałem ją przed Olimpią. Z jednym kumplem, Gabrielem, szliśmy na koncert Davida Bowie. Miała bilet, ale trzeba było sterczeć w kolejce, żeby wejść, i Gabriel, który ją znał, powiedział, żeby poszła z nami, ominęliśmy wszystkich. Bo taki facet jak ja nie może czekać w kolejce z innymi. Każdy chciałby mieć zdjęcie z VIP-em. Żeby posłuchał twojego kawałka, dał ci numer do innego wokalisty, zagrał w twoim barze, posłuchał, co sądzisz o wydaniu jego albumu, wziął cię na gitarzystę podczas swojego najbliższe *tournee*. Satana miała na

sobie krótką spódniczkę w kratę i T-shirt z grupą Ramones, z wyciętym nożyczkami pięknym dekoltem. Jej piersi nie próbowały udawać naturalnych. Nie wiedziałem, kim jest. Ale gdy weszliśmy do sali, zauważyłem, że ludzie się jej przyglądają. Zastanawiałem się, czy jest prezenterką telewizyjną, Gabriel wybuchł śmiechem, a Satana powiedziała: „Jestem gwiazdą porno”. Byłem zszokowany, że powiedziała to z dumą. W tamtych czasach była tak samo popularna jak Zidane. Musiałem widzieć ją w jakimś filmie. Oglądałem je w każdym hotelu, w którym się zatrzymywałem. Ale nie zależało mi na tym, by dowiedzieć się czegoś więcej o dziewczynach grających w tych filmach.

Aktorki porno nie są do siebie podobne, będąc z Sataną, poznałem kilka innych, można tam znaleźć wszystkie charaktery, romantyczne gęsi i sprzedajne dziwki, pełny zakres... Także dziewczyny postrzelone jak ona. Kiedy siadła obok mnie w sali koncertowej, zapragnąłem jej. Widziałem, że ją interesuję, ale była dość bystra, by wiedzieć, że nie powinna tego pokazywać. Dziś wieczór myślę o niej: była jak duże dziecko z mieczem gladiatora u pasa. Ruszała do walki, ogłuszona przez własną artylerię, ale szła na front z determinacją, która mnie wzruszyła. Przywykłem do tego, że dziewczyny chcą się ze mną przespać. Nie, jeśli o to chodzi, nie użalam się na uprzedzenia rasowe. Nawet jeśli istnieją, zawsze działają na korzyść mojego libido. Ale Satana pożałowała mnie w sposób, który mi się podobał. Lubię olśniewające dziewczyny i rzadko zdarzało mi się spotkać kogoś, kto by mnie tak przyćmiewał.

Już nazajutrz Satana wysłała mi esemesa na telefon Gabriela pod jakimś głupim pretekstem. Spotkaliśmy się od razu i poszliśmy do łóżka. Miała fajne ciało, które od razu przypadło mi do gustu. To była Betty Boop. Lubiła błaznować. Biegała po domu z gołym tyłkiem, wykrzykując świństwa, jej obecność przypominała trochę obecność ptaka. Miała niewiarygodny zapach, byłem z tą dziewczyną szczęśliwy. Długo nigdzie się z nią nie pokazywałem. Widziała, że nie chcę się z nią afiszować. Myślałem o mojej matce. Czują się skrepowana, gdy przyjeżdżałem do wioski, żeby się z nią zobaczyć, bo każdy mógł mnie rozpoznać – nie chciała być matką wokalisty rockowego, uważała to za coś wstydlivego. I patrzyła podejrzliwie na pieniądze, które zarabiałem. Więc wyobrażałem ją sobie, jak otwierając „Voici” u swojej fryzjerki, widzi mnie pod rękę z aktorką grającą w filmach porno... Ale w końcu wołałem robić dobrze Satanie niż mojej rodzinie. Bardzo lubiłem tę dziewczynę.

Nie byliśmy z sobą zbyt długo. Jestem rozchwytywany, Vernon. To bardziej skomplikowane. Nie o to chodzi, że natykam się na jakąś niezłą laskę i wieczorem, po powrocie do domu, zajmuję się czymś innym. Te laski, na których widok zapiera ci dech, za wszelką cenę chcą zaciągnąć mnie do łóżka. Odmawiasz raz i drugi, a za trzecim się budzisz,

tylko idiota opierałby się takiej pokusie. Uwielbiałem Satana. Chciałem być facetem, który ją uszczęśliwia, który ją rozpieszcza, który ją rozśmiesza. Ale byłem facetem, który sprawiał, że cierpiała, bo zdradzałem ją bez powodu. I w którego domu w lodówce zawsze leżała schowana kokaina. Wciągnęła się. Widziałem. Nie spała przez cztery noce z rzędu, mówiła od rzeczy, widziałem, jak odlatuje. I myślałem sobie, kurwa, nie mogę wyrzucić jej z domu w tym stanie, najpierw muszę jej pomóc do siebie dojść. Powinienem był powiedzieć: okej, dziecino, odwołuję wszystko, wsiadamy do samolotu i razem zaczynamy detoks, później zobaczymy, co z nami będzie, a powiedziałem: „Trzeba się pilnować, dziecino. Przyhamuj trochę...”. Pakując walizki, żeby wyjechać z inną. Miała andaluzyjskie napady zazdrości, a ja myślałem już tylko o tym, żeby jak najszybciej się wymiksować. Ale wracałem. A ona czekała. I cieszyłem się, że znów ją widzę. Więc to trwało. Nigdy nie wyjechałem, nie upewniając się, że zapasy koki i stilnoxu pozwolą jej dotrzeć do mojego powrotu. Wsuwałem jej słomkę w nos, gdy tylko wyszła spod prysznic, i powtarzałem: „Trzeba się pilnować, dziecino”. Kochałem dragi bardziej niż swoją dziewczynę. I tak się o nią troszczyłem. „Trzeba się pilnować, dziecino”. Satana dobrze tańczyła. Miała ciało pod napięciem, nawet kiedy była w najgorszym stanie. Patrząc, jak się porusza, wiedziałeś, ile jest wart jakiś numer. Jeśli siedziała, znaczyło, że jest do niczego. To dzięki niej zacząłem znów komponować. Było mi z nią dobrze. Czuję się bezpieczny. I w momencie gdy nikt już się nie spodziewał, że jestem do tego zdolny, wydałem płytę. *Z dala od serca* było wielkim hitem, pamiętasz. Nikt się nie spodziewał takiego sukcesu.

Tymczasem ona się pograżała. Przestała grać w filmach. Chciałem jej pomóc, ale choć wszyscy chcą poznać dziewczynę grającą w pornograficznych filmach, każdy miał jej tylko jedno do zaproponowania: „Nie pokazałabyś mi, jak się ruszasz?”. Mówiła: „Czy żałuję, że grałam w pornosach? Codziennie. Bojkotują cię. Wprowadzają cię do holu, urządzając fetę na twoją cześć, ale gdy wejdiesz do środka, nie znajdują twojego nazwiska na liście zaproszonych i patrzysz, jak ludzie zostawiają płaszcze, żeby zjeść swój kawałek tortu, a ty zostajesz w szatni. Forever. Żałuję. Dlaczego nie pracowałam jako dziewczyna do towarzystwa? Znacznie mniej problemów. Chciałam, żeby ludzie na mnie patrzyli. Nie byłabym z tobą, gdybym nie grała w pornosach. Nigdy bym się do ciebie nie zbliżyła. To skomplikowane. Wszystko, co dobre w moim życiu, zawdzięczam tej branży. Ale z chęcią obyłabym się bez tony gówna, jaka się z tym wiąże. Nie mogę nawet widywać się z moją córką. Jak niby miałabym odbierać ją z przedszkola? Już lepiej, żeby ojciec się nią zajmował. Jest w porządku. W życiu nie można też zepsuć wszystkiego. Co miesiąc wysyłam im pieniądze. Tak czy owak, to mi w zupełności wystarcza. Nie jestem stworzona do

macierzyństwa. Nie bardzo wiem, co mam z nią robić, kiedy u mnie jest. Ale jednak...”. W domu krwawiła z nosa, kapało wszędzie, zanim się zorientowała i zaczęła chodzić z chusteczką przytkniętą do nosa, z odchyloną głową. Często dochodziło do kłótni. Ogłaszaliśmy rozejm, było warto. Było z nią coraz gorzej. Machinalnie poruszała szczęką na boki, wrywała sobie brwi, kiedy coś mówiła. Chciała pobić dozorczynię, wytoczyć proces ludziom, z którymi kiedyś pracowała. Zaczęła się trasa promująca płytę *Z dala od serca* i nigdy nie było mnie w domu. Nie zależało mi na tym, by wracać jak najczęściej. Jej częste zmiany nastroju stały się nieznośne. Zakochała się w jakimś gliniarzu. Przysięgam. Spakowała się, żeby uciec do jakiegoś gliniarza. Byłem oburzony. Niewierność nie wyklucza zazdrości, ale tego, że rzuciła mnie dla byle krawężnika, długo nie mogłem jej wybaczyć.

Byliśmy bardziej rozluźnieni, nie będąc już parą, niż wtedy, kiedy mieszkaliśmy razem. Satana była jedną z niewielu dziewcząt, z którymi chodziłem i które pozostały moimi przyjaciółkami. Lubiłem się z nią widywać. Często do niej dzwoniłem i odpowiadałem na jej wiadomości. Zaczęła opowiadać, że ktoś ją obserwuje. Nie uwierzyłem jej. Opowiadała taką historię. „Jeden facet zapytał, czy chcę zagrać w filmie, powiedziałam: tak, czemu nie. W ostatniej chwili zadzwonił do mnie asystent, by mi powiedzieć, że spotkanie z producentem odbędzie się wieczorem, jeżeli nie mam nic przeciwko. A ponieważ jestem idiotką, odpowiedziałam, że to mi nie przeszkadza. Oddzwoniłam do gościa, który mnie w to wkręcił, a on potraktował mnie z góry – to nie jest byle kto, wiesz, to wielki producent. Facet zerznął mnie na kanapie w swoim biurze, przysięgam, że nie miałam okazji powiedzieć mu ani tak, ani spadaj. Zadał mi dwa pytania i zapiął mnie od tyłu, był tak nachalny i brutalny, że chciałam mu przyłożyć, skończył, a ja poczułam się jak ostatnia idiotka, praktycznie nie powiedziałam słowa”. A ja próbowałem relatywizować, facet z pewnością pomyślał, że jest chętna, „wiesz, my, faceci, jesteśmy palantami, widzimy dziewczynę, która gra w pornosach, i myślimy, że zmywa naczynia w bieliźnie i na wysokich obcasach”. Potem zrozumiałem, że później widziała się z tym typem i że nie miała ochoty o tym mówić. Brała coraz więcej. Od czasu do czasu opowiadała niesmaczne historie. „Przeszliśmy od libertyńskiej orgietki do tego. Faceta podnieca, gdy może mnie sponiewierać. I nigdy nie ma dość. Posuwają mnie starcy, sikają na mnie, wiążą mnie w piwnicy. Nie ma temu końca. Kupuje mi kokę. W południe myślę: nigdy więcej nie zobaczę się z tą świnią, a wieczorem jestem u niego w domu. Gdy się wrywam, trzymają mnie. Gdy płaczę, kontynuują. To jego schiz. I wracam do domu. Ma towar, ma kasę. Jestem niczym”.

A ja mówię to straszne: dziecino, wyluzuj. Jestem z tobą. Możesz zostać u mnie, masz tu wszystko, czego ci trzeba, i jeśli chcesz, znajdziemy ci jakąś dobrą klinikę. Ona patrzy na mnie

z odrazą, „lepiej się czuję w tym cholernym gównie niż u ciebie. Przez nikogo tyle nie wycierpiałam, co przez ciebie”. Źle to odebrałem. Nie dzwoniłem do niej przez jakiś czas.

Wróciła w okropnym stanie. Wymieniała nazwiska. Znanych ludzi. Nie było wiadomo, w którym miejscu konfabuluje, a w którym mówi prawdę. Straciła rozeznanie. Miała posiniaczone ciało. Mówiła, że spała z wieloma politykami, że sporządziła listę i że zacznie mówić. Opowiadała niestworzone rzeczy. Nie chciała mojej pomocy, wybuchwała śmiechem. „To zbyt niebezpieczne lepiej żebyś nie wiedział ale to prowadzi bardzo daleko wszystko wywlokę na światło dzienne. Powiedziałam mu teraz sprawa jest prosta jeśli chcesz bym milczała drogo za to zapłacisz. Powiedział że mnie zabije. Powiedział że mnie zabije i to zrobi”.

Nie przejmuj się, dziecino, nic ci się nie stanie. Jeśli chcesz, opłacę ci dwutygodniową podróż do Los Angeles. Zawsze uwielbiałaś Los Angeles... Nie, nie mogę ci towarzyszyć, jestem zbyt zajęty.

Satana została u mnie cztery dni. Dogadzałem jej. Troszcząc się o nią, uspokajałem sumienie. Trzeba przyznać, że dobrze się spisałem: mówiła bez przerwy, plotła trzy po trzy, z jej opowieści nie można było niczego zrozumieć. Bała się, że umrze. Przynajmniej to było jasne.

I któregoś wieczoru powiedziała: „Muszę stąd wyjść”, a ja wiedziałem, co to znaczy. Ponieważ ograniczałem jej dawki, chciała gdzieś zdobyć gram i sprawić sobie przyjemność. Była w takim stanie, że sama nie dałaby sobie rady. Narobiłaby głupstw. Ale miałem już dosyć jej obecności. To było zbyt bolesne. Pomyślałem: kurwa, jaki byłem z nią cool, jakbym przypinał sobie na piersi medal. Taki dobry facet.

Kilka dni później nie żyła. Mieszanka środków uspokajających, kokainy, alkoholu i serce nie wytrzymało. Od razu zaczęto mówić o samobójstwie, ponieważ grała w pornosach, a wszyscy myślą, że „takie dziewczyny” muszą – albo powinny – chcieć jak najszybciej umrzeć.

Powtarzała mi setki razy: „Powiedział że mnie zabije i nie wiem gdzie mam się ukryć mówił że mnie zabije”.

I wiesz, co zrobiłem? Myślisz, że zadzwoniłem choćby do jednego znajomego dziennikarza, żeby powiedzieć: może warto przyjrzeć się temu bliżej... Nie, Vernon, nie. Z nikim nie rozmawiałem. Włożyłem mój najpiękniejszy garnitur, żeby pójść na jej pogrzeb, i płakałem za ciemnymi szklami swoich ray-banów. I w gruncie rzeczy uważałem to za normalne. Odrażające i smutne. Ale ta laska była stracona, nie? To było straszne, bo ją uwielbiałem. I pomagałem jej aż do końca, nie? Podczas kremacji ścisnąłem dłonie,

przybierając pozę załamane go faceta. Byłem jej przyjacielem.

Najgorsze było to, że gdyby przeżyła to piekło z jakimś golcem, może naprawdę bym się wściekł. Ale Dopalet to gruba ryba, jednak pamiętałem, że faceta tego rodzaju lepiej nie ściągać sobie na kark. Zbyt potężny. *Way out of my league...*

Tylko czasem, gdy byłem zbyt naćpany, dzwoniłem do niego. Taki jestem odważny. Dzwonię do niego i mówię, że wszystko wiem i że jest kutasem. Nie lubi tego. Odpowiada, że powinienem zacząć bardzo na siebie uważać.

Vernon, kutasie, śpisz jak zabity. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Boję się. Jest mi wstyd. I wcale się nie łudzę: nikogo by to nie obeszło. Znasz to żydowskie powiedzenie: „Nigdy nam nie wybaczą zła, które nam wyrządzili”? Żydzi to cholerni optymiści. Na przekór wszystkiemu chcą wierzyć w bliźniego. Prawda jest taka, że nigdy nam nie wybaczą, że nadal żyjemy. Nigdy spokojnie nie zasną, dopóki będą wiedzieli, że sprawia nam to swego rodzaju przyjemność.

Od kiedy Aïcha stała się pobożna, ogłasza wszem wobec, że zajmowanie się domem to jej rola i że ten podział obowiązków między mężczyzną a kobietą bardzo jej odpowiada. Ale to czysta teoria. Rozwiesza pranie, wyjmuje naczynia ze zmywarki. Jeśli chodzi o resztę, Sélim może ją prosić o pomoc dowolnym tonem, zawsze ma coś bardzo pilnego do zrobienia. Pochylony nad koszem, sortuje brudne ubrania, by wyprać czarne rzeczy. Przywykł się wszystkim zajmować. Czerpie niejaką dumę z faktu, że sprawnie steruje domowym okrętem. Aïcha dorastała w domu, w którym zawsze panował nienaganny porządek. Tak jak i on wcześniej. Mama Sélima była wyjątkową gospodynią domową. Kiedy był małym chłopcem, lubił mieć pewność, że po powrocie do domu zostanie wszystko na swoim miejscu, że krany będą lśniły, gdy będzie mył ręce, że w porze obiadu obrus będzie nieskazitelnie czysty i równo rozłożony na stole. Aïcha jest do niego podobna. Skrupulatna, bałagan budzi w niej lęk. Sélim zawsze znajdował czas, żeby się zająć domem. Tak jak zawsze starał się być w domu, kiedy Aïcha odrabiała lekcje, i nie opuścił żadnej wywiadówki. Gdy Aïcha chodziła do szkoły podstawowej i gimnazjum, nikt nie robił mu uwag na temat pochodzenia. Francja znalazła się na zakręcie – kiedy była w drugiej klasie liceum, zaczęto mu gratulować, że ojciec muzułmanin wychowuje córkę. Kiedyś jeden z rodziców zapytał go poufałym tonem, dlaczego nie wybrał dla córki francuskiego imienia. „Szkoda. Można by pomyśleć, że pochodzicie z Hiszpanii”. Był zaskoczony. Dopiero po kilku godzinach ogarnęła go wściekłość. Jak odpowiedzieć na ten atak szaleństwa, który wstrząsał krajem?

Jest dumny, że zrobił, co mógł, by być dobrym ojcem. Czerpie dumę z wielu rzeczy, którymi ludzie gardzą. Wśród przyjaciół czy kolegów trudno byłoby mu wskazać jednego, który doceniałby to, że ktoś jest dobrym ojcem. Wszyscy mają gdzieś najistotniejsze sprawy. Mają inną skalę wartości. Uważają, że lepiej by zrobił, poślubiając jakąś młodą wieśniaczkę, która zajęłaby się domem, by on mógł się poświęcić karierze naukowej. Kiedy zrozumiał, że matka jego córki stała się Vodką Sataną, profesjonalistką w dziedzinie rozpusty i gwiazdką kina porno, musiał się zdobyć na nadzwyczajny wysiłek, żeby nie zwariować, ale także by nie wyłupić jej oczu, wyzywając ją od najgorszych. Sięgnął do najgłębszych pokładów swojego jestestwa, żeby pogodzić się z sytuacją i zachować się jak mężczyzna: wypełniać swoje obowiązki i opiekować się córką. Ludzie z jego otoczenia uznali, że jest mięczakiem, że jest mało męski. Gdyby spróbował odszukać żonę, włókł ją za włosy po ziemi, uderzył w twarz kolanem, gdyby własnoręcznie wyrwał jej serce, gdyby konwojowany przez gliny wrzeszczał: chciałbym, żeby ta kurwa ożyła, abym mógł zabić ją jeszcze raz!, sprzedawano by teraz T-

shirty z jego podobizną, domagając się dla niego amnestii. Dzisiaj to narodowa mantra: chwała największym szaleńcom, chwała najgorszym bestiom. A kobiety zgadzają się z tym jako pierwsze. Nie lubią wrażliwych mężczyzn. Chcą, żeby ktoś dał im popalić, marzą o silnej ręce, marzą o gościu w podkoszulce, który pyta, co jemy dziś na kolację, bekając przed telewizorem. Nawet jego córka. Oddałaby za nią życie. Nie jest pewien, czy nadal go kocha. Gardzi tym, co on sobą reprezentuje, inaczej by tego nie zrobiła. Modlitwa jest wymierzona w niego, tak jak hidżab i ciągle powtarzane sury.

Starał się być ojcem, jakiego sam chciałby mieć. Jego ojciec zmarł, był jeszcze taki młody, i zapadła noc, matka krzyczała, telefon zadzwonił, ale w ogóle tego nie pamięta, pamięta wrzask starszej siostry Louisy, która była niższa od matki, kiedy z płaczem ją obejmowała. Tego dnia ojciec spadł z dachu. Poczekano do wieczora, by powiadomić rodzinę. Gdyby ktoś zadzwonił do nich wcześniej, może zdołaliby się z nim pożegnać. Nigdy się tego nie dowiedział. Podobno kierownik budowy zwlekał z ujawnieniem jego tożsamości. Ilu Algierczyków, którzy przyjechali do Francji pracować, zginęło na budowach, bo Francja chciała żyć na odpowiednim poziomie i musiała się rozwijać jak najmniejszym kosztem?

Gdy jego ojciec zmarł, Sélim był tak mały, że nie umiał jeszcze zawiązać sobie butów. Pamięta, że w dniu pogrzebu siostra nachyliła się nad nim, żeby mu pomóc, ciągnęła język buta, by mu ułatwić zadanie. Ich matka nigdy dotąd sama nie wsiadła do autobusu. Tylko kuchnia, supermarket na dole, czasem sprzątanie u kogoś w sąsiedztwie. Nie było potrzeby oddalać się od domu. Słabo mówiła po francusku. Na tyle, żeby zrozumieć, o czym dzieci mówią między sobą lub czego chce listonosz, kiedy dzwoni do drzwi. Ale rozmawiała tylko z innymi kobietami z Oranu mieszkającymi w dzielnicy. Pewnie się bała, że nie będzie w stanie nauczyć się nowego języka. Śmierć ojca wszystko zmieniła. Nauczyła się pisać. Najpierw ich nazwisko i adres, po jakimś czasie umiała zapytać ludzi o drogę, powiedzieć, która jest godzina, poznała nazwy rzeczy, które kupowała. Wyemancypowała się na swój sposób. Jego matka była bardzo zabawna. Niezrównana w obnażaniu ludzkich słabostek i wyśmiewaniu ich. W ich domu często panowała radosna atmosfera. Mogła się nagle wściec i zapomnieć o tym w ułamku sekundy, bo coś zabawnego odwróciło jej uwagę. Była zdolna wybuchnąć śmiechem z kapciem w dłoni, którym już miała przyłożyć któremuś ze swoich dzieci, nie potrafiła długo zachować powagi. Będąc wdową, nigdy więcej nie odwiedziła kraju. Nigdy tego nie wyjaśniała, nie należała do ludzi, którzy urządzają konferencje prasowe, by opowiadać o swoich nastrojach. Może chodziło o wydarzenia z lat dziewięćdziesiątych, a może o jakieś motywy osobiste... Nie jeździła już do Oranu, ale była zawiedziona, że Sélim nie chciał odbyć tam służby wojskowej. Na pierwszym miejscu postawił swoje studia, nie



chciał stracić dwóch lat. Nie ośmielił się powiedzieć, że ma w nosie służbę wojskową w tym czy innym kraju, a zwłaszcza nie widzi powodu, by miał to robić na tej zapadłej prowincji... Jego brat Abdel po dwóch latach omal tam nie zwariował – jeśli Francuzi nie widzieli w nich zwyczajnych obywateli, faceci stamtąd też nie bardzo ich lubili. Chłopcy, którzy przez dwa lata służyli w Algierii, rzadko wracali z uśmiechem na ustach. Dostali niezły wycisk, wstydzili się o tym mówić, a po powrocie czuli się jeszcze bardziej zdezorientowani: ludzie znikąd, pogardzani po obu stronach granicy. Ale matka wołała, żeby jej synowie nie robili z tego problemu. Trudno się było przyznać przyjaciółkom z dzielnicy czy rodzinie, która tam pozostała, do takiego syna jak Sélim. Kobiety z dezaprobatą kręciły głowami, gdy im opowiadała, że chce nauczać we Francji, mówiły, że najważniejsze, by przypadkiem nie trafił do więzienia, ale tak naprawdę sugerowały: biedaczko, twój syn nie ma żadnego szacunku dla rodziny, jest nikim, twoja sytuacja jest godna pożałowania, całe szczęście, że masz jeszcze dwoje innych dzieci. Louisa i Abdel sprawiali mniej kłopotów. Jemu matka musiała wciąż powtarzać, żeby przestał się łudzić: „Myślisz, że ktoś tu na ciebie czeka z otwartymi rękami? Myślisz, że przyjechaliśmy tu dla zabawy?”. Nigdy nie była z niego dumna. Odetchnęła z ulgą, kiedy przedstawił jej Satanę. Nie była Francuzką. Nie była też do niego podobna. Ładna, nieskomplikowana dziewczyna. O tym, kim stała się później, nikt, o ile mu wiadomo, nie poinformował jego matki. Przeklęła ją za to, że porzuciła córkę i męża, i na tym koniec.

Aïcha nie miała matki. Musiała się zadowolić tym opiekuńczym i dobrze zorganizowanym ojcem. Który rzadko się śmieje. Nie odziedziczył dobrego charakteru po matce. Im starsza była Aïcha, tym rzadziej zdarzały się im okazje, żeby się razem pośmiać. Wydarzyło się wiele rzeczy, które zrozumiał zbyt późno.

Sélim nastawia pralkę na trzydzieści stopni i siada przy biurku. Jest skonsternowany, ma tyle zaległej pracy. Większość czasu zajmuje mu planowanie, stara się być metodyczny i zaczyna pracę od najpilniejszych spraw. Maile stały się dla niego prawdziwym problemem. Co robiono z całym tym wolnym czasem w latach dziewięćdziesiątych, kiedy nie trzeba było odpowiadać na wiadomości? Baptiste nie może poprowadzić najbliższego seminarium, musi pojechać do Awinionu na urodziny córki. Zapomniał, że wypadają właśnie w tym miesiącu, gdy zaakceptował proponowane daty. Wszystkich wkurza tymi swoimi dziećmi. Ma dwoje, każde z inną kobietą, jego nowa partnerka nie ma trzydziestu lat, wkrótce będzie trzecie, to pewne. Baptiste jest chyba jedyną dorosłą osobą na uniwersytecie, która robi sprawę publiczną ze swych rodzicielskich obowiązków. Żadna kobieta nie pozwoliłaby sobie na coś podobnego. Maurice odwołał wykłady w tym tygodniu, jest dyrektorem programu doskonalenia zawodowego i ma poważne kłopoty, w jego ośrodku doszło do defraudacji

funduszy i ktoś podrobił jego podpis. Niewykluczone, że postawią mu zarzuty, jakby nie miał dość kłopotów. Laurence zadarła z całą grupą studentów, skarżą się na jej autorytaryzm. Uważa, że to seksizm. To znakomity pedagog, lecz w tym momencie nie bardzo daje radę. Nie przychodzi na umówione spotkania i nie odpowiada na maile, choć tego ranka wysmarowała wyjątkowo długą i napastliwą wiadomość na temat pewnego studenta, któremu nie podoba się sposób, w jaki prowadzi ćwiczenia. Jeśli tak dalej pójdzie, posypie się cały program. François prowadzący seminarium z technik marketingu politycznego ma załamanie nerwowe. Za każdym razem, gdy ktoś go o coś pyta, wzrusza ramionami, mamrocząc: „Bez względu na to, co zaproponuję, wszyscy mają mnie gdzieś”. Nie wiadomo, jak się do tego odnieść. Nie dostał awansu, na który liczył, i to go kompletnie rozbiło. A teraz jeszcze się męczy, przygotowując zebranie naukowe, na punkcie takich zebrań uniwersytety po prostu szaleją. Na domiar złego Sélim musi się skontaktować ze swoją asystentką Mireille, herod-babą. Jej metoda jest bardzo skuteczna: wrzeszczy, gdy tylko ktoś o coś ją poprosi. Toteż każdy dwa razy się zastanowi, zanim zakłóci jej spokój.

Kiedy Sélim objął funkcję dyrektora programu doskonalenia zawodowego, kupił skrzynkę szampana i zorganizował u siebie przyjęcie. To było dwa lata temu, poczuł się doceniony, w końcu zauważony. Wyobrażał sobie, że będzie mógł zastosować w praktyce kilka pomysłów, na których mu zależało, przekazać więcej wiedzy. Uprzedzono go, że czeka go dużo papierkowej roboty. Nie powiedziano mu, że zmieni się w belfra rozbrykanych pięćdziesięciolatków. Dwa lata temu Aïcha rozpoczęła naukę w klasie maturalnej, był z niej dumny. Dla Sélima, który wychowywał ją sam, sukces córki był uwieńczeniem wszystkiego. Ominęli po drodze wiele raf, był dobrym kapitanem dla swojej małej księżniczki. Spędzili lato w Bretanii. Jeszcze o tym nie wiedział, lecz to był ostatni rok ich komitywy. Ma nadzieję, że to powróci. Bo jesień wyglądała inaczej, niż się tego spodziewał. Jego sektor został jako pierwszy dotknięty cięciami budżetowymi – co można zniszczyć, by nie rzucało się to od razu w oczy? Badania naukowe i edukację. Przy okazji zrozumiał, dlaczego nikt nie utrzymał się na jego stanowisku dłużej niż dwa lata: to była katorżnicza robota. Bez względu na to, ile czasu się jej poświęcało, skutek był żalospny. Rzadziej był w domu. Córka nie sprawiała żadnych kłopotów. Nie był wystarczająco czujny.

Odkryła wiarę. Odebrał to jako oskarżenie tego wszystkiego, co sobą reprezentował. To oznaczało: twoja miłość do francuskiego kina to gówno. Picie wina z przyjaciółmi to gówno. Twój karnet do opery to gówno. Lektura Guyotata i Deleuze’a to gówno. Twoje wykłady o Godardzie czy Pasolinim to gówno, wszystko, z czym się utożsamiasz, wszystko, co kochasz, wszystko, czym jesteś, nadaje się do kosza. Twoje wysiłki twoje pasje twoje

przyjemności twoi przyjaciele: do kosza.

Islam nie wydawał mu się religią głupszą niż inne. Lecz znając go trochę lepiej, Sélim wiedział, że wymaga odrzucenia zmysłu krytycznego. Gdyby jego córka wybrała jakąkolwiek inną religię, też byłby zbulwersowany. Nie wolno ograniczać takiej inteligencji. Oburzało go to, że jego córeczka podporządkowuje swą znakomitą pamięć, zdolność kojarzenia faktów, wielką ciekawość jakiemuś systemowi teologicznemu. Takiego umysłu jak jej nie można pozbawiać lektur, nie można jej zabraniać patrzeć na świat w całej jego złożoności, dając w zamian obskurantkie wywody... Jednak szczególnie zaboląło go to, że córka zwraca się ku religii, którą znał i od której przez całe życie starał się uwolnić. Tak jakby szukała rady u ignorantów. Słyszał o naukowcach związanych z islamem, głupcach powtarzających, że Ziemia jest płaska. Byle kretyń spotkany na ulicy stawał się idolem jego córki, jeśli tylko odmawiał uściśnięcia jej dłoni i miał dość długą brodę.

Nie potrafił się zdystansować. A to doradzali mu przyjaciele. Używali kretyńskich argumentów. Mówili o znaczeniu tożsamości postkolonialnej, chętnie posłucha, w jaki sposób jego córka uwalnia się od kolonialnego dziedzictwa, przesiadując w meczecie, co jeszcze chcą mu wmówić. Inni przeciwnie, korzystali z okazji i dosiadali wyjątkowo narowistych koni, insynuując bez owijania w bawełnę, że lewica popełniła błąd, nie rozwiązując kwestii imigracji w bardziej radykalny sposób. Nie ma pojęcia, co tak naprawdę chcą przez to powiedzieć: więcej więzień, więcej kontroli, a może więcej egzekucji? Rozwiązania rodzące kolejne problemy, jeszcze poważniejsze od tych, które miały rozwiązać. Ma w nosie imigrację. Mówi im o dziewczynce, którą tu wychował. Jego córki nie powinno już wcale interesować, z jakiego kraju przybyli jej dziadkowie. Gdyby pasjonowała się językiem, literaturą, historią swojego kraju albo muzyką grupy etnicznej Gnawa, patrzyłby na to inaczej. Ale z przykrością słucha niektórych kolegów wygłaszających perory na temat prawa dziewcząt do noszenia chusty czy poszukiwania korzeni. To ci sami, którzy płaczą na wieść o śmierci Cháveza. Gdyby jutro prezydent Francji zaczął im opowiadać, że Jezus wyleczył go z raka, kręciliby nosami, ale gdy to się dzieje z tymi biednymi ludźmi, świniętego megalomana można nazywać charyzmatycznym liderem. Ktoś taki jak Chávez wystarczy arabom, tak samo jak Putin ma swoje zalety dla Rosjan. W dniu, w którym córka któregoś z nich poślubi monarchistę, przez dwa tygodnie nie będą wstawali z łóżka, ale gdy jego córka wkłada hidżab, przypominają mu, że to część ich folkloru, i mówią mu o kuskusie i wojnie w Algierii. Właśnie tym stała się dziś ta lewica, która w młodości budziła jego entuzjazm. Z jednej strony ci, którzy wciąż z pobłażaniem mówią o egzotyce: pozwólmy muslimom klepać sury na dywanikach, na więcej i tak ich nie stać. Z drugiej ci, którzy uzurpują sobie wyłączne prawo

do laickości, zachęcając potomków imigrantów, by stali się zaprzańcami, zerwali więzi ze swymi rodakami, by zdobyć medal za wzorową integrację. Uległość, właśnie tego oczekuje się od Araba z jednej i z drugiej strony – by uległ barbarzyństwu swoich albo przemocy francuskiego państwa, nieważne, byle tylko zrezygnował z części swojej godności. A wskazując palcem Araba, wskazuje się też biedaka: jego koledzy z lewicy żądają w gruncie rzeczy, by najubożsi nauczyli się cierpieć w milczeniu. Za sprawą córki Sélim odzyskuje status dziecka imigrantów: staje przed dwoma sprzecznymi wezwaniami. Jest rozdarty. Nie chce pogodzić się z wyborem Aïchy, ale nie chce jej też oskarżać razem z tymi, którzy nie musieli znosić tego, co ona znosiła.

Kochał ten kraj do szaleństwa. Jego szkoły, czyste ulice, jego sieć kolejową, nieprawdopodobną ortografię, winnice, jego filozofów, literaturę i jego instytucje. Ale Francuzi wokół niego nie zamieszkują już Francji, która go urzekła. Cierpią. Nie sposób stwierdzić, co tak bardzo doskwiera tym rozpieszczonym dzieciom Europy. Myśli, że może faktycznie brakuje mu części pamięci zbiorowej: podwójnego upokorzenia w czasie drugiej wojny światowej, które uczyniło z Francji kraj dwukrotnie pokonany – okupowany, a potem wyzwolony siłą. Nie dzieli tego z innymi.

Kiedy to się zaczęło, gdy usłyszał, jak Francuzi zaczynają psioczyć na imigrantów, wychwalając swojego „sikacza i kielbasę”, postąpił jak wielu innych: wolał udawać, że tego nie rozumie. A jednak wszystko zostało powiedziane: tak właśnie widzieli teraz ojczyznę praw człowieka. Wino i świnina. Oto ich wielki program kulturalny. Nawet od prawicy oczekiwaliśmy czegoś innego.

Taka dziewczyna jak Aïcha mogłaby zostać naukowcem, ma to niewiarygodne szczęście, że jest uzdolniona matematycznie, po liceum wszystkie drogi stały przed nią otworem. Ale po spotkaniu z Koranem nie mogła studiować nauk ścisłych. Unika również literatury, która naraziłaby ją na kontakt z moralnym bagnem, kina, rzecz jasna, bo w filmach wszyscy się z sobą parzą. Pozostaje jej studiowanie języków – gramatyka nie nastrecza moralnych dylematów – oraz handel i prawo. Bardziej pragmatyczna, niż sama chciałaby przyznać, wybrała prawo fiskalne, świadoma, że ku wielkiemu rozczarowaniu kraju jej narodzin, wielki kapitał pochodzi dziś z państw, które nie oburzają się na jej chustę. Przeciwnie.

Brakuje mu bliskości w kontaktach z Aïchą. Tak dobrze się rozumieli. Dzielili z sobą życie i jedno nie ciążyło drugiemu. To było tak oczywiste. Gdy nadchodziły wakacje, cieszyli się, że mogą wyjechać razem. To nie był żaden przymus. Nie łączyły ich szczególnie silne więzi emocjonalne. Sélim nigdy nie miał wrażenia, że Aïcha wchodzi mu na głowę albo że on terroryzuje córkę. Nigdy nie żyli skupieni na sobie jak niektóre z niepełnych rodzin z jego

otoczenia. Aïcha zawsze miała przyjaciółki, swoje zainteresowania, a Sélim wiódł aktywne życie towarzyskie. Nie przyprowadzał swoich sympatii do domu, ale nigdy nie czuł się pilnowany przez własną córkę. Łączyła ich zażyłość – wieczorem wspólne oglądanie filmu, na wiosnę wielkie sprzątanie, w niedzielę basen, w tygodniu naleśniki, seria rytuałów, które zmieniały się, w miarę jak ona rosła, ale nigdy całkiem nie zniknęły. Wiedział, że jest z tego powodu szczęśliwy, lecz nie miał pojęcia, że to nie będzie trwać wiecznie. Córka darzyła go zaufaniem, pytała o opinię na temat spraw, które wydawały jej się skomplikowane, on lubił zastanawiać się nad jej odpowiedziami. Lubił być jej tatą. Była i z pewnością na zawsze pozostałaby kobietą, która mu dała najwięcej radości. To się rozsypało. Czekał na okres dojrzewania, na skręty palone po kryjomu i zbyt przedsiębiorczych kolegów, lecz niczego takiego nie było. Nie potrafił spojrzeć z dystansu na to, co mu się przydarzyło, za bardzo go to dotknęło. Całe jego życie stało pod znakiem zapytania. Nie mógł zachować spokoju. Opisuje się okres dojrzewania jako czas szalejących hormonów i kryzysu tożsamości, z którym muszą się mierzyć dzieci wkraczające w dorosłość. Ale w istocie chodzi o podświadomy dialog, Sélim to rozumie, choć w niczym mu to nie pomaga. Aïcha powiedziała mu tak, jak potrafiła: to, co mi dałeś, tato, sądząc, że panujesz nad sytuacją, to głównie, którym gardzę. Czas dojrzewania rozgrywa się między dwiema stronami: rodzice robią wszystko, by nie słyszeć, co ten ludzik próbuje im powiedzieć. Nic go tak bardzo nie boli, jak utrata statusu ukochanego taty. Już po kilku miesiącach dzieliła ich przepaść. Teraz pora obiadu przepelniała go lękiem, to przedłużające się uczucie zakłopotania, kiedy siedzą przy stole. Włączali telewizor, żeby na siebie nie patrzeć. Gdy tylko otworzyła usta, miał ochotę wrzasnąć. Te religijne bzdury, tak anachroniczne i swojskie. Tylko nie ona. Jego największy skarb. Z czułością myślał o wierze swojej matki i ciotek, jak darzymy uczuciem coś, co musi zniknąć, za co one nie były odpowiedzialne. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że to wróci do niego za pośrednictwem córki. Najgorsze było uczucie, że ona go osądza. Aïcha nigdy mu nie powie: gardzę wszystkim, czym jesteś. Jednak jej wybory mówią same za siebie. Jej nieludzka żarliwość, pobożność mówią mu codziennie: uważam, że jesteś żaloszny. Sélim często myśli o Satanie. Ona również była całkowicie obojętna na to, co uważał za swoje intelektualne walory. Wolą od niego byle głupka z umięśnionym brzuchem. Jej córka postępuje tak samo, tyle że wybiera bródkę zamiast kaloryfera. Historia utyka.

Sélim przygotowuje truskawki na deser. Kiedy Aïcha wraca, czuje lekki ucisk w brzuchu. Więc tak wyglądają teraz ich relacje: spinają się, gdy są zmuszeni na siebie patrzeć. Jest późno. Jak zwykle wraca punktualnie. Wygląda na zmartwioną. Nie pyta jej po prostu: gdzie byłaś? Masz jakiś kłopot? Szuka słów, które nie zabrzmiałyby zbyt natarczywie. Boi się popełnić

nietakt, kłócą się godzinami, bez żadnego powodu. Chciałby jej po prostu powiedzieć: wiesz mam teraz niełatwy okres w pracy, tak chciałby się jej wyzalić, żeby pomogła mu się w tym wszystkim rozeznąć. Odparłaby: tak, tato, mam problemy na studiach, i objąłby ją ramieniem, co się dzieje, małeńka, nie przejmuj się tym. Już jej nie dotyka, nie całuje. Czuje, że ona sobie tego nie życzy.

Zauważył, że kiedy idą ulicą, ona spuszcza wzrok, mijając mężczyzn. To nie jest znak uległości. Unika ich spojrzenia, by pokazać, że jest czysta. A jemu w takich chwilach zbiera się na płacz.

Zwykle po powrocie do domu od razu idzie do swojego pokoju. Pograża się w pracy, żeby uniknąć kontaktu. Ale tego wieczoru opiera się plecami o rozkład zajęć, krzyżując ramiona z zaciętym wyrazem twarzy. Wpatruje się w podłogę, zaciskając zęby, nie może wydusić z siebie słowa. Sélim posypuje truskawki cukrem i wstawia je do lodówki. Śmietanę doda na samym końcu. Stara się sprawiać wrażenie spokojnego. Wie, że jego głos brzmi fałszywie.

– Coś się stało?

– Wiem już wszystko o mamie.

Jest przygotowany na tę rozmowę od czasu, gdy była malutka. Ale jak zawsze, gdy powtarzamy sobie coś w duchu, nie znajdując okazji, żeby to z siebie wylać, czuje się zbity z tropu. Tyle razy wyobrażał sobie tę scenę, ale to nigdy nie wyglądało w ten sposób. Chciałby nacisnąć klawisz „pauza” i stworzyć lepsze warunki do rozmowy. Przez krótką chwilę stoi jak zamurowany, Aïcha go uspokaja:

– Nie przejmuj się. Wiem to od dawna. Rozmawiałam o tym z moim opiekunem, bardzo mi pomógł. Nie jestem odpowiedzialna za czyny mojej matki. Tak samo jak ty. Nie chciałam ci zrobić przykrości, ale kilka dni temu dowiedziałam się rzeczy, o które chciałabym cię zapytać.

– Jakie rzeczy? Co jeszcze? Kto ci to powiedział?

– Hiena. Zadzwoniła do mnie w ostatniej chwili. Powiedziała, że to ważne. Wiesz, ten wokalista Alex Bleach...

– Oczywiście, że wiem.

– Mówi, że wcale nie popełniła samobójstwa. Mówi, że została zamordowana.

– Przedawkowała narkotyki, kochanie, przykro mi, że nie zdobyłem się na odwagę, by wcześniej z tobą o tym pomówić... Przedawkowała narkotyki, ale to chyba było samobójstwo. Wiem, że to dla ciebie straszne. Musimy o tym porozmawiać. Nie wierz w tego rodzaju sensacje...

– Nie wydaje mi się, by ten facet zmyślał. W sumie nie jestem pewna. I pomyślałam, że powinnam się tym z tobą podzielić. Że ty też powinieneś wiedzieć. Twoja koleżanka Hiena jeszcze ma te nagrania, ale myślę, że już niezbyt długo, bo...

– Ale do czego się ta kretynka miesza? Co ci wbiła do głowy?

– Posłuchaj, tato, przecież to ty jej szukałeś, prawda? Narzekasz, kiedy słucham imama, narzekasz, gdy słucham twoich koleżanek... Jeśli chcesz, żebym z nikim nie rozmawiała, musisz mnie zamknąć w moim pokoju...

\*

Zagniewana, obraca się na pięcie i wychodzi z kuchni. Sélim myśli, że źle zareagował. Nie zadał właściwych pytań. Zaskoczyła go. Obiecywał sobie, że z nią o tym pomówi, kiedy będzie dość duża, żeby zrozumieć. Jednak nie ma takiego wieku, w którym można przystać na tak trudną rzeczywistość. I trzeba powiedzieć, że on sam nigdy się nie pogodził z profesjonalną karierą swojej byłej żony. Już to, że zmieniła imię, było dla niego problemem. Jeszcze za życia zabiła kobietę, którą tak bardzo kochał.

Opuściła ich wspólne domostwo trochę wcześniej. Jej wyjaśnienie: „Chcę żyć, do cholery, jestem zbyt młoda, żeby siedzieć w zamknięciu” niezbyt go przekonało. Za bardzo ciążyło jej dziecko, którym zajmowała się bez śladu radości. „Żeby cieszyć się takim życiem, trzeba by być niespełna rozumu, nie sądzisz?” Może. Sélim był przekonany, że każda kobieta spełnia się w macierzyństwie. Ale jego żona była wyjątkiem. Nie można nikogo zmusić, żeby został. To mu rozdarło serce, lecz ani on, ani jego córka nie interesowali młodej matki na tyle, by pozostała w domu. Umierała z nudów, miała inne marzenia. Trudno było przyjąć to do wiadomości. Gdy zaszła w ciążę, przypadkiem, na początku ich związku, tryskała entuzjazmem, mówiła, że jest spełniona i że marzyła o życiu rodzinnym. Był wtedy najszczęśliwszym z ludzi. Przez cały pierwszy rok też wydawała się szczęśliwa. Potem zaczęła się skarżyć, że często jest sama. Lekka depresja. Chciała znaleźć pracę. Stale siedziała u sąsiadek na kawie. Kiedy Aïcha zaczęła chodzić, jej matka nie miała ochoty bez przerwy nad nią czuwać. Nie układało im się. Sélim nie wiedział, co robić. Potem był ten przystojniak z ósmej dzielnicy. To wtedy zaczęły się prawdziwe kłopoty. To był skończony kretyn, tyle że zbudowany jak grecki bóg. Odeszła.

Kiedy został sam z małą, nie upadł na duchu. W gruncie rzeczy cios, jaki zadała mu Satana, porzucając ich, był tak silny, że jego skutki odczuwał jeszcze długo potem. Jak ofiara wypadku, która uświadamia sobie, że ma otwartą czaszkę, dopiero kiedy oślepia ją krew, początkowo z zapalem rzucił się w wir codziennych obowiązków.

Palił wówczas fajkę. Któregoś dnia wszedł do trafiki po tytoń marki Drum i czekając w kolejce, zerknął na gazety. Nie rozpoznał jej od razu. Makijaż ją odmienił. Lecz spoglądając po raz drugi, nie miał już żadnych wątpliwości. Matka jego córki, obnażona na okładce pornograficznego szmatławca, wpatrywała się w niego z zalotnym uśmiechem. Wszedł do najbliższej wypożyczalni wideo. Jej twarz widniała na zdumiewającej liczbie okładek. Pornografię produkowano z prędkością światła. W ciągu kilku miesięcy zagrała w dziesięciu filmach. Oszołomiony, na piechotę przeszedł pół Paryża. Żegnaj szczęście i wszystko, co było mu drogie na tym świecie, kiedy Satana postanowiła trafić na okładki, nieważne było dziecko nieważna praca nieważni przyjaciele. Udusi tę kurwę. Kupi beczkę benzyny i spali ją żywcem, a potem udusi, może nie w tej kolejności, ale zabije ją wiele razy, to pewne. Gorycz, którą stłumił w sobie po jej odejściu, tryskała z niego jak fajerwerki, psuła krew i wykrzywiła mu twarz: odnajdzie ją i każe jej za to zapłacić. Ale nawet nie wiedział, gdzie mieszka.

Po jakimś czasie znów się objawiła, choć nigdy nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć na wiadomości od załamane go czy grożącego jej mężczyzny, które Sélim zostawiał jej na sekretarce, i kompletnie go zaskoczyła: „Tak się cieszę, że wiesz!”. Mówiła, że bardzo cierpiała, musząc ukrywać przed nim swoje „nowe życie”. „Gdybyś wiedział, jaka jestem szczęśliwa!” Jak miał na to zareagować? Kompletnie jej odbiło. Lubiała swoich nowych przyjaciół, podróże do Stanów Zjednoczonych pierwszą klasą, łatwe pieniądze, ceremonie rozdania Hot d’or<sup>1</sup> w Cannes. W końcu miała wrażenie, że żyje w sposób, który przyprawia ją o zawrót głowy. Trzydzieści lat po jej śmierci nadal miał jej to za złe.

Obiecał sobie, że porozmawia o tym z Aïchą. Ale nie było pośpiechu. Do cholery... Skoro jej matka umarła, miał prawo zapomnieć o tym, co się stało. To i tak było już wystarczająco trudne, nawet jeśli bez przerwy o tym nie myślał, nawet jeśli nie zatrulo to jeszcze życia małej wspomnieniami, których tak naprawdę nie ma. Kiedy pojawił się internet, wraz z zalewem pornograficznych produkcji z całego świata, odetchnął z ulgą. Wypożyczalnie wideo zostały zamknięte. Uwłączające okładki zniknęły razem ze swoją haniebną zawartością. Może Aïcha nigdy się nie dowie. Chciał z nią o tym pomówić, lecz naprawdę nie było powodu do pośpiechu.

Kiedy zwróciła się w stronę islamu, wszystko nagle odżyło i pomyślał, że jest to karma. Że ona bezwiednie kompensuje. Jedno szaleństwo zastępuje drugim. Musi doprowadzić do tej rozmowy. Ale ważny jest czas, trzeba znaleźć odpowiedni moment. Nie zrobi tego w niedzielę, kiedy się zwykle kłóca. Właściwy moment nie nadszedł.

Dziś wieczorem nie to jest najtrudniejsze, że się dowiedziała. Lecz to, że najpierw poszła porozmawiać o tym z kimś innym. Ze swoim duchowym opiekunem. Tym nieokrzesanym



głębem, który nosi najki pod długą dżelabą. Nie wróciła, żeby wypłakać się w ramionach ojca. Poszła do kogoś innego. Czy ten typ nauczył cię pływać czy odwiedził wszystkie sklepy w mieście żeby znaleźć taką zabawkę jaką chciałaś czy poświęcał wieczory by mieć pewność że nauczyłaś się wiersza na pamięć czy pokazał ci jak się pisze referat czy łamał sobie głowę wieczorem w swym pokoju żeby nadrobić zaległości w matematyce i nazajutrz wyjaśnić ci zadanie czy patrzył jak w zimie dziesięć razy z rzędu jeździsz na karuzeli na małym słoniku który tak bardzo ci się spodobał czy nosił cię na ramionach byś nie przeoczyła niczego z parady księżniczek choć już go bolały plecy czy wstał w nocy by ci dać wody kiedy miałas koszmary czy poszedł z tobą siedem razy oglądać delfiny ponieważ je uwielbiasz czy prasował i składał twoje ubrania jeszcze w ubiegłym roku czy zastanawiał się jak opłacić twoje chesne, kiedy je podnieśli? Czy stał dwie godziny w kolejce, by mieć pewność, że zobaczysz na żywo Lorie Pester? Czy wyrwałby sobie nerkę zębami, gdybyś jej potrzebowała? Czy gdyby się go przecięło na pół, zmiażdżyło mu kości kamieniem, w jego szpiku znalazłoby się tylko miłość do ciebie, pragnienie, byś była szczęśliwa, byś się nie pomyliła? Więc dlaczego moje słowa są już bez znaczenia, dlaczego nie słuchasz moich rad, dlaczego moje ramiona nie mogą cię już chronić? W którym momencie zawiniłem? Dlaczego życie nam to robi? Dlaczego ten kraj oszalał?

Poszedł zobaczyć, jak wygląda ten jej opiekun. Myślał, że trafi na fanatyka, groźnego hochsztaplera. Z chęcią zdemaskowałby pedofila recydywistę, niech mu nikt nie opowiada, że katolicy mają monopol na zboczonych obłudników, nic nie jest tak uniwersalne jak występki przybierający pozory cnoty. Ale to był mały jegomość z brzuszkiem, bez charyzmy, dość nijaki, jakby z innej epoki. Jak wiejski proboszcz z czasów inkwizycji: niezdolny do pojmowania historycznych uwarunkowań kontekstu, pragnący czynić dobro, zaskoczony, że odgrywa tak ważną rolę. Co jego córka właściwie w nim widzi? Jak zrozumieć, że młoda kobieta postanawia z własnej woli zdawać się na opinię najbardziej ograniczonego faceta w dzielnicy? Wygląda na to, że w jego rodzinie kobiety mają to we krwi, Satana rzuciła go przecież dla kulturysty.

Czego właściwie dowiedziała się Aïcha? Jakby nie wystarczyły brednie imama z końca ulicy, także Hiena musiała się w to wmieszać. Wyznania wielkiego wokalisty... Tego tylko brakowało. Dodajmy do tej żalösnej listy bełkot naćpanego megalomana... Sélim krąży po kuchni, wściekle ubijając jajka. Rwie sałatę, płucze ją i z absurdalną gwałtownością odwirowuje w suszarce. Jego córka rzuciła mu to prosto w twarz, po czym zamknęła się w swoim pokoju, czym na to zasłużył? Za kogo go uważają? Za oferme, kretyna, który daje z siebie wszystko, by skorzystać na tym każdy prócz niego, on zaś musi znosić humory

wszystkich. I po cholere Hiena nabijała małej takich rzeczy do głowy, nie uprzedzając go o tym? Wszyscy go zdradzili. Jest niedojdą. Od zawsze. Sympatyczny facet. Kobiety tego nie cierpią.

Alex Bleach. Tylko się i płakać. Niczego mu nie oszczędzono. Tamtego lata, gdy wszędzie grano jego pierwszy przebój, Sélim pracował w centrum handlowym. Sprzedawał zegarki. Ten kawałek puszczała w kółko przez radio. Kupił longplay. Znał go na pamięć. Nie życzy tego nawet najgorszemu wrogowi. Gdy ukochana kobieta chodzi z wokalistą, którego słuchasz od lat... Kulturysta z dzielnicy przestał być problemem, mógł nim pogardzać. Ale musiał pogodzić się z myślą, że Satana pokochała Alexa. Sélim poczuł się tak, jakby go wcale nie było.

Woła córkę do stołu. Chce z nią porozmawiać. Z godnością. Ale znów jedzą kolację w milczeniu. On z brzuchem ściśniętym ze złości, ona wpatrując się w swój talerz. Omlet, smażony nie za długo, tak jak lubi, w jej sałacie nie ma za dużo sosu winegret, tak jak lubi, bez czosnku, którego nie trawi. Tego wieczoru Sélim nie włącza telewizora. Potem nie wytrzymuje.

– Nie wiesz, gdzie mogę znaleźć Hienę?

Aïcha patrzy na niego po raz pierwszy tego wieczoru.

– Dlaczego? Chcesz się na niej odegrać?

Nigdy nie uderzył córki. Nie robi tego dzisiaj.

– Chcę wiedzieć, co ci nawkładała do głowy, zanim sam z tobą porozmawiam.

Mała zastanawia się, potem wzrusza ramionami.

– Jest trochę późno, ale może jeszcze są w parku des Buttes-Chaumont.

– A kim są ci „oni”?

– To taka paczka znajomych. Starzy, w twoim wieku. Mają kumpla, Vernona, który tam zamieszkał. Codziennie go odwiedzają.

– Skąd wiesz?

– Spotkałam się z nimi.

\*

Szybkim krokiem przemierza park des Buttes-Chaumont, rzucając wokół zagniewane spojrzenia. Patrzy w twarze przechodniów, wytrzeszczając oczy. Wie, że urządza ten cyrk, żeby uniknąć rozmowy z córką. Aïcha idzie za nim w milczeniu, kilka kroków z tyłu. Sélim ma przykre odczucie, że nie przeraża jej myśl o tym, że może wywołać skandal, przygnębia ją

raczej to, że wystawi się na pośmiewisko. Unosi ramiona do góry jak wariat.

– Wkurzasz mnie, rozumiesz? Wkurzasz mnie. Nie mogłaś powiedzieć od razu, kiedy się dowiedziałaś? To było w Barcelonie. Masz pojęcie? Od czasów Barcelony wodzisz mnie za nos! Kim dla ciebie jestem? Może twoim wrogiem? Nie sądzisz, że powinnaś pomówić ze swoim ojcem?

Aïcha nie zaszczycą go nawet bezczelnością, co pozwoliłoby mu zdenerwować się jeszcze bardziej, jest łagodna i ujmująca.

– Tak trudno było mi z tobą o tym rozmawiać, tato.

Wymawia „a” w słowie „tato” prawie jak zamknięte „o”, ledwie otwierając wargi. To go całkiem rozbija. Jego mała dziewczynka. To nagle na niego spada. A on, jak krety, ciągnie ją na siłę do tego parku, żeby zmyć głowę krety, którzy kazali jej wysłuchać bełkotu byłego kochanka jej matki. Biedna mała, całkiem sama ze swoimi myślami. A on nie widział, że się zamartwia. Takie marnotrawstwo. Tak wiele bezużytecznej miłości, która nie znajduje swojego adresata. Która nie umie się już wyrazić.

Tkwi na środku parkowej alei. Czuje się pokonany. Nie stanął na wysokości zadania jako dojrzały człowiek. Nie pomógł jej zrozumieć tego, o czym się dowiedziała, z tej prostej przyczyny, że sam nigdy nie wiedział, jak sobie poradzić z całą tą historią. Więc wpada w złość, by się bronić, jak pierwszy z brzegu głupek. Osuwa się na ławkę. Aïcha czeka, stojąc z rękami w kieszeniach.

Sélim nie znosi spojrzeń kierowanych w jej stronę. Niektórzy przechodnie odwracają głowy, żeby jej się przyjrzeć. Ma chęć ich przepędzić, to chusta, do cholery, w końcu przywykniecie, wkurzacie mnie, wszyscy, ależ mnie wkurzacie. O ile ojciec ma pełne prawo zadawać sobie pytanie, po co ona to nosi na głowie, o tyle ci nieznajomi powinni zrozumieć, że to nie ich sprawa. Ostatecznie chodzi o jej włosy, robi z nimi, co chce.

– Aïcha, nie bardzo wiem, kogo szukamy, ale tych ludzi na pewno już tu nie ma – mówi.  
– Wybacz mi. Nie spodziewałem się, że mi o tym powiesz. Bardzo źle zareagowałem. Wracajmy. Wszystko ci wyjaśnię.

– Nie, tato. Chciałabym, żebyś posłuchał, co mówi ten wokalista. Chcę wiedzieć, co o tym myślisz.

I czeka, aż wstanie i za nią pójdzie. Chciałby umieć powiedzieć: kochanie, nie mam siły, żeby spotykać się ludźmi, którzy będą opowiadali mi o twojej mamie. Złamała mi serce. Nie jestem w stanie o tym wszystkim myśleć. Jesteś dla mnie najdroższą osobą na świecie, tak chciałbym móc dać ci w prezencie inną mamę. Trudno wyobrazić sobie smutniejszą historię. Nie chciałem, żebyś o tym wszystkim wiedziała, bo wolałbym, żeby to wszystko się nie

wydarzyło. Lecz idzie bez słowa. Złość go opuściła. Pyta słabym głosem:

- Co takiego mówi Alex Bleach, że tak się tym przejęłaś?
- Zobaczysz. Może powiesz, że w to nie wierzysz.
- Dlaczego zależało jej na tym, żeby pokazać to tobie, a nie mnie?
- To byłoby zbyt krępujące, gdybyśmy musieli oglądać to razem.

Ten, którego Aïcha nazywa Vernonem, odwraca głowę w stronę Sélima, słysząc, że się zbliżają. Ma za duże kalosze na zbyt chudych i długich nogach. Poszarzałą skórę i gorączkowe spojrzenie. W dziwny sposób przygląda się swemu rozmówcy, z rozbijającym spokojem. Bez słowa zbliża się do Sélima. Sélim czuje woń zimnego tytoniu, mokrej ziemi i jeszcze jakiś bliżej nieokreślony, słodki i delikatny zapach. Przyjemny. Vernon obejmuje ojca Aïchy i ściska go w ramionach. Sélim jest zaskoczony, ale wszelki lęk czy uczucie wrogości znikają. Przyszedł, by ich zwymyślać, i już o tym zapomniał. Czuje uścisk Vernona, który jest jak szaniec, tarcza, opatrunek. Sélim mu się poddaje, świadomy śmieszności całej tej sytuacji, ale niezdolny uwolnić się z jego kojących objęć.

---

<sup>1</sup> Hot d'or – nagroda przyznawana w latach 1992–2001 w dziedzinie filmów pornograficznych z inicjatywy francuskiego magazynu „Hot Vidéo”.

– To hasz czy trawa?

Vernon zadaje to pytanie odruchowo, kiedy Lydia podaje mu jointa, bo pali jedno i drugie z równym entuzjazmem. Potem oddala się o kilka kroków od grupy i sadowi na swoim ulubionym miejscu, w zagłębieniu, jakie tworzą korzenie najstarszego kasztanowca w parku. Drzewo, wysokie jak czteropiętrowy dom, ma pochyły pień, jego potężne konary rosną równoległe do ziemi. Liście, pożółkłe od jakiejś choroby, tworzą pomarańczową ścianę, która w lecie kontrastuje z zielenią parku.

Vernon długo zaciąga się blantem, zatrzymuje dym w płucach i patrzy na innych, z oddali. Lubi być narajany, pozwala mu to doświadczać najbardziej niewiarygodnych wrażeń, bez zadawania sobie wielu pytań. Na przykład kiedy kładzie dłoń płasko na korze drzewa, czuje delikatne pulsowanie roślinnych soków, które go odradza, niskie częstotliwości elektromagnetyczne, uświadamia sobie tempo wegetacji. Woli myśleć, że dzieje się tak dlatego, że zapalił, ale tak naprawdę od czasu tripu, jaki przeżył po obejrzeniu kaset Alexa Bleacha, jeszcze całkiem do siebie nie doszedł.

Podczas tego dziwnego wieczoru Emilie, Lydia i Patrice kolejno proponowali mu, żeby u nich zamieszkał. Zważywszy na jego stan, pewnie niepokoiła ich myśl, że mógłby się zgodzić, lecz przede wszystkim mieli szczere wyrzuty sumienia – nie chcieli wracać do domu, wiedząc, że on będzie spał na dworze. Vernon sam był tym zaskoczony, ale bez chwili wahania odrzucił wszystkie zaproszenia. Trudno było im to wytłumaczyć. Powiedział: „Nie przejmujcie się, nie chcę się wcinać, naprawdę nie boję się mieszkać na ulicy”. Spojrzeli na niego jak na wariata. Normalne. Sam na ich miejscu zrobiłby tak samo. Prawda była taka, że nie mógł już znieść, fizycznie, ścian ani sufitów, nie mógł w takich miejscach oddychać, przedmioty mu zawadzały, odczuwał jakieś niezdrowe wibracje. Najgorsza była jednak obecność ludzi wokół. Czuł ich niedolę, bolączki, panikę, że nie staną na wysokości zadania, że ktoś ich zdemaskuje, ukarze, że będą odczuwali brak; to działało na niego jak pyłki kwiatowe: przenikało do wnętrza i nie pozwalało oddychać. Więc nie, naprawdę, nie miał najmniejszej chęci zamieszkać u któregoś z nich. Teraz potrzebował przestrzeni. I samotności.

Tej nocy zasnął, słysząc słowa innych, przez sen docierały do niego ich uwagi. Deklaracje Alexa były jak reflektor skierowany zniechęca w jakiś ciemny kąt. Niektórzy od razu we wszystko uwierzyli. Daniel widział w tym dowód na to, że kobiety, które ulegają pożądliwości mężczyznom, są obywatelkami drugiej kategorii, można odebrać im życie, licząc na całkowitą bezkarność. Pamela okazywała z początku większą rezerwę, jej zdaniem Alex był

jeszcze bardziej szalony niż Satana i dręczyło go poczucie winy, że jej nie ocalił, wymyślił więc tę historię, żeby nie dostać hopla, jednak nie była w stanie uwierzyć, że to wszystko prawda. Patrice się nie zdziwił, to kolejny przykład, że bogaci robią, co chcą, a prawo do uśmiercania najuboższych to część ich arsenału. Słuchając ich, Hiena dochodziła do wniosku, że w tej grupie dzieje się coś, czego nie jest w stanie określić, co jednak staje się wręcz namacalne, kiedy się z nimi trochę dłużej przebywa: radość z bycia razem, która pozostawała dla niej zagadką. Nie przepadali za sobą, nie byli do siebie podobni, nie mieli powodów, żeby się z sobą zadawać, ale gdy byli razem, świetnie współpracowali – mówiła o tym Lydii, która nie mogła pojąć, o co właściwie jej chodzi. Dla Lydii sprawa była jasna jak słońce: Alex również został zamordowany. Należało go pomścić. Xavier uważał, że to kompletne bzdury. „Alex umarł, ponieważ uwielbiał prochy, Satana umarła, bo uwielbiała prochy, ćpuny zdychają jak psy, bo przestają przejmować się czymkolwiek innym poza swoim pieprzonym towarem. Kiedy nie szukają sobie usprawiedliwień, próbują znaleźć winnych. Alex był nałogowcem. Wiecznie oskarżał ludzi, że go zdradzili albo opuścili. Lecz to on sam siebie zdradził, skrzywdził, sam sobie zaszkodził”. Patrice chichotał, pijąc piwo z puszki. „Skoro tak, to wszyscy jesteśmy ćpunami. Bo nie opisujesz ćpunów, tylko rodzaj ludzki”. Emilie była w rozterce. To, czy ktoś pomógł Vodce Satanie przedawkować, było bez znaczenia, poruszył ją tylko początek nagrania. Wracała do lat młodości, zadając sobie pytanie, czy faktycznie była tak bardzo magiczna, jak opisywał ją Alex Bleach. Aïcha nie została długo. To, co usłyszała, do głębi nią wstrząsnęło. Powiedziała: „Mam mętlik w głowie”, i szybko się pożegnała. Pamela i Daniel wymienili w milczeniu przeciągłe spojrzenia, potem wzięli się za ręce, splatając palce. Próbowali sobie wyobrazić, co poczuje córka Satany, kiedy obudzi się nazajutrz rano i będzie musiała dźwigać ciężar tej historii. Od czegoś takiego można postradać zmysły. Co do Vernona, pragnął samotności.

Zaczęło świtać i wstał, pociągnął kilka łyków piwa, po czym oznajmił, że na niego już czas. Laurent, który w nocy nie zmrużył oka, korzystając z okazji do rozmowy, też od razu zerwał się z miejsca. „Idziemy razem, bracie”. Podniosły się głośne protesty: „Nie możecie odejść ot tak, gdzie się wybieracie, co będziecie robić” i to Laurent je uciszył. „Chętnie weźmiemy kilka piw na drogę, zostało trochę w lodówce... To miłe z waszej strony, ale jestem już dużym chłopcem i nie od dzisiaj daję sobie radę... Zajmę się waszym kumplem, możecie być spokojni”. Dotrzymał słowa: odtąd stale zajmował się Vernonem. Zamykając za sobą drzwi, zawołał gromkim głosem: „Będziemy w Buttes-Chaumont, gdyby ktoś nas szukał!”, jakby podawał adres dzielnicowego baru. Lecz ani on, ani Vernon nie spodziewali się tego, że już nazajutrz tyle osób obecnych na wieczornym spotkaniu przyjdzie do parku, by spytać, co

u nich słycać.

W drodze powrotnej, w metrze, Laurent niczego nie komentował. Nie dawał tego po sobie poznać, ale wyraźnie był zadowolony: Subutex był w końcu jednym z nich, był wolnym człowiekiem. Laurent nie mógł się już doczekać, kiedy pokaże mu jego nowe terytorium: słynną linię kolejową małej obwodnicy<sup>1</sup>. „Kiedyś służyła do przewożenia gipsu”. Laurent może w nieskończoność opowiadać o parku des Buttes-Chaumont, tak że nasuwa się pytanie, dlaczego nie został tutejszym przewodnikiem. „Na wzgórzu zabijano konie i wieszano złodziei. W miejscu, gdzie stoisz, były kamieniołomy i wysypisko śmieci pod gołym niebem. Była też piętrowa szubienica na wzgórku Montfaucon. Pod twoimi stopami leżą w zbiorowych grobach trupy konfederatów z 1871 roku. Super... Gdy założyli tu park, dzielnica była tak niebezpieczna, że wszyscy burżuje stąd pouciekali, to było szemrane miejsce. Wszystko było tu zdewastowane, czytałem w internecie. My, biedacy, tacy właśnie jesteśmy: niszczymy, co się da, spójrzymy prawdzie w oczy”.

Tory kolejowe znajdują się dwadzieścia metrów poniżej poziomu parku – schodzą tam po urwistym zboczu. Wieczorem, kiedy wracają pijani, niewiele trzeba, żeby pokieroszować sobie gębę. Vernon ulokował się w pewnej odległości od legowiska Laurenta, w osłoniętym miejscu między dwiema stertami gruzu. Mury są upstrzone graffiti, żeby odnaleźć swoją kryjówkę, musi szukać liliowej ośmiornicy namalowanej na słupie, jest schowany przed wzrokiem innych, niewidoczny z mostu zawieszzonego wysoko nad ich kwaterą.

Laurent zawsze nosi przy sobie nóż, nie ma mowy, żeby „byle kto” miał się im tu wciąć. Jeśli ktoś spróbuje zejść jednym czy drugim zboczem wznoszącym się nad torami, będzie miał z nim do czynienia. I to działa: w parku jest dość miejsca, by każdy poszukał sobie kryjówki dla siebie.

Już drugiego dnia Laurent tonem nieznoszącym sprzeciwu zaproponował mu małą eskapadę. „Masz szczęście, kręcąc się w pobliżu Cantine des Pyrenées<sup>2</sup>, znalazłem materac, ale nie chciałem prosić o pomoc tego dupka Samira, nie lubię typu, nie chcę, żeby się tu pałętał. Pójdziemy razem po materac dla ciebie”. Poszli wzdłuż torów do miejsca, w którym drogę zagroził im wysoki płot, i musieli wspiąć się na górę, żeby wydostać się z parku, potem kontynuowali marsz, mijając stację metra Ménéilmontant. Laurent schował cenny materac za billboardem, a Vernon nie miał odwagi mu się przeciwstawić, choć nie czuł się na siłach, by wlec go aż do parku. Zajęło im to cały dzień. Ciągnęli materac, pchali, podnosili do góry, padali na niego, żeby przez dwie minuty poleżeć, i śmiali się jak wykończone dzieciaki. Kiedy zsunęli go po zboczu, żeby wrócić na tory małej obwodnicy, materac wyglądał gorzej, niż gdyby go znaleźli na najbliższym wysypisku śmieci. Było już ciemno. Taszczyli go dalej i w

końcu Vernon padł na materac rzucony między dwa filary.

Laurent pomógł mu też zrobić namiot, którego nie było widać z parku. Był z ceraty przymocowanej do starych zardzewiałych blach, skradzionych na budowie i porzuconych tutaj. W pobliżu torów można znaleźć wszystko. Vernon wykombinował skrzynkę, by zrobić z niej nocny stolik, znalazł też taboret i pluszowego Homera Simpsona, by udekorować wnętrze. Laurent dał mu kołdrę i tego wieczoru Vernon nie był wcale zdziwiony, że tak dobrze się czuje w swoim nowym schronieniu. Stało się jego kokonem, zbiorem kuriozalnych przedmiotów, pośród których czuł się lepiej niż w domu.

Później wróciła Olga, wyglądała na wypoczętą, była czysta, sprawiała znacznie lepsze wrażenie niż ostatnim razem, w dniu pobicia Xaviera. „Trzymali mnie przez dwa tygodnie w szpitalu, miałam odmę opłucną, traktowali mnie jak królową”. Laurent nie pozwolił jej zająć uprzedniego miejsca, o kilka filarów dalej, „dość już tutaj narozrabiałaś”, ale Vernon się sprzeciwił: „Daj spokój, zostaw ją”. Związała się przyjaźnią z niskim pięćdziesięcioletnim facetem, rzutkim i komicznym, o wyglądzie cwane go klauna. Mieszkał na nieczynnym parkingu, w squacie, którego ćpuny omal nie zhajcowały, i wejście zamurowano wraz z jego rzeczami. Ale gdy Jackie zapił, nie był już tak układny jak w ciągu dnia, po alkoholu gość stawał się namolny i hałaśliwy. Laurent nie zdążył się jednak wkurzyć, bo któregoś wieczoru Jackie nie wrócił. Olga była załamana, lecz Laurent pozostał niewzruszony. „Tak to jest na ulicy. Poznajesz ludzi, włączysz się z nimi, a któregoś dnia już ich nie ma. Nie zawsze cię pamiętają, kiedy ich spotykasz trzy miesiące później. Na ulicy poznaje się dużo ludzi, wiesz. Niby nigdy się nic nie dzieje, a ciągle coś się wydarza. To inny rytm, trzeba się przyzwyczaić...” Olga płakała w swym kącie. „Kurwa, nie jesteśmy ludźmi, jeśli nas nie obchodzi, co się z kimś stało”. Potem ona też zajęła się czym innym. Nie miała wyboru.

Kilka dni później zaciągnęła Vernona do pomocy społecznej przy metrze Télégraphe, mówiąc: „Mam tam znajomości”. Była mu niezmiernie wdzięczna od chwili, gdy się uparł, by Laurent pozwolił jej wrócić na dawne miejsce. Wdrapując się tam na górę, można dostać zadyszki... A potem brutalny chaos niezmiernego tłumu, ludzi, którzy szukają marynarki, skarpet czy ręcznika kąpielowego. Jakaś wolontariuszka około sześćdziesiątki o krótkich siwych włosach, umalowana, z wielkimi czerwonymi kolczykami w uszach, wypachniona i miła, ukazująca w szerokim uśmiechu piękne białe zęby, rozpoznała Olgę i dała im znak, by na nią zaczekali. Wróciła z parą wysokich czerwonych butów z czarnym orłem na cholewie. „Trzymałam je dla pana”, a Vernon zrozumiał, że to sprawka Olgi. Była uszczęśliwiona, że może mu zrobić prezent. Nie miał serca, by jej powiedzieć: ależ to buty Dicka Riversa<sup>3</sup>, nigdy ich nie włożę.



Zważył je w dłoniach, zmieszany, to była para pięknych meksykańskich butów, czerwonych, mało noszonych. Nie sposób się było domyślić, jak się tu znalazły, może właściciel nie żył. A może dziewczyna mu zagroziła, że od niego odejdzie, jeśli będzie w nich chodził. Teraz trafiły do rąk Vernona. A dwie kobiety nie mogły się doczekać, kiedy je włoży. Grzecznie usłuchał. Czuł się jednak niepewnie: to w ogóle nie było w jego stylu, buty za bardzo rzucały się w oczy. Jednak elegancka kobieta o pięknych białych zębach oznajmiła: „Za długo na pana czekały”, potem się oddaliła, by zająć się inną kobietą, w jej wieku, również korpulentną, wyluzowaną Afrykanką, która czuła się tu jak u siebie. Vernon wciągnął buty na nogi. Idealnie na niego pasowały, czuł się w nich jak w kapciach. Od tygodni bolały go stopy, ulga była natychmiastowa. Zmieniły jego sposób chodzenia. Trzeba było iść w sposób zdecydowany. Mając je na nogach, czuł, że uda mu się wydłużają, biodra przesuwają do przodu, stawiał większe kroki. Trochę jak na szrudłach. Schodząc w dół ulicą na kowbojskich obcasach i bojąc się, że zaraz wywinie orła, podziękował Oldze: „Tak, nowe buty bardzo mi się podobają”. Naprawdę był zaskoczony. Poczł się jak gigant.

Wstaje wcześnie. Dzień zaczynają ptaki wyruszające w drogę, a wieczorem powraca ta sama melodia. W końcu zaczyna rozpoznawać ich śpiew. Pierwszy wydaje z siebie coś w rodzaju gruchania, potem pojawiają się mniejsze ptaszki, wydawane odgłosy nie mają związku z wielkością, później wszystko się komplikuje, zewsząd słycać wydobywane akordy i nie musi już nawet patrzeć na fluorescencyjny zielony budzik, który sobie przyniósł, by wiedzieć, że pora wstać i wyłonić się na powierzchnię: w parku otworzono bramy. Może wyjść ze swej nory. Rano spotyka starszych ludzi wyprowadzających psy. Strażnicy wystawiają im czasem mandaty pod pretekstem, że nie wolno spuszczać psów ze smyczy. Później zjawiają się Chińczycy, którzy ustawiają się w małych grupkach i gestykują w próżni, synchronicznie i zwykle z wdziękiem. Vernon, stojąc w oddali, naśladuje niektóre ruchy, starając się nie pokazywać. Jakiś chłopak przychodzi codziennie, by śpiewać przed wielkim kasztanowcem. Rozkłada ramiona, zamyka oczy, niskim głosem wydaje przeciągłe tony. Brzmi to dość przyjemnie. W tym czasie wrony rozdzierają dna plastikowych worków i dzielą się żywnością spadającą na ziemię.

Ogrodnicy i strażnicy parku wiedzą, że Vernon tu śpi. Nie odzywają się do niego. Na tym polega deal, trzeba być dyskretnym. Nie tylko trójka z torów ukrywa się tutaj w porze zamykania parku. Cienie się snują, kryją w zaroślach, przechodzą przez ogrodzenie lub znikają pod gałęziami największych drzew. Później, do rana, nie wolno robić rabanu.

Xavier i Emilie odwiedzili go pierwsi. Nie tracili czasu: już nazajutrz po wieczornym spotkaniu u Hieny błądzili po parkowych alejach, przyglądając się ciałom leżącym na

trawnikach. Był to jeden z nielicznych słonecznych dni, park zapełniły rodziny, leserzy, zakochani, studenci i ludzie uprawiający sport. Vernon był zdziwiony, widząc dwoje starych przyjaciół. Czas ludzi bezdomnych płynie w dziwny sposób: dłuży się do przesady, a jednocześnie błyskawicznie mija. W istocie już prawie o nich zapomniał. Z początku byli trochę męczący: „Ale co teraz poczniesz?”, pytali zatroskanym tonem. Miał chęć odpowiedzieć: a ty jak sobie radzisz ze swoją nędzą? Koniecznie chcieli go namówić, żeby zamieszkał u któregoś z nich. Sytuacja się odwróciła i nie brakowało temu pikanterii.

Vernon nie ma bladego pojęcia, co teraz zamierza. Korzysta z ciepłego dnia. Jedno wie na pewno, nie ma już ochoty wracać do domów innych ludzi. Jego plany na przyszłość nie sięgają dalej. Nowością jest to, że szczerze mówiąc, kompletnie mu to wisi. Każdy dzień przynosi dość swoich trosk. Xavier i Emilie musieli spędzić przyjemny dzień na trawie, bo nazajutrz wrócili, potem dołączyła do nich Lydia, następnie Patrice, Pamela... Któregoś popołudnia zjawiała się córka Vodki Satany, chciała się dowiedzieć czegoś więcej o matce, ale gdy ktoś zaczynał o niej mówić, obruszała się, co nie przeszkodziło jej wkrótce potem przyprowadzić tu ojca. Sélim zjawił się wściekły, żądał wyjaśnień, dlaczego „zrobili to” jego córce, ale jego gniew był jak niewypał: przyszedł tu stoczyć bój, a w rezultacie obejrzał w kącie nagranie na telefonie Emilie – zdołała je zdigitalizować i udostępniała wywiad każdemu z ich grupy, kto chciał go ponownie zobaczyć. Sélim wysłuchał słów Alexa Bleacha i jeszcze długo siedział w milczeniu na uboczu. W końcu podeszła do niego córka i objęła go ramieniem. Siedzieli w bezruchu, Vernon, widząc ich plecy, nie mógł stwierdzić, czy milczą. Emilie zbliżyła się do nich, by wziąć swój telefon, bo już się zbierała. Ojciec i córka skorzystali z okazji, by się z nimi pożegnać, z daleka, i też się oddalić. Sélim wrócił po dwóch dniach. Powiedział na wstępie: „Codziennie tu jesteście?”, zaskoczony i dziwnie poruszony. Usiadł wśród nich i mówił, godzinami. Opowiadał o swoim życiu. O tym, że od chwili gdy Faïza przybrała pseudonim Satana, ma trudności z zapamiętywaniem nazw własnych. Że jego córka jest mu droższa niż źrenica oka i prześladowuje go myśl, że nie potrafi ochronić kobiet, które kocha, przed nimi samymi. Pamela powiedziała: „Dziewczyna ma szczęście, że ma takiego ojca, nie wiem, jak mógłbyś dać jej jeszcze lepszą ochronę”. I skończył mówić ze łzami w oczach w jej ramionach. Odszedł z poczuciem wewnętrznej pustki, ale zadowolony. Odtąd przychodzi tu co dzień.

W ciągu dnia park stał się właśnie czymś takim: miejscem spotkań grupy dyskusyjnej, coffee shopem i piwiarnią pod gołym niebem. Trawnik był jego salonem, Vernon przyjmował tam gości jak jowialny gospodarz, wzruszony, że okazują mu tyle względów. Wiódł przyjemne życie: były ciasteczka, różowe wino, sympatyczni ludzie, wszystkie dziewczęta się

nim zajmowały, słuchali dobrej muzyki z głośników w kształcie tuby, podłączonych przez bluetooth, byli stali bywalcy i ludzie zaglądający tu na jeden dzień. Domowe życie towarzyskie, bez zbędnych komplikacji, i żaden administracyjny papier nie psuł mu poranka.

Przypominało mu to prowincjonalny bar, nigdy nie było wiadomo, kto się pojawi, kto do kogo zagada, z czego będzie się można pośmiać czy padną piękne wiązanki lub dojdzie do nieoczekiwanych kolizji na tle seksualnym. W porze zamykania bram parku strażnicy krążyli z gwizdkami, rozchodzili się ostatni spacerowicze, a Vernon lubił także te chwile samotności, gdy mógł zsunąć się na dół i być sam pod namiotem. Mógłby wyjść z parku, spędzić wieczór na zewnątrz i wrócić, przechodząc przez ogrodzenie jak inni, ale nie miał ochoty zapuszczać się poza swe terytorium. Stał się domatorem.

Te zgromadzenia nikomu nie przeszkadzają: nie robią niczego, co mogłoby zwrócić na nich uwagę. Laurent i Olga korzystają z tej sytuacji, a wieczorem mówią mniej lub bardziej pesymistycznym tonem: „To im przejdzie, Vernon, bierz z tego, ile się da... Choć twoi kumple nie wiedzą, co zrobić ze swoim życiem, w końcu do nich dotrze, że mają lepsze zajęcia niż przyglądanie się rosnącym drzewom... Ale masz szczęście, Vernon, zwykle bieda odstrasza, ludzie myślą, że to zaraźliwe”. Nie sposób dojść, czy podziwiają jego decyzję, żeby z nimi pozostać, czy uważają go za skończonego głupka, którego chronią, bo mają w tym interes.

Mijał czas i mimo deszczowego lata zgromadzenia stawały się coraz liczniejsze. Gdy padało, chronili się w sztucznej grocie obok jeziora i mówili ciszej ze względu na echo.

Vernon, wsparty o swoje drzewo, z lubością pali jointa. Lydia Bazooka ogląda wywiad z Lydią Lunch na swoim telefonie, Patrice, który ma wolny dzień, opowiada jakiemuś nieznanemu o pierwszym longplayu grupy Camera Silens. Pamela, Olga i Laurent siedzą na pomarańczowym pareo, jakie widuje się na plaży, i Pamela wyjaśnia, że w Holandii ludzie zapisują się do kolejki, żeby kupić mieszkanie po preferencyjnej cenie, i dzięki temu w wieku trzydziestu lat niemal wszyscy są tam właścicielami. Patrice przynosi im kawę, a Vernon słucha tej rozmowy z oddali. Myśli o Alexie Bleachu, wywiadzie i o tym zdaniu Hanka Chinaskiego: „*Forgive me, you have my soul and I have your money*”. Co tak naprawdę sprzedają idole, że wypłaca im się aż tak hojne odszkodowania?

Pęknięta piłka toczy się po trawniku, a za nią pędzi stary pudel, chwyta ją, z brzuchem przy ziemi, i potrząsa piłką na wszystkie strony, potem zjawia się Xavier, z rękami w kieszeniach i zadowoloną miną. Wziął tego psa ze schroniska. Nazywa się Filut. To wielki szary pudel. Jego pan daje radę. Zobaczył zdjęcie psa w internecie w sumie przez przypadek. Jego właściciel zginął w wypadku samochodowym. Filut siedział w klatce i jak mówi Xavier,

jego spojrzenie wstrząsnęło nim do głębi. Najpierw pomyślał nie, to niemożliwe, po pierwsze, nie chcę tak szybko brać nowego psa, po drugie, z czymś takim nigdy nie ośmielę się wyjść na ulicę. Ale to spojrzenie prześladowało go przez cały dzień i nie uprzedzając nikogo, Xavier wynajął samochód i pojechał po psa. Jego żona po powrocie do domu była wściekła jak diabli. Należy ją zrozumieć: olbrzymi stary pudel nie za bardzo pasuje do ich wystroju wnętrza. Ale Filut urzekł ją podobno w ciągu jednego wieczoru. Trzeba przyznać, że ma piękne spojrzenie. Pies jest zauroczony piłką. Jego pan przez całe popołudnie rzuca mu ją i patrzy zachwycony, jak Filut baraszkuje w trawie. Dostał już kilka mandatów i zareagował uśmiechem. Ale nawet najbardziej wredni stróże porządku nie potrafią zachować powagi, widząc tego osiłka z ogoloną głową, szczęśliwego posiadacza ostrzyżonego pudla metrowej wysokości, który wabi się Filut. Olga jest jedyną osobą, która nigdy nie skomentowała wyboru rasy psa. Powiedziała tylko: „Kurwa, ależ piękność”, i rzuciła psu piłkę.

Jednak Xavier jeszcze nie doszedł do siebie po wypadku. Opuścił szpital kompletnie rozbity. Jego fundamenty nagle się zapadły. Bał się wyjść na ulicę. Zważywszy na gabaryty i psychologię faceta, lęk nigdy nie był częścią jego repertuaru. Po raz pierwszy w życiu oglądał się za siebie, obserwował ludzi, miał duszę na ramieniu, gdy tylko usłyszał kroki za plecami. Nie bardzo wiedział, jak sobie poradzić z tym nowym dla niego poczuciem bezbronności. W tym wieku nie zacznie przecież pisać wierszy... Najgorszy był wstyd. To, że zaraz po przebudzeniu zaczął mówić od rzeczy, przekonany, że jest znanym reżyserem i boi się, że nie zdoła ukończyć filmu, zburzyło jego wewnętrzną równowagę. Zwłaszcza że potrzebował dwóch dni, aby pozbyć się halucynacji. Lekarz, zapytany, czy cios naruszył jego układ nerwowy, wzruszył ramionami: „Wszystkie wyniki są dobre. Nic panu nie jest”. Więc co wywołało dwudniowe delirium? Facet w białym kitlu wydawał się zakłopotany. „Wie pan, to się zdarza i często zaskakuje pacjenta... Kiedy ostatnio przeżył pan dobę, nie pijąc alkoholu?” To pytanie wydało mu się tak dziwne, że Xavier z początku nie rozumiał, do czego lekarz zmierza. Musiał mu to wyjaśnić: „Uważam, a przynajmniej nie jest to wykluczone, że miał pan *delirium tremens*, spowodowane brakiem alkoholu... Sam cios niczego nie uszkodził...”, i Xavier o mało nie nadział go na stojak z wiszącą kroplówką. On miałby być alkoholikiem? Co za bzdury. Później, po namyśle, uświadomił sobie, że zanim poprosił o papierosa i spytał, gdzie jest Vernon, zaczął się domagać, by ktoś mu przyniósł piwo. I wszystko wróciło do normy w dniu, w którym Marie-Ange spełniła prośbę i przyniosła mu kilka puszek, chowając je w szafce przy łóżku. Tak, jest alkoholikiem. Zawsze uważał za rzecz oczywistą, że jest dobrym ojcem. Przynajmniej tego nikt nie mógł mu odmówić. Ale czy dobry ojciec może być alkoholikiem? Nigdy nie zadał sobie tego pytania.

Rozmawiał o tym z matką, próbowała go uspokoić: „Nigdy się nie upijasz. W czym problem? Jesteś wspaniałym ojcem. Twoja córka jest zawsze na pierwszym miejscu. Musisz wypić jedno piwko przed obiadem, a potem... To już idzie... Każdy ma jakiś problem, wiesz?”. Ale nie mógł się z tym pogodzić. To odkrycie, które nie było w końcu niczym nadzwyczajnym, dosłownie ścięło go z nóg. Grał komedię przed córką, bo była jeszcze za mała, żeby go osądzać. Oszukiwał się co do żony, której od dawna nie sprawił radości. I był sam. Do głębi sam. Nie jak wielki samotny wilk. Raczej jak idiota, który nie wie, kim naprawdę jest. Może po raz pierwszy w życiu zabrakło mu energii, by wmawiać sobie brednie: nie dość, że niszczy sobie wątrobę, to niewiele sobą reprezentuje.

Jest filarem grupy z parku des Buttes-Chaumont. Jednak podczas pierwszego wieczoru, gdy słuchali wywiadu Alexa, Xavier dostrzegł tylko żalony aspekt ich spotkania. Lubiał opowiadać w parku swoim nowym kolegom: Vernon wyglądał jak ostatni loser, był brudny, rozglądał się wokół jak zachwycony idiota, niezdolny do wymówienia trzech słów. Tak śmierdział, że trzeba było siłą wepchnąć go pod prysznic, i jedna zołzowata lesba musiała się poświęcić, żeby go namydlić. Dziewczyny mu dogadzały, jakby nie były świadome oczywistej rzeczy: facetowi odbiła palma, i tyle. Xavier poczuł się urażony całą tą dumną krzątanią, zachowaniem rzekomych kumpli, którzy jeden po drugim zawiedli Vernona, a teraz uwijali się wokół niego, gdy było już za późno. Dla niego nie był to udany wieczór. Pił piwo w swoim kącie, przeklinając w duchu. Gdy Alex zaczął mówić, miał chęć zwymiotować. W półmroku przyglądał się małej Lydii Bazooce, musiała mieć mokro w majtkach, Emilie, ten pasztet, była bliska łez, a ten szpaner Patrice udawał wzruszenie. W wyznaniach Alexa nic go nie poruszyło. Bufon. Rockman za dychę. Wielkie mi coś. „Szukałem sensu życia, a żyłem życiem bez sensu”. W jego wypadku to zawsze była błazenada. A potem ta historia ze stukniętą kurwą, która dała się wyobrazać w biurach producentów, a potem poszła na skargę. Xavier zadawał sobie pytanie: kiedy mam zacząć płakać?

Ten wieczór go zniesmaczył. Ale nie wyszedł. Obserwował ich, słuchał w słuchawkach jakichś transowych kawałków, które ten biedny Bleach skomponował, wyobrażając sobie, że poszukuje dźwięku zdolnego uleczyć. Wziął słuchawki, bo mu je podano, i nie był zaskoczony: to była najbardziej gówniana muzyka na świecie. Rodziło się pytanie, jaki narkotyk należałoby zażyć, żeby jej słuchać. Owszem, Pamela Kant była całkiem niezła, ale Xavier czuł zażenowanie, widząc, jak ta kurwa udaje, że jest normalną laską. Jesteś zwykłą dziurą, możesz robić, co chcesz, nigdy nie wymażesz tego obrazu z głów facetów, gdy z tobą rozmawiają. Na szczęście tej nocy nie pojawił się Daniel. Myślał, że ma do czynienia

z pedałem jadącym na kokainie, facetem, który nie budzi w Pameli lęku, nie był specjalnie zdziwiony tym, że dziewczyna tego typu boi się prawdziwych mężczyzn. Przez całą noc patrzył na tę całą zbieraninę, przepełniało go rozgoryczenie i niechęć. Hiena, laska, u której byli, wydawała się nudzić tak samo jak on, ale chyba jej to specjalnie nie przeszkadzało. Palła fajki w swym kącie i wydawała się czuwać nad Vernonem, który chrapał w najlepsze, leżąc na dwóch poduszkach.

Xavier podszedł do niej, by spytać: „Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego nie oddałaś kaset producentowi?”. Założyła kosmyk za ucho i ten gest był uroczy. „Zwykle rozumiemy samych siebie dopiero po czasie”. Nie chciał się jej naprzykrzać. Było widać, że bierze go za idiotę. Potem Vernon wyszedł i to dobiło Xaviera. Facet był tak psychicznie rozbity, że nie chciał spać w łóżku. To naprawdę smutne. I ten koncert hymnów pochwalnych na jego cześć, gdy już wyszedł, poezja i wolność – jakby ci wszyscy debile nie widzieli, z czym mają do czynienia: z biedakiem, który zbzikował, to wszystko. Chcieli z niego zrobić Rimbauda, a to był zwykły przypadek socjalny.

Xavier przespał się kilka godzin, a kiedy się obudził, przygotował termos z gorącą kawą i poszedł szukać Vernona w parku des Buttes-Chaumont. Nie mógł znieść myśli, że się wykańcza na dworze, przekonany, że wszyscy ci hipokryci udający dzień wcześniej, że się o niego troszczą, zapomną o nim w ciągu jednego dnia. Włączył się długo, zanim go odnalazł, z dupą na trawie, podpartego na łokciu z miną faceta, który korzysta z chwili przejaśnienia.

I wtedy to się stało, opowiada Xavier wszystkim, którzy chcą go słuchać. Mówili o duperelach. Potem Laurent przyszedł po Vernona, bo wybierał się na ulicę du Soleil, żeby zjeść posiłek w Restos du Cœur<sup>4</sup>, a Subutex wykonał ten dziwny gest. Zanim odszedł, przycisnął Xaviera do piersi. Nie byłby w stanie powiedzieć, jak długo tak stali, objęci, nic do siebie nie mówiąc. Lecz przysięgał, że po rozstaniu z nim poczuł się odmieniony. Spadł z niego jakiś ciężar.

Nazajutrz zobaczył w internecie Filuta i wydało mu się, że życie znowu ruszyło z miejsca. Najpierw Marie-Ange, która pomstowała, że wybrał psa tej rasy, w niecałą godzinę się w nim zakochała, i po raz pierwszy od wielu miesięcy rozśmieszył swoją żonę, ale nie śmiała się z niego, był to śmiech czuły i pełen uznania. „Gdyby nie ty, daliby mu zastrzyk, wiesz?” I drapała psa za uszami. „To straszne... Takie cudne stworzenie”. I przypomniał sobie, jak bardzo kocha Marie-Ange – to było coś więcej niż namiętność czy zaangażowanie, to było wszystko, całym sobą poślubił tę kobietę – i jak bardzo brakowało mu jej bliskości.

Odtąd chętnie mówi Vernonowi, wskazując ludzi wokół: „Jesteś jak grzejnik, wiesz?”

Dlatego tu jesteśmy”. Sprzeczna się niemal ze wszystkimi w tej grupie, bez względu na temat, zawsze uda mu się powiedzieć coś takiego, co ich oburza, i w pewnym sensie to stało się jego zadaniem: ożywia atmosferę. W sumie najlepiej rozumie się z Olgą, nie tylko z powodu psa. Ale największym zaskoczeniem jest przyjaźń Olgi z Sylvie. Na tym etapie można by niemal mówić o miłości. Trzymają się na uboczu, siadają na ławce, paplają. Bez przerwy.

Sylvie wystraszyła wszystkich, gdy pojawiła się po kilku dniach. Pomyśleli, że to koniec wzajemnego porozumienia, że z wrzaskiem zaczną podpalać drzewa i poruszy ziemię, by przywrócić parkowi wygląd z czasów, gdy były tu kamieniołomy gipsu. Zwłaszcza Vernon – ocknął się z letargu, gdy tylko ją rozpoznał. Ale po tym jak oskarżyła go publicznie o najgorsze zbrodnie, po prostu cmoknęła go w policzek, po przyjacielsku, na luzie, jakby nic takiego się nie wydarzyło. Okazało się, że sprytnie podeszła Emilie, żeby się dowiedzieć, co robią w tym parku, i postanowiła złożyć im wizytę. Z humorem zareagowała na wykluczenie z grupy, uznała, że powinni cieszyć się na jej widok – ponieważ zmieniła zdanie: ostatecznie to, co zrobił Vernon, nie było aż tak poważne. Samo życie zadbało o to, by mu wystawić rachunek, wyrzucając go na ulicę. W pierwszej chwili zamierzała zabrać go do siebie, by go postawić na nogi, lecz słysząc jego odmowę, zmieniła strategię: postanowiła wprowadzić lekkie napięcie w grupie samą swą obecnością. Jedynie stary Charles, który dołącza do nich co wieczór o tej samej porze, bardzo dobrze się czuje w jej towarzystwie. Grupa najwyraźniej zachwyciła Sylvie i zaczęła im przynosić własnoręcznie upieczone ciasteczka. Wprawdzie jest jędrą, ale nie zmienia to faktu, że piecze zajebiste ciasta. Co sprawia, że inni raczej się cieszą, kiedy się pojawia, a jednocześnie są trochę niespokojni: Sylvie lubi wyżywać się na swych bliźnich, karmiąc ich słodyczami.

Lydia, Patrice i Daniel zastanawiają się, czy Daniel Craig zrewolucjonizował filmy z Jamesem Bondem. Charles zbliża się do nich z białą reklamówką pełną butelek piwa, wita się z nimi, lecz się nie zatrzymuje, uśmiecha się rozbawiony, widząc dwie swoje ulubienice, Olgę i Sylvie, leżące na trawie. Vernon nie może zrozumieć, jakim cudem tak dobrze się dogadują, to wydaje mu się wręcz niebezpieczne. Olga dość pokornie pozwala się zdominować, żeby nie zdenerwować koleżanki, a jednocześnie potrafi stawić stanowczy opór, by ich relacje pozostały napięte, tak jak lubi Sylvie. Vernon z daleka słyszy, jak mówi: „Ja wierzę zwłaszcza w trzewia, zobaczysz, kiedyś wszyscy zrozumieją, że psychologia nie ma większego znaczenia, wszystko jest w naszych trzewiach”, a Olga odpowiada: „Bardziej wierzysz w trzewia niż w przeznaczenie, tak?”, i zaczynają chichotać.

Nad brzegiem strumienia płynącego niżej siedzi dziesięć dziewcząt. Vernon rozpoznaje młodą Aïche, która rozmawia z jedną z nich, przynajmniej tym razem nie ma tej zawziętej

i nieufnej miny, jak w towarzystwie ludzi z grupy. Dołącza do nich Pamela, wygląda na to, że się naradzają. Potem rozpoznaje smukłą sylwetkę Hieny, ma w sobie coś wzbudzającego respekt, coś nierealnego. Od chwili gdy go rozebrała i wykapała czuje do niej wyjątkową wdzięczność. Puszczą do niego oczko, z daleka, choć on nie rozumie, co chce mu zasugerować. W ten męski sposób chce dać mu do zrozumienia, że darzy go sympatią. Między nimi w sumie do tego się to ogranicza, rzadko rozmawiają. Jakby nadmiar intymności nie pozwalał im na wszczęcie pogawędki. Jeszcze nie oddała taśm producentowi, cały czas go zwodzi. Jej decyzja jest równie niezrozumiała, jak jego decyzja, żeby nadal przebywać w parku. Vernon przypuszcza, że sama dobrze nie wie, co nią teraz kieruje. Dziewczęta nad strumienia wyglądają na alterglobalistki i trochę punkówy. Daniel rozmawia z nimi, potem podchodzi do Vernona. Siada na innym korzeniu kasztanowca i wyrывa źdźbła trawy.

– Twoje kumpelki dziwnie wyglądają – mówi Vernon. – Jakby słuchały Manu Chao i Pantery i próbowały znaleźć punkt wspólny.

– Są z Boliwii. Punk, powrót do korzeni, indiańscy szamani, lesbijki i feministki.

– Kurwa, dobrze być młodym... I o czym rozmawiacie?

Daniel uśmiecha się nieznacznie.

– O życiu, śmierci, szaleństwie. One są super cool.

Podobnie jak Pamela, bardziej niż inni przejął się wyznaniem Alexa. Często mówią: „Można nas zlikwidować ot tak”, pstrykając palcami w powietrzu, „i nikt nie zada sobie pytania, co się właściwie stało, bo dla ludzi jesteśmy jak zombie, należymy do kategorii ludzi objętych mniejszą ochroną”, i ten dyskurs wzbudza entuzjazm Laurenta, który nigdy nie traci okazji, by zbliżyć się do Pameli. „Traktują nas jak bezdomnych. Jesteśmy pariasami, nie figurujemy nawet w statystykach. Wiecie, ilu spośród nas umiera w ciągu roku? Wiecie, jak trudno byłoby nam znaleźć dach nad głową w czasie wielkich mrozów? Wszyscy mają gdzieś ludzi, którzy tracą życie na chodniku”. Siada na niskiej gałęzi, jego stopy kołyszą się tuż nad ziemią. „Żyjemy jak psy, zdychamy jak psy”, odpowiada zwykle Daniel, a Olga kiwa głową: „Nie. Psy mają swych panów, którzy je oplakują”.

Vernon nie może oderwać oczu od grupy dziewcząt na dole, coś się wyraźnie szykuje.

– Ale co ci przed chwilą opowiadały? – pyta Daniela.

Patrzy na Pamelę, która stoi bez ruchu, wsparta pod boki, zwraca twarz ku słońcu, zamyka powieki z lekkim uśmiechem, który rozjaśnia jej twarz i którego on nigdy nie widział. Zwraca się do Daniela siedzącego na gałęzi, też z niezwykłym wyrazem twarzy. Ten chłopak jest zawsze uśmiechnięty i bardzo zabawny, lecz jego rysy jakby złagodniały. Coś się w nim



zmieniło. Czując, że Vernon mu się przygląda, wskazuje panterę, którą niedawno wytatuował sobie na dłoni.

– Szybko się goi, to niesamowite. Wystarczyło smarować kremem.

– To dzieło Céleste?

– Tak. Ma talent.

– Podoba ci się?

Daniel zrobił sobie u niej już dwa tatuaże.

– Bardzo.

– Sądzisz, że to wzajemne?

– Tak mi się wydaje... Ale najpierw muszę z nią porozmawiać. Jeszcze nie miałem okazji.

– Porozmawiać z nią o czym?

– Że jeśli do czegoś dojdzie, nie wyciągnę z rozporzeka wielkiego kutasa. Wolę ją o tym uprzedzić.

– Spałem z dziewczyną, która nie była operowana. Muszę ci powiedzieć, że wcale nie zrobiło to na mnie złego wrażenia. Szalałem na jej punkcie.

– Ty? Myślałem, że nigdy byś się nie ośmielił.

Pamela, która przysłała w towarzystwie dwóch dziewcząt, przerywa ich rozmowę.

– Wkrótce się zbieramy. Danielu, idziesz z nami?

I widząc, jak Daniel od razu zeskakuje na ziemię, żeby do nich dołączyć, Vernon dochodzi do wniosku, że dzieje się coś, o czym mu nie chcą powiedzieć.

Najwyższa z dziewcząt wyraźnie mu się przygląda. Jest równie wysoka jak Olga i przynajmniej tak samo solidnie zbudowana. Ma na nogach czerwone buty na wysokich koturnach, w których kroczy po mokrej trawie, jakby to były gumowce, nosi długą czarną spódnicę, wiekową ramoneskę nabijaną ćwiekami, przerzedzone różowe boa na szyi, ma wygolone skronie, a na palcach imponującą kolekcję pierścionków, tak że jej dłonie wyglądają, jakby były ze stali. Nie jest do nikogo podobna. Wpatruje się w Vernona z zadziwiającym tupetem, który powinien zbić go z tropu, ale dziewczyna ma w sobie jakiś dziwny urok. Wyczuwa w niej przeświadczenie o własnej urodzie i ta pewność bierze górę nad jej wyglądem: jest pociągająca. Ta myśl wprawia Vernona w konsternację – jego libido znajduje się w martwym punkcie, już od dawna.

Pamela zbiera grupę. Grupa potrzebuje dużo czasu, nim ruszy z miejsca. Dziewczyna nie spuszcza go z oczu. Kiedy Daniel odchodzi, zbliża się do niego.

– Ty, *te quiero besar*.

Vernon się uśmiecha, udając, że nie rozumie, nie wie, jak uprzejmie odrzucić zaproszenie. Dziewczyna opiera się o pień kasztanowca, czeka. Ktoś z grupy woła ją po hiszpańsku, a ona jednym gestem każe im się oddalić. Dziewczyny wymieniają kilka słów między sobą i wykonują rozkaz, wcale nie są zdziwione.

Ona odwraca się do Vernona, bierze go za rękę i mówi:

– *Ven conmigo.*

Nikt już na nich nie patrzy. Prosi, by za nią poszedł, lekko go ciągnie za rękę, a on idzie za nią, nie stawiając oporu. Wspinają się po trawniku, trochę wyżej są gęste zarośla, dziewczyna wydaje się dobrze zorientowana i ciągnie go pod wyniosłą jodłę. Zaciekawiony, dziwnie urzeczony chwilą, pozwala jej włożyć język między swoje wargi – to pocałunek stulecia. Później zada sobie pytanie, jaki narkotyk mogła wsunąć ustami w jego usta, że zadziałał tak szybko i w tak niezwykły sposób – wstrząsa nim silne wyładowanie. Ma czas pomyśleć: twoje wargi są zadziwiająco słodkie, i odpływa. Jest drzewem, którego korzenie wnikają głęboko w glebę, tak że dotykają jej ognistego jądra, czuje pod podeszwami stóp pustą przestrzeń galerii, elektryczne kable, ziarnka piasku, a ta kobieta jest ogromnym węzłem owiniętym wokół jego ciała, ciepło jej gadziego brzucha uspokaja każdy por jego skóry-kory. Ten pocałunek trwa kilka sekund – Vernon doświadcza czasu wieczności. Ona się cofa o krok, „*quieres mas?*”, a on przestaje się poruszać. Wtedy ona ściąga sygnet, który Vernon ma na palcu, z meksykańską trupią główką, ktoś mu go podarował ponad dwadzieścia lat temu, wsuwa go na swój palec, całuje, liże, potem wkłada go na palec Vernona, „*ahora estas mío*”, a on znów odlatuje. Jest ptakiem, wyraźnie czuje swe skrzydła na wysokości łopatek, ich ciężar, gdy je rozwija, mięśnie, które wprawiają je w ruch. Kobieta uklękła i całuje jego kostki, kolana – na chwilę do siebie powraca i przypomina sobie gesty Hieny pod prysznicem – ale zaraz potem traci świadomość, leci nad parkiem i miastem, jest ponad polami, to nadzwyczajna przyjemność poczuć skrzydła, które go niosą, powietrze pod brzuchem, które go podtrzymuje, jego biodra się otworzyły, popchnięte do przodu, to potężne, miękkie rozdarcie. Nie wie, jak długo trwa ta brutalna ekstaza, kiedy do siebie wraca, kobieta kładzie mu dłoń na karku i mówi z uśmiechem, tym razem w jego języku:

– Jesteś szamanem Europy.

Jego piersią wstrząsa nagła chęć, by zapłakać. Ona się oddala. Był drzewem, był ptakiem, czuł swój dziób i skrzydła, poszerzone pole widzenia. Kompletnie stracił rozum i po raz pierwszy od wielu tygodni ta pewność go przeraża. Przez długą chwilę siedzi wstrząsany łkaniem sam pod tym drzewem. Potem czuje, że w tę detonację rozpaczony wdziera się coś innego, uczucie nieznanego radości, która bierze górę nad łzami.

---

1 Ligne de la Petite Ceinture – zamknięta w 1934 roku linia kolejowa, zbudowana w drugiej połowie XIX wieku, służąca do transportu towarów i osób przed powstaniem metra.

2 Cantine des Pyrénées – squat i tania kantyna pod numerem 331 przy ulicy des Pyrénées w dwudziestej dzielnicy Paryża; działały od grudnia 2012 roku, w sierpniu 2014 mieszkańcy squatu zostali eksmitowani.

3 Dick Rivers – piosenkarz i aktor, na początku lat sześćdziesiątych jeden z pierwszych francuskich wokalistów śpiewających rock’n’rolla.

4 Restos du Cœur – stowarzyszenie niosące pomoc najuboższym, założone w 1985 roku przez francuskiego aktora i humorystę Michela Coluche’a.

Céleste przycina kalkę nożyczkami, żeby ułożyć fale wokół karpia. Wyrysowała je, patrząc w internecie na rysunek Hokusai. Słuchają Sii Furler. Świnka morska kwiczy w swej klatce, domagając się ogórka. Na wielkim ekranie telewizora podłączonego do sieci ogromne meduzy wędrują w górę i w dół w transmisji na żywo z kanadyjskiego zoo. Klientka skręca blanta, wyciąga zębami filtr z fajki i zastępuje go kawałkiem zwiniętego kartonu. Potem wyjmuje tulejkę kamienia z zapalniczki i ubija jointa. Na różowej plastikowej tacce w drobne kwiaty, która na pewno pochodzi prosto z Chin, leżą jej hasz i trawa, liście i resztki tytoniu. Rozmawia z kumpelką, która siedzi na sofie, wsparta o elektryczną matę do masażu kupioną w sklepie Nature & Découverte, i zastanawia się, czy nastawić masaż shiatsu czy rolling. Céleste wkłada czarne rękawiczki, klientka zmienia muzykę.

– Lubisz electro? Mam superlistę, zobaczysz... Jest świetna do tatuażu. Pasuje do wszystkiego.

Mówi, że wytrzyma dwie i pół godziny. Potem zaczyna ją boleć. Céleste siedzi na pufie. Nie ma taboretu i nadwiera kręgosłup. Powinna pójść na basen, żeby się rozluźnić i nabrać muskulatury, ale nie może znaleźć na to czasu. Pracuje w barze Rosa Bonheur i robi tatuaże, musiałaby nastawiać budzik na szóstą rano, żeby pójść popływać, ale za późno kładzie się spać.

Kumpelka na sofie siedzi z założonymi rękami, korzystając z masażu, pociąga jointa i patrzy na ekran telewizora.

– Niesamowite, trudno uwierzyć, że to prawdziwe meduzy... Masz pojęcie, to naprawdę istnieje, a my jesteśmy tak dumni, że zajmujemy się czymś innym, zamiast obserwować naturę i zwierzęta?

Céleste wyłączyła się z konwersacji, skupiona na tym, co robi, na cieniach z malutkich kropek na grzbietach fal. Klienci musieliby zamawiać u niej duże wzory, by mogła sobie kupić maszynkę rotacyjną do kropkowania, jak Mike Amanita, Rosjanka, która zrobiła jej mandalę na łopatce. Jakies dwieście euro. To jeszcze nie tragedia. Lecz ludzie zamawiają u niej raczej małe motywy, motyle i krótkie zdania. Nie może nic odłożyć. Kumpelki bez przerwy dyskutują, jedna i druga jest nieźle ujarana. Klientka się porusza, Céleste kładzie jej dłoń na ramieniu, żeby ją uspokoić. Chwilami trudno się skoncentrować w tej atmosferze salonu fryzjerskiego. Ale to lubi – niektórzy tatuażyści wymagają ciszy, ona lubi żywą atmosferę, z której się musi wyłączyć.

To muzyka electro z riffami na wiośle, daje niezły odlot. Igły, które kupiła za placem Bastylli, są supercienkie, bardzo przyjemnie się nimi tatuuje. Klientka jest zadowolona.

– Jest cool, Céleste, to naprawdę piękne.

Kumpelka kiwa głową. Nie może się oderwać od pilota do swojej maty, siedzi na niej już od dobrej godziny.

Wraca dzieciak klientki. Ma dwanaście lat. Matka go beszta, bo nie zadzwonił, jak jej obiecał. Céleste mówi sobie w duchu, że to niełatwe, żyć z tak dużym chłopakiem, laska, mógłby ci przylać i nic byś nie powiedziała, powinnaś go trzymać krótko i mieć nad nim kontrolę. Chłopak wyjmuje z lodówki marchewkę i daje ją śwince morskiej.

Dziewczyna mieszka przy stacji metra Stalingrad, do baru ma dwadzieścia minut na piechotę. Céleste sprawdza godzinę na ekranie komputera. Mieszkanie jest cool, w odcieniach szarości i bordo. Trzeba wstukać piętnaście kodów, żeby wejść, ale gdy już jesteśmy w środku, jest cicho i przytulnie.

Nie ma najmniejszej chęci iść do pracy, wolałaby niespiesznie skończyć tatuaż i wrócić do domu, żeby odpocząć. Wkurza ją, że musi zaraz potem zaczynać pracę w barze.

Ale w Rosie Bonheur ma całkiem niezłą robotę. Choćby dlatego, że może dogadać się z innymi co do godzin i dni, to nie stanowi problemu. Fanny gra w futsal, Elsa występuje w teatrze burleski, Mona chodzi na warsztaty *drag kings* – wszystkie mają jakieś rzeczy na boku, więc się dogadują, by każda mogła się zajmować tym, czym chce. Nie zmienia to faktu, że chciałaby jak najszybciej utrzymać się z tatuaży i przestać wykonywać tę dodatkową pracę.

\*

Kończy, przeciąga się, kładzie celofan na tatuażu, udziela kilku rad.

– Nie zakrywaj tego przez dobę i przemywaj cztery razy dziennie, nakładaj dużo kremu, a po trzech dniach, gdy tylko możesz, odkrywaj to miejsce. Szybko się zagoi.

Inkasuje dwa banknoty po pięćdziesiąt euro, wkłada kurtkę, nie, nie ma czasu na kawę, z przyjemnością, ale musi zmykać, jeśli nie chce się spóźnić.

Pogoda tego roku to istny Alcatraz. Niebo przesłaniają strugi deszczu, silne podmuchy wiatru znoszą je na boki. Jest koniec czerwca, a ludzie nadal chodzą w puchowych kurtkach, humory nie dopisują. Jasny gwint, to już nie jest lato, tylko zakład karny. Na drzewach nie ma jeszcze liści, nawet załączka pączków na gałęziach. Gdyby Céleste była facetem, normalnie nie mogłaby chodzić, tak bardzo by jej stał. To ją chwyciło zaraz po przebudzeniu, może spóźniony skutek MDMA, jest rozpalona jak żar z ogniska. W ciągu doby musi coś zaliczyć,

inaczej wpadnie w depresję. Może powinna zażyć ibuprofen, zobaczyć, czy to zadziała. Zawsze była za bardzo napalona. Kiedy chodziła do koledżu, wszyscy chłopcy nazywali ją kurwą. Dzwonili do niej wieczorem, na stacjonarny telefon, żeby to powiedzieć. Jej ojciec był zdesperowany. Przeniósł ją do innej szkoły. Zrozumiała lekcję: śpi z facetami, których nigdy więcej nie zobaczy. Ma gdzieś reputację, nie chce tylko doprowadzać ojca do łez.

Natyka się na swojego Lorenza, ogrodnika. Zastanawia się, jak uchronić drzewa przed zimmem, a przez jej głowę przepływają sceny z tanich pornosów. Na szczęście przypomina raczej markizę de Merteuil, kotkę w rui w rękawiczce z lodu. Zawsze jest dla niej niezwykle uprzejmy. Facet, opowiadasz mi o zaroślach, a ja myślę o twoim języku na mojej cipce – gdyby miał dostęp do jej twardego dysku, zmieniłby postawę.

Céleste nie ma najmniejszej chęci iść do roboty. Z początku w barze wszystko grało, dominuje tam lans nocne życie chłanianie zaczepki lesby z nagimi torsami które tańczą na stołach i starzy którzy się biorą za młodych i podrygują w miejscu. Zabawnie jest na to popatrzeć. Ma nadzieję, że w wieku trzydziestu lat nie będzie wyglądała jak oni, robiła z siebie widowiska, nie zwracając uwagi na kalendarz. Pracuje tam już od ponad roku. To szybko minęło. Teraz klienci ją wkurzają. Przy osiemdziesięciu stołach na sto siedzą same głupki. Myślą, że ona jest tu po to, by im usługiwać, że jej za to płacą, i w związku z tym zachowują się jak stado przymułów. Sądziła, że szybciej zacznie żyć z tatuaży. Że dostrzeże ją jakiś fachman i zaproponuje jej szkolenie w swoim studiu. Trzeba mieć cierpliwość. Ma dość stania na nogach po osiem godzin z rzędu, uprzątania rozbitych szklanek, omijania rzygowin, dosyć dłoni na tyłku, fałszywych banknotów, żeby pod koniec miesiąca zarobić tylko tyle, by opłacić czynsz, nikt nie szaleje tutaj z napiwkami, jest za gęsto, ludzie czekają trzy godziny w kolejce, żeby dostać piwo, i nie mają litości, ani centyma dla barmanki.

Po maturze studiowała w Akademii Sztuk Pięknych. Lecz atmosfera szybko ją znudziła. Za dużo się tam głądziło, interesuje ją robienie konkretnych rzeczy, a nie nawijanie na temat konceptów i kretyńskich instalacji. Później próbowała wszystkiego po trochu, gry w teatrze i montażu wideo, ojciec uprzedzał ją zawsze, gdy ogłaszano konkurs na etat w administracji, i czuł się urażony, gdy mu odpowiadała: „Ale to już skończone, tato, nikt nie będzie urzędnikiem przez całe życie, pozwól mi robić, co chcę”. On też nie miał zbyt wielu argumentów. Kiedy skończyła dwadzieścia lat, jej kumple zrobili składkę i podarowali jej maszynkę do tatuaży. Lauro Paolini, Prestige... I to był punkt zwrotny. Ćwiczyła na świńskich skórkach, nie lubiła tego, a skóry błyskawicznie gniły, wypełniając dom strasznym fetorem. Na szczęście zjawił się Chris. Facet był wytatuowany od stóp po głowę i miał do niej słabość, powiedział: „Ofiaruję ci moje ciało, trenuj”. I wtedy naprawdę się zaczęło. Wszyscy

mówią, że ma do tego rękę. Ma w sobie to coś. Lubi rosyjskie tatuaże, czerń i biel. Ale klienci mają gówniany gust, wolą kolorowe lotosy albo kretyńskie jaskółki. To minie. Nie wolno się zniechęcać. Na razie gdy ktoś w barze dowiaduje się, że jest tatuazystką, opowiada jej godzinami, co chciałby sobie wytatuować. Ma ochotę mu powiedzieć: przestań streszczać mi swoje życie, umów się na spotkanie i tyle.

Gdy tam przychodzi, Rosa Bonheur jest już otwarta. Nie zawsze tak jest, czasami trzeba czekać pół godziny pod drzwiami, nim pojawi się ten, kto ma klucze i wczorajszy wygląd... W wielkiej sali panuje przenikliwe zimno. Wszyscy mają na sobie szalokaptury. Słuchają Björk na cały regulator, nie ma się wielkiej chęci, by tu zostać. Mimi, szefowa, od razu każe jej znieść dwie skrzynki jedzenia dla fanów Subutexa. Jakby to była najważniejsza rzecz w ciągu dnia. Mimi spotkała dziewczynę, którą znała i która się z nimi włóczy, mówi, że była basistką i że ją uwielbia. Dziś, gdy widzisz tę sztukę, nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, że kiedyś miała klasę na scenie. Z początku szefowa posyłała im tylko rzeczy, które zostały z wczoraj i których nie można już było sprzedać, ale teraz robi dla nich tortillę, dodaje małe butelki piwa, czekoladę... Za bardzo związała się z tą sektą. Mówi, że kiedyś spędziła wieczór z Subutexem i później w nocy miała niesamowite sny, odwiedzali ją zmarli i mówili jej ważne rzeczy, że to odmieniło jej życie. Gadanie, brać tyle dragów w jej wieku, nic dziwnego, że śni w kolorze. Od tej pory nie pali już haszu wieczorem, prawie nie pije, bo bardzo jej zależy, by zapamiętać te sny. Wygląda lepiej, to fakt... Ale to bzdury, te wszystkie historie z Subutexem. Wszyscy się garną do niego, jakby był prorokiem. Ważniak w czerwonych butach z cholewami. Każdy ma bohatera, na jakiego zasłużył... Starość to nic przyjemnego. Codziennie zbiera się ich jakaś dwudziestka, gromada ludzi w wieku przedemerytalnym – są tam nie tylko ramole, ale w sumie przeważa pokolenie przodków. Tak czy owak cieszą się, że tu są, w takie zimno, inaczej daliby sobie spokój. Rozmawiają nie wiadomo o czym. Trudno wyrobić sobie na ten temat zdanie, z jednej strony fajnie się bawią, z drugiej, kiedy się o tym pomyśli, dostaje się gęziej skórki.

Céleste schodzi na dół z dwiema skrzynkami pełnymi wiktuałów, machają do niej z daleka, rzecz jasna, cieszą się na jej widok: dobre jedzenie gratis. Vernon paraduje pod swoim wielkim drzewem w nowiutkim puchowym płaszczu Canada Goose, darze od jakiejś wielbicielki – laski, która lekką ręką wydaje majątek, żeby mieć pewność, że bezdomny facet śpi w cieple, trzeba przyznać, że niektórzy ludzie mają gest. Gość jest spokojniejszy niż wcześniej, Céleste już może się do niego zbliżyć i nie czuje lubieżnych spojrzeń na swoim dekolcie. Mówią, że nocą dziewczyny schodzą na tory i cierpliwie czekają na zimnie, żeby się wślizgnąć do jego namiotu... Może to tylko miejska legenda. Ale w tym wypadku wszystko

jest możliwe. I bez przerwy gadają... Uwielbiają to. Jedzą i rozmawiają. To historia ich życia. Są coraz bardziej wystraszeni, „ani słowa na portalach społecznościowych o tym, co się tu dzieje”. Dobrze, że ją ostrzegli, bo przecież nie mogłaby się oprzeć pokusie, by umieszczać na Instagramie zdjęcia wapniaków, którzy urządzają sobie pikniki w parku des Buttes-Chaumont i rozmawiają o rocku. I tego, jak mu tam, Subutexa, którego nazwisko kojarzy się z nazwą starego materaca... Mogłaby zamieścić w necie wszystkie zdjęcia z ich popołudniowych spotkań, szanse na to, że ich podrygi na trawie zdobędą popularność, są nikłe. Mają nawet wystrzyżonego pudła, są nieźle porąbani.

Ojciec Aïchy siedzi okrakiem na krześle, powtarza: „Republika Republika Republika”, jak kruk na gałęzi... Taki już jest, kończy pracę i od razu spieszy na ławkę, żeby wygłaszać perory, które nikogo nie obchodzą. Zadłużenie, służba publiczna, korupcja... Zawsze ma coś do powiedzenia o sprawach, na które nigdy nie będzie miał żadnego wpływu. Gdyby to, czego chcą ludzie, cokolwiek zmieniało w polityce, na pewno byśmy o tym wiedzieli. Ma lekką gerontofobię. Denerwuje ją, że oni wciąż wierzą w rzeczy, które przestały istnieć. Starzy od zawsze budzą w niej politowanie. Zachowują się, jakby wciąż byli młodzi. Tyle że są już zmurszali. Mogą wygładzać zmarszczki, niczego to nie zmienia. Wciąż żyją w epoce pary, gdy wszyscy są już w erze ekranu dotykowego. Zawsze kojarzą się trochę z majem sześćdziesiątego ósmego roku. Nawet konserwatyści, tacy jak jej ojciec.

Daniel się do niej uśmiecha. Unika jego wzroku, chociaż to dobry klient. Przynajmniej raz ktoś do niej przychodzi, by tatuować sobie piękne rzeczy, pozwala jej rysować i nie gada głupstw, kiedy widzi efekt... Zawsze gdy prosi o jakąś poprawkę, ma rację. Facet ma dobry gust, gdy chodzi o tatuaże. Nie ma ani jednego, który byłby spaprany. Klucie go to niemal zaszczyt... Podrywa ją. Zbija z tropu. Potrafi sobie radzić z podtatusiałymi panami, którzy się z nią umawiają i wgapiają się, gdy wkłada czarne rękawiczki. To niejako ryzyko zawodowe. Ale Daniel jest sexy. Jest przystojny. To sympatyczny macho. Gdyby rzeczywiście był tym, za kogo się podaje, sprawdziłaby, jak to jest. Mimo różnicy wieku. Tyle że ona wie. Któregoś wieczoru usłyszała fragment rozmowy, kiedy przyszedł po piwo. To trans. Céleste nie ma nic przeciwko. Ale nie ma ochoty spróbować. Są laski, są faceci, tak już jest od dwunastu tysięcy lat, jak miałyby powiedzieć swojemu ojcu: mam chłopaka, który miał okres, kiedy był młody? Toteż go unika. Nie jest ciekawa, jak zablizniła się jej muszelka. Trochę jej szkoda, ale tak jest lepiej.

Wraca do Rosy, Mimi już wyszła, w głośnikach trzeszczy Pissed Jeans. Szefowa mówi, że w godzinach popołudniowych klienci z wózkami nie przepadają za ostrym przesterem. Ale przynajmniej motywuje cię to do pracy. To Vernon ściągnął Pissed Jeans, bo czasem bywa



didżejem. Słyszała, jak miksuje, nie powala na ziemię, ale jest w porządku, da się tego słuchać.

Aïcha siedzi na tarasie, uśmiechnięta od ucha do ucha. To strasznie wkurza Céleste. Laska znika bez wieści na tydzień, żadnego esemesa. I miss Kebab wraca, niewinna jak róża, spodziewając się, że kumpelka cmoknie ją w policzek, nie czyniąc komentarzy. Aïcha jest do niczego. Wiecznie pół na pół. Trochę jest jej kumpelką, ale trochę nie. Przyjaźń tak nie działa. Przychodzisz zobaczyć się ze mną do baru, a jutro nie zwracasz na mnie uwagi. Już dwa razy jej to zrobiła. Czasem zachowuje się, jakby była na speedzie, śmieje się, wszystko gra, opowiada o swoim życiu, interesuje się twoimi historiami, zwierza ci się i nagle ni stąd, ni zowąd wycofuje się, pochmurnieje, znika z pola widzenia. Pustka. Miałaś kumpelę, a nazajutrz nie masz już nikogo. Nie, Céleste się nie zgadza. Nie jest workiem treningowym, w który się wali, żeby odreagować. Problem z Aïchą polega na tym, że poczuwa się do odpowiedzialności również za życie innych, co sprawia, że w poniedziałek są nierozłączne, ale w środę zaczyna ją dręczyć sumienie i hop, jedno złe spojrzenie, szkodliwy wpływ Céleste, i oddala się od niej, jakby mogła ją skalać, siadając obok. Céleste jest, jaka jest, akceptujesz ją lub jej unikasz, ale nie robisz niczego połowicznie. Albo jest nieczystą dziwką, która ją może zarazić, i wtedy Aïcha z nią nie rozmawia, albo są kumpelkami i jedna może liczyć na drugą. Nie chce już tej nieustannej huśtawki nastrojów. Jeśli Aïcha się boi, że demony o ludzkich twarzach skłaniają ją do złego, jak mówi, powinna trzymać się z dala od barów.

Poznały się niedawno, ale było już między nimi tyle wzlotów i upadków, że Céleste czuje się trochę tak, jakby ta historia trwała od dziesięciu lat. Za pierwszym razem, gdy z sobą rozmawiały, przyszła do baru i dostrzegła Aïchę leżącą na trawie, wyprostowaną, z ramionami przyklejonymi do ciała, z wzrokiem utkwionym w niebo. Facet o naprawdę podejrzanym wyglądzie przykucnął kilka kroków dalej, patrzył na nią z nienawiścią zmieszaną z fascynacją. Céleste już go widziała, zaczepiał samotne dziewczyny, by im zaproponować „egipski masaż”, i stawał się agresywny, kiedy nie chciały z nim rozmawiać. Było wyraźnie widać, że coś kombinuje, pewnie podziałała na niego jej chusta. Zboczeńcy albo mają ci za złe, że jesteś w szortach, albo ci ubliżają, bo zakryłaś włosy. Więc usiadła w pobliżu. Kiedy typ zbliżył się do Aïchy, Céleste nie spuszczała go z oczu, gotowa zareagować. Nie bała się go. Facet musiał wyczuć, że coś się szykuje, Aïcha odwróciła głowę i widząc pochylonego nad sobą mężczyznę, zerwała się na równe nogi. Zrobił minę, jakby chciał splunąć jej w twarz, a Céleste od razu zaczęła go wyzywać: „Wypad, pojebie, wypad albo zawołam strażników!”. Miał już problemy z pracownikami parku, zmył się bez gadania. Aïcha spojrzała na Céleste w milczeniu i minęło trochę czasu, nim powiedziała „dziękuję”. Jakby bycie miłą zawsze dużo ją kosztowało. Niewiele z sobą mówiły, poszły razem w kierunku Rosy. Kiedy dotarły

w okolice baru, Céleste chciała powiedzieć: ja tu zostaję, cześć, ale właśnie wtedy w Aïchy coś pękło. Zaczęła się trząść i szlochać. Patrzyła na Céleste, szeroko otwierając oczy jak ktoś, kto krwawi, nie wierzy w to, co mu się przydarzyło. Nie można było tak jej tu zostawić, mimo że się nie znały. Céleste zaprowadziła ją na piętro zarezerwowane dla personelu. Dała jej colę. Cola jest dobra na wszystko. Nie od razu zeszła na dół, tego dnia w barze nie było nikogo. Deszcz znów zaczął padać od rana, ludzie nie wrócili i bar świecił pustkami. Aïcha była w szoku. Zaczęła opowiadać, że jej matka pokazuje cipę w internecie, myślała, że jest córką skromnej, depresyjnej kobiety, a w istocie była córką notorycznej nimfomanki. Na to wszystko nakładała się śmierć Satany i smutek jej ojca. Céleste również opowiedziała jej swoją historię, matka uznała któregoś pięknego dnia, że nigdy nie chciała mieć dziecka, że nie chciała takiego życia, postarała się o przeniesienie do filii w Szanghaju i widywała córkę tylko raz w roku, a nawet to zdawało się jej ciężać. Ojciec też był niepokieszony. I tak zostały przyjaciółkami, mówiąc sobie wszystko o rzeczach najważniejszych. Córki matek, które złożyły dymisję z macierzyństwa, z łatwością znalazły wspólny język.

Od tego dnia polubiła Aïchę. Chciała, by się zakumplowały. Jednak Céleste nie lubi ludzi, którzy uważają się za coś lepszego i przez cały czas obserwują zachowanie innych. Ale ma słabość do tej dziewczyny, która mówi jak facet. Wyczuwa skrywaną wściekłość zmieszana z nieśmiałością. Jest w niej jakaś prawda, która niemal krzyczy. Wstrzymywana agresja. Mówi, ledwie artykułując słowa, jakby nie ośmielała się otworzyć ust. To jej wykrzywia twarz. Aïcha wystawia podbródek, ale spuszcza oczy, krzyżując ręce na piersi w pozycji obronnej, a w jej spojrzeniu można wyczytać ból, który sprawia, że to, co mówi, jest bardziej zajmujące. Jest bardzo inteligentna. Trzeba ją ośmielić, lecz gdy już nabierze zaufania, można sobie powiedzieć, że trud nie poszedł na marne. Chciałoby się wiedzieć, co myśli, jest nieprzewidywalna i bardzo stanowcza. Céleste nigdy dotąd nie była fanką zawodniaków. W szkole chodziła za nią cała paczka. Nie byli dla niej specjalnie nieprzyjemni, a jednak się ucieszyła, że może się z nimi rozstać po maturze. Musi przyznać, że podoba się jej gestykulacja Aïchy. Drzemie w niej jakaś siła, ma klasę.

Tyle że teraz Céleste ma już dość humorów swojej koleżanki. Postanawia nie zwracać na nią uwagi. Powinna zająć się jej stołem, lecz ją ignoruje. Pierwsza rzecz, jakiej się uczysz, zostając kelnerką, to traktować tych, którzy cię wkurzają, jakby nie istnieli. Twoje spojrzenie przechodzi ponad, obok, kieruje się w dowolną stronę, byle nie zetknęło się ze spojrzeniem klienta, który chce cię zapytać o jakąś bzdurę. Ale ta flądra przeżywa stan euforii, więc stara się przyciągnąć jej uwagę, wymachując ręką, aż w końcu Céleste podchodzi z naburmuszoną miną.

– Co tu robisz?

– O co chodzi? Gniewasz się na mnie?

– Jeśli chcesz wiedzieć, znamy się tak dobrze, a ty z dnia na dzień wystawiasz mnie do wiatru... Litości, daj mi spokój, znajdź sobie kumpelkę, która będzie taka jak ty, a mnie daj odpocząć.

– Nie wiedziałam, że jesteście po ślubie. Musiałam wyjechać. Nie miałam nic do ciebie, dlaczego robisz mi sceny? Usiądź ze mną. Nie ma nikogo. Przestań udawać, że zasuwasz jak opętana...

– Teraz nie mam dla ciebie czasu.

– O której kończysz? Chciałabym, abyś ze mną gdzieś poszła.

– Ależ mnie wykorzystujesz.

– Céleste, przestań świrować, chciałam tylko, żebyś ze mną poszła... Dawnośmy się nie widziały, pomyślałam sobie: zapytam Céleste, czy nie chciałaby się razem trochę powłóczyć. Byłam bardzo zajęta, to wszystko.

\*

Jednym z problemów w kontaktach z Aïchą jest jej uśmiech. Rzadko się jej to zdarza, lecz kiedy się uśmiechnie, ma to swoją wymowę. Uśmiech rozjaśnia jej oczy i chciałoby się zobaczyć go jeszcze raz. Dwie minuty po tym, jak Céleste przysięgła sobie, że nie da się więcej zwodzić, wraca z kawą z mlekiem dla siebie i małą czarną dla Aïchy, która ma delikatny żołądek i nie toleruje mieszanki mleka z kawą.

– Czego właściwie chcesz?

– Umiesz dotrzymać tajemnicy?

– A niby komu miałabym opowiadać te twoje historie?

– Spluń za plecy i przysięgnij na to, co masz najcenniejszego, że zachowasz dla siebie wszystko, co ci powiem. To ważne, więc dobrze się zastanów, zanim się zdecydujesz.

– Ale przynudzasz, jestem pełna podziwu.

Patrzą na atletycznie zbudowanego joggera. Jednocześnie odwracają głowy, by śledzić go wzrokiem. Przywykły zgadywać, jaki sport uprawiają biegacze, którzy mają wygląd. Céleste rzuca bez zastanowienia:

– Bokser.

– Kolarz. Spójrz na jego łydki.

– Widziałaś jego plecy? Na rowerze nie zrobisz sobie takich pleców.

– Wjeżdżanie na pagórki jest dobre na wszystko.

W ten sposób rozmawiają o chłopcach i nie słyszą w tym seksualnej nuty. Céleste kończy kawę, chowa bibułki i filtry do paczki tytoniu, oświadcza, że musi pracować, wstaje i chce odejść. Aïcha ją zatrzymuje:

– Wczesnie kończysz?

– Tak.

– Musimy być w Palais de Tokyo przed dwudziestą trzydzieści.

– Przestań, Aïcha. Nie będę jechała przez cały Paryż metrem, żeby pójść do muzeum. Chyba śnisz.

– Zaczekam na ciebie, spokojnie. Niczego nie potrzebuję.

\*

Dwie godziny później są w metrze. Céleste jest nie w sosie. Powtarza, że jest zmęczona, jednak ciekawość bierze górę.

– I co tam zobaczymy? – pyta.

– Konferencję. „Czym jest instalacja performatywna”. Facet jest synem producenta, który wyrządził krzywdę mojej matce. Chcę mu uprzykrzyć życie.

– Teraz zamierzasz stanąć w obronie swojej matki? Widzę, że sporo się u ciebie zmieniło... Straciłaś głowę, naprawdę... I dlaczego mnie wciągasz w swoje kretyńskie plany?

– Jesteś częścią planu.

– A to z jakiego powodu?

– Z takiego, że pójdziesz tam ze mną, by wyrzucić na niego presję.

– W twoim planie widzę same problemy: po pierwsze, w jaki sposób zamierzasz naciskać?

– Będziemy kaszleć.

– Kaszleć?

– Tak. Kaszleć cały czas. To mu rozwali tę jego gadkę.

– Laska, tylko mi nie mów, że przez czterdzieści minut będziemy jechały metrem, żeby sobie pokasać.

– Owszem. To będzie nawiązanie kontaktu.

– Okej. Jesteś wariatką. Pytanie numer dwa: dlaczego mamy brać się za syna, skoro masz coś do ojca? Mój ojciec jest gliniarzem, a mimo to ja nie mam prawa do noszenia broni.

– Ja też nie i nic złego nie zrobiłam. Ale jestem córką mojej matki, czy to mi się podoba, czy nie. Tak samo będzie z tym głupkiem. Wydaje ci się, że w dniu, w którym ten palant

odziedziczny spadek, pomyśli sobie: ach, nie będę jadł tego chleba? Gdy chodzi o mamonę i cenne nieruchomości, jest nieodrodnym synalkiem tatusia. Dlatego tam jedziemy.

– Nie wiem, kto ci zabełtał w głowie, ale dałaś się zrobić w bambuko, zostały ci tylko dwie aktywne szare komórki. I co takiego zrobił jego ojciec?

– Znam cię, kiedy się dowiesz, powiesz mi: nie trzeba kaszleć, tylko od razu kupić kałasznikowy.

Im dłużej rozmawiają, tym bardziej Aïcha ścisza głos. Céleste musi niemal przytknąć ucho do jej ust, żeby zrozumieć jej szept. To niepotrzebne, nikt w wagonie nie zwraca na nie uwagi. Mówi tak cicho, że jest to prawie niesłyszalne

– Jego ojciec jest odpowiedzialny za śmierć mojej matki.

– Tylko mi nie mów, że opowiedzieli ci to ludzie ze zgrai Subutexa... Jeśli opowiada o tym Alex Bleach, przysięgam, że zawiozę cię do szpitala... Kiedyś była już o tym mowa. Bleach był niebezpiecznym szaleńcem. A Vernon to błazen. Powinnaś przestać się z nimi zadawać.

– Oczywiście, że to prawda. A jak myślisz? Burzuje zawsze czuli się bezkarni, nie uznają żadnych granic.

– Posłuchaj, musimy gdzieś usiąść i to przedyskutować. To, co mi opowiadasz, jest jakieś nienormalne. Po pierwsze, dlaczego nagle chcesz pomścić swoją matkę? Po drugie, naprawdę słuchasz każdej bredni tych starych meneli? I najważniejsze: ktoś ci mówi, że twoja matka została zamordowana, a ty zamierzasz w związku z tym kaszleć na konferencji? Ogarnij się, Aïcha, litości...

– Robiliśmy to już wiele razy, nocą: idziemy tam i malujemy graffiti na fasadach ich domów. To pomysł dziewczyn z Boliwii. Robią tak, gdy mają do czynienia ze złodziejami, którym wszystko uchodzi na sucho. Pożyczyłyśmy od nich ten pomysł. Mamy już listę, to dzieło Hieny i Pameli. Są tam wszyscy, którzy wykorzystali moją matkę i wiedzą, że została zamordowana. Mamy ich adresy.

– Aż rozboleła mnie głowa. Zostawiam cię na tydzień, a tobie odbija na maksa... Malujecie graffiti na domach, nocą? Macie listę? Ależ jesteście groźne. Mają się czym przejmować.

– Wskazujemy ich.

– Wcale mnie nie dziwi, że to zwyczaj z Boliwii. Nie bardzo się nadaje na towar eksportowy.

– Zaufaj mi. Gdy facet budzi się rano i widzi na całej długości fasady swojego domu słowa „gwałciciel”, „morderca”, napisane literami wysokości trzech metrów, wie, o co chodzi,

i zaczyna się bać.

Céleste woli zamilknąć, patrzy na kolejno mijane stacje. Jakiś młody i dosyć przystojny czarny chłopak wsiada z gitarą i zaczyna się wydierać: „Życie jest piękne, życie jest piękne, piękne, piękne”. Ma mocny głos, którego nie oszczędza. To pewnie jego kompozycja, nie ma za dużo słów. Możliwe, że matka mu powiedziała: idź grać na zewnątrz albo cię zabiję. Wszystkich w wagonie bolą uszy. Ludzie zachowują zadziwiający spokój. Jeszcze trudniej jest teraz zrozumieć, co mówi Aïcha.

– Ja też z początku nie widziałam sensu w ich działaniu, malowanie drzwi i ścian wydawało mi się mało skuteczne... Ale mają rację: faceci tego nie cierpią. Dostają świra. Tym razem ich kasa niczemu nie służy, mogą ją co najwyżej wydać na szybkie zmycie ścian... I nie ośmielają się złożyć skargi czy informować prasy, bo w gruncie rzeczy wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi... Jeśli przez całe życie nie robisz nic innego, tylko z gaciami na kostkach posuwasz jak pies dziewczyny, które zbyt potrzebują pieniędzy czy pracy, by zachować godność... W dniu, w którym ktoś wetknie ci nos w twoje gówno, masz zbyt wiele na sumieniu, by zawiadaniać policję...

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Producent, którego oskarża Bleach, opowiada o wszystkim Hienie, a wieczorem ona nam to powtarza... Nie ma się co łudzić, że to go prześladowe. Mam tego dość, że tylko ja budzę się z tego powodu w nocy. Choć nie zrobiłam nic złego. Na razie nie mówimy jeszcze o sprawiedliwości, ale przynajmniej... Wiem, że ma zepsuty dzień, to już coś.

\*

Céleste nie mówi, co o tym myśli. Czuje politowanie. Aïchy całkiem odbiło. Lecz trudno mieć jej to za złe. Opowiedziała jej, co mówił Alex Bleach. Czy to prawda, czy nie, logiczne, że jego słowa przeraziły dziewczynę, która je usłyszała. Trudno jej sobie wyobrazić Aïchę, która dyskutuje ze starymi w parku. Tak mało ma z tymi ludźmi wspólnego.

– A czy twój ojciec wie?

– Nie. Byłby temu przeciwny. Mój ojciec jest zbyt oldskulowy, jeszcze wierzy w sprawiedliwość w tym kraju.

– A Subutex jest z wami?

– On też o niczym nie wie. Dziewczyny mówią, że jest za bardzo zaburzony. Trudno przewidzieć jego reakcje.

– Więc przez te wszystkie dni, kiedy cię nie widziałam, wałęsałaś się z tymi starymi wariatami z parku? Wiedziałam, że to królestwo sandwiczów, ale nie miałam pojęcia, że nocą

wszyscy zmieniają się w zamaskowane burgery.

Céleste czuje się urażona, że Aïcha wplątała się w tę historię, nic jej o tym nie mówiąc. Może by ją od tego odwiodła. Albo się przyłączyła. Ale powinna była o tym wiedzieć.

Po zakończeniu piosenki szalony wokalista nie przestaje się drzeć, chodzi po wagonie z wyciągniętą ręką. Od razu zaczyna śpiewać kolejną kompozycję. Tę samą nieznośną melodię z innym tekstem, ma naprawdę donośny głos. Céleste liczy na to, że ktoś mu w końcu przyłoży. Tyle że mogą mówić, co chcą, na pewno nikt ich nie usłyszy.

– Mimo wszystko trudno mi sobie wyobrazić, że ci goście tak bardzo się przejmują waszymi głupimi bazgrołami na drzwiach...

\*

Jednak mówiąc te słowa, Céleste przypomina sobie, że kiedy była w koledżu, reagowała paniką na każdy dzwonek telefonu w mieszkaniu, a kiedy odbierała, słyszała: „Jutro w szkole wszystkim nam obciągniesz, a potem cię zerzniemy, głupia dziwko, słyszysz?”, i to był jeszcze najlepszy scenariusz, bo zdążyła odebrać telefon przed ojcem. A przecież nie miała sobie nic do zarzucenia. Po dziesięciu latach nadal się zastanawia, dlaczego ta wrogość grupy chłopców skupiła się właśnie na niej. Wie, co to znaczy odbierać telefony z pogrózkami we własnym domu, iść spać, modląc się, żeby telefon nie dzwonił. Nie ma ochoty rozmawiać o tym z Aïchą.

– A jaki to ma związek z Palais de Tokyo? – pyta.

– To syn producenta... Chcemy tylko, aby wiedział, że jesteśmy w pobliżu. Niech ludzie się dowiedzą, że koniec z bezkarnością. Chcę, żeby po konferencji zadzwonił do ojca z płaczem, by jego ojciec zrozumiał, że dotrzemy do całej jego rodziny. I jak ci się podoba mój plan?

– Bardzo chaotyczny.

Céleste zastanawia się chwilę, potem mówi:

– A nie można by na tym zarobić? Szantażować ich?

– Była o tym mowa.

– Jeśli sądzicie, że Bleach mówi prawdę, można zażądać sporej sumki... A wy niszczyście fasady domów?

– Nie zamierzam sprzedawać się temu, kto da więcej. Nikt z nas nie ma na to ochoty.

– Gdy was namierzą, staniecie przed sądem za uporczywe nękanie i nie będziecie mieli nawet pieniędzy na adwokata...

– Jesteśmy ostrożni.

\*

Zbliżają się do stacji Iéna, kiedy Céleste zadaje wreszcie pytanie, które ma na końcu języka od początku trasy:

– Wybaczyłaś matce?

– Nie. Ale dużo się o niej dowiedziałam od Pameli i Daniela.

– Tylko mi nie mów, że słuchasz kurwy i transseksualisty... Ależ ci namieszali w głowie, to niesamowite.

– Słucham ludzi, którzy ją znali. Nawet jeśli to degeneraci. Byli z nią związani. Moja matka się pogubiła. To był ktoś w twoim stylu, tyle że na swej drodze spotkała nieodpowiednich ludzi. To dla mnie ważne, gdy dowiaduję się, że miała także poczucie humoru, że dobrze tańczyła, że miała przyjaciół... W sumie była też normalnym człowiekiem. Nie tylko osobą z marginesu. Nie mogę powiedzieć, bym jej wybaczyła. Powiedzmy raczej, że staram się patrzeć na to z różnych stron.

– Cóż, nie masz wyboru.

\*

W Palais de Tokyo jest pełno ludzi. Ogromna wybetonowana przestrzeń, z ciasteczkami przy wejściu, księgarnią pośrodku, a dalej wszędzie rodziny z biegającymi dziećmi. Céleste nie była w muzeum od czasu, gdy rzuciła Akademię. Zawsze nudziła się tu jak mops. Nie wiedziała, że atmosfera w muzeach przypomina teraz aquapark, tyle że bez zjeżdżalni.

Dość długo błądzą, aby w końcu w podziemiach trafić do sali z niskim sufitem, bez okien, gdzie odbywają się konferencje. Trzydzieści osób na twardych krzeselkach słucha jakiegoś młodzieńca, który wydaje się przerażony faktem, że musi mówić do mikrofonu. Nie jest urodzonym trybunem, to widać od razu po wejściu.

– To on – szepcze Aïcha i dostrzegając, że w pierwszym rzędzie jest kilka wolnych miejsc, postanawia usiąść z przodu, by wszyscy ją widzieli.

A przecież nie musi niczego robić, by zaciekać ludzi, w tym miejscu hidżab wywołuje natychmiastowy efekt.

Ludzie jej się przyglądają, niektórzy zastanawiają się, czy nie zacznie tu sprzątać, inni przychylnym okiem patrzą na przedstawicielkę mniejszości, która chce się doksztalić, jeszcze inni przysuwają torebki bliżej siebie lub wpatrują się w nią, zadając sobie pytanie, czy w tylnej kieszeni dzinsów nie ukryła bomby, a najbardziej radykalni zaczynają szeptać: „Nie można jej



stąd usunąć? Ma do tego prawo? Jesteś pewien?”. Aïcha jest chodzącym dowodem na to, że jeśli chodzi o look, dodatki mają kapitalne znaczenie.

\*

Chłopak, który przemawia, ma trzydzieści lat. Trochę dłuższe włosy, nie nosi hipsterskiej brody, ale ma w sobie coś z hipstera. Na pewno jeździ na rowerze i często bywa w Berlinie. Trzyma mikrofon w dwóch dłoniach, jakby się go uczepił. Czasami jego lewa dłoń się uwalnia i zaczyna się gwałtownie poruszać, akcentując to, co opowiada. Czyta tekst, który przygotował, nie byłby w stanie powiedzieć trzech słów od siebie. Jest zbyt wystraszony, żeby je zauważyć. Aïcha kaszle, a Céleste ją naśladuje, chociaż bez przekonania. Referat jest tak nudny, że dwa odkaszlnięcia nie popsują mu wystąpienia. Céleste spogląda na zegarek. Czas mija jeszcze wolniej niż w pracy. Facet ma toporne dłonie pozbawione wdzięku. Trudność, z jaką się wysławia, jednak ją porusza. Widziała tylu idiotów, którzy opowiadają byle co z niesamowitą swadą. Był na południu albo odwiedził solarium, ma lekko opaloną skórę. To nachodzi ją niespodziewanie. Ma ochotę się z nim pieprzyć. Właśnie dlatego, że jest dość nijaki. Szepcze Aïchy na ucho:

– Twój sposób nie działa. Jeśli chcesz, pójdę do niego, wrzucę mu środek nasenny do szklanki, zaczekam, aż zaśnie, i pomaluję mu pokój.

– Skąd weźmiesz środek nasenny?

– Mam w torebce. Pracuję w barze. Bieremy speedy, żeby przetrzymać noc, zawsze mam coś na uspokojenie, kiedy wracam do domu.

Właśnie. Teraz już rozumie, w jaki sposób banda Subutexa miesza ludziom w głowach: proponują im udział w niezwykłych operacjach. „Szykuję pewną akcję. Chcesz się przyłączyć?”. I w pierwszej chwili mówisz sobie nie, ten twój pomysł to kompletny idiotyzm. Ale pięć minut później stoisz już w blokach startowych. Mając do wyboru bezsilność i absurdałne działanie, bez wahania wybierasz drugą opcję. Przynajmniej coś się dzieje. Akcja może coś zmienić. Pójść do mieszkania tego idioty, który jej nic nie zrobił, by się odegrać za wszystkie przypadki molestowania, które zniszczyły jej dzieciństwo. A w dodatku pomóc kumpelce. Pokazać jej, że może na nią liczyć. Że tworzą jedność. Chce się do nich przyłączyć.

– A jak wejdiesz do jego mieszkania?

– Zgadnij.

– To straszne.

– Poświęcę się. Pójdziesz do księgarni przy wejściu i kupisz mi dwa grube flamastry?

„Jebać głupią sukę, która cię urodziła” „Pierdolony burżuj” „Bękart” „Zdychaj, cioto”.

Zdumiewa go jej ortografia. Jest lepsza, niż można by sądzić po sposobie, w jaki się wypowiada. Słowo „bękart” przykuwa jego uwagę. Antoine obchodzi całe mieszkanie. Przyozdobiła gryzmołami wszystko, od drzwiczek kuchennych szafek po salon, nie zapominając o łazience. Użyła czerwonego flamastra, jakie stosują tagerzy, kreska jest gruba, tusz ścieka, dziewczyna nie ma pojęcia o liternictwie. To nie jest graficziara z prawdziwego zdarzenia.

Wybiera ze słoja złotą kapsułkę z kawą, potem pisze uprzejmego esemesa do Olympe, sprzątaczkii, by w tym tygodniu nie przychodziła, nie musi tego oglądać, biedaczka. Teraz Antoine rozumie, dlaczego obudził się z okropnym kacem, choć wieczorem prawie nic nie pił: ta mała musiała mu coś wrzucić do szklanki. Jest południe, spał jak zabity, nie słyszał budzika, przepuścił poranne spotkania. Będzie musiał zadzwonić do swojej asystentki, żeby przebukowała mu bilet powrotny, przesunęła datę o dzień. Tak czy owak, przed wyjazdem musi doprowadzić mieszkanie do ładu.

„Dajesz dupy każdemu, cioto”. Żeby kogoś naprawdę poniżyć, trzeba go sfeminizować. Antoine nie jest nawet zdziwiony, że te obelgi są dziełem kobiety. Przejęły haniebne epitety, jakimi je obrzucano. Ich jedynym ratunkiem jest macierzyństwo, co stawia je w niezwykle delikatnej sytuacji: żeby wyjść za mąż, muszą być przecież zalotne, a to zniża je do pozycji kurwy. A żeby zająć w ciążę, trzeba rozłożyć uda, co też im nie odpowiada. Nie minie dziesięć lat, a te niedotykalne będą się rozmnażały wyłącznie przez sztuczne zapłodnienie, tylko to ochroni je przed brudem, z jakim kojarzy im się seksualność. Ich rówieśnicy odetchną z ulgą: jeśli chodzi o rżnięcie, pozostaną profesjonalistki, a małżeńskie stadła będą zakładali z czcigodnymi matkami dziewczycami.

Wieczorem wprosiła się do niego na kolację. Musiałby użyć siły, żeby się jej pozbyć. Młode kobiety, które wiedzą, że są ładne – choć akurat ta się przecenia – nie przyjmują do wiadomości, że ich upór graniczy z molestowaniem. Nie miał ochoty na jej towarzystwo. Dał jej to jasno do zrozumienia. Narzucała się. Często mu się to zdarza. Nie był zaskoczony, wziął ją za aktorkę. Nie sposób im wytłumaczyć, że numer z synem wpływowego ojca nie otworzy im żadnych drzwi. Młodziutkie aktoreczki są nieustępliwe. Wiedzą, że bez układów do niczego nie dojdą, i są gotowe na wszystko, żeby zapełnić swój notes z adresami. Przespanie się z nim to dla nich kwestia społecznego przetrwania.

Żeby nawiązać kontakt z Antoine’em, niechcący na niego wpadła, było to tak trywialne,

że poczuł zażenowanie. Uznał, że łatwiej będzie zabrać ją do siebie, niż się od niej uwolnić. Obelgi wypisane w salonie literami metrowej wysokości tak bardzo go nie dziwią, zdumiewa go raczej to, że tak rzadko wpada w poważne tarapaty. Jest z natury miękkiej, nieśmiały i nieporadny, ma forsę jak lodu i chętnie zadaje się z różną hołotą. Będzie musiał poszukać kogoś, kto pomaluje mieszkanie. To zajmie mu popołudnie. A ma tak wiele rzeczy do zrobienia. Czuje się zniechęcony.

Rzuciła się na niego, jakby pościła od roku. Nie zna jej imienia. W łóżku to było przyjemne zaskoczenie: była tak napalona, jakby dopiero co wyszła z pudła i nie nauczyła się tam kochać z kobietami. Spodobał mu się ten frontalny atak, to, że była czuła i wyuzdana, romantyczna bladź, która wie, czego chce, nie jakaś potulna gęś, która się miota, symulując rozkosz, a on takie zwykle przyciąga. To było lepsze, niż się spodziewał, ale szybko się znudził, był myślami gdzie indziej. Żeby w łóżku dziewczyna była pociągająca, musi na niego działać, gdy jest jeszcze ubrana. Zabrała się do tego ze zbyt wielkim zapałem, nie miał czasu na fantazje, nie mógł niczego wysublimować, ani jej stroju, ani gestów czy deklaracji. W końcu, żeby sfinalizować sprawę, zaczął myśleć o dziewczynie, która z nią przyszła. Tamta, w chuście, była mniej urodziwa, lecz bardziej podniecająca, bo bardziej niedostępna. Kto nie miałby ochoty na romans z księżniczką z haremu? Zauważył ją, kiedy weszła. Chciałby spodobać się takiej dziewczynie, szorstkiej i wyniosłej. Ale nawet nie zaczęła na koniec jego wykładu, zabrała swoje rzeczy i wyszła. Wypadł kiepsko. Jak zwykle. Nie czuje się swobodnie, przemawiając publicznie, czyta notatki i nie umie improwizować. A potem wpadła na niego ta druga. Niczego nie podejrzewał. Oberwał za swoje. Powinien puknąć się w czoło. Ta mała miała powody, żeby się go ucześcić. Punkt dla niej. Chciała mu dopiec. Brawo. Ogrzewa wnętrze dłoni filiżanką kawy, kontemplując rozmiary zniszczeń. Doliczył się dwunastu napisów. Wyobraża sobie, że śpi jak dziecko, podczas gdy ona demoluje jego mieszkanie. Mogłaby go zabić. Poderżnąć mu gardło. Umarłby, chrapiąc. Teraz też ktoś za jego pośrednictwem zwraca się do ojca. I to nie wygląda na zbieg okoliczności, kilka dni wcześniej wandalę odwiedzili ulicę producenta.

Wolałby, żeby została. Dużo by teraz dał, żeby dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Stojąc bez ruchu na środku upstrzonego napisami pokoju, Antoine nie może się na nic zdecydować. Jednak to działa. Robi na nim wrażenie. Doładowuje telefon. Zanim każe to zamalować, chce zrobić serię zdjęć. To dzieło sztuki, można by to wystawić. Nie wie, czy ośmieli się je pokazać w tej formie. Jeśli ta wandalę wyobraża sobie, że on zadzwoni do ojca, by mu się poskarżyć, to się grubo myli... Zrobiłaby lepiej, gdyby wczoraj zadała mu kilka pytań, zamiast składać mu swoje ciało w ofierze. Gdy jego ojciec zobaczył drzwi swojego mieszkania pomazane

obscenicznymi graffiti, uprzedził swoje dzieci, że padł ofiarą obrzydliwego spisku uknutego prawdopodobnie przez zazdrosnych kolegów z branży, i zamykając temat, przykazał im nie mówić o tym nikomu.

Antoine'a przeraża rozmiar szkód. Nie ładuje baterii do końca i zaczyna fotografować. Potrafi docenić malarstwo gestu. Gdy ojciec opowiedział mu o obelżywych napisach na fasadzie jego domu, Antoine od razu wiedział, o jaką akcję chodzi. Przed niespełna rokiem wysłuchał wystąpienia pewnej argentyńskiej kuratorki sztuki na temat escrache'u, czyli bluzgu. Opowiadała, że matki dzieci zaginionych w czasach dyktatury pokryły napisami domy bezkarnych katów, aby publicznie ich napiętnować.

W sumie nie powinien malować ścian. Zostawić tak jak jest. To byłoby ciekawe. Znieść afront. Z goryczą myśli o ironii tej sytuacji: tamten wykład go zafascynował, zappełnił wtedy notes uwagami na temat alternatywnych strategii politycznych, które zrodziły się w krajach, gdzie instytucje państwowe nie egzekwują prawa. Nie wie, co zrobił jego ojciec, by ściągnąć sobie na głowę takie problemy. Lecz wcale nie jest zdziwiony, że to mu się przydarzyło. Ojciec nie jest aniołem.

Antoine chciałby odnaleźć dziewczynę, która to zrobiła. Chętnie by ją ostrzegł. To się źle dla nich skończy. Nie wiedzą, jak wiele może jego ojciec. Odnajdzie ich. Nie mają pojęcia, jak daleko jest w stanie się posunąć, gdy czuje, że ktoś mu się przeciwstawia. Drogo za to zapłacą.

Ta mała wandalka nigdy nie będzie czuła do jego ojca tak wielkiej nienawiści jak sam Antoine. Za słabo go zna. Może ją zgwałcił na biurku w jakiś upojny wieczór... Ale nie musiała go znosić przez całe dzieciństwo. Ma nadzieję, że dziewczyna przynajmniej się nie łudzi, że człowiek tego rodzaju może mieć wyrzuty sumienia. Na samą myśl o tym Antoine ma ochotę wybuchnąć śmiechem. Bez względu na to, co zrobił, jego ojciec nie ma najmniejszych wątpliwości, że postąpił słusznie – jego przyjemność jest ważniejsza od całej reszty.

\*

Dorastał jako typowy synalek zamożnych rodziców: skończony idiota i zakąła rodu. Przeszedł szereg terapii, kolekcjonując diagnozy, najpierw był dyslektykiem, potem miał problemy z koncentracją, z pamięcią, nauką, ze słuchem, był dotknięty lekkim autyzmem, wybitnie uzdolniony, zbyt emocjonalny. W końcu wysłano go do szkoły w Szwajcarii. Nauczyciele mogli ustawiać ławki w kręgu, pozwalać mu podczas lekcji snuć się po dziedzińcu albo wymierzać kary... Efekt był taki sam: nie rozumiał, co się do niego mówi. Kiedy w szkole wyjaśniano mu najprostsze pojęcia, nie potrafił ich zrozumieć, były dla niego

abstrakcyjne i nieogarnione. To, że zdał maturę, kosztowało jego rodzinę równowartość dwupoziomowego mieszkania w szóstej dzielnicy.

Antoine nigdy się nie zintegrował ze swoim środowiskiem. Czując się gorszy od innych, od wieku dojrzewania szukał towarzystwa ludzi naprawdę nieprzystosowanych – dzielnicowej hałastry. Może miał nadzieję, że kontakt z biedotą pozwoli mu w końcu pozbyć się kompleksów. Wie, że zwykle tak właśnie to działa: tacy faceci jak on zbliżają się do ludzi, których uważają za gorszych pod każdym względem od siebie, ponieważ wolą błyszczeć wśród plebsu, niż mieć poczucie niższości we własnym środowisku. Nie wydaje mu się, aby był kimś w tym rodzaju. Ale nigdy nie wiadomo. Zawsze autentycznie urzekła go inteligencja facetów z przedmieść, szybkość ich reakcji, trafność intuicji, znajomość życia, a nade wszystko ten zaraźliwy humor, który pozwalał drwić z biedy i przybierać wielkopańskie pozy. Podobał mu się ich język, nonszalancja, z jaką wkraczają w dowolną dziedzinę życia, przywłaszczając sobie to wszystko, co nie było im dane. Czasy się już zmieniły. Ludzie mocni w gębie budzili powszechny podziw. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych kultura przedmieść dosłownie eksplodowała, a dzieciaki, do których próbował się zbliżyć, nie podziwiałały go już tylko dlatego, że w szkole opanował podstawy łaciny. Antoine musiał się nieźle natrudzić i przezwyciężyć lęk, by wyrobić sobie pozycję wśród kolegów z wyboru.

Wcześniej, w szkołach, do których chodził, zawsze miał wrażenie, że chłopcy z jego klasy społecznej znają sekret, którego jemu nikt nigdy nie wyjawiał. Swoboda przychodziła im w sposób naturalny. Byli wysportowani, bez trudu uczyli się języków, wiedzieli, co trzeba nosić. Miał dwadzieścia lat, kiedy Booba wylansował *Temps Mort*. Młodzi słuchali Snoop Dogga i Dr. Dre, Tupaca i The Notoriousa B.I.G. Schronił się w tych dźwiękach, jakby znalazł sobie zastępczy brzuch. Hip-hop stał się muzyką mainstreamową, a on postanowił zostać agentem artystów graficyarzy.

Wielu z nich było gotowych pracować w świecie mody, w muzeach czy instytucjach. W tamtych czasach nie łudził się, że jest to coś innego niż strategia zdobywania przyjaciół. Kilku artystów miało talent, charyzmę, robili wrażenie. Antoine miał nazwisko, które ułatwiało kontakty i pozwalało mu grać na dwóch frontach: znał język galerii i uczył się języka ulicy. Jak niektóre dwujęzyczne dzieci nie czuł się naprawdę swobodnie w żadnym z tych dwóch światów. Był przekonany – choć historia street artu mówiła mu co innego – że cierpi, ponieważ otworzył drzwi oddzielające dwa światy. Starannie wybrał swoich podopiecznych. Zarobił na nich trochę pieniędzy, a przede wszystkim zyskał wiarygodność w skali międzynarodowej. Szybko stał się modnym kuratorem sztuki. Jego artyści zgarne

niezłe sumki. Ale tylko nieliczni zrobili prawdziwą karierę. Część ludzi, z którymi pracował, wróciła do punktu wyjścia, z poczuciem wielkiego rozgoryczenia. Jeśli ktoś zobaczy świat oddychający pełną piersią, zyska dostęp do sfer uprzywilejowanych, zasilanych nieprzerwanym strumieniem pieniędzy, z wielkim trudem znosi potem duszną atmosferę swojej rodzinnej dzielnicy. Faceci podpisywali kontrakt, inkasowali kilka tysięcy euro, doznawali przyjemnego uczucia, że imadło zaczyna się rozluźniać, potem pojawiał się jakiś młodszy gość – sztuka współczesna stawiała na nowość – i odsyłał wczorajszą gwiazdę na zasilek. To była reguła. Antoine odkrył ją w tym samym czasie co artyści, ale różnica polegała na tym, że on był ustawiony na całe życie.

Antoine może się chełpić tym, że wystawił w nowojorskich galeriach i na Zachodnim Wybrzeżu kilka wielkich nazwisk street artu, a następnie kolejno musiał się ich pozbyć. Dzieci ludzi bogatych są entuzjastami i stać je na naiwność: rachunek, jaki życie wystawia im za błędy, nie jest wygórowany. Wychodził z mylnego założenia, że jeśli tylko biedakom da się okazję, z zapałem zaakceptują dyktaturę systemu. Tyle że ich ulubioną opcją jest rozpieprzenie wszystkiego. Są wrażliwi: przy pierwszym ustępstwie, jakie się im sugeruje, czują się znieważeni, szczerzą kły i grożą ci śmiercią. Brakuje im tego, czego można się nauczyć tylko w elitarnych szkołach: pewności, że są ważni, której żadna krytyka nie jest w stanie naruszyć.

Gdy został kuratorem, najpierw splądrowano mu mieszkanie, potem ukradziono papiery, podpalono galerię, wyłudzone pieniądze od jego adwokata, napastowano jego siostrę, złamano nos pewnemu dyplomacie, pokryto tagami Instytut Francuski w Londynie... Ale jego kariera już się rozpoczęła. Choć nie podjął świadomie tej decyzji, stopniowo zaczął się zbliżać do bardziej klasycznych artystów. Zdobywszy reputację, nie czuł się gorszy, kiedy spotykał się z podobnymi do siebie ludźmi.

W tej epoce – za sprawą nowych inwestorów – wyłoniły się liczne talenty z Bliskiego Wschodu i krajów Europy Wschodniej, więc Antoine zaspokaja swoje pragnienie otwarcia, pracując z innymi dziećmi z dobrych domów, wywodzącymi się z kultur, które jeszcze wczoraj były egzotyczne, a teraz stały się nowym Uniwersum. Nie słucha już hip-hopu. Wielbi Leonarda Cohena.

\*

Nie może zostawić mieszkania w takim stanie. Jutro opuszcza Paryż i Francesca mogłaby wrócić pod jego nieobecność. Nie spodoba się jej ta nowa dekoracja, nawet jeśli przedstawi jej to jako sztukę. Trudno byłoby jej wyjaśnić, że sprowadził do domu jakąś nieznaną pannę i że się tu przespała. Cztery kawy. Co rano popełnia ten sam błąd. Suchość w ustach, mdłości

i ucisk w żołądku. Tak rozpoczyna dzień. Ponieważ utknął w Paryżu, sporządza listę rzeczy, które powinien tu zrobić. Musi coś napisać na Twitterze – nie jest to zapisane w jego umowach, ale istnieje milczące założenie, że będzie się udzielał na portalach społecznościowych. Wysyłają go w najdalsze zakątki świata, spędza życie w halach odlotów z małą walizką na kółkach, którą za sobą ciągnie. On i podobni do niego ludzie stanowią odrębną kategorię, rozpoznają się, są fachowcami, znawcami stref czasowych, okazują lekką wzgardę amatorom na lotniskach. Ta mania zagranicznych spotkań. Sprawy, które bez trudu mogliby omówić przez Skype'a. Nic tak nie pierze mózgu, jak te przedłużające się pobyty w salonach pierwszej klasy na lotniskach. Przenosząc się z jednego pokoju hotelowego do drugiego, z kosmetyczką i poukładanymi równo koszulami, kumuluje podróże, podczas których traci z wolna wszelką zdolność rozumowania.

\*

Zostawia wiadomość na sekretarce ojca: „Jestem do jutra w Paryżu, jeśli masz czas, chętnie wpadnę do biura wypić z tobą kawę, a przy okazji wziąć kilka płyt DVD”. Zwykle unika spotkań z ojcem. Potrzebował lat, by sformułować tę prostą myśl: to palant. Antoine długo patrzył na niego oczyma swojej matki, widząc człowieka prawego, przemilego, o wielkiej inteligencji. Dobry ojciec, którego zawodzi para trudnych dzieci. Później doznał olśnienia: ojciec go nie kocha. Tak często słyszał o tym, że ojciec go ubóstwia, że nigdy nie zadał sobie pytania, kiedy i w jaki sposób wyraża to uwielbienie. Jego ojciec wcale nie był prawy ani miły. Był egocentrykiem, kłamcą, cholerykiem zafascynowanym pieniędzmi i niezdolnym do poskromienia swego libido... Antoine był dla niego ciężarem i kosztował go krocie. Toteż ojciec nie zbliżał się do dziecka, chyba że chciał okazać mu wzgardę.

Antoine chciałby móc powiedzieć, że na płaszczyźnie zawodowej odciął się od ojca, że ma przekonania, że jest człowiekiem lewicy. Ale zbyt trzeźwo patrzy na rzeczywistość, by nie zauważyć, że obiektywnie rzecz biorąc, miał o wiele mniej okazji do tego, by ulec deprawacji, niż ojciec. To z braku pokus pozostał przyzwoitym człowiekiem.

Poprzysiągł sobie, że sam nigdy nie będzie nieobecny i wymagającym ojcem, cholernym mantyką, który wraca do domu tylko po to, żeby się skarżyć na źle wychowane dzieci. Lecz pajak dziedzicznych cech jest cierpliwy. Pracuje w cieniu bez wiedzy tego, kto go w sobie nosi. Antoine'owi też trudno ukryć pogardę, jaką żywi do syna. Kiedy Pablo był mały, wszystko było w jak najlepszym porządku. Ale dzieciak, którego widzi dzisiaj, mu się nie podoba. To nie jest wina rodziny. Chłopak jest częścią swojej epoki. Nie miał jeszcze dziesięciu lat, gdy pochłonęły go telewizyjne *reality show*. Istny balsam dla duszy. Dzieciak

wpadł w ekstazę, oglądając *Les Anges de la télérealité*<sup>1</sup>. Nieprawdopodobny zalew kretyństwa, od którego nic nie było w stanie go oderwać... I Antoine patrzył z przerażeniem, jak inteligencja jego dziecka topnieje niczym śnieg na słońcu. Jeśli kazano mu zrobić coś innego, Pablo nie stawiał oporu, biernie czekał na chwilę, gdy będzie mógł wrócić przed ekran. Przez resztę czasu dzieciak chlipie, że chce nowy anorak, telefon, słuchawki za tysiąc euro, chce jechać na luksusowe wakacje. Antoine ma świadomość, że jego spojrzenie przypomina spojrzenie jego ojca, kiedy na niego patrzył. Francesca walczy jak może, żeby jej syn rozwinął inne zdolności oprócz uczenia się na pamięć imion wszystkich uczestniczek programu *Singiel szuka żony*. Nadal są małżeństwem, ale nigdy nie przebywają w tym samym kraju w tym samym czasie. Jego związek również przypomina związek jego rodziców. Z tą różnicą, że Francesca nie darzy go podziwem, nie cierpi w milczeniu z powodu jego zdrad: dość szybko przestał ją interesować i to ona uparcie go unika. Rozumie ją. Godzi się na to.

Francesca, pochodząca z kubańskiej rodziny z kręgów bliskich władzy, z wenezuelskim paszportem w kieszeni, pracowała w południowoamerykańskiej firmie zajmującej się marketingiem sztuki współczesnej, gdy poznali się w domu przyjaciół w San Francisco. Ich porozumienie wygasło. Nie potrafi jej zadowolić. Ona nie znosi, że Antoine pracuje, nie znosi, że brak mu ambicji. Nie znosi, że ma go przez cały czas na karku, nie znosi, że podróżuje. Kiedy wyjeżdżają na weekend, płacze już w samolocie, gdy zatrzymują się w hotelu, nie może znieść hałasu, jaki robią sąsiedzi zza ściany. Kiedy zostają w domu, skarży się, że Antoine nie ma przyjaciół, z którymi ona mogłaby znaleźć wspólny język. Nigdy nie wiadomo, na co będzie się użalała, to nieodgadnione. Jedno jest pewne: nie czuje się z nim szczęśliwa.

Gdy jej nie ma w pobliżu, Antoine zachwyca się obrazem Franceski, jaki sobie stworzył, jej swobodą wypowiedzi, jej inteligencją, dla której nie ma żadnych świętości, jej radykalizmem, jej poczuciem humoru. Ale gdy jest w pobliżu, boi się jej wybuchów, nieustannych zarzutów, wchodzenia mu na głowę. I znowu odżywa koszmar ojca: Francesca przypomina mu jego macochę.

Antoine miał dziesięć lat, kiedy Marilyn wkroczyła w ich życie. Dotąd rodzina realizowała klasyczny wzorzec: małżonkowie, dzieci, regularna kochanka, kilka kurew i dyskretne orgietki. Ale gdy małżonka przekroczyła czterdziestkę, ojciec postanowił nawiązać do innej tradycji. Porzucił ją dla młodszej. Marilyn nosiła wielkie kapelusze, pasjonowała się wystrojem wnętrz i medycyną niekonwencjonalną. Dwadzieścia lat później zapach olejku lawendowego wciąż powoduje u Antoine'a silny odruch wymiotny. Macocha była nie do zniesienia. Zaprowadziła w domu terror. Ojciec często był nieobecny. Matka nie zniosła



separacji, w kawalerce przy stacji metra Porte Dorée próbowała z sobą skończyć już w pierwszych miesiącach po rozwodzie, i latami widywali ją wyłącznie w pokojach szpitalnych. Potem Marilyn zaszła w ciążę. I zaczęło się najgorsze. Wbiła sobie do głowy, że przy podziale spadku jej syn zostanie skrzywdzony, że dwójka dzieci z pierwszego małżeństwa odziedziczy więcej. Antoine nauczył się chować pod łóżkiem, kiedy wpadała w złość. Miała inteligencję wiemy: umiała znaleźć słaby punkt, wymierzyć upokarzającą karę, znaleźć właściwe słowo, by jak najbardziej mu dopiec. Pastwiła się nad nim i siostrą jak prawdziwy kat. Ojciec widział, co się dzieje. Nigdy nie próbował ich bronić w sytuacji, jaką im narzucił. Marilyn była jego karzącą dłońią.

\*

Biura producenta przeniosły się na inną ulicę. Hol wejściowy jest tak rozległy, że można by tam zrobić lodowisko. W tym rozmachu jest coś żalnego. Wiele mówi o profilu człowieka, który sam już nie wie, jak ma potwierdzić, że żyje, i którego nic nie może uspokoić. Bogiem jego ojca jest Kapitał. To bóstwo nieprzewidywalne i wymagające, które potrafi porazić piorunem plony, gwałcić dziewice, topić niewinnych czy kazać swoim poddanym poderżnąć gardła swoim własnym dzieciom, bo idol poczuł nagle pragnienie świeżej krwi. Nie dyskutuje się z rozkazami takiego bóstwa: oddaje mu się wszystko, bez dyskusji.

Firma zmieniła nazwę, adres, wielkość, atmosferę, ale recepcjonistka jest ta sama od dziesięciu lat. Antoine nie pamięta jej imienia. Zdecydowanie schudła i jest mocniej umalowana niż wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. To ją postarza. Uprzedza go: „To nie jest najlepszy moment, dzień jest wyjątkowo napięty”. Przywykł do tego. Wszystkie dni są napięte i przeładowane, od kiedy zna swego ojca. Ma czas, by przejrzeć kilka egzemplarzy tygodnika „Ecran Total”, zanim wsiądzie do windy, która zawiezie go do jaskini bossa.

– Antoine? Nawet nie wiedziałem, że jesteś w Paryżu... Wejź. Chcesz wieczorem zjeść ze mną kolację? Będziemy tylko we dwóch, Kicia wyjechała.

– Zaraz wyjeżdżam, tato.

Ta mania nazywania swojego lachona Kicią. Jest zaabsorbowany. Ma okropną minę. Antoine’a aż korci, żeby zapytać go wprost: co zrobiłeś, tato, że tak nas nienawidzą?

Na widok ojca jego pierś przepełnia ogromna nostalgia, tęsknota za porozumieniem, którego nie było. A jednak ma wrażenie, że coś go ominęło, nie zaznał szacunku, czułości i zażyłości, bliskiego kontaktu. Ale nie mówi o tym, co mu doskwiera, mówi: nie, bez cukru, jak zawsze, ani mleka, nie, dziękuję, tak, tak, mocna czarna. Co w Nowym Jorku? Wszystko

dobrze, lepiej niż tutaj, czuć, że coś już tam drgnęło... Mówi się, że wszyscy marszandzi opuszczają stolicę, z powodu podatków... Że handel dziełami sztuki coraz częściej omija Paryż... Nie wierzę w to, powtarza się to od lat i nic się nie zmienia... Pracuję teraz z Niemcami i Holendrami. To nieznośne, że od czasu kryzysu patrzą na nas z góry.

Jego ojciec siedzi z założonymi rękami, opierając pośladki o skraj biurowego fotela, słucha w roztargnieniu, jego uśmiech jest pusty, szczere jest tylko napięcie. Drapie się po karku, patrzy przez okno, potem nagle wstaje i prosi o wybaczenie.

– Mam problem z pracownicą, muszę z nią pomówić. Daj mi pięć minut.

I jak zwykle nie zamyka drzwi oddzielających jego biuro od biura asystentki, ton jego głosu się zmienia, gdy tylko przechodzi na tamtą stronę, złość, którą na krótko stłumił, zmienia się w furję.

– Wypraszam to sobie! Pani niestosowne uwagi na temat innych osób proszę zachować dla siebie, słyszy pani! Mówiłem to już pani grzecznie wiele razy, uprzedzałem. Pani zdaniem, gdzie my właściwie jesteśmy? Za kogo mnie pani bierze? Myśli pani, że jesteśmy kumplami i możemy sobie żartować? To wszystko moja wina. Powinienem był zwrócić na to uwagę, gdy pani się tu zjawiała, jest pani niedojrzała. Nie ma pani pojęcia, czego od pani oczekuję, a w dodatku jest pani bezczelna... Za kogo się pani uważa? Przemyślałem to, sprawa zamknięta: proszę natychmiast zbierać swoje manatki, a gdy już pani opróżni biurko, proszę wyjść, nie chcę pani tu więcej widzieć.

Trzaska drzwiami, żeby zakończyć dyskusję, obrazy na ścianach dygocą, i wrzeszczy, patrząc przez ramię:

– Dziękuję! Zmusza mnie pani, abym panią zwolnił z dnia na dzień! Znakomicie, teraz wszystko spadnie na moją głowę, wielkie dzięki! Doprawdy będzie mnie pani wkurzała do samego końca, brawo, brawo i jeszcze raz brawo!

Zapluwa się i czerwienieje na twarzy. Zawsze był z natury tchórzliwy, jest łagodny do chwili, kiedy coś w nim pęka. Kiedy to z niego wychodzi, rozmówca musi zapłacić za każdą chwilę, gdy nie zachował się fair. Lecz tym razem naprawdę nad sobą nie panuje. Antoine myśli o małej wandalce, chętnie by jej powiedział, że to faktycznie działa! Jest przekonany, że dziewczyna ma prawdziwe powody, by żywić antypatię do jego rodziny. Pyta łagodnym i przymilnym tonem:

– Jakież problemy?

– To idiotka. Nie mogę dawać szansy ludziom, którzy nie dorośli. Kiedy masz miękkie serce, musisz mieć twardą dupę... Od tak dawna uprawiam ten zawód i jeszcze się tego nie nauczyłem...

– Co się stało?

– Niczego nie rozumie. Nie dość, że przyszła spóźniona, gdyby wierzyć jej słowom, metro ma wieczne problemy, to teraz wpada i zaczyna dworować sobie z Sarave'a, to błyskotliwy gość, tak wiele dał francuskiemu kinu i wprowadzie nas olał, fakt, ale żeby zaraz... Ubliża mu w najlepsze, sadowiąc grubą dupę na krześle, twierdzi, że nie powinien się wypowiadać o nowym układzie zbiorowym... Czy ta idiotka myśli, że jej płacą za wyrażanie opinii?

Wspomniana idiotka bez pukania otwiera drzwi i przerywa jego diatrybę. Piękna brunetka zwraca się do producenta wprost, bez łez i błagania. Ojciec ma rację co do jednego: nie pasuje do tego środowiska.

– Nigdy niczego takiego nie powiedziałam – oświadcza. – Chciałabym o tym z panem porozmawiać, bo...

– Proszę wyjść!

Ojciec pieni się z wściekłości. Powtarza kilka razy „proszę wyjść!”, nawet gdy już zamknęła za sobą drzwi.

– Zniszczę ją, załatwię ją na cacy, ta kretynka już nigdy nie znajdzie sobie zajęcia.

Dziwne przecucie: dziewczyna wie o czymś, co niepokoi jego ojca. A ojciec ma świadomość, że popełnia taktyczny błąd, zwalniając ją z pracy. Bo istnieje większe ryzyko, że zacznie mówić, gdy znajdzie się poza biurem, niż gdyby nadal pozostawała na jego łasce. Ten oczywisty fakt potwierdza nadmierne wzburzenie jego ojca. Wyrzuca ludzi od zawsze. Często zdarza mu się wyładowywać na słabszych. Ale tym razem za bardzo się podnieca, to nie pasuje do całej sytuacji. Brakuje poczucia triumfu, satysfakcji z upokorzenia drugiej osoby. Dopalet jest tylko przybity. A może czymś zaniepokojony. Nikt się tak nie przejmuje, zwalniając taką dziewczynę jak ona. Antoine idzie za głosem instynktu. Zerka na swój telefon, wstaje, mówi, że ma spotkanie, niezdarnie obejmuje ojca.

– Do zobaczenia. Przyjdź na kolację, zadzwoń do mnie i wpadnij do domu.

Obydwaj wiedzą, że Antoine nie przyjdzie. Szybko wychodzi z biura. Czeka na chodniku, aż dziewczyna pozbiera swoje rzeczy. Coś każe mu za nią iść.

---

<sup>1</sup> *Anioły reality show* – program emitowany przez stację NRJ 12 od stycznia 2011 roku (od poniedziałku do piątku). Uczestnicy dawniejszych programów tego typu mieszkali razem w willi lub lofcie. W pierwszej serii była to willa w Beverly Hills, a uczestnicy mieli za zadanie „zdobyć sławę w Stanach Zjednoczonych”.

Anaïs spodziewała się tego od tygodni i poczuła się trochę tak, jakby nosiła na sobie coś brudnego i wreszcie się tego pozbyła. Dopalet zawsze zachowywał się w stosunku do niej uprzejmie, okazywał jej względy, był niemal szarmancki i przez jakiś czas traktował ją jak swoją powiernicę. Kiedy przed chwilą zaczął się wydzierać, to był koszmar. I nikt na piętrze słowem nie zaprotestował, ktoś pomógł jej spakować pudełka i obiecał, że szybko je jej odeśle, ludzie już unikali jej wzroku, była jak zadżumiona. Zrozumiała, że nie jej pierwszej przydarzyło się coś podobnego. To było jeszcze bardziej upokarzające.

Nikt nigdy nie zwolnił jej z pracy w taki sposób. Nikt nigdy nie mówił do niej takim tonem. Dziękowano jej za pracę, nie przedłużano umowy, wzywano ją, by jej wyjaśnić, że jej etat jest dla firmy za drogi, mówiono o kryzysie, o tym, że dziewczyna w jej wieku może zająć w ciąży, o opłakanych ekonomicznych skutkach trzydziestopięciogodzinnego tygodnia pracy... Zawsze pozbywano się jej z zachowaniem minimum taktu i kurtuazji. Nie zmieniało to faktu, że i tak wpadała w panikę, drżała o swój tyłek na myśl o tym, że czeka ją pół roku na zasiłku. Obsesyjnie się boi, że w CV będzie miała trudną do wyjaśnienia przerwę, która rzuci cień na całą jej karierę, odzywa się w niej wówczas pilna uczennica czy też córka ludzi, którzy przez całe życie ciężko pracowali i wpoili jej przekonanie, że aby na coś zasłużyć, trzeba się nieustannie starać. Jej rodzice są właścicielami największej apteki w Tours. Zaczęli od zera i właśnie tego ją nauczyli, nigdy nie spoczywa na laurach, wie, że nic nie jest zdobyte raz na zawsze i nie wolno jej myśleć, że ma przed sobą jeszcze dużo czasu, żeby się wykazać. Ale to, co w pierwszych latach zawodowych doświadczeń dawało jej poczucie, że wzbogaca swe kompetencje – była asystentką fotografa kulinarnego, stażystką w agencji reklamowej, asystentką podczas pokazów mody, rekwizytorką w teatrze – mogłoby teraz świadczyć o jej niestałości.

Poznała Dopaleta, kiedy była w dołku. Redagowała tekst porannego dziennika dla telewizji kablowej, dziennikarz, który ją zatrudnił, nie mógł jej znieść i przy byle pomyłce powiadamiał dyrekcję. Miała już dość wstawania o piątej rano, by czytać depesze AFP i przygotowywać newsy. Producent przyszedł, by spotkać się z kimś ze stacji, i zaczął ją podrywać przy automacie do kawy. Udała, że nie rozumie, do czego zmierza, gdy ją zaprosił na obiad, by „pomówić o młodym kinie eksperymentalnym”, które dobrze znała. Wpadła mu w oko. Zatrudnił ją, płacąc trochę więcej niż najniższa krajowa. Stworzyła stanowisko pracy na swoją miarę: łowca talentów w sieci. Nigdy nic podobnego jej się nie przydarzyło. Zawsze miała status stażystki. W pierwszych dniach w firmie Dopalet ją urzekł. Jego charyzma,

szybkość podejmowania decyzji, intuicja, zapal... Doceniał ją. Obsypywał komplementami za solidną pracę, bystrość umysłu i rozległą wiedzę. Wiedziała, że mu się podoba, ale nigdy nie dał jej odczuć, że została zatrudniona z powodu ładnego tyłka. Nigdy się jej nie narzucał. Jednak dość szybko przeżyła rozczarowanie: facet podejmuje większość decyzji, wróżąc z *Księgi przemian* albo stawiając tarota. „Zaćmienie słońca” i przerywa projekt. „Dom Boży” i wyrzuca księgową. „Rydwan” – zatrudnia stażystkę. Pewnie właśnie w ten sposób została zatrudniona, powodem mogły być seksualne fantazje lub wylosowanie sprzyjającej karty. Facet niczym się nie interesuje. Jest niesamowicie płytki, w każdym zdaniu umieszcza słowo „kultura”, ubolewając, że stać go na coś znacznie lepszego niż filmy, które jest zmuszony produkować. Jednak nigdy nie chodzi do kina na coś, co nie figuruje wysoko na liście najbardziej kasowych filmów, nie czyta książek, nie chodzi na wystawy, nie słucha muzyki, a jego wiedza o sieci ogranicza się do lektury zakładki na stronie IMDb. Interesują go wyłącznie rozmowy o nim samym. Nie słyszała, by wypowiedział jakąś sensowną opinię na temat kina. Domaga się oryginalnych pomysłów, lecz docenia tylko to, co już się sprawdziło. Nie potrafi na dłużej niż dwie minuty skupić uwagi na jakimś zagadnieniu, nie wysyłając w tym czasie esemesa, nie otwierając drzwi czy nie schodząc na inny temat, każda rozmowa z nim to rodzaj maratonu. Dopalet musi mieć pewność, że jego rozmówca czuje się niewyraźnie. Zapala się do jakiegoś pomysłu, o którym za godzinę zapomni, byle komu składa obietnice, których nie zamierza spełnić. Jego jedyną zaletą jest to, że stworzył skuteczną ekipę. Ale hierarchia może się zmienić w ciągu dnia, to jego jedyny punkt wspólny z Fassbinderem: co rano musi dać wszystkim do zrozumienia, kto cieszy się jego uznaniem, a kto jest w niełasce.

Anais miała wyszukiwać talenty spoza „stajni”. Bardzo szybko pojęła, że ma wybierać „co najlepsze” z kanału YouTube – to znaczy „tych, którzy mają już jakąś publiczność” – przekonać ich, by „zapropowali projekt”, ale taki, który „nadawałby się do komercjalizacji, mimo że został nakręcony przez amatorów”. Sądziła, że dobrze odgadła, czego się od niej wymaga, i starała się wykonać swoje zadanie, tyle że jeśli nawet udało się jej ściągnąć do biura jakiegoś młokosa, to ten nie okazywał należnego szacunku producentowi. Dopalet wciąż powtarzał: „Chcę widzieć gęby, których nie oglądam co roku podczas wręczania Cezarów”, ale nie chciał się rozstać ze „stajnią”, której tak nie lubił. Przywykł do tego, że w swoim małym światku jest kimś. Oczekiwał, że artyści z sieci będą się rozplęwali z wdzięczności, że zwrócił na nich uwagę. Jednak młodym ludziom, którzy odnoszą sukcesy na YouTube, woda sodowa szybko uderza do głowy i mają w nosie dziesiątą muzę – konfrontacja z ich ego nie przebiegała w dobrej atmosferze.

Już od jakiegoś czasu Anaïs czuła, że jest na cenzurowanym. Przestała go zachwycać. Już nie wierzy, że przedstawi mu Stanleya Kubricka internetu i że ten nakręci *Mechaniczną pomarańczę* za trzy i pół euro.

Idzie w kierunku stacji Tuileries. Na pięć minut wyjrzało słońce, lecz niebo znowu zaczyna się chmurzyć i w każdej chwili może zacząć padać. Paryż wygląda jak jesienią. Anaïs schodzi do metra, wśród turystów mówiących językami, których nie rozpoznaje. W korytarzach jakiś skrzypek gra motyw z Kreislera. Anaïs zwalnia. Gdy była mała, uczyła się tego kawałka. Jej rodzice chcieli, by poszła do szkoły muzycznej, jej siostra grała na pianinie. Anaïs wybrała skrzypce, ale nie była szczególnie uzdolniona.

Nie chce mówić rodzicom o tym, co się stało. Znowu będą się o nią martwić. Cieszyli się, że dostała tę pracę. Przeżyli takie rozczarowanie, gdy się rozstała z Kevinem. Byli razem siedem lat. Wszyscy wokół czekali na ich pierwszą pociechę. Myśleli, że mają na to dużo czasu.

Na peronie metra znowu sobie uświadamia, jak było jej z nim dobrze. Kiedy szła obok niego. Czuła się wtedy spełniona. Stanowili jedność. Po jego odejściu sprzęty jej zawadzają i rozbija przedmioty. Właśnie z tego powodu. Z powodu tej lodowatej pustki obok niej. Nie może do niego zadzwonić, żeby mu powiedzieć, co jej się przydarzyło. Musi się z tym pogodzić. Od jakiegoś czasu wysyła jej okropne esemesy w stylu: „Szukaj światła w głębi swojego serca, życzę ci jak najlepiej”. Beznadzieja. Lecz przede wszystkim są to teksty faceta, który naprawdę zapomniał. Jeśli wysyłasz coś takiego dziewczynie, która była miłością twojego życia, to znaczy: umyvam ręce, twoje sprawy mnie nie obchodzą. Kontaktuje się z nią dla świętego spokoju, by móc sobie powiedzieć, że jest porządnym gościem. Ona mu odpowiada: „Spadaj, Noddy, wkurzasz mnie”, i potrzebuje tygodnia, żeby się otrząsnąć. Teraz zamieszcza w esemesach buźki :). Nauczył się tego od swojej nowej. Wcześniej z Anaïs nie robili niczego takiego. Emotikonki. Co za dno.

Odszedł do innej. Nie zdradził jej. Uprzedził Anaïs, kiedy poznał tamtą. Był markotny, właśnie umieszczał fotografię pod szkłem, zmagął się z listewkami ramki, którą kupił w sklepie Habitat. Spytała: „Martwisz się czymś?”, odpowiedział: „Coś jest między mną i Karine”. Anaïs w pierwszej chwili pomyślała, że to żart.

Tego wieczoru nie obejrżeli *Gry o tron*. Płakali, siedząc na sofie. Nazajutrz rano obudziła się, myśląc, że to jej się przyśniło. Nic takiego nie mogło się im przydarzyć. Spakował rzeczy w tym samym tygodniu. Nowa zajmuje się polityką. Należy do UMP<sup>1</sup>. To niemożliwe. Cała ta historia jest nieprawdopodobna, a jednak się wydarzyła. Nie są już razem.

Anaïs otwiera playlistę w telefonie, szuka Neila Younga i słucha: „*I'm still living in the*

*dream we had*”. Wie, że zaraz się rozplącze. Ma na to ochotę. Jak zapomnieć, kim dla siebie byli, co sobie obiecywali. Dwie planety krążące wokół siebie przez lata. I z dnia na dzień przyciąganie zniknęło – każde z nich poszło swoją drogą. Zrozumiała, że nawet gdyby jutro wrócił, już nigdy nie byłby tą osobą, z którą tyle lat przeżywała, z taką ufnością, wielką miłością. To już umarło. Przypomina ludzi żyjących na wygnaniu, którzy śnią o rodzinnym kraju i nie rozpoznają go, gdy wreszcie mogą do niego wrócić: nic nie wygląda tak jak w ich wspomnieniach.

Byli pewni, że ich historia jest wyjątkowa. Wszystkie zakochane pary tak myślą. Miłość inna niż wszystkie. Której nic nie może zniweczyć. „*I’m still living in the dream we had, for me it’s not over*”. Została w tym mieszkaniu. Cerata w czerwonej kratę, którą położył, żeby ochronić kuchenny blat, jest tak wytarta, że wygląda jak biała. Nie zmienia jej. W lodówce leżą jeszcze mrożone warzywa do gotowania na parze, kupował je w dużych ilościach – dba o linię. Wie o nim wszystko. I wszystkiego jej żal. Nie jest w stanie uwierzyć, że jemu nie brakuje ich wspólnego życia tak jak jej. Gdy wszystko było świętem – wyjście do pizzerii naprzeciwko, oglądanie filmu w niedzielę wieczorem, wczesne pójście do łóżka, żeby razem czytać i sprzeczać się o to, kto wstanie, żeby zrobić herbatę. Kurwa, ale byli szczęśliwi. Dlaczego Kevin tego nie uszanował?

W internecie widziała zdjęcia jego nowej dziewczyny w jej wielkim apartamencie w ósmej dzielnicy Paryża. W szykownej kamienicy z połowy dziewiętnastego wieku, z wysokimi sufitami, ładnie umeblowany. Od dywanu po sofę wszystko jest w dobrym guście. Anaïs rozgląda się po własnym mieszkaniu. Ich regały z Ikei, biały okrągły stół, pełen plam i wgnieceń, którego z braku środków nigdy nie wymienili. Mieli gdzieś burżuazyjny komfort. Nie byli materialistami. A jednak. Proszę, drogi Kevinie, jak ci się powiodło. Czy zawsze marzył o przestronnych pokojach w amfiladzie, o stiukach, oknach do podłogi i drogich restauracjach? Udawał, że tym gardzi, bo to było nieosiągalne, czy się zmienił? Zastanawiała się, czy rano pije jeszcze cykorię z gorącym mlekiem, czy z tamtą przeszedł na kawę.

Czy można się do tego stopnia zmienić? Stał się kimś obcym, Anaïs myśli o *Przemianie*: pewnego dnia jej książkę zaczął się przeistaczać w karalucha. Sądziła, że takie rzeczy możliwe są tylko w książkach. Kiedy przyjechali do Paryża, żeby razem zamieszkać, myśleli, że Kevin zostanie wielkim malarzem. Anaïs miała rozmaite pomysły na filmy dokumentalne. Lubili filmy Wanga Binga, Chrisa Markera, Watkinsa czy Oppenheimera... Nie było łatwo, ale się nie zrażali. Trochę pomagali im rodzice. Musieli sobie odmawiać wszystkiego. Gardzili konsumpcjonizmem. Gdy Kevin zaczął pisać artykuły o sztuce współczesnej dla „*Libération*”, od czasu do czasu wpadało im trochę pieniędzy. Ten dziennik reprezentował lewicę, która

ugrzęzła w „prywatnych konwersacjach”, jak mówił Serge Daney<sup>2</sup>. Czytelnik był dla redaktorów pisma raczej krępującym świadkiem niż rozmówcą, adresatem ich artykułów byli wyłącznie reklamodawcy, przedstawiciele rozmaitych lobby, współbiesiadnicy, szefowie redakcji, koledzy po fachu... Lecz Kevin dał się w to wciągnąć. Zaproponowano mu, by zastąpił kogoś w dziale filmowym. Zauważyła, jak zmieniała się jego garderoba, a także zachowanie. Czasem czuła się skrępowana, słysząc, jak się przedstawia: „Pracuję w »Libé«”. Stawał się kimś innym. Jadał kolację z bonzami z gazety. Gdy wracał, był wniebowzięty. Pisał teksty, w których coraz trudniej było go rozpoznać. I odszedł z tą dziewczyną poznaną na pięćdziesiątych urodzinach fotografa z gazety. Poszli tam razem. Nawet nie zaświtała jej myśl, żeby uważać na Karine. Ale dziesięć dni później powinna była zrozumieć, gdy usłyszała, jak Kevin mówi: „Prawica i lewica to przeszłość. Dziś liczy się tylko twój stosunek do globalizacji”. Jak można powiedzieć coś tak głupiego? To refleksja faceta, który przechyla się w prawo. Typowe. Po dwóch miesiącach odszedł. Tak szybko się zmienił...

Samotność sama w sobie nie jest nieprzyjemna. Już od dawna jej nie zaznała. Więcej czyta. Lecz rzadziej się uśmiecha. Można robić tak wiele rzeczy, kiedy jest się samemu. Ale nie ma okazji do śmiechu. Z nim śmiała się bez przerwy. Czy ta jego nowa jest zabawna? Nie, nie wygląda na to. Anaïs nie zna żadnej innej dziewczyny, którą ktoś zostawiłby dla starszej. Karine ma prawie czterdzieści lat. Z całą pewnością od razu urodzi dziecko.

Anaïs też sypia z dziewczyną starszą od siebie. Stało się. Ona to także zrobiła. Odczekała dwanaście miesięcy, miała okazję świętować rocznicę tego wszystkiego, co robili wspólnie. A potem do tego doszło. Ktoś inny ją rozebrał i miała na to diabelną ochotę. Jej kochanka jest piękna. Hiena robi z nią, co chce, i jest niesłychanie gwałtowna. To magia. Okropne, że jest w tym tyle magii. Przynajmniej nie robi tego z facetem, nie musi porównywać.

Hiena ma tupet. Daje wyraz swojemu pożądaniu w niepokojąco arogancki sposób, a skutek jest taki sam, jakby Anaïs była z facetem. Dziewczyna czuje się tak, jakby wpatrywała się w nią jakaś drapieżna bestia, co sprawia, że traci głowę. Teraz rozumie: o męskości decyduje siła pożądania, nie kutas. Nie zdziwiło jej, że poczuła pociąg do dziewczyny, raczej to, że tak szybko otrząsnęła się z bólu. A potem do tego doszło. I sprawa była zamknięta, teraz myśli już tylko o następnym spotkaniu.

To, co jej się przydarza, jest niesamowite, lecz ma też mroczną stronę: każda piękna chwila jest kolejnym krokiem, który oddala ją od Kevina. Amputacja, kawałek po kawałku. Czasem wykonuje gest, do jakiego przywykła, będąc z nim, lub wymknie się jej słowo z ich intymnego słownika. To wyrywa z niej część samej siebie. Jakby strzelała z bliska w potylicę ich wielkiego uczucia. „Byłaś kobietą mojego życia”. Ten czasownik w czasie przeszłym, jak



sztylet wbity w sam środek piersi. Nigdy nie otrząsnęła się z szoku. Nie sądziła, że będzie w stanie przeżyć kolejne dni. Ale nie miała wyjścia. Nie jest tą samą osobą, którą była przedtem. Teraz już wie: każde „kocham cię” to sztylet zawieszony w próżni.

Ta historia z Hieną pozwoliła jej stanąć na nogi. Czuje, że znowu zaczyna żyć. Jak będą się teraz widywać, skoro została wyrzucona z pracy? Nie może uwierzyć, że ni stąd, ni zowąd pokazał jej drzwi. To z powodu graffiti w jego domu. Dopalet nadal nie może się pozbierać. Nic dziwnego. A przecież była jedną z jego faworytek. Miał do niej zaufanie. Któregoś ranka zaraz po przyjściu do biura zamknął się w gabinecie. Wszyscy zauważyli, że jest wściekły jak diabli. Potem wezwał ją do siebie. Leżał na sofie, o dziesiątej rano, ze szklanką whisky w dłoni, pełną po brzegi, jakby to był sok pomarańczowy. Z trudem oddychał, miał napad silnego lęku. Rozmawiał z nią tonem konającego.

– Anaïs, wszystko co pani powiem, musi pozostać między nami. Mogę na panią liczyć? Padłem ofiarą bandy jakichś świrów, nie mam pojęcia, o co im chodzi. Przyszli w nocy, zdewastowali fasadę mojego domu. To koszmar. Koszmar... Nie jest pani w stanie sobie tego wyobrazić.

Chciał uniknąć skandalu, Anaïs została natychmiast wysłana na miejsce zbrodni. Dopalet zadzwonił po taksówkę. Chciał mieć pewność, że malarz, którego zatrudnił, zachowuje dyskrecję. Ani on sam, ani jego żona nie mogą przebywać teraz w mieszkaniu, zresztą obydwójce są tym zdruzgotani. Do wieczora wszystko musi być zamalowane, ale nie ma mowy o tym, by zatrudnić drugiego malarza. Anaïs pojechała na miejsce, trochę zirytowana, że odgrywa rolę chłopca na posyłki. Spodziewała się, że ujrzy na fasadzie domu dwa czy trzy bazgroły, z tak błahego powodu nie warto urządzać cyrku.

Malarz pracował. Zasłonił napisy arkuszami białego nieprzejrzystego papieru, w sumie cały parter okazałej kamienicy w siódmej dzielnicy Paryża, w której Dopalet zajmował jedno piętro. Pod każdym arkuszem, którego róg uchylała, znajdowała kolejne wyzwiska: zboczeniec morderca wszyscy się dowiedzą gwałciciel DOPALET TO SKURWYSYN. Była wzburzona. Nie spodziewała się takiego szaleństwa, napisy były wszędzie. Sceneria jak z pola bitwy. Nawet Anaïs, która nie była w to osobiście zaangażowana, poczuła ciężar na piersi. Malarz, gburowaty rudzielec, miał pomalować fasadę na biało, nim zjawią się przedstawiciele firmy ubezpieczeniowej. Anaïs próbowała zagać rozmowę.

– Trzeba być naprawdę stukniętym, by zrobić coś podobnego. Na szczęście są kamery monitoringu, to nie powinno być trudne...

– Najpierw trzeba by złożyć skargę.

Nie był skory do rozmowy. Anaïs zapytała:

- Jak pan myśli, ile czasu to panu zajmie?
- Do wieczora, jeśli nie będę tracił czasu na rozmowy.
- Zatem niech pan pracuje.

\*

Nie było sensu stać i patrzeć, jak maluje. Przeszła na drugą stronę ulicy, by wejść do baru na rogu. Dopalet był nieosiągalny, miał spotkanie z kimś z Canal Plus. Nie wiedziała, co robić. Pomóc malarzowi? Nie miała odpowiedniego stroju. Opierając się na kontuarze, rozdzierała saszetkę z cukrem. Wyobrażała sobie, co musiał poczuć producent, widząc dom w takim stanie. Przypuszczalnie to był ktoś, kogo znał. Jakiś szaleniec, a może wariatka. Ta jego mania zadawania się z dziewczynami, które jadą na koksie... Do biura przychodziły nieraz niezłe laski. Może któraś chciała się zemścić, że nie odszedł od żony. To było naprawdę poniżające, bez względu na to, co zrobił Dopalet. Nic nie usprawiedliwiało to tak barbarzyńskiego aktu...

\*

Hiena zaparkowała skuter przed witryną baru. Radość, jaką poczuła Anaïs, rozpoznając jej kask, nie pozostawiała miejsca na żadne wątpliwości – to było coś znacznie więcej niż ochota na seks. Po raz pierwszy pomyślała: jestem w niej zakochana. Ruszyła do drzwi baru, otworzyła je rozpromieniona, nie kryjąc zadowolenia, ale twarz Hieny ją zmroziła. Spiorunowała ją wzrokiem i powiedziała obojętnym tonem:

– Dopalet do mnie zadzwonił, chce, abym sprawdziła, czy nie zostawili śladów... Zachowuj się, jakbyśmy były w biurze, prawie się nie znamy.

Jakby się obawiała, że ktoś je obserwuje i odkryje ich sekret. Weszła do baru, ale niczego nie zamówiła, nie miała czasu.

– Faktycznie, nie masz tu nic do roboty – rzekła do Anaïs. – Wracaj do biura, powiedz Dopaletowi, że to ja ci kazałam i że zostałam z malarzem.

Pozbyła się jej. Anaïs poczuła się urażona. Zaczęło się, drobne rozczarowania, chwile, gdy wyciągamy rękę, a druga osoba na to nie reaguje. To wszystko, czego nie doświadczyła z Kevinem, ale co znała z czasów dorastania. Nie chciała przeżywać historii pełnej rozterek i niepewności. Ale już nazajutrz spotkały się w hotelu i zapomniała o tym, by zachować dystans.

Pierwszy pocałunek, to było w windzie, w biurze, wychodziły razem, szukały się nawzajem już od jakiegoś czasu. Tylko dłonie Hieny się poruszyły, spoczęły na jej biodrach.

Łańcuszek, który nosiła na przegubie, sprawiał, że wystająca kość tuż przed dłonią działała na nią w hipnotyczny sposób, silna dłoń, długie palce, tak zdecydowane, że aż kręciło się w głowie. Anaïs miała szaloną ochotę na seks. Czuła, jak ziemia rozstępuje się pod jej stopami, tak było to intensywne i niespodziewane. Tak silne. Stały bez ruchu do chwili, gdy drzwi się otworzyły, wtedy Hiena znów nacisnęła guzik najwyższego piętra i objęły się ramionami.

Odtąd się ukrywają. W biurze, przechodząc obok, wsuwa jej do torebki złożone we czworo kartki, na których zapisuje godzinę i miejsce kolejnego spotkania, a Anaïs może do niej zadzwonić, tylko jeśli nie będzie mogła przyjść, używając ustalonego kodu: „nie znalazłam dokumentów, o które pani prosiła”. Potajemne działanie jest bardziej ekscytujące. Widują się w hotelach.

\*

Jej dłoń, gdy stoją, a ona robi jej to palcami, jej uśmiech zawsze kiedy odkrywa, że Anaïs jest już mokra, jej konwulsyjnie dygoczące biodra, rozkoszny lęk i to nieznane dotąd uczucie, kiedy tamta szczytuje, jej twarz, widziana z profilu na poduszce, nieobecna, o nieodgadnionym wyrazie.

Dziś Hiena spotyka się z kimś w dzielnicy le Marais. Mówiła o tym przez telefon, kiedy widziały się ostatnim razem. Anaïs wsiada do metra. Wagon przepętnia zapach szczyń i potu. Jakiś chłopak o kędzierzawych włosach, bardzo długich, w beżowym swetrze, siedzi sam, wszyscy trzymają się od niego z daleka. Nie ma wyglądu flejtucha, jest raczej przystojny, wygląda jak hipis. Pasażerowie spoglądają na siebie bez słowa, mają zniesmaczone lub uśmiechnięte miny. Dwie dziewczyny umierają ze śmiechu. Jakiś facet w conversach chce otworzyć okno, inny przykłada chusteczkę do nosa i zmienia wagon przy najbliższej okazji. Anaïs zmusza się, żeby zostać. Smród jest tak silny, że ma chęć zwymiotować. Włączyła w iPhone funkcję odtwarzanie losowe, słucha *No More Drama* Mary Jane Blige. I znów widzi przed oczami Audrey, sekretarkę Dopaleta, ze łzami w oczach, nie udawała, była zrozpaczona. Z całej ekipy tylko ona okazała jej trochę sympatii. Inni jej unikali, gdy tylko się dowiedzieli, że ma opróżnić biurko. Audrey, otwierając jej magazynek, by mogła zostawić pudełka, i obiecując, że nazajutrz każe dostarczyć je do jej domu, szepnęła, by nie martwiła się o odprawę. „Taki już jest. Ale płaci. Jest hojny. Nie chce mieć do czynienia z inspekcją pracy. I wie, że mu czasem odbija”.

Dopalet dzwonił do niej czasem o dwudziestej trzeciej, prosząc, by zeszła na dół, bo musi pomówić z nią przy drinku. Wiedział, że mieszka sama. Ubierała się, malowała, wskakiwała

do taksówki, którą jej podsyłał, i jechała do niego. Słuchała go godzinami. Jej życie wcale go nie interesowało. Była mu wdzięczna, że zbytnio nie nalega, gdy proponował, by poszła z nim „wypić strzeziennego w klubie”. Obydwoje wiedzieli, o jaki klub chodzi, odmawiała z uśmiechem, pozwalając jej odejść. Miał do tego inne dziewczyny na swej liście. O to mogła być całkiem spokojna. Wracała o drugiej w nocy, wyczerpana, nastawiała budzik na szóstą, by mieć czas się wyszykować przed pójściem do biura.

Wysiada na stacji Saint-Paul. Przejdzie przed HellBabe. Mogłaby napisać do niej esemesa, żeby ją uprzedzić. Ale Hiena nie chce, by wysyłała wiadomości na numer jej komórki, jeśli nie chodzi o pracę.

---

1 Union pour un mouvement populaire (Unia na rzecz Ruchu Ludowego) – centroprawicowa [francuska partia polityczna](#), działająca w latach 2002–2015.

2 Serge Daney – francuski krytyk filmowy związany z „Libération”. Zmarł na AIDS w 1992 roku.

Docierając na ulicę Vieille-du-Temple, Gaëlle czuje się jak żarówka, która się zaraz przepali, właśnie zaczyna skwierczeć, by ostrzec, że za chwilę zgaśnie. Spędziła poranek, siedząc w internecie i szukając dla siebie nowego telefonu. Żeby uzyskać dostęp do byle faktury, musiałaby przypomnieć sobie kod albo adres mailowy, który kiedyś podała. Ma wrażenie, że jej głównym zajęciem jest rejestrowanie się na różnych stronach internetowych. Nigdy nie pamięta hasła. Potem przysłali jej na komórkę kod bankowy. Ale ponieważ padła jej bateria, uznała, że musi zmienić telefon. Nie była w stanie znaleźć żadnego numeru, pod który mogłaby zadzwonić, żeby wyjść z impasu. I wszystko strasznie się skomplikowało. Straciła tyle czasu, żeby znaleźć ten kurewski kod, że anulowano transakcję. Trzeba było wszystko zaczynać od nowa. Poza tym ceny komórek zależały od tak wielu parametrów, że trudno było dociec, ile będzie ją kosztował ten nowy telefon. Postanowiła rozpocząć chat z doradcą. To był chyba jakiś pieprzony automat, jego odpowiedzi trafiały jak kulą w płuć, jakby nie potrafiła znaleźć magicznej formuły, żeby się odblokował. W końcu zażądała rozwiązania umowy, co obciążało ją finansowo. Wtedy rozmówca z czatu, jakiś szalony dyslektyk, wziął sprawy w swoje ręce – facet (a może to była laska) nie umiał napisać żadnego dłuższego słowa zgodnie z obowiązującymi zasadami ortografii. Rozszyfrowanie enigmatycznych tekstów, które jej wysyłał, wymagało wyjątkowego skupienia ponad jej siły. Żądał, by umówiła się z nim na rozmowę telefoniczną jutro, o ściśle określonej porze. Miał zadzwonić na jej telefon domowy. Nie miała telefonu domowego. Zrezygnowała. Tak czy owak, wysłaliby jej komórkę do domu, wie, jak to działa: nikt nie chce już współpracować z pocztą. Szaleni kurierzy twierdzą, że nie było cię w domu, choć nawet nie próbowali tego sprawdzić, i zostawiają ci paczkę na drugim końcu Paryża, w jakimś sklepie, który jest zawsze zamknięty, gdy w końcu się tam wybierzesz. Wszystko stało się zbyt zawiłe. Obędzie się bez telefonu.

Hiena wyznaczyła jej spotkanie w dzielnicy le Marais. Ta raszpla ma ochotę z nią porozmawiać. Gaëlle jest trochę przed czasem, wchodzi do burgera. Chce zjeść kawałek wołowego mięsa. Nie lubi go, ale jest przekonana, że raz w miesiącu potrzebuje wołowiny ze względu na żelazo, zaraz po okresie. Traci dużo krwi, bo przez osiem długich dni leci z niej ciurkiem. Cykle trwają dwadzieścia jeden dni. Koszmar. Gdy jest u kogoś w domu, stara się nie siadać, zniszczyła już wiele kanap. Trzecie tysiąclecie, a ona wciąż nosi takie same podpaski, jakich używała jej matka, kiedy była w jej wieku. Przyklejają się, masz wrażenie, że chodzisz ze źle założoną pieluchą między udami, ale biorąc pod uwagę skuteczność

tamponów, musi używać jednego i drugiego. Tak czy owak, osiągnie wiek menopauzy, zanim pojmie, jak prawidłowo należy je wkładać. Tak samo jak nie potrafi precyzyjnie ułożyć podpaski, zawsze coś przecieka bokiem. Gdyby faceci mieli menstruację, przemysł już dawno wymyśliłby supernowoczesne zabezpieczenie, coś, co pozwalałoby zachować godność, zakładałoby się to w pierwszy dzień i wyrzucało w ostatni. Coś, co byłoby higieniczne i miało jakiś wygląd. I pojawiłby się skuteczny narkotyk uśmierzający bóle menstruacyjne. Nie pozwolono by, żeby sami babrali się w tym gównie, to oczywiste. Zaśmieca się przestrzeń międzygwiazdną szpiegowskimi satelitami, ale jeśli chodzi o objawy zbliżania się miesiączki, możecie się cmoknąć.

Otwiera pudełko z burgerem i polewa mięso keczupem i majonezem, żeby zakamuflować smak. Inaczej zalatuje trupem. Nie chce nic wiedzieć o rzeźniach, w których to się porcuje. Gdy widzi w internecie zdjęcie kury czy świni, która tkwi w swoim boksie i ma być zjedzona, natychmiast zmienia stronę. Miejsce wygląda uroczo, jak królestwo milkshake'ów, ale jedzenie jest obrzydliwe. Mrożone frytki posypano ziołami, które też musiały zostać zamrożone, żeby mieć tak dziwny smak. Pije colę i odstawia talerz. Daje duży napiwek, bo często zdarzało jej się być kelnerką. Dziewczyny nie są odpowiedzialne za to, że jakiś oszust sprzedaje marne żarcie.

Hiena siedzi już na tarasie, kiedy do niej dołącza. Znają się od ponad dwudziestu lat. Gaëlle mówi o manifestacjach. Tego roku oprócz złej pogody jest to jedyny temat.

– Nie byłaś na żadnej manifie, żeby poprzeć gejowskie śluby?

– To nie w moim stylu.

– Moja laska nie dała mi wyboru, poszłam z nią na pierwszą. Była ładna pogoda. Wyruszyliśmy z placu Bastylli. Wytrzymałam tylko do ratusza, siadłam na tarasie kawiarni i patrzyłam na przechodzących ludzi.

– Uważaj na swoją laskę. Zaczynasz od manify, a potem urządzasz strajk głodowy, przykuta łańcuchem do ogrodzenia jakiejś ambasady.

– Jest młoda. Jest zapalona. Nie śmiałam jej powiedzieć, że mam w nosie manifestację. Rozumiem, że się tym przejmuje... Nie wyobrażasz sobie, ilu ludzi koniecznie musiało nas poinformować, że są przeciwko gejowskim ślubom. I wcale nie chodzi o katolicką konserwę. Dzisiejsi socjaliści nie mają skrupułów...

– Ja nie spotkałam nikogo, kto byłby przeciwny.

– Bo nie ośmielają się ci tego mówić.

– Wolę, żeby milczeli. Jestem przeciwna tym ślubom, ale gdy słyszę, jak mówi to jakiś hetero, mam chęć go zlinczować.

– Jesteś przeciwna?

– Ślubom? Oczywiście.

– Rozumiem. Nasze pokolenie to lesby z prawdziwego zdarzenia, cierpiałyśmy z tego powodu i nie chcemy iść w ślady dumnowatych heteroseksualistów.

– To nie to, moja droga... Adopcja, in vitro, śluby, jestem temu przeciwna w każdym wypadku. Popieram przymusową sterylizację ludzi od chwili osiągnięcia dojrzałości płciowej. Jest nas siedem miliardów. Sądzisz, że to za mało? Trzeba natychmiast zahamować przyrost. Widzę ludzi z wózkami, patrzę na ich gęby i myślę: ale po co to robią? Niby w jakim celu musicie się rozmnażać? Mamy gdzieś wasze geny, dość tej megalomanii. Zajmijcie się malarstwem, jeśli nie macie co robić. Ale nie wkurzajcie nas waszą progeniturą. Jeśli chcesz znać moje zdanie, spędziłabym ich wszystkich na stadion: wazektomia, ablacja macicy i możecie wracać do domów... Siedem miliardów, a oni nadal zapaskudzają planetę... Kiedy zaczną się marsze pod hasłem sterylizacji ludzkości, codziennie będę na ulicy. I to wcale nie na tarasie.

– Kurwa, masz rację. Moja laska jest zbyt postępową. Jestem pod jej wpływem. Jak dobrze się z tobą spotkać, otwierasz mi oczy.

\*

Pomimo drobnego deszczu, który moczy czubki ich botków, zostają na tarasie, żeby palić fajki. Zamawiają to samo, dwa alzackie muskaty.

Gaëlle lubi le Marais. Słońce złocące stare kamienie fasad, atmosferę uludy – sklepy są tu tak luksusowe, że cała dzielnica wydaje się nierealna. Lubi te pełne przepychu ulice i dziewczęta, które trzymają się za ręce, choć od dziesięciu lat dzielnicę skolonizowały rodziny i turyści, le Marais pozostaje miejscem, gdzie spotyka się najpiękniejsze lesby w Paryżu. Lubi patrzeć na szczęśliwych chłopców, nigdzie indziej faceci nie mają tak zadowolonych min. Nie tylko dlatego, że są młodzi, dziani i piękni, bo wówczas byliby równie radośni w szesnastce, lecz dlatego, że są gejami, a geje są bardziej wyluzowani niż reszta facetów, to widać gołym okiem.

W sumie lubi cały Paryż, od Porte de la Chapelle po Montparnasse. Lubi jego kolejne warstwy, wzajemnie z sobą sprzeczne, ich pogranicza i nagłe metamorfozy. Czasami wystarczą dwie ulice, by przeniknąć z jednej dzielnicy do drugiej, kiedy indziej trzeba przemierzyć wąskie strefy bez właściwości. Mieszanina turystów, lumpów, Chińczyków, prowincjuszy, ludzi kultury, faszjonistek, bankierów i kasjerek – oni wszyscy czują się tu jak u siebie, choć nie mieszkają dokładnie w tym samym mieście ani też w całkiem innym. Ktoś kiedyś pomyśli

o tym kosmopolitycznym Paryżu z początku trzeciego tysiąclecia jak o zwariowanym Babilonie i trudno mu będzie sobie wyobrazić, że tylu tak różniących się od siebie ludzi potrafiło żyć razem w atmosferze prawdziwego pokoju. Grupy brodatych geeków, cioty ze skrajnej prawicy, dilujący Żydzi, przeintelektualizowane cizie, Amerykanki z bohemy i reakcyjne ćpuny... Wszystkie kombinacje są możliwe, a ona jest częścią tej mozaiki. Choć stale się użala, że wszystko zmienia się ustawicznie na gorsze, czuje się tu u siebie, w tym kuriozalnym mieście.

W towarzystwie Hieny Gaëlle poprawia się nastrój. Jak zawsze gdy się widzą. Niedawno wściekała się na nią za to, że Hiena ją poprosiła, by odnalazła Vernona, a kiedy to zrobiła, zniknęła bez śladu. Gaëlle naprawdę naraziła się wtedy Kiko, była wkurzona, że wpakowała się w tę historię po nic. Ale Hiena nie po raz pierwszy wystawia ją do wiatru i nie po raz pierwszy Gaëlle jej wybacza. Tak czy owak, później sytuacja się odwróciła. Kiko odnalazł Subutexa, ale zamiast przestawić mu nos, znów dał mu się owinąć wokół palca.

Kiedyś Hiena była zamieszana w poważne afery, w grę wchodziły pokaźne sumy. Teraz jest u schyłku kariery. Wygląda na to, że się tym nie przejmuje. Gaëlle nie zna wielu ludzi, którzy do tego stopnia gardzą opinią innych. Zawsze taka była, tak arogancka, że trzeba jej było ulegać.

Sama obcina sobie włosy, to widać, i sama je farbuję. Ma zdrowe zęby, wyniosłe spojrzenie. Tak naprawdę straciła wszystko oprócz poczucia wyższości. Hiena wpatruje się w kieliszek białego wina. Rozmyśla. Gaëlle jej nie przerywa. Wie, o czym chce z nią pomówić, w tym momencie wszyscy mają w głowie to samo: Vernona. Czy widziała go niedawno w barze Rosa Bonheur, czy coś słyszała, rzeczy tego rodzaju... Ale nie rozumie, dlaczego Hiena również połknęła haczyk. Co takiego uczynił im Subutex, że tak ich ujarzmił? Gość jest sympatyczny, ale znalazł się w sytuacji dosyć beznadziejnej... Gaëlle nigdy nie cierpiała punków, którzy chodzą z psami. Nie lubi brudu, abnegacji i z zasady nie rozmawia z ludźmi noszącymi brody. Hiena omija temat.

– A jaka jest ta twoja kumpelka, poza tym że manifestuje?

– Ładna, to prawdziwa laseczka. Jest ode mnie młodsza o dwadzieścia pięć lat. W sumie w życiu wciąż jeszcze na coś czeka, podczas gdy ja wspomynam.

– Nie przeszkadza jej, że jest ze staruchą?

– Dobrze ją dymam. To rekompensuje.

Hiena się uśmiecha. To ich rodzaj poczucia humoru. Żartują tak z sobą już od dziesięcioleci. Gaëlle dopija wino, szuka wzrokiem kelnerki, pyta:

– Chciałaś się ze mną zobaczyć, żeby mnie wypytywać o moje życie prywatne?



– Chciałam sporządzić bilans. Nie widziałyśmy się od tak dawna. Podobno ostatnio często chodzisz do Rosy Bonheur.

– Tak. Pomagam Zuzu, kiedy urządza tam większe imprezy. Jest ich dużo. Zdaje się, że ty też od czasu do czasu przychodzisz do parku? Powinnaś częściej do nas zaglądać...

– Czy ludzie w barze mówią coś o Vernonie?

Właśnie do tego zmierzała. Gaëlle miała rację. Gdy chodzi o Vernona, niczego nie rozumie. Przede wszystkim jak to się stało, że znalazł się na ulicy? Tak szybko. Stracił mieszkanie, zgoda. Jest kryzys, facet nie jest najmłodszy, nie zachował związków z rodziną. Ale jednak po dwudziestu latach prowadzenia sklepu masz dość adresów w notesie, żeby po trzech miesiącach nie musieć spać na dworze... I w jaki sposób ten gość, wprowadzie sympatyczny, ale o charyzmie skisłego ogórka, został idolem parku des Buttes-Chaumont? Facet śpi na dworze, śmierdzi potem i nosi wieśniackie buty, a ludzie otaczają go, jakby był Dzieciątkiem Jezus, które przeskoczyło etap ukrzyżowania, całe zastępy królów codziennie przynoszą facetowi prezenty. Vernon wybiera sobie drzewo, siada pod nim, a ludzie do niego przychodzą. Oczywiście, że w Rosie Bonheur słyszała rozmowy na jego temat. W sumie mówi się niemal wyłącznie o nim. Poszła rzucić okiem na jego bandę. To buce hetero, rozbawione jak dzieci. Nawet Kiko się tam przyplątał. Gdy się dowiedział, że Subutex wałęsa się w parku, wyszedł z domu wściekły jak wszyscy diabli, jakby chciał mu przefasonować gębę, „to go nauczy, że nie znika się z czyjaś koką”... I wrócił nazajutrz, przez trzy tygodnie słuchał Jethro Tull. Żadnych imprez, żadnego bzykania, tylko muzyka w słuchawkach i dragi. Nie chodził do pracy. To nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło. Zaczął pleść niestworzone rzeczy, wierzy, że tylko patrzeć, a Bóg zacznie istnieć, będzie to coś w rodzaju sumy logarytmów, że tylko on będzie mógł ocalić całą planetę i ludzkość, że musimy zacząć tworzyć dobre programy, by pokazać ludziom, co zrobić, by funkcjonować w dobrze zorganizowanej wspólnocie. Zdaniem Gaëlle, gdy *yuppies* zaczynają mówić o duchowości, znaczy to, że nadchodzą naprawdę ciężkie czasy. Po tych trzech tygodniach spędzonych w odosobnieniu Kiko miał w głowie wielki plan: objechać Amerykę Łacińską. Czytając między wierszami, facet chce poszukać kokainy u źródła. W końcu czemu nie, można zrozumieć, że to jego podstawowa pasja. Ale myśl, że Kiko będzie jej przysyłał swoje zdjęcia z Gwatemali, na lamie, w peruwiańskiej czapce, bardzo ją przygnębiła. Gaëlle obiecuje sobie, że kiedy Kiko zacznie prać ciuchy w potokach w stanie Chiapas, wpadnie do parku i puści wszystko z dymem. Od wielu lat mieszka u tego gościa za friko, zawsze był zadeklarowanym liberałem, a ona nie chce, by ktoś wywracał jej życie do góry nogami. Kiko w końcu wziął się w garść, wrócił do pracy i mówi o Subutexie jedynie późnym wieczorem. Powtarza, że

szykuje się do podróży. Gaëlle wie z doświadczenia, że im bardziej ktoś wierzy w to, że jest twardzielem, tym łatwiej daje się omotać byle oszustowi z ruchu New Age – cynizm jest poza mięczaków – jednak mimo wszystko przeżyła szok. Ma nadzieję, że Kiko o tym wszystkim zapomni i w końcu się pozbiera. Ale już dwa razy pojechał posłuchać, jak Subutex miksuje muzykę w Rosie. Trzeba powiedzieć, że robi to wrażenie. Nawet Gaëlle nie może temu zaprzeczyć. To pomysł Mimi. Chciała dać mu zarobić trzy banknoty na czarno, żeby to nie wyglądało na akt miłosierdzia. Ale dobrze mu poszło. Zagrał już dwa razy. Trzeba było go tylko zmusić, żeby przedtem wziął prysznic, poza tym daje radę. Puszczanie płyt to zawsze była jego specjalność.

Kiedy Vernon puszcza winyle w Rosie, zamykają bar. Mówią, że to prywatny wieczór, że robią próbę chóru, tak by wtajemniczeni w spokoju nawiązywali duchową więź. Nawet Gaëlle, która odrzuca wszelki sentymentalizm, zwłaszcza jeśli ociera się o mistycyzm, przyznaje, że coś się wtedy wydarza. Vernon potrafi stworzyć atmosferę. Na początku wieczoru Gaëlle słucha kolejnych kawałków i gdera, siedząc w kącie, że nie ma to wiele wspólnego z transem, lecz przy jakimś piątym tytule nie różni się niczym od innych. Tańczy. To zbiorowe szaleństwo, głupio byłoby się nie przyłączyć. I nie tańczy dlatego, żeby pokazać innym, że w tym wieku jeszcze się nieźle buja, jej biodra się kołyszą, jakby wzięła ecstazy, tyle że nic nie brała, i czuje, jak dźwięk przenika przez jej dłonie, uwalnia kark, a wszystkie ciała wokół są w takim samym stanie, tańczy, zapominając o mózgu, i jest tym zniesmaczona, więc nazajutrz stara się myśleć o czymś innym, ale tańczy, żeby poczuć, że jest w pionie, że jej stopy są podłączone do ziemi, a ona się zapomina, deszcz gwiazd spada jej do brzucha, jakby tam zawsze było ich miejsce, tańczy, myśląc o wszystkim, co zniknęło, a jednak wciąż istnieje w nienaruszonym stanie, tak łatwe do odtworzenia, jakby otwierała książkę w środku i chłoneła obrazy dźwięki zapachy każdym porą skóry, tańczy wśród innych i czuje ich obecność, jest między nimi więź, są szczęśliwi, że mogą być razem, i jest to tak samo debilne uczucie jak stan pierwszego zakochania, tyle że jest ich tutaj trzydzieścioro, a ona dołącza do nich, nawet nie wiedząc kiedy, tworzą jedno ciało, które faluje, i cieszą się, że tu są. Nie sposób powiedzieć, skąd się to wszystko bierze. Gaëlle nie będzie robiła z siebie błazna i wyciągała wniosku, że na Vernona spłynęła jakaś łaska – nie chce mieć nic wspólnego z tego rodzaju rzeczami. Lecz musi przyznać, że nigdy w ten sposób nie tańczyła.

Hiena zmierza prosto do celu.

– Tak często tam jesteś. Co ludzie w barze myślą na ten temat... O Subutexie i jego otoczeniu?

– Co właściwie chcesz wiedzieć?

- Chcę być na bieżąco.
- A dlaczego miałabym ci pomagać?
- Z miłości.

– Przykro mi, ale niewiele mogę ci powiedzieć. Był didżejem na dwóch prywatnych wieczorach, przyszli tam wszyscy jego kumple. I były to udane imprezy. Nie wiem, co ludzie w nim widzą, ale jeśli chodzi o miksowanie, ogarnia temat. Ten facet to enigma tego dziesięciolecia. Powiesz, że to nie pierwsza rzecz, która działa nie wiadomo dlaczego. Gdybyś zadała mi bardziej konkretne pytanie, może mogłabym zaspokoić twoją ciekawość... Dlaczego nadal się nim interesujesz?

\*

Hiena uśmiecha się jak stary pirat. Daje do zrozumienia, że wie wiele rzeczy, o których nie mówi. To ładny uśmiech. Z pewnością chciałaby zadać inne pytania, ale jakaś ładna brunetka o wystającym podbródku zmierza w stronę ich stołu z wyrazem źle udawanego zdziwienia na twarzy. To piękna liana o trochę flegmatycznych ruchach. Kiedy do nich dociera, udaje zdziwienie, chociaż jest oczywiste, że je dostrzegła, gdy była sto metrów dalej. Wszystko w niej kojarzy się z osławionym wzorcem spełnionej kobiety, nagromadzenie krzykliwych detali: to fantastyczne udawać idiotkę. Mały fluorescencyjny zegarek, by pokazać, że jest trendy, paznokcie w kolorze ugotowanych parówek, bo przeczytała, że to jest na topie, zbyt intensywne perfumy, wydepilowane brwi, błyszczący na wydętych wargach...

- A co ty tutaj robisz?

Oczywiście kiedy otwiera usta, ma głos małej dziewczynki, piskliwy i nieprzyjemny. Hiena wpatruje się w nią z uśmiechem, nie prosząc, by usiadła.

- Anaïs, przedstawiam ci Gaëlle.

Gaëlle potrzebuje tylko kilku sekund, by zrozumieć, że sypiają z sobą. Gdyby nie to, Hiena nie pozowałaby na George'a Clooneya.

- Właśnie wylali mnie z pracy.
- Dopalet?
- Przed chwilą. Wyrzucił mnie jak śmiecia. Nigdy mi się to nie zdarzyło. To było okropne.
- Za co?
- Nie zrozumiałam. Wylał mnie tak, jak mnie zatrudnił, w sumie nic dziwnego: kaprys szefa. Więc mam czas na kawę. Mogę się do was przysiąść?

– Naprawdę bardzo mi przykro, Anaïs. Później o tym porozmawiamy. Zaraz muszę uciekać.

Anaïs przełyka ślinę. Przyjmuje to jak policzek, ale czuje, że musi zrobić dobrą minę do złej gry. Zerka na Gaëlle, zadając sobie pytanie, czy to jej zawdzięcza ten afront. Hiena dodaje:

– Już jestem spóźniona na inne spotkanie. Ale jeśli masz czas dziś wieczorem, zadzwonię i wszystko mi opowiesz.

– Teraz łaskawie zadzwonisz do mnie ze swojej komórki?

Ładna brunetka zrobiła się nieprzyjemna. Nie mogła się powstrzymać. Gaëlle to się bardziej podoba niż jej wcześniejsza uprzejmość i nagle ta dziewczyna wydaje się jej bardziej interesująca. Trzeba przyznać, że Hiena pojechała po bandzie, nie można spać z dziewczyną i mówić jej: spieszę się na spotkanie, kiedy ta oznajmia, że wylano ją z pracy... Gaëlle dochodzi do wniosku, że to niesprawiedliwe, i choć nie daje po sobie poznać, że wie, co je łączy, puszcza oko do Anaïs i wskazuje jej wolne miejsce po swojej prawej stronie:

– Siadaj. Mnie się nigdzie nie spieszy.

\*

Hiena piorunuje ją wzrokiem. Już kiedyś odbijały sobie albo wypożyczały koleżanki. To oczywiste, znają się od tak dawna. Gaëlle przybiera swój najładniejszy szelmowaty uśmiech, laska, to jedna z niepisanych zasad, z którymi wszyscy się godzą, jeżeli źle traktujesz swoją kochankę, mam prawo się nią zająć... Tak czy owak, nim zjawiała się ta mała, nie było mowy o tym, że kończymy rozmowę. A Gaëlle ma chęć zamówić drugi kieliszek.

Hiena, zirytowana, zgarnia ze stołu fajki, zapalniczkę i notes, jej palce są długie i smukłe, gesty bardzo pewne, szuka pieniędzy w kieszeni kurtki, nie w smak jej odejść i zostawić je same.

– Jadę na plac Republiki, chcecie mi towarzyszyć?

– Jeśli naprawdę się spieszysz, to nie. Nie skończyłam wina, a panienka nie zdążyła zamówić sobie drinka.

Hiena, rozdrażniona, przed odejściem mówi:

– Anaïs, mogę zajrzeć do ciebie wieczorem?

A Gaëlle przechodzi przez myśl: sądzę, że będzie wtedy w moim łóżku, kochanie. Wyłącznie dla rozrywki. Nie powinno jej to przysporzyć większych kłopotów. Kiedy zależy nam na dziewczynie, nie traktujemy jej w taki sposób. Nigdy nie była monogamistką. To dobre dla brzydali.

Anaïs usiadła. Jest przybita. Nie ma już siły udawać, że jest w dobrym nastroju. Gaëlle czuje przemożną ochotę, by jej okazać współczucie, ofiary ją rozczulają.

– Zawsze była wredna. Taki ma styl. Nie bierz tego do siebie.

– O kim mówisz?

– O Hienie. A niby o kim mam mówić? Jesteś blada jak ściana. Zamówić ci whisky?

– Ledwie ją znam... Poznałyśmy się przypadkiem. Zbladłam, bo pewnie spadł mi poziom cukru... Tak, chętnie się czegoś napiję.

– Kochanie, ja mam oko, to twoja kochanka i źle cię potraktowała. Nie miej jej tego za złe, jest kompletnie świnięta. Co to była za praca?

– Byłam łowcą talentów w studiu produkcyjnym.

– Lubiałaś to?

– Nie za bardzo.

– Więc może ten dzień wcale nie jest taki zły.

Anaïs jest na skraju łez, lecz próbuje się uśmiechnąć.

– Przepraszam. Jak dotąd się trzymałam, ale ta rozmowa... Coś mi się zdaje... Wybacz, ale...

Gaëlle składa zamówienie, nic jej tak nie pociąga jak bliska płaczu kobieta, poza koleżankami innych dziewczyn. Nic na to nie poradzi. Jest Skorpionem. Nie można walczyć z astrologią. Anaïs ochoczo pociąga łyk whisky, potem głęboko wzdycha.

– Lepiej ci? – pyta Gaëlle.

– Zaczynam dochodzić do siebie. Dobrze znasz Hienę?

– Byłyśmy razem w Wietnamie. To żart... Ale nie rozumiem, czego taka dziewczyna jak ty może od niej chcieć.

– Taka dziewczyna jak ja?

– Doskonale wiesz, co mam na myśli. To twoja pierwsza kumpelka czy od dawna jesteś bi?

Nie ma sensu owijać w bawełnę, bo inaczej szanse, że zbałamuci ją do wieczora, będą nikłe. Musi skierować rozmowę na Anaïs i pominąć Hienę. Lecz Anaïs ma więcej charakteru, niż na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać. Nie jest speszona. Powtarza: „Nie wiem, o czym mówisz”, i zaczyna wyjaśniać, na czym polegała jej praca, którą właśnie straciła. Gaëlle szybko nuży ten temat. Przychodzi jej na myśl, by zaprowadzić ją do Rosy Bonheur. Jeśli stwierdzi, że nie może nic wskórać z Anaïs, zawsze będzie mogła wypić aperitif

z koleżankami.

Przechodzą przez plac Republiki w remoncie i schodzą do metra, by wsiąść do linii 11. Laska trajkocze bez przerwy do stacji Pyrénées. Gaëlle słucha jej z roztargnieniem. Nie jest już pewna, czy ma na nią ochotę, potrzebuje drugiego kieliszka, żeby to przemyśleć. Na rogu alei Simona Bolívara trwają roboty budowlane. Jeśli nie otworzą tu banku, będzie to sklep z okularami lub biuro nieruchomości. Już od dawna nie otwiera się niczego innego. Drzewa rosną w ochronnych metalowych gorsetach, wokół ich pni walają się zgniecione niedopałki i wyschnięte psie kupy. Na chodniku leżą kawałki gruzu, przewrócona wanna, ktoś zaatakował ją młotkiem, by powyrywać rurki, biały pył i odpryski porcelany są porozrzucane na przestrzeni wielu metrów.

Prace trwają też w parku, niektóre alejki są zablokowane przez ogromne maszyny, które wyglądają, jakby ugrzęzły w błocie. Nim docierają do Rosy, deszcz znowu zaczyna padać. Mała Céleste stoi za barem, zajęta rozmową ze swoją kumpelką Aïchą. Gaëlle czeka, aż skończy, z nadzieją, że porozmawia z nią o swoim tatuażu, chce mieć na przedramieniu symbol Erzulie Dantor. Widziała to w internecie. Serce w kratkę, przebite sztyletem. Przeczytała, że to bogini lesbijek i kurew, i przypadło jej to do gustu, ale jest to znak wudu i chociaż w nic nie wierzy, nie wie, czy jest to dobry pomysł. Céleste robi dobre dziary. W dodatku jest ładniutka. Gaëlle chętnie zamknęłaby się z nią w jej studiu tatuażu.

Anaïs wraca z toalety, wygląda na to, że ululala się jedną szklanką whisky albo że próbuje w ten sposób zażegnać swój niepokój po spotkaniu z Hieną – nie przestaje mówić. Wygłasza pięciominutowy monolog na temat suszarki do rąk marki Dyson, którą „uwielbia”, bo świetnie osusza ręce, i „uwielbia” czuć gorące powietrze, które uderza o wnętrze jej dłoni. Gaëlle nie znosi tego rodzaju refleksji, to przypomina jej gadkę ludzi mówiących o temperaturze mleka w płatkach zbożowych z głębokim przekonaniem, że są hipsterami, to ją mierzi.

Céleste zwleka z przyjęciem zamówienia. Gaëlle daje jej pięć minut. Jeśli będzie musiała wstać, by błagać o swojego jacka danielsa, może okazać się bardzo nieprzyjemna. Siksy, wszystko im trzeba tłumaczyć, zwłaszcza to, że skoro im się płaci, powinny zasuwać.

Ale wyraz twarzy Céleste nagle się zmienia. W jej oczach widać grozę. Aïcha, która stała plecami do drzwi wejściowych, odwraca się, żeby sprawdzić, na co patrzy jej koleżanka, i też od razu się spina, pomija jednak fazę przerażenia, przechodząc od razu do zapiekłej złości. W ten stan wprawia je jakiś niewysoki facet. Kompletnie bezbarwny, trzeba by być szklanką letniej wody, żeby z nim konkurować. Jest przemoknięty i wydaje się szalenie zadowolony, że je tutaj widzi: idzie w ich stronę pełen entuzjazmu. Aïcha go stopuje, mówiąc ostrzegawczym

tonem:

– A ty co tutaj robisz?

Anaïs bez wahania interweniuje, jakby czuła się w obowiązku stanąć w jego obronie.

– Nie pamięta mnie pan? Przed chwilą spotkaliśmy się w biurze.

– Śledziłem panią. Nie śmiałem do pani podejść. Jestem synem Laurenta Dopaleta. Potraktował panią w obrzydliwy sposób.

– Śledził mnie pan przez cały czas, od kiedy wyszłam z biura?

– Musiałem z panią pomówić. Byłem świadkiem tej sceny. To było niedopuszczalne.

Nie rozwodząc się nad tym dłużej, kładzie dłoń na przedramieniu Anaïs, dając jej znak, by chwilę zaczekała, i zwraca się do Céleste, by ją uspokoić.

– Nie spodziewałem się, że panią tu zobaczę, może pani być spokojna, nikomu nic nie powiem.

Na co Aïcha odpowiada bez chwili wahania:

– Rozwalę ci mordę, tak na wszelki wypadek, zobaczysz, jak dostaniesz porządny wpierdół, nie będziesz miał chęci niczego mówić.

Gaëlle korzysta z okazji i wchodzi za kontuar, by z telefonu stacjonarnego zadzwonić do Hieny: „Wyszłaś z moją zapalniczką. Jestem w Rosie. Musimy się natychmiast zobaczyć”. Ma wrażenie, że właśnie o takie sceny chodziło jej koleżance, gdy pytała, jak gdyby nigdy nic, „czy ludzie w barze mówią coś o Vernonie”.

- Nie trzeba było krzywdzić mojej matki. Nawet jeżeli była kurwą.
- Czy on sobie wyobrażał, że może ją zabić, nie ponosząc kary?
- Nie, on sobie tego wcale nie wyobrażał, wiedział, że ujdzie mu to na sucho.

\*

Laurent Dopalet nie rozumie, w jaki sposób zdobyły kod do windy, którą można wjechać na jego piętro. Nikomu go nie podaje – na ogół wszyscy dzwonią, a on spogląda na wideofon, zanim pozwoli komuś wejść. Nawet nie próbowały sprawdzać, czy jest sam w mieszkaniu, jakby to wiedziały.

Kiedy rozległ się pierwszy dzwonek, Dopalet, który nikogo nie oczekiwał, postanowił nie reagować. Ale przy drugim pomyślał: wyjdę na idiotę, jeśli to facet mieszkający obok, który chce mnie o czymś uprzedzić. Toteż sprawdził, kto to, i jakaś ładna ruda laska zaczęła go błagać, by jej pozwolił wejść, bo jest córką sąsiadów, nie wzięła kluczy do bramy i padła jej bateria w komórce, czy mogłaby zadzwonić z jego mieszkania? Co za upierdliwa baba, pomyślał, ale jej uwierzył i pozwolił wjechać na górę. Gdy weszła do środka, od razu zauważył, że to niezła sztuka, i właśnie wtedy mastodont w chuście, który jej towarzyszył, bez ceregieli wepchnął go do mieszkania.

Dziewczyna jest tak gwałtowna, że Dopalet nie rozumie, na jakiej planecie nagle wylądował. Jego umysł nie chce przyjąć do wiadomości, że jedna z dziewczyn zamknęła drzwi mieszkania, chowając klucz do kieszeni. Muslimka, brutalniejsza, zacisnęła przedramię na jego szyi, jest niesamowicie silna. Druga dziewczyna patrzy na niego nienawistnym wzrokiem, stojąc tak blisko, że rozpoznaje jej perfumy – Chance od Chanel, których używa jego córka, od kiedy skończyła dwadzieścia lat. Zawsze pamięta, by jej kupić flakonik w sklepie *duty free*, gdy jest na lotnisku.

Tak bardzo się boi, że jest jak sparaliżowany. Od dawna miał przeczucie, że to może się zdarzyć, i za każdym razem, gdy stawiał sobie tarota, myśląc o Bleachu, układ kart się powtarzał: katastrofa. Jest pewien, że właśnie od tego wszystko się zaczęło. Wiedział, że powinien odzyskać te kasety. Miał taką intuicję, gdy po raz pierwszy usłyszał o jego „testamencie”. Ten głupkowaty bard, ten pieprzony szkodnik oskarżył go, a potem zaczął się na śmierć... Dziewczyna w chuście unosi mu podbródek do góry, znowu zaczyna:

- I gdzie jest teraz twoja bezkarność, pierdolony burżuju?



\*

Jednak należało odrzucić hipotezę klasycznego rozboju, o czym pomyślał, gdy go wepchnęły do środka. Nie było sensu proponować im pieniędzy, żeby go oszczędziły. Możemy mówić, że każdego da się kupić, że to tylko kwestia ceny... Jest jasne, że tym razem to na pewno nie zadziała. Jest wystraszony, ale jego mózg wciąż funkcjonuje tak, jakby nie działo się nic okropnego. Jakaś część jego ja dystansuje się od tego wszystkiego. Przypomina sobie obrazy, które pokazywała mu Anaïs, ten patentowany leń, dokumenty o brutalnych dziewczynach z peryferii miasta. Myślała, że może go to zainteresować. Ale te małolaty były brzydkie, niezbyt go to ekscytowało. Ta jego asystentka była głupia jak but. Oszukała go. I proszę, teraz ma brutalne dziewczyny we własnym domu. Muzułmanka z nosem jak kartofel na pewno go udusi, jeśli to dłużej potrwa. Patrzy na niego ze złośliwą satysfakcją, co nie wróży nic dobrego, i Dopalet na próżno ją pyta: „Ale właściwie o czym pani mówi?”, starając się zachowywać jak najbardziej godnie, dziewczyna nie odpowiada i powtarza jak niebezpieczna wariatka: „Wiem, co zrobiłeś”.

Proszę. Posuwamy się naprzód. Dopalet skupia się na swoim oddechu, słyszy tę drugą, z tyłu, jak porusza się w salonie, podziwiając meble. Stara się być potulny. Wie, że uczucie politowania budzi odrazę, ale również rozbija.

– Naprawdę nie mam pojęcia, o czym pani mówi – bełkocze.

– Mówię o mojej mamie. O Vodce Satanie.

Ma ochotę powiedzieć: cóż mogę na to poradzić, biedulko, że urodziła cię zdzira. Doskonale rozumie, że trudno jest z tym żyć. Ale jak to się mówi: nie weźmie na swoje barki całej nędzy świata. Pyta przymilnym tonem:

– Jest pani córką Satany?

Skoro ujawnia swą tożsamość i przychodzi do niego z odsłoniętą twarzą, to znaczy, że zamierzają go zabić. Już widzi swój nekrolog: bestialsko zamordowany we własnym mieszkaniu przez dwie dżihadystki, i ta myśl jest tak absurdalna, że czuje, jak paroksyzm rozpaczy wstrząsa jego ciałem. Musi ocalić skórę. Zebrać myśli. Nie może ulec strachowi.

– Nie rozumiem – mówi. – Dobrze ją znałem. Zawsze starałem się jej pomagać. Byliśmy przyjaciółmi. Czego ode mnie chcecie?

\*

Strach sprawia, że jest przekonujący. To oczywiste, że mówi szczerze. Nie zabił jej. To znacznie bardziej skomplikowane. Można powiedzieć, że Satana doprowadzała go do szewskiej pasji. Miał jej po dziurki w nosie. Ublizła mu, groziła. Choć na początku wszystko

dobrze się układało. Miała niesamowity wdzięk, ciało jak marzenie i uwielbiała imprezy. Dopalet jest mężczyzną dominującym, a ona lgnęła do tych, którzy umieli ją sobie podporządkować. Często się spotykali. Miesiącami dzwonił do niej, gdy tylko nadarzyła się okazja. Kiedyś zabrał ją nawet do Cannes. Był dumny, że może się z nią pokazać, zwłaszcza w miejscach, gdzie można poświntuszyć. Lubił uchodzić za kogoś, kto może sobie pozwolić na tego rodzaju dziewczynę. I kto może, jeżeli tylko zechce, z kimś się nią podzielić. Nie miała nic przeciwko. Lubiła seks bez tabu. Ale znalazła się na niebezpiecznym zakręcie jak wszyscy, którzy przesadzają z narkotykami. Dragi, zażywane z początku w celach rekreacyjnych, stały się problemem. Rzadziej do niej dzwonił. Poczowała się zraniona. Zapewne się w nim zakochała. Nie mogła znieść myśli, że się dystansuje. Stała się nieznośna. Nie panowała nad sobą. Z początku załatwiał jej gram i nie chcąc wyjść na prostaka, wykręcał szybki numer, po czym ją odprawiał. Ale ona ubzduriała sobie, że zmusza ją do różnych bezceństw wbrew jej woli i że go zadenuncjuje. Był zbyt szarmancki, żeby jej powiedzieć: pamiętam, jak w klubie Les Chandelles<sup>1</sup> obciągałaś każdemu, kto miał na to chęć, i to zbyt ochoczo, by kogokolwiek przekonać, że robiłaś to pod przymusem. W owych czasach laska była nienasycona, każdy otwór był dobry. Ale kiedy Satanie odbiło na maksa, nikt nie był w stanie przemówić jej do rozsądku. Zaczęła go nękać. Uparła się, że poinformuje o wszystkim przyjaciela z prasy i da mu listę ludzi, z którymi spała, wraz z pikantnymi szczegółami. To było dziesięć lat temu, na długo przed aferą Strauss-Kahna, nie trzeba było jeszcze tak bardzo się pilnować, ale jednak. Musiał uprzedzić kilku partnerów z libertyńskich orgietek o jej ustawicznych groźbach, że wszystko wyjawি. Niektórzy woleliby za wszelką cenę uniknąć skandalu. Szalał z wściekłości. Zaufał jej, przedstawił jej ważne osoby, a ona to wykorzystała. I teraz odwraca się od nich, wymyślając obrzydliwe historie. Kompletnie jej odbiło. Nie zdawała sobie sprawy z powagi swoich oskarżeń. Są przypadki szczególne: nie można przerywać kariery prominentnych osób z powodu jakichś głupich męsko-damskich historii. Przestrzegł ją. Obstawała przy swoim. Nie miał pola manewru: musiał powiadomić o wszystkim przyjaciół. Ale naprawdę nie zrozumiał, o co chodzi, gdy jedna z osób uwikłanych w tę sprawę powiedziała: „Bardzo dobrze. Nie daję nam wyboru”. Miał już chyba przecucie, że zaszło to za daleko. Pomyślał, że wynajmą jakiegoś Chińczyka, żeby jej złamał nogę, trudno, nie będzie już tańczyła tak dobrze jak kiedyś. Jednak trzeba było przemówić jej do rozsądku: powinna zostawić ich w spokoju. Kiedy go poproszono, by umówił się z Vodką Sataną, zrobił to, a gdy na miejscu spotkania zobaczył urodziwego playboya, którego tam wysłali, by ją wyrwał i zaprowadził do klubu swingersów, poczuł ulgę: to ci dopiero kara... Nazajutrz znaleziono ją martwą. Popełniła samobójstwo lub przedawkowała. Nikt się nad tym szczególnie nie zastanawiał. Nic nie

wskazywało na to, by było to coś innego niż nieszczęśliwy splot okoliczności. Wkrótce potem, w Normandii, widział się z niektórymi z przyjaciół, którzy byli w to zamieszani, nie wspomnieli słowem o jej zgonie. On nie miał z tym nic wspólnego. Biedna dziewczyna, kiedy o tym pomyśli... Tak czy owak, stało się to, co się musiało stać. Gdyby ktoś podsunął jej jakiś spreparowany narkotyk, to byłoby obrzydliwe. Ale musiała zderzyć się ze ścianą, to była tylko kwestia czasu. On niczego nie zrobił.

Jej córka jest muzułmanką. W innych okolicznościach uznałby, że to zabawne. Ale teraz dziewczyna zgrzyta zębami o kilka milimetrów od jego ust, powtarzając zajadle: „Wyrwę ci język”, i musi jak najszybciej znaleźć sposób na to, by zostać wysłuchany – nie ma z tym nic wspólnego.

Jednak Satana dawała mu popalić do samego końca. W dniu, w którym uległ jej wdziękom, powinien był zażyć brom. Po jej śmierci przyczepił się do niego jeszcze ten czubek Bleach. Latami urządzał mu istny cyrk. Dopalet zmieniał numery telefonów, adresy mailowe, numer faksu, ale ten dupek zawsze w końcu znajdował sposób, by się z nim skontaktować. I zabawa zaczynała się od nowa. Te same groźby, te same głupoty. Dostawał od tego jobla.

W pamięci powracają mu obrazy Vodki Satany, jak w rozbłysku flesza. Nie zabił jej. Ale podniecało go, że ją poniża. Jest mężczyzną. Czy to zbrodnia? Podobało mu się, że odgrywa wystraszoną cnotkę i że musi ją przekonywać, by pod koniec kolacji pokazała piersi zaproszonym gościom. To była część gry – nakłaniać ją, by robiła świństwa, i czuć, że mu ulega. To, że tak piękna dziewczyna jest posłuszna takiemu facetowi jak on, dawało mu poczucie władzy. Rzecz jasna, ma to swą mroczną stronę. Jak zawsze w wypadku seksu. Mówi błagalnym tonem:

– Jak może pani myśleć, że to ja ją zabiłem? Proszę pozwolić mi coś powiedzieć... Byliśmy przyjaciółmi, dlaczego miałbym to zrobić? To wy prześladujecie mnie od kilku tygodni? To pomyłka, przysięgam... Nie mam z tym nic wspólnego. Uwielbiałem pani mamę. Nie rozumiem, czego pani ode mnie chce...

\*

Alex Bleach. Ten dupek. Nie dość uczciwy, żeby zabrać głos, i za mało inteligentny, by wykorzystać wiedzę, jaką rzekomo dysponował. Gdyby facet był sprytny, zaakceptowałby wysokie honorarium i główną rolę w komedii romantycznej u boku wybranej przez siebie aktorki, która w co drugiej scenie występuje nago. Wszyscy w otoczeniu Dopaleta byli w tej kwestii zgodni: żeby uciszyć znanego wokalistę, trzeba się postarać. Byli gotowi się z nim dogadać, to było coś w rodzaju niepisanej umowy. Dopalet zaproponował mu, żeby się

uspokoił, a oferowana gaża mogła skłonić do refleksji. Ale temu dupkowi zabrakło zdrowego rozsądku i ogłady, zwyzywał go od ostatnich i jeszcze z niego zadrwił. Producent zarechotał, gdy Bleach zaczął bredzić na temat rozmiarów jego wacka, który zdaniem Vodki Satany był znacznie poniżej średniej. Ten bambus myślał pewnie, że ktoś czeka na niego po to, żeby się dowiedzieć, że ma kutasa mniejszego niż u wiewiórki... Ale w gruncie rzeczy to mu się nie spodobało. Kurwa, przecież nie zrobił nic złego, nie było powodu, by miał znosić upokorzenia ze strony tego zasańca. A Bleach nadal nie dawał mu spokoju. Dopóki ktoś tego nie przeżyje, nie zdaje sobie sprawy, jaka to udręka. Nie móc wziąć telefonu do ręki, nie odczuwając napięcia, otwierać maile z obawą, że znajdziemy tam jakieś świństwo, co rano zerkać na boki, gdy się wychodzi z domu, bo czasami ten pieprzony Bleach czekał na niego, stojąc z założonymi rękami przed drzwiami taksówki. Gdy przyjaciele Dopaleta pojęli, że piosenkarz ich nie obwinia i żywi urazę jedynie do niego, uznali, że sam musi się z tym uporać. Zemścił się. Spotkał się z Hieną i kosztowało go to masę kasy, ale za każdym wystukaniem nazwiska wokalisty w przeglądarce Google trafiało się na jakąś kalumnię. To sprawiło mu szaloną radość. Nie musiał robić nic więcej, Bleach się zabił. Ten dupek. Jaka ulga w dniu jego śmierci. Jaki spokój. Nie mógł się powstrzymać, przez dwa dni chodził z chusteczką w rękę i mówił o tym wszystkim. Za każdym razem gdy powtarzał: „Jaka smutna nowina”, w jego piersi strzelały fajerwerki. Uwolnił się od tej gnidy. Nareszcie jest wolny. Więc gdy kilka miesięcy później zobaczył fasadę swojego domu pokrytą graffiti, puściły mu nerwy. Znowu się zaczęło.

Czuje, że dziewczyny mają teraz problem. Nie są niczego pewne. Nie wiedzą nic o tym, co się wydarzyło. On jest niewinny. Może nie nieskazitelny jak śnieg, ale nie zrobił tego, co mu zarzucają. Muszą to przyjąć do wiadomości. Ta w chuście chwyta go pod pachy, zmusza, by wstał, i przyciska do ściany. Czuje się wątły i słaby, jak pisklę w łapach polarnego niedźwiedzia. Przestaje kontrolować swoje emocje. Na chwilę traci przytomność. Czarny woal zakrywa scenę. One mają to gdzieś.

– Założę się, że nieczęsto myślał pan o mojej matce, kiedy pan ją zabił. Ale od tej chwili będzie pan myślał o niej codziennie.

– Proszę mi chociaż wyjaśnić, skąd to pani przyszło do głowy? Litości! Chciałbym zrozumieć.

W jakim mogła być wieku, kiedy do tego doszło? Satana nigdy mu nie mówiła, że ma córkę. Albo nie zwrócił na to uwagi. Nie zajmowała się nią, to pewne. Tak naprawdę nie miała domu. To był margines. Zwykła szmata i tyle. Taka ładna dziewczyna, szkoda... Stawia wszystko na jedną kartę:

– Popęnia pani błąd. Z nią było coraz gorzej. Ale nie z mojej winy. Poznała tego śpiewaka od siedmiu boleści, Alexa Bleacha, który ją całkiem zdołował. Tyle razy starałem się ją przekonać, żeby od niego odeszła. Uwłaczał jej, bił ją, faszerował narkotykami, traktował ją jak śmiecia...

Trochę rozluźnia uścisk, na ułamek sekundy. Waha się. Dopalet kontynuuje:

– Bleach to była kanalia. Nie cierpiał mnie, bo chciałem oderwać od niego Satanę. Tylko ja próbowałem jej pomóc. Była pod jego wpływem. Zniszczył ją. Dzwoniła do mnie zdesperowana, groził jej nożem i złamał jej zębra, ale nie chciała złożyć skargi. Kilka razy szukała u mnie schronienia, spała w pokoju gościnnym, ale zawsze do niego wracała. Dawał jej heroinę. To on przyrządził śmiertelną dawkę. Przykro mi, że muszę pani to wszystko mówić. Proszę spytać o wyniki autopsji. Ja tak zrobiłem. To było przedawkowanie. Kiedy umarła w jego objęciach, nie wezwał karetki. Spanikował. Zostawił ją w pokoju hotelowym, w którym przebywali, i upłynęło wiele godzin, zanim ktoś anonimowo zadzwonił na pogotowie. Nigdy sobie tego nie wybaczył. Może gdyby zadzwonił na czas, udałoby się ocalić jej życie. Ale wolał myśleć o konsekwencjach dla swojej kariery...

– Skąd pan to wszystko wie? Nikt nigdy nie mówił, że brała heroinę...

– Ponieważ on sam mi o tym opowiedział. Rozmawiałem z nim godzinami. Ale nie warto gadać z wariatami. Zrobił z mojego życia piekło. Dręczył mnie bez ustanku, latami.

– Dlaczego wziął się akurat na pana?

– Ponieważ to ja chciałem ją ocalić. Zrobiłem to, do czego on nie był zdolny.

Cały czas stoi w tej samej pozycji, z ręką wykręconą do tyłu, przyciśnięty do ściany. Ale dziewczyny go słuchają. Oczywiście nie wszystko, co mówi, jest prawdą, łatwo to sprawdzić. Potrzebowałyby jednak na to trochę czasu. W internecie nie znajdą wersji za bardzo odbiegającej od tej. Jeśli wejdą w Google, może być spokojny, natkną się na plotki rozpущzone przez Hienę: usiłowanie gwałtu, molestowanie, przemoc, mizogin, homofob, groźny dla otoczenia. Stawia kropkę nad i:

– Męczyło go poczucie winy. I zwrócił się przeciwko mnie. Stałem się jego chłopcem do bicia.

– Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.

– A jednak to prawda.

– Wolę zaufać mojemu instynktowi: mówi mi, że jest pan kłamcą.

Słyszy za plecami, że druga dziewczyna otwiera torebkę i coś z niej wyjmuje. Jest pewien, że zdoła je przekonać i dadzą mu spokój. Do Bleacha też nie mają zaufania, ani przez chwilę nie próbowały go bronić.

– Jestem dobrym kozłem ofiarnym? Nadaję się? Skoro jestem bogaty, z zasady nie mogę być niewinny, zatem można zniszczyć mi życie bez niepotrzebnych pytań? Można wejść do mojego mieszkania, wszystko zdewastować, poddać mnie torturom, obrażać... To nic takiego, jestem bogaty, więc płacę za winy wszystkich ludzi z pozycją podobną do mojej, można nas wymieniać, tak?

– Nie, nie. Po prostu moja matka nie żyje. Wolę wierzyć, że to wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Że mogłabym ją poznać.

\*

Chwyta go za ramiona i ciągnie w stronę krzesła w kuchni, zmusza go, by usiadł na nim okrakiem, twarzą do oparcia. Druga czeka z liną w dłoni. Unieruchamiają go z dłońmi za plecami. Działają sprawnie i w sposób zdecydowany, krępują mu nogi w kostkach, kolanach, talię i ramiona. Czuje się jak w kaftanie. Z palców córki Satany ścieka krew, skaleczyła się, zaciskając węzły, i ten widok ją dopinguje, krząta się ze zdwojoną energią. Dopalet ma wrażenie, że w oczach tej ładniejszej dostrzega ślad współczucia. Błaga ją z całych sił:

– Pani wie, że jestem niewinny, prawda?

Dziewczyna w hidżabie daje mu pstryczka w głowę.

– Długo jeszcze zamierzasz zanudzać nas tą gadką? Nie mów mi, że w tym wieku wciąż wierzysz w sprawiedliwość, w to, że sprawcy ponoszą karę, a niewinnych się ulaskawia... Na tym ziemskim padole wcale tak się nie dzieje. Teraz jesteś związany, a my możemy zrobić z tobą, co chcemy. To bardzo proste: mamy nad tobą przewagę.

Ładniejsza kładzie dłoń na ramieniu współniczki, jakby chciała ją uspokoić.

– Daj mu ostatnią szansę.

I zwracając się w jego stronę, pyta niemal przyjemnym tonem, co sprawia, że Dopalet ma chęć się rozpłakać.

– Niech pan powie coś o jej matce. Jak zostaliście przyjaciółmi i tak dalej. Proszę o tym opowiedzieć. Co robiliście razem?

– Bardzo lubiła muzykę. Jej wiedza na ten temat robiła wrażenie.

– Słuchaliście razem płyt?

– Czasami.

– To sympatyczne. Na przykład przychodziła tu i spędzaliście wieczór w salonie, a pan podziwiał jej wiedzę na temat muzyki?

– Nie, nie tutaj. Nikogo tu nie przyjmuję. To mój dom rodzinny.

– Rodzinny?

– Żona, dzieci... Oddzielam życie prywatne od zawodowego.

– I pański związek z Sataną był częścią pana zawodu?

– Nie. Ale często słuchaliśmy muzyki w samochodzie.

– W samochodzie?

– Tak. Śpiewała na cały głos, kiwała się na boki, na światłach wszyscy na nas patrzyli, to ją bardzo bawiło.

– I gdzie jechaliście tym samochodem?

– Na kolację albo do kina lub do jakiegoś klubu...

Ta w chuście wrzeszczy:

– Gdzie zabierałeś moją matkę na kolację?

– Dokładnie nie pamiętam... do hotelu Costes, na przykład... Albo gdzie indziej, w różne miejsca...

– Zabierałeś ją sprzed jej domu?

– Czasami.

– Gdzie mieszkała?

– Już nie pamiętam.

– A może przychodziła do twojego biura i poniewierałeś nią jak burą suką, a potem faktycznie wsiadała do twojego samochodu i wiozłeś ją gdzie indziej.

– Przecież pani powtarzam, że nikim nigdy nie poniewierałem.

– Okej, byliście kumplami. Jaką muzykę lubiła moja matka?

– Rap.

– Pomyłka. Słuchała tylko muzyki białych. Nawet tego nie wiesz. Rocka albo techno. O niczym nie masz pojęcia. Bo w tym, co robiliście razem, muzyka się nie liczyła.

Tak musiał wyglądać trybunał inkwizycji. Debilni oprawcy, którzy nawet nie słuchali tego, co im się odpowiada. Słyszysz za plecami, że druga laska znowu wyciąga coś z torebki. Nie rozumie, co robi, ale zajmuje jej to sporo czasu. Czuje, jak pot spływa mu po piersi. Uświadamia sobie, że poci się jak w saunie. Potem czuje, że nożem rozcinają mu na plecach koszulę. Kontakt metalu ze skórą wpędza go w stan skrajnego przerażenia. Nie może się poruszyć. Krzyczeć nie ma sensu. Ściany są wygłuszone. Zrobił to jeszcze w czasach, gdy urządzał imprezy i miał dość skarg o to, że zakłóca ciszę nocną sąsiadom. Wyzionie ducha w tak idiotyczny sposób. Torturowany przez jakieś dwa śmiecie. Gazetowy news. Widzi przed oczami Satanę, jak pełźnie na czworakach, z majtkami opuszczonymi do połowy ud,

pokazując tyłek, w salonie przyjaciela było ich kilku, siedzieli na białych skórzanych fotelach. I za coś takiego ma zapłacić najwyższą cenę. To absurd. Zawsze miał sobie za złe, że nie panuje nad swoim rozporkiem. Wiedział, że to go kiedyś zgubi. Ale jak wyjaśnić tym dwóm opóźnionym w rozwoju kłębom, że robili to za obopólną zgodą dwóch dorosłych osób, że sprawy seksu zawsze ocierają się o irracjonalność. Satana to wiedziała.

Kątem lewego oka widzi tę ładniejszą: naciąga czarne rękawiczki. Za chwilę zemdleje. Potem zasłaniają mu oczy, słyszy za plecami warkot silnika i ogarnia go lodowaty strach.

---

<sup>1</sup> Les Chandelles – jeden z najbardziej znanych klubów dla swingersów w pierwszej dzielnicy Paryża.



Loïc słucha na skuterze *The Modern World* grupy Jam. Ruch jest płynny. Świeci słońce, ale nie zdjął rękawic. Zapowiadają opady deszczu po południu. Rano przed rozpoczęciem pracy w magazynie chłopaki mówią tylko o tym. Dla gońców kwestia pogody to nie tylko decyzja, czy włożyć nowe, czy raczej stare buty. Podobno od 1988 roku nie było tak zimnego i deszczowego lata. Już tego nie pamięta. Miał dwadzieścia cztery lata – pogoda była wtedy jego najmniejszym zmartwieniem. Mieszkał w Montpellier. 1988. Mitterand wygrał wybory prezydenckie. Nie głosował. Już wiedział, że to tylko zawracanie głowy. Słuchał Les Shériff. „Wbijemy im to do głowy kijem bejsbolowym”. Zawsze podobała mu się ta banda kretynów. Od kilku dni ma zablokowane kręgi szyjne. Lekarz powiedział, że nie ma na to rady, powinien się rozluźnić. Przy jego pracy to raczej niemożliwe, goniec musi zasuwać. Napięcie to część jego profesji, jeśli nie będziesz stale miał się na baczności, byle jaka gablota cię przewróci, a jeśli nie będziesz szybszy od innych, nie przedłużą z tobą umowy. Jest najstarszy w swojej ekipie. Nie jest już najlepszy. Młodzi są sprytniejsi. I bardziej nieświadomi.

W dole alei Marceau światło zmienia się na czerwone. Faceci z Virgin Megastore blokują ruch uliczny. Na krótko. Jest ich pięćdziesięciu. Wezwali do protestów, Loïc słyszał o tym w radiu. Jest tylko garstka byłych pracowników. Kiedy w dniu definitywnego zamknięcia sklepu trzeba było stać w długiej kolejce przed wejściem, przyszło mnóstwo ludzi. Klienci nastawili budziki, by nie przeoczyć wyprzedaży. To był prawdziwy szturm. Ale tego ranka w obronie miejsc pracy stanęła garstka niewiele liczniejsza niż grupa kumpli wybierających się na wieczór kawalerski. Loïcowi jest przykro z ich powodu. Budynki stały się ważniejsze od ludzi, którzy w nich pracują. Trzeba przyznać, że Virgin Megastore mieścił się w pięknej kamienicy. Pół roku pracował tam w recepcji. Jeśli ktoś czegoś szukał, zwracał się do niego. Pola Elizejskie będą wyglądały dziwnie bez Virgin. Ze swoją pensją raczej nie miał szans, by w nim cokolwiek kupować, ale sklep zawsze tam był.

Tak czy owak, nie cierpi Paryża. Pracuje tu od piętnastu lat. Nigdy nie lubił tego kurewskiego miasta. Przejeżdża przez zalany słońcem plac Vendôme, pusty o tej porze, potem jedzie bulwarem wzdłuż Sekwany, wyprzedza taksówki, mija mosty, muzeum d’Orsay i zaparkowane przed nim autokary, poziom Sekwany jest bardzo wysoki, woda jest mętna, prawie żółta. W kilka minut dociera do sklepów ogrodniczych przy nabrzeżu de la Mégisserie. Gipsowe szympansy i plastikowe aligatory obok sztucznych palm i ogrodowych krasnali.

Żal po utraconej przyjaźni różni się od miłosnego rozczarowania czasem zablizniania się ran. Zaraz po fakcie miłosny zawód jest boleśniejszy, włącza się element irracjonalny, te

wszystkie bzdury szybko stają się obsesją. Czymś nie do zniesienia. Ale to przechodzi i nie pozostawia śladów. Laskę można zastąpić inną. To niezbyt skomplikowane – nabrać ochoty na seks z inną dziewczyną. W sumie każda ma w sobie coś, co usprawiedliwia fakt, że nas interesuje. Jeżeli chcesz żyć w parze, musisz być realistą. W miarę do rzeczy laska, która przyrządza żarcie, nie ma żadnych paskudnych nawyków i akceptuje cię takim, jaki jesteś, nie próbując wejść ci na głowę i zmuszać do jedzenia gotowanych warzyw, to w zasadzie wszystko, czego możemy spodziewać się po miłości. W sumie zawsze wmawiamy sobie tę samą bajkę. Ważne, żeby na siłę nie szukać w związku czegoś, czego nigdy w nim nie znajdziemy. Loïc już dawno temu zrozumiał, że jeśli chcemy być szczęśliwi w miłości, musimy się zadowolić tym, co leży na stole.

W przyjaźni nie ma miejsca na ustępstwa. Wymaga całkowitej szczerości z obu stron. Zawsze możemy wypić z kimś piwo i rzucić kilka żartów. Ale znaleźć rozmówcę, z którym naprawdę da się podyskutować, to rzecz niezwykle rzadka. Loïc przeżywa rozgoryczenie z powodu utraty przyjaźni. Czuje się zdradzony. I samotny. Czasem ogarnia go złość, to znów żywi urazę, jest przybity. Ale najtrudniejsza do wytrzymania jest świadomość braku. Wieczorem ogląda telewizję w domu w Garges-lès--Gonesse: w Londynie filmują jakiegoś czarnego chłopaka z zakrwawionymi dłońmi, z maczetą, szerokie džinsy zsuwają mu się z bioder, w tle widać ciało żołnierza, którego zamordował, chłopak spokojnie wypowiada się przed kamerą. Loïc odruchowo myśli o esemesie, który chciałby wysłać do Noëla. Wciąż nie przyjmuje do wiadomości, że to już skończone. Nie ma z kim wymieniać myśli. Stracił kumpla. Śmiali się z tych samych rzeczy, mieli swój kod. W co drugim zdaniu cytowali słowa Maradony, szukali cytatów w języku hiszpańskim w internecie i używali translatora Google, facet ich nigdy nie zawiódł. Znali na pamięć wszystkie jego krytyczne uwagi na temat Pelego. Oglądali gole strzelone przez Ronaldinho. Rzut wolny, Brazylia 2011. Wie, że piłkarze stojący w murze podskoczą do góry. Strzela po ziemi. Nie szukając okienka. Nisko. Niespodziewanie. Mogli oglądać to setki razy. Co za inteligencja. Nie przepadali za Messim, ale porównywali gole, był spadkobiercą mistrza. Ten sam slalom ze środka boiska, między pięcioma graczami, i podobny kunszt, z jakim umieszcza piłkę w siatce tam, gdzie bramkarz się jej nie spodziewał.

\*

Rzecz jasna, wieczorem na kanapie siedzi z Pénélope. Ale to laska. Wszystko bierze dosłownie. Jeśli Loïc nieopatrznie rzuci jakiś żart, dochodzi do scysji, to nieuniknione. Jakby była zatrudniona przez obyczajówkę, by tępić w zarodku wszelkie przejawy dobrego humoru.

Z Noëlem przyjemnie spędzał czas. Loïc często zostawał w jego mieszkaniu i spał na kanapie, dzięki temu nie musiał jechać podmiejską kolejką wieczorem i rano, oszczędzał dwie godziny, co było bardzo cenne. Utracone przyjaźnie są najboleśniej. Loïc potrafi być dobrym kumplem, coś takiego zdarza się tylko kilka razy w życiu. Z nikim nie można się przyjaźnić na siłę. Przyjaźni nie da się sprowokować. Zwykle to dziewczyny rozdzielają przyjaciół. Facet poznaje jakąś żonę, a ta zaczyna ciosać mu kołki na głowie. Zrezygnowany, woli poprosić kumpla o pauzę. Składa broń. Laska wygrała. Przyjaźń zaczyna wygasać.

Ironia losu, z Noëlem poróżnił go mały pieprzony burżuj. Loïc niczego się nie spodziewał. Nie przyszło mu do głowy, że Noël mu ulegnie. Możesz mówić, co chcesz, burżuje zawsze pakują się, gdzie nie trzeba. Julien może wszystkich zanudzać gadką o żydowskim lobby, może i sam nie jest obrzezany, niemniej ma piękne mieszkanie przy ulicy de Bretagne, a jakże. I ktoś taki zadaje się z potomkami plebsu i mówi im, jak powinni się zachowywać. Julien bez przerwy mówi o prawdziwych Francuzach, ale nie zna obyczajów i dzielnic ludzi ze społecznych dołów. Ten kretyn zachęca wszystkich, by rozdawali koce bezdomnym, tyle że nie ma mowy, aby on znalazł się na ulicy. Po co ten dupek zawraca wszystkim gitarę?

Loïc nigdy nie potrafił się dogadać z burżujami. Nawet kiedy był mały i się z nimi zadawał, zamożni rodzice zakazywali dzieciom zapraszać go do domu. Był dobrze wychowany, jednak rodzice kolegów jakoś go nie lubili. Za bardzo było widać, kim jest: pierdolonym biedakiem. Jego matka ważyła sto trzydzieści kilo. Ludzie wyzywali ją, siedząc w samochodach. Gruba krowa. Trzymała syna za rękę, był dość duży, żeby zrozumieć, co się dzieje, ale za mały, żeby pobiec do pierwszych świateł i rozwalić mordę głupkowi za kierownicą. Jeszcze słyszy, jak matka sapie na schodach. Mieszkali na szóstym piętrze. Windy były nieczynne przez tydzień w każdym miesiącu. Bał się, że matka wykorkuje w drodze do mieszkania, pokonując schody. Odwracała się w jego stronę, Loïc szedł z tyłu, przerażony, że matka może upaść, i wściekły, że tak się męczy. Właśnie ten dźwięk kojarzy mu się z jego plebejską kulturą. Matka, która zatrzymuje się na trzecim piętrze, nie mogąc złapać tchu. Przy tej wadze była szczęśliwa, że może pracować. To jej niszczyło skórę, ale tyrała jak wół. Czyściła dywany w centrum handlowym Carrefour. Dostała uczulenia na środki czyszczące. Skóra swędziała ją nawet wtedy, gdy robiła to w rękawiczkach. Miała czerwone plamy na piersiach i szyi.

Mały Julien może odmieniać „wolę ludu” przez wszystkie przypadki, lecz nigdy nie zrozumie, jak to naprawdę jest, gdy masz sześć lat, a twoja matka wypruwa sobie żyły i nie zarabia nawet tyle, żeby ci kupić rower. Julien nie wie, co to znaczy, a jednak miele ozorem.

Po lewej stronie mają takich samych.

Z tamtymi także miał do czynienia. Kiedy był małym chłopcem i słuchał namyślnie rocka, dał się im zwerbować. Byli tam trockiści, maoiści, autonomiści, anarchoiści. Wielu z nich gardziło muzyką, ale widzieli w zbuntowanej młodzieży narybek, który mogli po swojemu kształtować. Loïc lubił The Redskins. Muzykę raïa, *Koncert dla popapranych* grupy Bérurier Noir, La Souris déglinguée i ich utwór *Słuszna sprawa*, *If the Kids Are United* grupy Sham 69. Z początku uległ indoktrynacji. Uczył się radykalizmu od gości, których spotkał po pięciu latach, gdy mieszkali w apartamentach kupionych przez rodziców. Ci goście nigdy nie zaczynali swych kazań od stwierdzenia: jestem synem zamożnych ludzi i dorastałem w dostatku. To go uodporniło. Gdy coś do mnie mówisz, powiedz najpierw, w jakim miejscu dorastałeś.

Na prawicy działają takie same błazny. Ale jedno można im przyznać: są bardziej szczerzy. Ludzie to śmieci. Najbardziej lubią, gdy ktoś nimi kieruje. Karze, nagradza, pokazuje drogę. Zabijanie bliźnich leży w naturze człowieka. Właśnie po tym rozpoznaje się wyższość jednej cywilizacji nad drugą: która ma większą armię. Jeśli ulokujesz w mieście ludzi trzech różnych wyznań i dasz im swobodę działania, nie minie jedno pokolenie, a zaczną się wybijać. Egoizm działa tak samo jak kutas: żadne sumienie nie sprawi, że przestanie dostawać wzvodu. Nie ma sensu udawać, że jesteśmy czymś innym niż gównianym gatunkiem. Jedyne rozwiązanie na to, by ludzie przestali się wzajemnie zabijać, to trzymać ich krótko. Potrzeba szefa. Tę domaga się lud. Szef jest tym, który mówi: tego należy zabić, a tego wynagrodzić. I wtedy wszyscy są zadowoleni. To, czy lider powołuje się na takie czy inne wyznanie, jest w sumie bez znaczenia. Samiec alfa uwielbia władzę. Może cytować dowolną księgę, zawsze w rezultacie będzie ten sam bajzel.

Loïc ma to gdzieś. Interesuje go raczej, z kim będzie mógł się włóczyć i imprezować. I wtedy jest wierny. Nawet jeśli Noël sądził, że l'Œuvre française<sup>1</sup> jest panaceum na wszystko, nie spędzali całej nocy na roztrząsaniu tej kwestii, woleli raczej pogadać o futbolu. Les Jeunesses nationalistes<sup>2</sup>, a niech tam. Loïc nie należy do żadnej partii, nie kupuje żadnej ideologii. To kwestia wieku, kiedyś Noël sobie uświadomił, że także tutaj robią go w balona. Nie należy się spodziewać niczego dobrego po ludziach zajmujących się polityką. Nawet jeśli z początku są porządnymi ludźmi, partia zrobi z nich dupków. W końcu zawsze upaja cię władza: gdy jesteś już gotowy, by zdradzić swe przekonania, możesz też zdradzić przyjaciół. I wówczas jesteś skończony. Wkurza go, że Noël dał się w to wciągnąć.

Prawica, lewica, olewa jednych i drugich. To jeden karabin. Nie ma zamiaru dać się wykastrować, przysięgając wierność jednej czy drugiej partii. Gdy pojawił się Facebook,

nadzór się zaostrzył, widziałem, że dałeś lajka Temu i Owemu, dlaczego udostępniłeś tekst Tego a Tego. Loïc robi, co chce. Nikt nie płaci za niego czynszu, więc nikt nie ma nad nim władzy. Nie przejmują się tym, że się poróżni z głupkami. Przeciwnie, zawsze sprawia mu to przyjemność. Na lewicy wszyscy mają na ustach zwrot „rasistowskie ekscesy”. On nie popełnia ekscesów, jeśli zbacza z drogi, to po to, by nasrać na ich grządki. To samo dzieje się z drugiej strony, te ich przechwałki, „bo ja jestem politycznie niepoprawny”. Stado osłów. Szukają wyłącznie poczucia siły. Narodowa mantra z jednej i z drugiej strony brzmi: „Nie chcę żadnych problemów”. On ich szuka. Od zawsze.

Jednak trzeba przyznać, że Loïc nie cierpi zwłaszcza głupków z lewicy. Posłużyli się takimi ludźmi jak on, wspięli się po ich plecach, żeby się dorwać do władzy, a gdy już byli na górze, nasikali im w twarz i kazali powiedzieć dziękuję. Kiedy zatrudnia cię szef, który jest lewakiem, podsuwa ci do podpisu takie same umowy, zmusza cię do harówki w takich samych warunkach, a na dodatek musisz go podziwiać i obraża się, gdy wspomnisz o nadgodzinach. Gdy trafia się dobry etat, postępują jak inni: zatrudniają swojego bachora, kochankę lub pociotka. Płacą ci najniższą krajową i wyciskają cię jak cytrynę, ale rano powinienesz być zadowolony, ponieważ mówią do ciebie po imieniu. Ma w nosie to, czy ktoś wita się z nim w sympatyczny sposób, przychodzi tutaj po odcinek z wypłaty. Jeżeli twoja pensja jest dziesięciokrotnie wyższa od mojej, możesz się wypchać ze swoją uprzejmością.

Jest zde gustowany lewicą. Tymi buntownikami, którzy przypięli złote ordery. Samozwańcami bojownikami o prawdę. Nie odnieśli żadnego zwycięstwa. Nie szkodzi, tym większy mają mandat do władzy. Jego matka przez całe życie głosowała na komunistów. Słyszał, jak powtarza: „robotnik i jego fabryka”. Na wszelkie możliwe sposoby. Jakby to była nierozdzielna para, za którą warto się bić. Brzmi jak „fryzjerka i jej egzema”. Głosowała. Teraz ona też nie chodzi już na wybory. Zrozumiała.

Noël to inne pokolenie. Nie widział triumfu lewicy. Dał się nabrać na inne bajki. Cudów nie ma, to takie same lajzy jak przed dwudziestu laty, nic się nie zmieniło. Po prostu kto inny pcha się do koryta, kundle zwietrzyły zapach żarcia. Noël to sobie uświadomi w swoim czasie. Brakuje mu nawet tych chwil, gdy przesiadywali w mieszkaniu jego kumpla. Oglądali filmy o dinozaurach. Noël bardzo to lubił. Jeśli trafili na dokument, w którym była mowa o diplodoku, nie sposób go było zmusić, żeby zmienił kanał. Nie tak dawno Loïc zjawił się u niego z dwoma pojemnikami lodów Ben & Jerry's Peanut Butter Cup. Takie coś kosztuje fortunę. Każdy postawił sobie pojemnik na kolanach i nie było ich słychać do chwili, gdy łyżeczki zaczęły skrobać o dno. Wcześniej mieli fazę cappuccino. Wsypywali tyle proszku do filiżanek, że łyżeczka stała w pionie.

Prawdę mówiąc, już od jakiegoś czasu jego poczucie humoru drażniło Noëla. Loïc zdawał sobie z tego sprawę. Julien, zręczny manipulator, poróżnił ich z sobą. Przekonał Noëla, że Loïc jest zazdrosny o ich przyjaźń. Rozdzielił ich, tak samo jak robią to laski. Coś wisiało w powietrzu już od kilku tygodni. Były podteksty, chwile zakłopotania. Nigdy wcześniej to im się nie zdarzało.

Zaczął się od głupstwa. Loïc lepiej by zrobił, gdyby się wtedy przyknał. Oglądali w internecie zdjęcia dziesięciu typków, którzy na peronie dworca wykonywali nazistowskie pozdrowienie, żeby przyblokować Caroline Fourest<sup>3</sup>. Julien miał obsesję na punkcie tej lesby. A Loïc z niego zakpił. Nie mógł się powstrzymać. Ta fiksacja na punkcie Trzeciej Rzeszy zaczęła go już wkurzać. Nie jest jakimś zdeklarowanym antynazistą, ale chciał pewne rzeczy wyjaśnić: „Śmieszą mnie Francuzki wykonujące hitlerowski gest. Jeśli kochasz swój kraj, po co to robisz? Naśladujesz najeźdźcę? Niemcy na Polach Elizejskich, jakie to piękne wspomnienie dla Francji. Nie mówię, że Amerykanie okazali nam znacznie więcej szacunku, ale jak można myśleć, że szkopy nas lubiły. Jestem Francuzem. Nie lubię hajlowania. Nie lubię Niemiec. Nie schlebiam wrogowi dlatego, że przegrałem wojnę”.

To był pretekst, drobna utarczka słowna. Ich głupstw też miał już dość. Tych ultranacjonalistycznych debili, z których większość nie była zdolna napisać trzech linijek komentarza w necie, nie robiąc czterdziestu błędów ortograficznych. Kochasz swój kraj, naucz się jego języka albo się nie wychylaj. Powinien był milczeć. Ale już od tak dawna chciał się zmierzyć z Julienem, tym ciulem o manierach wiejskiego proboszcza. Pan naj. Najsprytniejszy, najbystrzejszy, największy prowokator. Loïc chciał pokazać Noëlowi, że się go nie boi. Zawsze taki był. Nienawidzi arogancji małych ważniaków. Lubi myśleć po swojemu, nie tak, jak się od niego wymaga. Umieścić piłkę tam, gdzie bramkarz się nie spodziewa. Taki ma styl.

Nie przewidział, że Noël wstanie, powoli, z wargami zaciśniętymi z wściekłości, i wskazującym palcem pokaże mu drzwi. Powiedział tylko: „Spadaj”. Nie wypił dużo, był opanowany. Ich przyjaźń trwała pięć lat. Loïc zainkasował cios z godnością. Obruszył się i wyszedł. W milczeniu. Z przyklejonym do ust grymasem rozbawienia, w stylu to wszystko mi zwiśa obaj jesteście głupkami. Ale kiedy Loïc już wyszedł, musiał przytrzymać się ściany, tak mocno to odczuł. Noël upokorzył go przy wszystkich. Potem się otrząsnął. Pomyślał, że przyjaciel też będzie tego żałował i podczas najbliższego meczu PSG, jak gdyby nigdy nic, znowu wyślą do siebie kilka cierpkich esemesów. To kolejna przewaga przyjaźni nad życiem w parze, nie ma psychologizujących dyskusji, nie ma rozliczeń. Przyjaźń dopuszcza również okresy oddalenia, milczenia, nie musi się urywać.

Ale Noël bez słowa wyjaśnienia usunął go z grona znajomych na Facebooku i Instagramie, zablokował go na Twitterze. Posunął się nawet do tego. Sprawa była poważna. I nie było drogi odwrotu. Po kilku tygodniach Loïc powiedział sobie raz kozie śmierć, zobacz, na co mnie stać. Zaczął oczerniać ich w internecie, gdzie popadło. Nie zmienił pseudonimu. Otwarta wojna. Zna Juliana. To plastikowy lider. Boi się stanąć do otwartej walki. Jednak ta zemsta jest marnym pocieszeniem w porównaniu ze smutkiem, jaki go przytłacza. Stale brakuje mu przyjaźni Noëla.

Na szczęście jest Xavier... Loïc cieszy się, że go poznał. To facet, któremu można zaufać. Przynajmniej ma z kim rozmawiać. Gdy kilka dni po znokautowaniu gościa na ulicy poznał tożsamość ofiary, długo to przeżywał. W latach osiemdziesiątych Xavier Fardin napisał scenariusz małego arcydzieła, *Mojej jedynej gwiazdy*, jednego z nielicznych francuskich filmów, które Loïc uważa za kultowe. Prawdziwy pech... Ale szczególnie poruszony poczuł się wówczas, gdy się dowiedział, że kloszardem, z którego powodu to wszystko się zaczęło, był Vernon Subutex, sprzedawca płyt z Rewolweru. Loïc go nie rozpoznał. Inaczej powiedziałby kolegom: zbieramy się stąd, zostawmy go w spokoju. Dobrze pamiętał ten sklep. Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych przybył do Paryża, często tam zaglądał. W Rewolwerze poznał Rica Maldorora, Patricka Eudeline'a, Géanta Verta, Rolanda i Schulza Parabellum, Alaina Picon, Thaï Luca, François Molodoïa i wielu innych. Subutex był w porzo. Miał otwartą głowę. Dziewczyny go lubiły, wiele ich kręciło się w sklepiku. Widział tam nawet Laurence Romance<sup>4</sup>. Pamięta też Cécile, fankę modsów, krótka fryzura w kwadrat, trencz khaki, która sprzedawała amfetaminę wyniesioną z pracy. Robiła leki na zamówienie aptek. Spędził z nią jedną noc, chodząc po Paryżu, mgła była wtedy tak gęsta, że widać było najwyżej na dwa metry. Dziewczyna miała zwidy: wyobraź sobie, że jesteśmy w Londynie w 1965 roku, od tygodnia jest mgła, a my idziemy zobaczyć Byrdsów i Spencer Davis Group w The 100 Club... W Rewolwerze spotykało się fajnych ludzi. Ale w tamtych czasach Loïc zachłysnął się hip-hopem, jak wielu młodych z przedmieść, którzy zaczęli od rocka. Chodził raczej do sklepu Fnac na Montparnassie.

Któregoś wieczoru Loïc postanowił zagrać w otwarte karty. Bez względu na konsekwencje. Był chuliganem, łobuzem, ale nie łajdakiem czy zdrajcą. Odnalazł Xaviera na Facebooku i wysłał mu wiadomość. Jak zawsze w internecie: pod własnym nazwiskiem. Tylko kaci i donosiciele muszą ukrywać tożsamość. Napisał Xavierowi: „To ja sprawiłem, że zapadłeś w śpiączkę, nie wiedziałem, kim jesteś, przykro mi z tego powodu”. To były przeprosiny poczciwego koleśka. Był ubzdryngolony, kiedy to napisał. Na trzeźwo nie zrobiłby takiego głupstwa, nie chce nawet myśleć, w co by się wpakował, gdyby gość był

przymułem i poszedł na komisariat... Ale Xavier to jednak facet, który pracuje w filmie. Loïc pytał go też, czy wie, co dzieje się z Subutexem. Nie chciał, by Vernon tułał się po ulicach. Ściągnięcie go do Garches, gdzie mieszka z Pénélope, nie byłoby łatwe. Jak większość lasek jest małostkowa i stoi na straży swoich mieszczańskich wygod. Pénélope lubi, gdy wszystko leży na swoim miejscu, jej kosmetyki, garnki i czasopisma. Ma swoje nawyki, nie lubi, gdy ktoś zakłóca jej domowy spokój, i nie wierzy w przyjaźń. Niełatwo byłoby ją przekonać, że muszą ulokować nieznajomego faceta na kanapie. Ale myśl o tym, że wszyscy zostawili Subutexa na lodzie, za bardzo go przygnębiała. Paryż, co za kurewskie miasto. Na prowincji coś takiego nie mogłoby się zdarzyć.

Xavier czekał dwa dni, zanim mu odpowiedział: „Wsadź sobie swoje przeprosiny w dupę. Myślisz, że będę rozmawiał z facetem, który włóczy się z jakąś bandą i napada bezdomnych?”. To była jego pierwsza krzepiąca wiadomość, zwięzła i zjadliwa. Ale godzinę później nie mógł się powstrzymać i zepsuł wrażenie wywołane tym tekstem, dodając: „Kiedyś się spotkamy. Masz to jak w banku”. Loïc miał ochotę mu odpowiedzieć: cioto, już raz wylądowałeś na macie, wylądujesz i drugi. Ale nie po to wysyłał przeprosiny, by zaraz potem znowu szukać zwady.

Docenił to, że obie odpowiedzi były bardzo krótkie. W internecie powyżej trzech linijek tylko bijesz pianę. Na tym polega przewaga Twittera. Trochę odczekał, potem wysłał kolejną wiadomość: „Dotarło. Zasłużyłem. Ale gdy się spotkamy, postawię ci piwo”. Xavier odpowiedział dopiero po tygodniu: „OK. Poleruję kij bejsbolowy”.

Spotkali się przed restauracją Mistral na placu du Châtelet. Loïc nie wiedział, czego ma się spodziewać. Mogliby pójść nad Sekwanę, trochę dalej, i załatwić sprawę. Ale byli na to za starzy. Xavier wybełkotał kilka nieprzyjemnych uwag, potem sobie odpuścił i stanęli przy barze. Loïc pojednawczo zacytował słowa Maradony „*la pelota no se mancha*”<sup>5</sup>, ale Xavier nie chwycił. Próbował się wytłumaczyć: mówił o kretyńskich pomysłach Juliena, żeby przejąć władzę, atakując kraj od jego dziury w dupie, czyli od najuboższych. W jaki sposób Julien zdominował innych. I jak do tego doszło, że wraz z kumplami czepili się wariatki, która śpi na dworze. Xavier zachichotał: „Trzeba przyznać, że z Olgą mieliście niezłą przeprawę. Ta babka niczego się nie boi, możesz mi wierzyć”. Przy trzecim piwie lody zostały przełamane. Xavier zaczął mu opowiadać, że nie ma mowy o tym, by miał pisać scenariusz drugiego filmu. Ma jaja w przeciwieństwie do francuskiego kina. Loïc się uśmiechał, mówił: facet, przecież to wiem, gdy w jakimś filmie pojawi się nowy model renault, z góry wiadomo, że będą przynudzać. Co do pewnych spraw rozumieli się bez słów. Cygańscy tancerze występujący w Teatrze Miejskim przyszli do baru coś zjeść. Odańczyli flamenco z dwoma arabskimi



kelnerami, francuski szef za kontuarem uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru i atmosfera nagle się ożywiła. To była dziecinada, ale coś się zaczęło dziać. Loïc poczuł ulgę, że może pogadać z facetem, który jest w stanie patrzeć na dokazujących arabusów i Romów, nie wspominając od razu o królu Ludwiku Świątym i wyprawach krzyżowych. Xavier nie musiał niczego udowadniać. W tej kwestii byli do siebie podobni: jeśli mieli ochotę powiedzieć coś na temat Żydów czy arabusów, nie krępowali się. Ale to nie był przymus, mogli porozmawiać też o czymś innym. I to mu sprawiało przyjemność. Skończyli o czwartej nad ranem, oparli łokciami o sfinksa w fontannie na placu du Châtelet. Wiedzieli, że będą mieli okropnego kaca, ale toczyli zawziętą dyskusję, z której nazajutrz niewiele będą pamiętali, pozostanie tylko mgliste uczucie, że się z sobą zgadzali, że się rozumieli. Loïc opowiedział w szczegółach o tym, jak Noël go zdradził. Xavier mówił o stanie śpiączki.

„Omal nie wykorkowałem. Gdy odzyskałem przytomność, zdałem sobie sprawę, że gdyby ktoś mi powiedział, że zostałem mi tylko tydzień, nie wiem, jak bym go przeżył. Chciałbym być z córką, zgoda. Ale co bym z nią robił? Co jest naprawdę ważne? Nie mam bladego pojęcia. To wytrąciło mnie z równowagi. Chyba najważniejsze byłoby to zrozumieć, nie?”

Odtąd gdy Loïc wcześniej kończy pracę, jedzie do parku, by wypić piwo z Xavierem. Zawsze tam jest. Nie całkiem doszedł do siebie po ciosie Loïca. Nie skarży się. Ale trochę świruje. Trzyma się blisko Vernona Subutexa. Wszyscy ci ludzie razem wyglądają dziwnie. Flower Power na maksa. Słuchają muzyki zama w superdrogich słuchawkach, gdy Loïc się tam zjawia, przeciera oczy ze zdziwienia. To nie jest w jego guście. Zwykle chodzą z Xavierem na piwo do baru przed merostwem. Kiedy go pyta, co robi z tą zgrają porąbanych hipisów, Xavier wzrusza ramionami: „Byłem na dnie. Wszyscy mówimy »mam gdzieś opinię innych«, tyle że tę opinię nosimy w sobie, trudność polega na tym, by wyrzucić ją z własnej piersi. I kiedy zobaczyłem, że Vernon tego dokonał, poczułem się wyzwolony. Przestałem się ludzić, że jestem bohaterem. Porzuciłem myśl o zwycięstwie. Przestało mnie to dręczyć. Myślę, że się naprawdę zmieniłem”. Loïc od razu zaczyna mówić o czymś innym. Odkryli, że obaj lubią Vince’a Taylora. To nie to samo co Maradona, ale otwiera pewne perspektywy.

Pod koniec dnia bierze swój tygodniowy rozkład zajęć i zmierza prosto do mieszkania Xaviera, który pod nieobecność żony zaproponował mu wspólne spędzenie wieczoru. Loïc nie zna Marie-Ange, ale z tego, co słyszał, to wyjątkowo upierdliwa laska. Nie zniósłby takiej kobiety.

Pénélope jest całkiem spoko. Nie ma się co skarżyć. Ale nie jest piękną. Nie wychodzisz z nią z domu, wypinając pierś. Zbyttno się nie wysiła, żeby mu się podobać. Nie

przynosi mu także wstydu. Ale nie jest zadbaną laską, która maluje paznokcie na czerwono, stroi się i spędza całe dnie u Zary, szukając drobnych dodatków, które by pasowały, lub u fryzjera, by podkreślić swoją kobiecość. Nie jest żadną gurlaską, ale Loïc ma to gdzieś. To dziunia z przedmieścia, może się ubrać jak facet i nie rozumie, dlaczego go to wkurza. Jest szczupła, to już coś. I nigdy publicznie nie wygaduje głupot, nie opowiada o swoim życiu byle komu i ma całkiem znośne poczucie humoru. Lubi, gdy Loïc zostaje czasem na noc w Paryżu. Kiedy ma całe mieszkanie do dyspozycji, zaprasza koleżanki na ploty w piżamach.

\*

Xavier, ze swoim śmiesznym psem u boku, próbuje nieporadnie uruchomić nową maszynkę do kawy.

– Stara była świetna. Miała osiem lat i działała bez zarzutu. Czyściłem ją z osadu, pucowałem. Kiedyś doszło do spięcia i przepalił się włącznik, więc zostawialiśmy ją włączoną przez cały czas i wszystko było dobrze. Potem była przerwa w dostawie prądu, próbowałem ją uruchomić, wcisnąłem guzik za mocno i się zablokował. Nie można tego naprawić. Dasz wiarę? Byłem we wszystkich serwisach w naszej okolicy: minimum pięćdziesiąt euro. Nowa kosztuje siedemdziesiąt. Matka Marie-Ange od razu kupiła nam inną maszynkę. Nie cierpię wyrzucać rzeczy, które mogłyby jeszcze służyć. Można oszaleć. Nie da się żyć w świecie, gdzie przedmioty produkuje się tak, żeby je jak najszybciej wymienić.

– Nie poddawaj się. Pij kawę rozpuszczalną.

– Co powiesz na wypad do Rosy, trochę później, wieczorem? Subutex puszcza muzykę. Będzie Pamela Kant.

– Już miałem powiedzieć, że niezbyt mi się to widzi, ale skoro będzie Pamela, zbieraj się, idziemy.

Dotąd nie miał szczęścia, gdy szedł do parku, Pameli tam nie było. Męczy go, że nie może wysłać esemesa do Noëla, by mu powiedzieć, że wypije z nią drinka. To jedna z ich wielkich gwiazd. Z powodu długich nóg i dlatego, że chyba naprawdę lubi te rzeczy. O, kurwa, gdyby Noël o tym wiedział, pewnie pękłby z zazdrości...

Xavier parska śmiechem:

– Wiedziałem, że to będzie decydujący argument. Ale powtarzam: poza planem nie ma w sobie nic z wyuzdanej suki.

– Nigdy nic nie wiadomo. Tylko pomyśl, chwila zapomnienia i ni stąd, ni zowąd wszystkim robi laskę.

---

1 L'Œuvre française – nacjonalistyczny ruch skrajnej prawicy, założony w 1968 roku przez Pierre'a Sidos, 23 lipca 2013 rozwiązany dekretem ministerialnym jako organizacja ksenofobiczna i rasistowska.

2 Les Jeunesses nationalistes – młodzieżówka L'Œuvre française, również rozwiązana w lipcu 2013 roku.

3 Caroline Fourest – francuska feministka walcząca o prawa dla homoseksualistów i laickość państwa, występująca przeciwko religijnemu integryzmowi.

4 Laurence Romance – w latach 1993–1998 prezenterka muzyczna w stacji telewizyjnej M6.

5 Piłka nie plami.

W dali rozlegają się radosne okrzyki i klaksony – to jakiś ślub w merostwie. Żeby dotrzeć do torów, trzeba zejść po najbardziej urwistym zboczu, przytrzymując się kamiennych bloków, którymi jest usiane. Trawa jest przeredzona, to najmniej uczęszczana część parku. Ktoś wypisał swoje imię sprayem na korze drzewa. Zszedłszy na dół, Hiena mija walające się deski, materace, kraty, krzesła i rozrzucone bezładne zabawki. Widzi Vernona rozpartego na bordowej wersalce, która stoi na gruzowisku. Ruchem podbródka wskazuje jej małego gryzonia podobnego do szczura, który ma ogon wiewiórki, biały jak reszta ciała.

– Jak myślisz, co to takiego?

– To chyba krzyżówka dwóch zwierząt, które nigdy nie powinny się były spotkać, a jednak kopulowały z sobą.

– Wygląda dziwnie. Jest tutaj od rana.

Vernon próbuje podłączyć samochodowy akumulator do wzmacniacza, który znalazł na chodniku. Uśmiecha się dobrodusznie. Nadal jest nieobecny. Jakby miał nieustanne ataki padaczki i łagodnie, w zwolnionym tempie odrywał się od rzeczywistości. Wygląda to tak, jakby na chwilę tracił przytomność, ale nie cierpi i nie dostaje drgawek, jest rozpromieniony. Potem wraca do siebie i nic nie wydaje się go niepokoić. Ma brudne ciuchy, ale pachnie przyjemnie. Trzydniowy zarost podkreśla szary kolor oczu. Facet jest nawiedzony, przyciąga do siebie ludzi jak magnes.

– Coś się stało wczoraj wieczorem? – pyta.

– Ktoś ci o tym mówił?

– Charles widział biegnących ludzi. Aichę, Céleste i innych, których nie zna... A Olga widziała ciebie, ale do nas nie przyszłaś... Wszystko w porządku?

– Puszczasz dzisiaj muzykę w Rosie?

– Tak.

– Zapewne zobaczymy się tam po raz ostatni. Doszło do niezłej burdy...

– Nie można zabronić ludziom robienia rzeczy, które powinni zrobić.

– Chyba już koniec wakacji... Co byś zrobił, gdyby ludzie przestali przychodzić do parku?

– Zastanowiłbym się. Nie umiem przewidywać.

– Zauważyłam. Chcesz, abyśmy cię ulokowali u kogoś, kto by się tobą zajął?

– W żadnym wypadku. Możesz mi powiedzieć, co ukrywacie przede mną od tygodni?

– Niczego nie ukrywamy. Po prostu staraliśmy się być dyskretni.

Pamela i Daniel wpadli na ten pomysł. Zainspirowały ich Boliwijki, które przez dziesięć dni przebywały w Paryżu. Namówili pięć dziewczyn, które znały Satanę, i zapytali Aiche, czy chce wziąć w tym udział. Gdy mała zdała sobie sprawę, że będzie działała do spółki z kurwami, chciała się wycofać, ale gdy do niej dotarło, że są gotowe na wszystko, żeby pomścić jej matkę, podeszła do tego bardziej pragmatycznie. Poszła na ustępstwa. Hiena stała się ich zakulisowym doradcą. Ścisłe stosowały się do jej wskazówek. Zapamiętywały trasy, którymi miały się poruszać, z dokładnością do jednego metra, żeby uniknąć kamer, na umówiony znak zmieniały ubrania, wciągały kominiarki na głowy, jakby nic innego nie robiły przez całe życie. Hiena radziła im trenować bieganie, żeby po akcji mogły się szybko rozproszyć, i odtąd każdego ranka spotykały się w parku. Ćwiczyły pod okiem pewnej laski, na którą natrafiły przy stacji Stalingrad, miała ciało pokryte buddyjskimi tatuażami, talent do sztuk walki i była niezrównana, gdy chodzi o robienie pompek. Świetnie kierowało się taką grupą. Hiena nigdy nie chciała być szefem ekipy, ale tym razem naprawdę było warto: nikt się nie wychylał, żadna nie wspomniała słowem o szykowanej akcji, nie było zbędnych pytań i co jeszcze rzadsze, żadna z nich nie miała przerośniętego ego, mogącego naruszyć równowagę w grupie. To były superlaski gotowe do akcji. Potraktowała swoją rolę serio. Zauważyła, że Aïcha lubi adrenalinę. Nie była tym szczególnie zdziwiona. A następstwa łatwo było przewidzieć.

Kiedy Anaïs powiedziała jej, że została wyrzucona z pracy, Hiena od razu udała się do Dopaleta, by sprawdzić, czy czegoś nie podejrzewa. Miał do niej pełne zaufanie. Przyjął ją skwapliwie, jak zwykle. O niczym nie wiedział. Rozstała się z nim uspokojona: nie spostrzegł, że coś ją łączy z Anaïs, i nie żywił wobec Hieny żadnych podejrzeń. Wtedy Gaëlle zadzwoniła do niej z Rosy Bonheur i Hiena zrozumiała, że zabrakło jej przytomności umysłu: nie powinna była zostawiać Anaïs z wredną suką w rodzaju Gaëlle.

Hiena zdołała zrekonstruować przebieg zdarzeń. Antoine wszedł do Rosy, zaczął nalegać, że musi porozmawiać z Aïchą w cztery oczy, i Anaïs wyszła, żeby zapalić fajkę. Patrzyła na jezioro, z góry, i ujrzała w dali dwie szamoczące się z sobą sylwetki. Antoine przemawiał, szeroko rozkładając ramiona, pospiesznie coś wyjaśniał, a Aïcha nagle chwyciła go za szyję. Zaczął się więc jak piskorz i Anaïs zaczęła biegać po parku, krzycząc do przechodniów, że potrzebuje pomocy, lecz nikt nie zareagował. Kiedy dotarła na wiszący most, Aïcha próbowała zrzucić Antoine'a w otchłań, chwycił się kurczowo metalowych prętów. Céleste starała się mu pomóc, ale zneutralizowanie tej małej brutalki nie było rzeczą łatwą. Anaïs wmieszała się w to wszystko i w powstałym zamęciu słychać było tylko trzask rozdzieranych

T-shirtów i niezdarnie zadawanych ciosów. W końcu wbiła zęby w ramię Aïchy i zaciskała je tak długo, aż usłyszała wrzask bólu. Antoine ostatecznie uwolnił się z uścisku, stał na środku mostka i krzyczał:

– Mogła mnie pani zabić! Przecież mówiłem, że nie chcę wam zaszkodzić!

– Zjeżdżaj stąd! Nie chcę, żebyś stawał po mojej stronie! Chcę, żebyś zdechł, nie chcę, żebyś mnie wspierał! Ten głupek już od godziny zanudza mnie swoją gadką. Zabiję go.

Céleste nagle wybuchła.

– Zrzucisz go z kładki i co dalej? Co na tym zyskasz?

– Dopalet na nic innego nie zasługuje. Niech zobaczy, jak jego synalek wali głową o glebę.

– Myślisz, że będzie cierpiał z powodu śmierci syna? Chyba śnisz. Włoży piękny garnitur, będzie płakał na pokaz, skorzysta z okazji, by zrobić z siebie ofiarę, i na tym się skończy. Zastanów się chwilę.

Anaïs zdołała odciągnąć Aïchę na bok. Dziewczyna wciąż się trzęsła z wściekłości. Antoine, stojąc na moście, prowadził ożywioną rozmowę z Céleste i trzeba było zdecydowanym gestem ją przywołać, aby tatuażystka zajęła się kumpelką.

– Powinnaś ją natychmiast zawieźć do szpitala. Lekarz musi ją zbadać. Nie pozwól jej stąd odejść.

I ładna brunetka przyrzekła, że tak zrobi. Anaïs oddaliła się z synem Dopaleta. Mimo tego, co mu się przydarzyło, dość szybko doszedł do siebie. Chłopak jest odporniejszy, niż się wydawało. Nie chciał składać skargi. Wolał się napić piwa.

Hiena widziała, jak razem wchodzi do Rosy Bonheur. Zaczekała, aż Antoine pójdzie do toalety, by dać znak Anaïs. Wyciągnęła ją na zewnątrz i spytała, co się wydarzyło, potem powiedziała:

– Przez jakiś czas nie będziemy się widywać.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, dziewczyna odwróciła się do niej plecami. Hiena pomyślała, że może za kilka miesięcy. Ale sytuacja zaczynała się komplikować i Anaïs zrobiłaby najlepiej, gdyby zajęła się czymś innym. Po czym Hiena wróciła do Dopaleta. Nie odpowiadał na jej esemesy. To było do niego niepodobne. Stała przed jego drzwiami, ale nie mogła wejść, nie miała kodu do prywatnej windy. Zawsze jej otwierał. Poszukała budki telefonicznej. Chciała zadzwonić do Aïchy. Ani przez chwilę nie wierzyła, że Céleste pojedzie z nią do lekarza. To nie było w stylu tych gęsi. Nie spodziewała się jednak, że pojedą prosto do domu producenta. Wysłuchała trzech sygnałów, odłożyła słuchawkę, potem znów zadzwoniła. Aïcha odebrała. Słyszając ton jej głosu, Hiena natychmiast odgadła, co się dzieje.

– Jesteś u niego w domu? – W tle było słycać cichy warkot silnika. Czyżby ta kretyńka goliła mu głowę? – Jestem na dole. Jadę do was. Nie będę dzwoniła. Stań obok wideofonu. Możesz to zrobić? Nie odzywaj się słowem, gdy wejdem do środka.

Głos Aïchy w słuchawce był dziwnie spokojny, jakby była znudzona.

Wpuściła ją do windy. Za jej plecami, w kuchni, związany Dopalet siedział na krześle twarzą do oparcia. Miał zawiązane oczy. Najpierw pomyślała, że wymierzyły mu chłostę. Potem do niej dotarło. Druga dziumdzia robiła mu tatuaż. Idiotki. Omal nie parsknęła śmiechem. „GWAŁCICIEL”. Céleste działała teraz drugie słowo: „MORDERCA”, zostały jej jeszcze cztery litery. Hiena zaprowadziła Aïchę do pokoju i powiedziała do niej szeptem:

– Teraz zjadę na dół. Nie chcę, by wiedział, że tu bylam. Zadzwońię do drzwi, a wy spanikujecie i znikniecie biegiem. Spotkamy się na dole.

Aïcha wydawała się akceptować ten plan, ale nie zgadzała się na taki pośpiech.

– Daj nam pół godziny, Céleste musi jeszcze wytatuować mu na lędźwiach „ZAPŁACISZ ZA TO”.

Spojrzały na siebie bez słowa i mała zaczęła negocjować z Hieną.

– Daj jej dziesięć minut, niech skończy słowo „MORDERCA”.

\*

Dziewczyny w końcu do niej dołączyły. Zasługiwały na baty albo słowa uznania, tak były z siebie zadowolone i wyluzowane.

– Antoine dał nam kody i od razu przyjechałyśmy tutaj. Trzeba było działać.

– Mój ojciec jest gliniarzem. Wiem, że to, co zrobiłyśmy, to poważna sprawa.

\*

Hiena poczuła w piersi lekką detonację, to uczucie nie było jej obce, dyskretne kliknięcie, jakby pociągnęła za sznurek i cały motek zaczął się rozwijać. Martwiła się o dziewczyny, były zbyt młode, by zdać sobie sprawę, że właśnie odmieniły bieg swojego życia i życia ludzi ze swego otoczenia. Albo dokładniej: zbyt niedoświadczone, by zrozumieć, że tego pożąają. Jeszcze nie wiedziała, jak Dopalet to zrobi, lecz była pewna, że zemści się za tę napaść. A ze wszystkich środków, jakimi dysponował, wymiar sprawiedliwości nie był największym zagrożeniem. Aïcha powiedziała:

– Nie rób takiej miny, jakbym to ja zawiniła. Moja reakcja i tak była umiarkowana.

– Panienci, natychmiast pakujecie torby i jeszcze tej nocy znikacie bez śladu...

– Antoine nic nie powie.

– I co z tego? Myślisz, że Dopalet zostawi cię w spokoju? Za dwie godziny spotykamy się na stacji Nation.

\*

Potem producent zadzwonił do niej, prosząc o pomoc. Był bliski omdlenia. Pomogła mu zdezynfekować rany. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Hiena nafaszerowała go bromazepamem, jak należało się spodziewać w wypadku faceta, który nadużywa koki, miał tego pełno w szafie. Zdąży ewakuować dziewczyny. Potem zostanie jej kilka dni, najwyżej tydzień, nim Dopalet uświadomi sobie, że go przechytrzyła. Nie była na tyle ostrożna, by się nie zorientował. Syn nie zacznie od razu mówić. Anaïs się z nim nie zobaczy. Rozważała wszystkie ewentualności, nakładając na zakrwawiony tatuaż przezroczystą folię, żeby zapobiec infekcji, pocieszając go i obiecując zemstę.

Dziewczyny wyjechały nocą, zgodnie z planem. Żadna nie uroniła łzy. Były twarde i zdecydowane. Dla Sélima to było znacznie trudniejsze. Patrzył na córkę bez słowa. Próbował zrozumieć, jak do tego doszło. Pomyślał, że mogło być jeszcze gorzej. Ale to była niewielka pociecha.

\*

Opowiada to wszystko Vernonowi, gdy idą, żeby dołączyć do reszty, nad strumieniem. To dzień bez deszczu. Naprawdę słoneczny. Na trawniku Daniel bawi się piłką z pudłem Filutem. Jakaś dziewczyna krzyczy: „Napnij udo, mocno, i uderz z biodra, nie z kolana!”, potem kręci głową, zawiedziona: „Nigdy nie grałeś w piłkę, kiedy byłeś mały?”. Olga częstuje Sylvie chipsami z octem, ale ta odmawia. „Sex Pistols to grupa feministyczna. Posłuchaj tekstu *Bodies*”. Xavier jest pewny swego. Laurent leży na trawie, słucha w słuchawkach fal alfa Alexa. Poszukiwanie doskonałego dźwięku stało się obsesją Sylvie. Co pięć dni przynosi kolejną próbkę. Raz lżejszą, raz mocniejszą, w której infrabasy są bardziej precyzyjne. Charles patrzy na nią z drwiącym uśmiechem, ale jest nią wyraźnie oczarowany. Patrick usiadł obok turystycznej lodówki z piwem. Znalazł sobie składane krzeselko, jakie widuje się na plaży. Emilie mówi mu, że trzeba zażywać melatoninę, kiedy się pali trawę, i witaminę C. Słucha, ale bez przekonania. Sylvie wtrąca się do rozmowy: „Ćpanie to sport małolatów. Wszystko zależy od tego, jak szybko regenerujesz siły. To dlatego młodzi mogą brać, co chcą. Odrabiają wszystko w ciągu jednej nocy i są kreatywni już następnego ranka. W naszym wieku potrzebujemy znacznie dłuższej przerwy”. Pamela kiwa głową: „W waszym wieku wszystko



staje się trudne”, Patrice wybuchła śmiechem: „Przygotuj się, wkrótce to będzie także twój problem”.

– Zgoda, to lesba. Ale dlaczego nie może się uśmiechnąć? Usuną je ze wspólnoty, jeżeli będą miłe? Gdzie się podziała ta ładna kelnerka?

– Céleste? Podobno się zwolniła, z dnia na dzień. Gaëlle jest cool, ale należy ją zrozumieć. Wkurza się, że w tym wieku pracuje jako kelnerka.

– Obiecałeś mi, że zobaczymy Pamelę Kant, a tymczasem panoszy się tu jakaś lesbijka. Jestem zawiedziony.

– Wyluzuj, przyjdzie. Gdybyś tak nie pędził, nie byłibyśmy tu pierwsi.

Loïc ma obsesję na punkcie pornosów. Jeśli miałby być szczerzy, woli przetrzepać kapucyna, siedząc przed ekranem, niż robić to ze swoją laską. I wcale nie jest to wina Pénélope, z każdą inną dziewczyną byłoby tak samo. Nigdy nie są tak podniecające jak te, które ogląda się w pornofilmach. Kiedy to robi, tak naprawdę nie przestaje myśleć o pornograficznych scenach. Bodziec jest zbyt skuteczny, nie da się z tym konkurować. To prawdziwe suki, mają ładne tyłki, wszystko widać jak na dłoni i nie czuje się żadnego zapachu. Tak dobrze zna filmografię Pameli Kant, że cieszy się jak dziecko na myśl, że ją wkrótce pozna.

Bar się zapęlnia. Loïc rozpoznaje wiele twarzy. Ale nikt nie mówi mu dzień dobry. Ma przyklejoną etykietkę. To faszol, który uderzył pięścią Xaviera. Spuszcza wzrok. Tak czy owak za nimi nie przepada. Towarzystwo wzajemnej adoracji, które garnie się do bezdomnego faceta i zachwyca się jego miksami. To mu działa mu na nerwy.

Xavier dyskutuje z Emilie scenicznym szeptem. Emilie unika Loïca. Duma lewaczka. Sfrustrowana cipa, która patrzy na niego z góry. Loïc żałuje, że nie wzięli z sobą psa, przynajmniej miałby się czym zająć. Ale za bardzo padało, by mógł im towarzyszyć. Nie chcieli brać parasoli, żeby nie wyjść na głupków. Biegli w kapturach na głowach całą drogę. Xavier odzyskał formę. Niełatwo było dotrzymać mu kroku. Męska duma, żaden z nich nie chciał zwolnić. Omal nie dostali zadyszki.

Piwo jest horrendalnie drogie, niezbyt szybko zamawia drugie. Xavier ma to w nosie, jego laska jest dziana. Loïc nie mówi Pénélope, ile przepuszcza kasy, gdy wychodzi. Za forszę, którą wydaje na browar w tym barze, mógłby szybko sprezentować jej iPada, o którym wечно mówi, bo jej koleżanki grają online w gry, których ona nie ma w swym starym telefonie. Żałuje, że tu przyszedł. Myślał, że spędzi wieczór sam na sam z Xavierem, w mieszkaniu, przyniósł z sobą sześciopak. A teraz siedzi w tym smętnym barze, zerkając

w stronę drzwi, bo mu powiedziano, że będzie tu Pamela Kant, ale to jakieś bzdury. Co miałyby robić z tą zgrają nieudaczników?

Nie czuje się tu swobodnie. Brakuje mu towarzystwa Noëla. I innych. Szykują manifestację. Będzie niezła zadyma. Jednak tym razem bez niego. Kolejna grupa, z którą się poróżnił. Jednak jest przygłupem. Gdy coś mu odpowiada, musi zrobić coś, żeby się z tego wyłączyć. I sam sobie szkodzi. Zawsze tak było. To silniejsze od niego. Wyobraża sobie minę Noëla, gdyby go zobaczył z pustą szklaneczką w tym barze spedalonych hipisów słuchających marnego techno. Na wiele rzeczy musi przymykać oko, żeby nie czuć agresji. Jest tutaj nikim. Szuka towarzystwa ludzi jak kundel, który chce, by go ktoś pogłaskał. Za wszelką cenę. Oto kim się stał. I znowu się to zaczyna. Brakuje mu jego najlepszego kumpla.

Właśnie wtedy do baru wchodzi Pamela. Loïc prawie nie zauważa Subutexa, który jej towarzyszy. Wszystko zbliża się jednocześnie i Loïc doznaje prawdziwego wstrząsu. Jej piersi tyłek biodra kostki nóg włosy oczy a nawet ramiona wywołują wzwód – już sam nie wie, jak na nią patrzeć, nie ma w niej niczego, co nie byłoby seksualnie bulwersujące. Xavier przygląda mu się z uśmiechem. Loïc stara się nad sobą zapanować. Cieszy się, że bar jest pogrążony w półmroku. Ma rumieńce na twarzy.

Pamela ma na sobie luźny czarny sweter, z dość wyraźnym dekoltem, by wyeksponować obojczyki, które wystają i powodują zamęt w jego głowie. Niewykluczone, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką widział z bliska. Tuż za nią drepcze jakiś mały facio, zapewne kolejny pedałek, ma delikatne rysy, jest bardzo przystojny. Loïc ma wrażenie, że gdzieś go już widział. Nie może sobie przypomnieć gdzie. Loïc nie lubi pedałów, rzadko zwraca uwagę na urodę mężczyzn, ale ten go zdumiewa.

Pamela Kant przyszła w tak obcisłych dżinsach, że równie dobrze mogłaby być naga, i botkach na niskim obcasie sięgających powyżej kostki. Jej uda są zarazem szczupłe i mocne, przyprawiają o zawrót głowy. Nie związała włosów. W filmach ma zbyt ostry makijaż i nigdy nie jest tak ciepło ubrana. Ale w tych ciuchach jest jej do twarzy. Czego by nie dał, żeby mieć taką laskę... Choć raz. Jeden jedyny. W jego łóżku. Nawet nie po to, żeby pokazać ją kumplom. Chciałby ją mieć tylko dla siebie. Wtedy tak, nie musiałby myśleć o scenach z filmów porno, które obejrzał w dzień wcześniej. Pornos byłby prawdziwym życiem.

Nigdy nie miał problemów z wrywaniem dziewczyn, ale nie były najwyższych lotów. Raczej przeciętne. Jak wyhaczyć taką damę jak ona? Co robić, gdy zrzuci łaszki? Jak zapomnieć, że jesteś zerem, będąc z taką maszyną?

Jak to się stało, że zadaje się z Subutexem? Śpi z nim? Gość ma niebieskie oczy. Jest wysoki. Ale poza tym... Jest dla niego miła, ale nie dla pieniędzy. Facet jest bezdomny...

Dlaczego przychodzi go słuchać, kiedy puszcza płyty?

Subutex go rozpoznał i uważnie mu się przygląda, tak jak to potrafi, od kiedy obwołano go miniguru dziewiętnastej dzielnicy. Tego wieczoru jest schludniejszy niż zwykle i zmienił fryzurę. Nie wygląda na totalnego abnegata jak zazwyczaj. Ale Loïc nie jest w nastroju, by słuchać objawień tego nawiedzonego gostka. Zawsze gdy się do ciebie zwraca, masz wrażenie, że chce cię pocałować. To niepokojące. Mówi: „Jak leci, Loïc?”, wpatrując się w niego, jak gdyby chciał powiedzieć: widzę dno twego serca i cierpię z twojego powodu.

– W porządku, w porządku. Piję sobie piwko. Przyszedłem cię posłuchać. Podobno dziś miksujesz?

Ma ochotę mu powiedzieć: jeśli chcesz mi zrobić przyjemność, przedstaw mi swoją kumpelkę i powiedz jej, by była dla mnie miła. To by mi poprawiło nastrój. Ale Subutex siada obok niego. Trochę za blisko, jak na gust Loïca. I wtedy wydarza się coś, czego się nie spodziewał: Pamela Kant zmierza prosto do ich stolika, posyła mu piękny uśmiech, naturalny, w stylu nie mam pojęcia, jak działam na chłopców, i pyta: „Co pan pije?”, jakby się znali od dawna. Odchodzi, kołysząc biodrami jak bogini, a Loïc ma ochotę serdecznie uścisnąć swojego nowego kumpla. Wreszcie rozumie, dlaczego wszyscy lubią Subutexa. Pyta z uśmiechem:

– A co u ciebie, Vernon?

Ale ten, zamiast normalnie coś mu odpowiedzieć, chwyta go za kark. Gest jest delikatny, powolny, Loïc się usztywnia, ale nie śmie zareagować gwałtownie. Kurwa, właśnie w momencie, gdy zaczął się rozluźniać. Vernon zbliża czoło do jego czoła, zamyka oczy. Nie trwa to na tyle długo, by Loïc miał czas się zirytować, ale groteskowość tej sytuacji go paraliżuje. Potem ten kretyn zwalnia uścisk i patrzy na niego z miną smutną i ujmującą zarazem. W porządku, ludzie wokół przywykli do tego, że facet robi dziwne rzeczy, nikt nie zwraca na nich uwagi. Pamela wraca, niesie trzy piwa, Loïc wstaje, żeby jej pomóc. A ona puszcza do niego oczko, żeby mu podziękować. Loïc słyszy swe własne słowa:

– Dobry wieczór, mam na imię Loïc.

To wyszło z niego samo, niespodziewanie. Zachował się jak kretyn. Wyszedł na niezgułę.

– Wiem, słyszałam o tobie.

– Raczej nie mam tu dobrej reputacji.

Za każdym razem, kiedy otwiera usta, mówi coś głupiego, i to drżącym głosem. Światło nieco przygasa. Impreza zaraz się zacznie. Pamela pochyla się w jego stronę, jakby półmrok sprawiał, że musi mówić ciszej. Loïc przełyka ślinę i sterczy jak kołek. Ona mówi:

– Mam kwity na każdego. Kiedy otworzę donżon sado-maso, wyślę ci wezwanie.

Dostaniesz zniżkę, spuszcze ci porządne lanie, na które zasługujesz za wszystkie kosmate myśli.

Oszalała, że mówi do niego w ten sposób, mimo że robi to żartobliwym tonem. Podrywa go. Xavier twierdzi, że Pamela na ogół nie mówi niczego sensownego. Ale jego od razu wkręca. Loïc intensywnie myśli o Lino Venturze, wyobraża go sobie w tej sytuacji i stara się go naśladować. Zmusza się do uśmiechu, ale na pewno widać, jak bardzo jest spięty, bo bołą go policzki.

– Nie lubię dostawać lania, wolę je spuszczać.

Zdołał odpowiedzieć Pameli Kant niemal natychmiast, swobodnym tonem. Nie daje tego po sobie poznać, ale w jego wnętrzu jakiś mini-Loïc triumfuje i tańczy, uderzając się w pierś.

Pamela uśmiecha się i mówi:

– Więc się pomyliłam. Albo nie znasz dobrze samego siebie.

Dziwka. Jest zadowolony, że nie musi wstawać. Pamela porusza dłonią, dodając, że podczas lania najważniejszy jest sposób, w jaki się uderza. Nie śmie jej powiedzieć, kiedy cię już dosiędę, ślicznotko, przestaniesz nawijać mi o jakimś laniu. Nie może uwierzyć, że rozmawia z Pamelą Kant o bezceństwach. I że Noël nigdy się o tym nie dowie.

Subutex puszcza *Magic Bus* grupy The Who, a Loïc czuje, że do gardła podchodzi mu fala gorąca. Uwielbia ten kawałek. Nigdy by nie pomyślał, że Vernon zacznie swoją playlistę od niego. Genialne. Nie jest jakimś pieprzonym loserem, który spędza żalosny wieczór z kumplami w tanim barze, jest gościem, który rozśmiesza Pamelę Kant w lokalu, gdzie leci dobra muzyka, jest odpowiedni poziom, i dostrzega, że wokół niego wielu ludzi pali. Zapala papierosa. Jaka to przyjemność móc zapalić w barze. Pierwszy przyjemny wieczór od niepamiętnych czasów. Gdy Subutex zaraz potem puszcza Eddie'ego Cochрана, myśli: jeśli nadal będziesz grał taką muzykę, zobaczysz, że podejdę do ciebie i cię ucałuję. Jakby wybierał płyty specjalnie dla niego, skrojone na miarę.

\*

Potem tańczy. Prawdziwi faceci nie tańczą, a już na pewno nie on. Nie lubi robić z siebie widowiska. Kiedy był młody i nikt go nie widział, czasami nerwowo podskakiwał w miejscu, słuchając The Meteors albo The Vibes. Ale na koncertach zawsze stał bez ruchu, wyprostowany. W sposób godny, a jakże. Czarni mogą sobie na to pozwolić, to normalne, ale nie on. Między ruchem a jego ciałem jest jakiś nieprzekraczalny mur. Ale tej nocy tańczy. Mrok mu w tym pomaga. Teraz wyłączyli niemal wszystkie światła. Tańczy do numeru Davida Bowie. „*We could be heroes, just for one day*”. Nie może w to uwierzyć. I tańczy

z Pamelą Kant. Nie miał takiego zamiaru, nie miał czasu, by zadać sobie pytanie, jak się do tego zabierze. Pamela porusza się wolno, jakby była pod wodą. Podnosi oczy i kołysze biodrami, patrząc na niego. A on, zamiast paść jak długi czy rzucić się na nią i natychmiast ją pojąć, tańczy. Może wrzuciła mu coś do piwa. Bardzo dobrze zrobiła. Przystojny pedałek też jest na parkiecie. Znają się. Jest tego pewien. Kolebie się na boki jak młody bóg. Jak laska. I Loïc nie przejmuje się tym, że podoba mu się, jak ten chłopak tańczy. Lesba, która podawała piwo, jakby robiła łaskę, weszła na stół. Nawet go to nie drażni. Ma rację, że daje czadu. Przyjemnie jest patrzeć, kiedy tak szaleje. James Brown. *The Payback*. A Loïc jest wśród innych. Tańczy. Nigdy tego nie robił. A przecież nasłuchiwał się funka w czasach, gdy wszyscy słuchali *Get Busy*. Xavier też podryguje. Nie czuje tej muzyki, to widać, ale jest w transie. Muzyka wniknęła w ich kości, unosi im łokcie, porusza biodrami. Jego ciało się temu poddaje. Już od wielu godzin. Vernon stoi w swym kącie, w zielonej poświacie, patrzy na nich spod wpeł przymkniętych powiek, z nieznacznym uśmiechem przyklejonym do warg. Zmienił się w sfinksa.

\*

Jest bardzo późno, kiedy Xavier mówi:

– Muszę wracać, nie chcę zostawiać psa samego na całą noc. Zostajesz i zadzwonisz, kiedy będziesz pod domem?

– Idziemy razem.

Czuje pewną ulgę, że ktoś wyrywa go z tego szaleństwa. Zaczynają go boleć nogi. Jutro będzie miał zakwasy. Dzień będzie ciężki.

Bramy parku są zamknięte, przechodzą przez małą furtkę i idą szybkim krokiem w deszczu. Loïc lubi puste ulice, zapach mokrego asfaltu, pomarańczowe światła. Śmieje się z tego, co mu się przydarzyło.

– Przysięgam ci, że nie tańczę. To nie w moim stylu.

– Ani w moim – odpowiada Xavier i idą dalej, o niczym nie rozmawiając.

Potem, zanim pójdą spać, otwierają ostatnie piwo. Loïc szpera w kolekcji płyt CD. Teraz on jest didżejem, Gorilla Biscuits, Agnostic Front, Sick of It All. Tego także dawno nie słyszał. Bierze Filuta za szyję, jest zalany, zwykle niechętnie zbliża się do zwierząt, ale o tak późnej porze pudel wydaje mu się niezwykle sympatyczny. Tak czy owak, tej nocy robi rzeczy, których normalnie nie robi. Zanurza się w muzyce. Wystarczy się wyluzować. To dziwne uczucie, jakby dotąd nie wiedział, że ma wewnętrzny organ, który działa jak zawór i właśnie się otworzył. Toteż zanurza się w muzyce.

Wstaje dzień i Loïc uświadamia sobie, że płacze. Za dużo wypił. Nie pamięta, kiedy zalał się łzami, ale gdy odzyskuje świadomość, szłocha. Xavier pomaga mu wstać i nieporadnie bierze go w ramiona. Loïc nie płakał od czasów dzieciństwa, nawet sobie nie przypomina, kiedy zdarzyło mu się to po raz ostatni. Wcale go nie szokuje, że Xavier przyciska go do siebie, nie czuje się skrępowany. Normalnie tego nie lubi, tak bliskiego kontaktu. Jedną z rzeczy, które ceni u Pénélope, jest to, że nie jest wylewna.

Loïc i Xavier stoją bez ruchu, w objęciach. I Loïc w myślach ściska Noëla wbrew sobie, bo bez względu na to, co się wydarzyło, nic nie może zatrzeć długich lat przyjaźni. Ten facet jest częścią jego życia, tego, co w życiu lubił, nic tego nie zmieni. Ale gdyby Noël go teraz zobaczył, byłby zde gustowany albo zaczął się śmiać, w każdym razie nie byłby zachwycony. Nie lubi słabości...

Pamela Kant wrzuciła mu coś do szklanki. Ale Loïc nie chce myśleć, że zrobiła to, by go ośmieszyć. Zbyt długo z nim tańczyła. Chodziło raczej o to, żeby go włączyć do grupy. Jeśli musi za to zapłacić tym dość brutalnym zwalem, kiedy tak stoi i maże się jak baba, to jednak było warto. Jest śmieszny, ale musiał zrzucić ten ciężar z piersi.

Jest już jasno, pora iść do pracy. Druga kawa z nowej maszynki, która denerwuje Xaviera. Loïc się spóźnił, wysłał esemesa – problem z podmiejską koleją. To mogłaby być prawda.

Razem idą do stacji metra. Tak czy owak, rano trzeba wyprowadzić psa. Jest ziąb jak w lutym. Rozstają się przy schodach, „powodzenia” i Xavier oddala się ze swoim głupim pudlem na smyczy. Loïc idzie korytarzem linii 11, myśląc, że nie jest aż tak zmęczony, zdoła przetrwać ten dzień. Nie będzie u szczytu formy, ale jakoś da radę.

Fakt, że jest o dwadzieścia minut od swego miejsca pracy, nieco go ożywia. Na stacji Châtelet idzie korytarzem, żeby zmienić linię. Nie znosi tego miejsca. Atmosfera jak na wielkiej stacji rozrządowej. Ma wrażenie, że jest szcurem tak wytresowanym, by biegać do laboratorium, które go zatrudnia.

Gdy skręca, rozpoznaje nagle trzy sylwetki. Zaraz potem znikają. Zmęczenie i ponury nastrój również się rozwiewają. Wie, że to nie był sen. Rozpoznał Juliana, Noëla i Clovisa. Zwalnia. Zagrożenie. Czekają na niego. To zasadzka. Tak czy owak, niczemu się już nie dziwi. Zawraca. Przyśpiesza kroku i zaczyna się wahać: wyjść na powierzchnię czy wsiąść do pierwszego z brzegu wagonu?

Ma złe przeczucie, zerka przez ramię. Są z tyłu. Biegnie. Trzech na jednego, nie ma się co zastanawiać. Ucieka. Ciało dostarcza mu najpierw paliwa, którego potrzebuje, jest naelektryzowany, potem strach sprawia, że odmawia mu posłuszeństwa, zaczyna zwalniać. Tańczył przez całą noc, nie ma już energii.

Czuje pierwszy cios między łopatkami. Chwieje się, odwraca. Zakryli twarze. Ale ich rozpoznaje. Ma czas, żeby pomyśleć, ale z was głąby wszędzie są kamery od razu ustalą waszą tożsamość, ma czas, żeby pomyśleć o zmasakrowanym żołnierzu i czarnym chłopaku, który mówił nigdy nie będziecie u siebie bezpieczni, i ma czas, by rozpoznać, który z nich to Noël, odwrócić się w jego stronę i spojrzeć mu prosto w oczy, pod daszkiem czapki, którą wcisnął na uszy. Drugi cios trafia w skroń, ma czas, żeby pomyśleć, że jest to uderzenie, które się zadaje, żeby zabić.



Leżąc na plecach, słucha muzyki w słuchawkach. Link Wray, *Rumble*. Ciężka, niechlujna muzyka, która przyprawia o ból głowy. Vernon śpi u Charles'a od trzech dni. W salonie jest ciepło, ale nic nie może rozproszyć uczucia zimna przenikającego kości. Ma dreszcze od silnej gorączki i zatkane uszy, czuje się uwięziony w kokonie grypy. Widzi pod powiekami sylwetkę Loïca, który tańczy razem z innymi w barze Rosa Bonheur. Vernon w swoim delirium nie rozróżnia rysów jego twarzy, jedynie zarysy ciała i otaczające je barwy. Chwilami jego skóra się rozszerza, nawiązuje kontakt ze światem, w jego piersi otwiera się dziura wielkości pięści – i nic nie jest już dla niego zewnętrzne. Przywykł do tego. Czułby się dziwnie, gdyby spędził cały dzień bez halucynacji. Śpi na wysłużonej kanapie Charles'a, od kiedy złapał to choróbsko. Jego mieszkanie to nieprawdopodobna nora. Stara Véro niczego nie wyrzuca. Na każdym skrawku wolnej przestrzeni gromadzi pudełka, papiery, przedmioty, które znajduje nie wiadomo gdzie. Jest troskliwą pielęgniarką. Nafaszerowała Vernona pigułkami. Obracała opakowania, żeby sprawdzić datę ważności, i wzruszała ramionami, „piszą 2004, ale lek nie może stracić swoich właściwości”. Dbała o niego. Jest jeszcze przymulony, ale może już wstać.

Wygrzebuje się z wyrka i wali w drzwi do pokoju Charles'a. Nie śpi razem z Véro. Mówi, że strasznie chrapie. Stary ledwie znał Loïca, ale wybiera się na pogrzeb. Gdera, spluwa, kaszle, potem wyłania się, ubrany, ze swojego pokoju. Charles nie przepuszcza żadnej okazji, żeby zobaczyć się z Sylvie. Nie jest w jego typie, nie chodzi o pociąg fizyczny, ale gdy tylko Sylvie się odezwie, spija słowa z jej ust. Kiedy się denerwuje, Charles wznosi oczy ku niebu, mamrocząc to niemożliwe, na Boga, to niemożliwe, oczarowany, że staje się tak wulgarna.

Vernon jest zmęczony ustawiczną obecnością ludzi wokół niego. Wciąż opowiadają o swoich sprzecznych pragnieniach, a on nabrał w tej grupie groteskowego znaczenia. Ale gdy tylko próbuje się wymiksować, coś go powstrzymuje. Mówił o tym Charles'owi, a stary wzruszył ramionami, nie przejmuj się, nie będą zajmowali się tobą przez całe życie. Ciesz się, że coś się dzieje.

Czekają przed bramą, paląc fajki. Olga i Laurent wychodzą z parku przez dziurę w ogrodzeniu. Jest jeszcze ciemno, ulice są puste. Oni też nie znali Loïca, który rzadko przychodził do parku. Chcą dołączyć do pogrzebowego orszaku. Na cmentarzu w Garges-lès-Gonesse oczekuje się tłumów. Zwłoki Loïca brutalnie zamordowanego w korytarzach metra należą do wszystkich. Olga i Laurent zwietrzyli pismo nosem: będzie niezła wyżerka. Ale Vernon wie, że tak naprawdę wszyscy przeczuwają, że po raz ostatni widzą się w tym gronie.

Idą na piechotę do Dworca Północnego. Olga boi się jeździć metrem. Ruda kolubryna idzie u boku Vernona. Szuka z nim kontaktu, dotyka go ramieniem. Nie może mu wybaczyć, że nie potraktował jej jak pierwszej damy. To ona śpi na dole, razem z nim, nie tamci. Ci wszyscy nieznajomi, którzy zawsze są dla niego ważniejsi. To ją denerwuje. Obsypują go komplementami, a on daje sobie wchodzić na głowę. Vernon musi zrozumieć, że gdy tym bufonom w końcu znudzi się mu nadszkakiwać, tylko ona zostanie u jego boku. Inni są sympatyczni, ale przyszli tu jak turyści. Jednak ona też na tym skorzystała, to pewne. Mówi im, na co ma ochotę, a nazajutrz kumple Vernona wracają z czarną czekoladą *côte d'or* z wiórkami kokosowymi, ze słoikiem nutelli albo podpaskami. Pije już tylko whisky. Zgromadziła mały zapasik, ukryła butelki w miejscu oddalonym od torów, nie ma ryzyka, by ktoś zabrał je pod jej nieobecność. Koniec z czerwonym sikaczem, od którego już paliło ją w przetyku, teraz madame dolewa whisky do swojej pepsi max. Ludzie są szczęśliwi, mogą jej oddać przysługę. Ale Vernon zapewnia, że jest to korzystne dla wszystkich. Zwykle uśmiecha się jak głupek, patrząc na gałęzie drzew, a potem nagle się zjawia i każe Oldze dzielić się paczką prażonych migdałów z Zaia, schizofreniczką, która sika pod siebie. Stale się koło nich kręci, rozumiała, że zawsze coś jej tutaj skapnie. Nie chce brać lekarstw, stale chodzi podcięta, po co się z nią dzielić? Przez cały dzień mówi sama do siebie, a czasem wykrzykuje „*don't worry be happy*” w stronę parkometrów. Olga wierzy w solidarność klasową, ale ją wkurzyło, że musi oddać paczkę migdałów dziewczynie, która ma wszystko gdzieś. Vernon nabrał nawyków szefa. A przedwczoraj przyszły tu Emilie i Lydia, by zabrać rzeczy z jego kąta pod pretekstem, że śpi przez kilka nocy u Charles'a. Olga spanikowała. Zrozumiała, że już nie wróci. Zwyzywała dziewczyny. Mówiła, że chce jego kołdrę. Nawet nie zadbał o to, żeby to Olga zajęła się podziałem jego dóbr. Po tym wszystkim, co dla niego zrobiła. Efekt jest taki, że ładniutka Węgierka, która jest przejazdem w Paryżu, bo chce odwiedzić swoich przyjaciół w Sewilli, zgarnęła jego śpiwór. To, że Olga ma dużą dupę, nie znaczy, że marznie mniej niż inni. Ma za złe Vernonowi, że nie traktuje jej lepiej, lecz przede wszystkim boi się, że zniknie. Na ulicy przyjaźnie nie trwają długo.

Nazajutrz po śmierci Loïca gliny zgarnęły i przesłuchały wszystkich meneli z parku, jednego po drugim. Kilku kolorowym udało się dać nogę, ale i tak było mnóstwo ludzi na komisariacie. Olga zadawała sobie głośno pytanie, ile państwo wydaje na to, żeby ich tak dręczyć. Nie mogliby po prostu gdzieś ich ulokować? Na początku była spokojna, ale w końcu nie wytrzymała i zaczęła obrzucać ich wyzwiskami. Krzyczeli, że jest wariatką, jednak była jedną z pierwszych osób, które zwolnili. Zawsze warto świrować. Policja wiedziała, że nikt z nich nie ma związku z zabójstwem, cała scena została sfilmowana. Ta

obława miała inny cel: chcieli dać im do zrozumienia, że koniec z tolerancją w parku des Buttes-Chaumont. Grupa byłych przyjaciół zabiła faceta na stacji Châtelet i znów bezdomni muszą zmienić miejsce obozowania. To reguła: nie pozwala się biednym zbyt długo gromadzić się w jednym miejscu. Za bardzo się boją, że te głupki znajdą sobie jakiegoś prowodyrę, który poprowadzi ich na najbliższy market, na plądrowanie sklepów, manifestacje. W dniu, w którym nędzarze zaczną atakować sklepy, wojsko będzie musiało wyprowadzić czołgi na ulice. Tak wielu ludzi żebrze. Więc trzeba zakazać zgromadzeń.

Laurent wolał pojechać metrem na dworzec. To gruba Olga chciała iść na piechotę. Ma klaustrofobię. Boi się wsiąść do podmiejskiej kolejki, mówiła o tym wczoraj przez cały dzień, zastanawiała się, czy chce iść na ten pogrzeb, zawracała tym głowę Laurentowi, aż w końcu kazał się jej zamknąć: „Posłuchaj, nie pójdziemy na piechotę do Garges-lès-Gonesse, więc albo wsiądziesz do pociągu, albo tu zostaniesz i przestań o tym mówić”. Grubaska nigdy nie schodzi do korytarzy metra, nawet zimą, nawet podczas deszczu. Byle tylko nie wpadła w szal, jadąc RER-em<sup>1</sup>. Nie sposób wtedy nad nią zapanować. Nie w takim momencie. Ten typ, Loïc, zawsze patrzył na niego z góry. Laurent go nie lubił. A jednak ten biedak zginął na polu chwały. Młody gość, żył z laską, miał robotę. Bezsens. Byle tylko Olga nie spała jego pogrzebu. Ostatnio trochę się uspokoiła. Jest zakochana w Vernonie. Nie ma żadnych szans: wokół Subutexa stale kręcą się młode niunie z malutkimi cipkami, pragnące go zaspokoić. Więc nawet w środku nocy, nawalony w trzy dupy nie wylądjuje między udami Olgi. A teraz ich zostawia. Olga chodzi jak struta. Całymi dniami. Laurent też jest nie w sosie. Czasami Vernon go drażni, uważa się za pępek świata i tego parku i pozuje na natchnionego poetę. Ale lubili się razem pośmiać. Nigdy nie widział czegoś podobnego: ludzie codziennie zapewniają im dostawę do domu. Nie trzeba już wyciągać ręki. Wyjmowali z portfeli monety i banknoty o niskich nominałach, bony restauracyjne, jakby sami je drukowali... Hojni, jakby dostali sraczki. Uprzejmi i zainteresowani, Laurent był z początku nieufny, ale szybko przywykł do tych burżuazyjnych wygód. Tylko wrażenie, że jest częścią folkloru, stało mu kością w gardle. Zawsze był przekonany, że łatwo się dogaduje z normalnymi ludźmi. Sądził, że jedyna różnica między nim a nimi polega na tym, że jest zbyt dziki, żeby chodzić na smyczy. Częste kontakty z ludźmi przystosowanymi uświadomiły mu, że wzbudza już tylko litość. Nikt nie zwraca uwagi na to, że jest przystojniakiem. Jeszcze pięć lat temu wyrwałyby kilka panien z grupy otaczającej wianuszką Vernona. Teraz ma już za bardzo popsute zęby. Zmienił się na gębie. I nawet jego żarty nie robią już takiego samego wrażenia.

Ludzie zmuszają się, by go słuchać. Nie jest idiotą. Raczej go znoszą, niż szukają jego towarzystwa. Tolerują go. Nawet Olga jest popularniejsza od niego. Sylvie przypominała

sobie o jej urodzinach i upiekła dla niej tort czekoladowy. Nikt nie zadał sobie pytania, kiedy on się urodził. Tego wieczoru pokłócił się z Olgą, wyglądała na tak szczęśliwą, że to go zdenerwowało. „Myślisz, że gdy nadejdzie zima, ta twoja burżujka zaproponuje ci ciepły kącik przy kominku? Zdaje mi się, że nie, jesteś za gruba i brzydka, nie pasowałabyś do jej firanek”. To było deszczowe zimne lato. Czuje się kompletnie zdołowany. Pojedzie na południe. Od dawna o tym myśli i odkłada na potem. Zna Paryż jak własną kieszeń i przywykł do tego miasta, bez względu na to, czy ma dom, czy nie ma, to jest jego teren. Ale już postanowił. Zmieni klimat i poszuka słońca. Po pogrzebie opowie o tym innym. Ci dzielni ludzie zdobędą się na wysiłek i złożą się, żeby my kupić bilet. Bo w dzisiejszych czasach jechać pociągiem bez biletu to chyba większe przestępstwo niż wpaść do żłobka i dupczyć niemowlaki. Kiedy o tym pomyśleć, to jednak zabawne, że on i Olga jadą RER-em na pogrzeb faceta, którego nie znali, podczas gdy tylu ich przyjaciół zmarło, a oni nawet nie próbowali się dowiedzieć, kiedy ich pochowają.

Przed Dworcem Północnym Pamela Kant zapala trzeciego papierosa w tym dniu. Jest w kostiumie i na wysokich obcasach. Ludzie, którzy komentują jej wygląd, nie rozpoznają jej, nie przeszkadza im, że widzą hardcorową aktorkę. Chodzi o jej wyzywającą sylwetkę. Jest wpół do ósmej rano. Już są zdenerwowani. Mężczyźni się zmienili, jeszcze nie tak dawno, widząc nogi i dekolt, robili się mili. Dziś ich to irytuje. Jednak przeglądając się w lustrze w windzie, uznała, że wygląda elegancko. Za bardzo się napalają na laski, które chcieliby mieć. Zostaje im tylko frustracja, że nie mają do nich dostępu. Wiedzą, że niczego nie dostaną, więc wolą, by chodziły w śniegowcach i skafandrach, a co tam. Ale ona lubi pogrzeby. Za nic w świecie nie przepuściłaby okazji, by wyjść w swoim stroju korsykańskiej wdowy. Zbyt dobrze w nim wygląda. Nie znała dobrze Loïca, lecz sądzi, że jeżeli kobieta pocierała lubieżnie łonem o stojący członek mężczyzny w przeddzień jego zgonu, zwyczaj wymaga, by wzięła udział w pogrzebie i zadbała o odpowiedni wygląd. Coś jej się w nim podobało. To był podobno jakiś głupi faszol. Jeszcze gorszy niż Xavier. To musiało być naprawdę coś, bo jak Xavier coś powie... Lepiej mieć dobry humor. Ale nie dyskutowała z Loïkiem. Tańczyła. Był dość powściągliwy w gestach. Pamela myśli, że byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że się postarała. Ale gdy trzydziesty debil z kolei mówi coś na jej temat, ma chęć podłożyć na dworcu bombę i wrócić do domu. To ją oduczy punktualności. Przyszła na miejsce spotkania jako pierwsza. Prostuje się i wypina pierś, nieznacznie się uśmiecha. Jeśli ma wkurzać ludzi, zrobi to z klasą. Tylko ona wie, że jej dłonie drżą.

Dołącza do niej Daniel. Jego nikt nie zaczepia. Mówi dzień dobry i od razu dodaje: „Nie wiem, po co to robię”. Nie widzi powodu, by uczestniczyć w pogrzebie Loïca. Mówi: „Założę

się, że przyjdzie tam masa nazioli, znowu będziemy mieli kłopoty”. W gruncie rzeczy trapi go to, że w dniu śmierci Loïca Hiena zobaczyła się z każdym z nich po kolei, by wyjaśnić, że Anaïs i Céleste trochę przesadziły, pokazując twarze, musiały zniknąć z pola widzenia, i że inni muszą przerwać wszystkie akcje i jak najrzadziej pokazywać się w parku. Spodobła mu się ta historia z graffiti, to był piękny rewanż. Akcja komanda, nocą, środki ostrożności w ciągu dnia, gdy trzeba było kupić farby w spreju i resztę wyposażenia, zawsze płacić gotówką, nie brać za dużo towaru za jednym razem, esemes z informacją o potajnym spotkaniu, czasami odbywały się w katakumbach, i to podwójne życie było ekscytujące. To nie miało żadnego sensu, ale wprowadzało filmowy nastrój, umożliwiało działanie w grupie, z czego każdy z nich czerpał satysfakcję. „To coś w rodzaju psychomagii”, mówiła Lydia i miała rację. Przyływ adrenaliny, gdy się rozproszyli. Móc powiedzieć sobie każdego następnego ranka: tak, teraz masz za swoje. A Vodka Satana bez względu na to, gdzie jest, mogła się przekonać: żywi o niej nie zapomnieli.

Sylvie płaci kierowcy taksówki, mężczyźnie, któremu dałaby więcej niż siedemdziesiąt lat, z siwym, dobrze przystrzyżonym wąsem na starą modłę, o szmaragdowych oczach. Nie zwróciła uwagi na jego oczy do chwili, gdy zobaczyła je w lusterku wstecznym. Nie bardzo chciała przyjechać. Loïc był kompletnym idiotą. Martwy czy żywy, w niczym nie zmienia to tego, co myśli na jego temat. Jego śmierć nie wyciska z jej oczu ani jednej łzy. Kiedy uderzył Xaviera, nie zastanawiał się, czy zostawił go martwego na chodniku. Nie ma przebaczenia dla osobników tego rodzaju. Trzeba być głupim jak but z lewej nogi, żeby zadawać się ze skrajną prawicą, gdy ktoś wywodzi się z plebsu tak jak on. Nie będzie go żałować. Owszem, może zrozumieć, że ludzie tacy jak ona mają interes w tym, że notowania skrajnej prawicy rosną. Wielu zdobywa wysokie stanowiska, na które w innych okolicznościach musieliby czekać latami. W dniu, w którym będzie można rozstrzelać przywódców związków zawodowych, oskarżając ich o terroryzm, na pewno łatwiej im będzie uwolnić się od podatków. Ale na co czekało takie coś jak Loïc? Na miejsce w szeregach milicji? Dlaczego miałyby się rozczulać nad tym, że nie żyje? Wkłada czarne rękawiczki. Przyszła, bo wszyscy się tu wybierają. Czuje, że coś przed nią ukrywają, i chciałaby to wyjaśnić. Na przykład gdzie się podziały Céleste i Aïcha i dlaczego Sélim jest taki przygnębiony? Dobrze się z nim rozumie.

Spotyka Pamelę i Daniela. Trudno jej przyjąć do wiadomości, że ten ostatni nie zawsze był chłopcem. Takich rzeczy jak testosteron nie było w czasach jej młodości. Jednak niesamowite, jakie to teraz wydaje się łatwe. Sylvie myśli o swych koleżankach, które są brzydkie jak noc i nacierpiały się z facetami przez całe życie, podczas gdy dziś hop, trochę hormonów i mogłyby być całkiem znośnymi facetami. Kiedy facet jest brzydki, to jeszcze nic

takiego. Bierze Pamelę pod rękę. Przynajmniej tym razem jest dobrze ubrana, to wszystko zmienia. Piękna liana, bez dwóch zdań. Szkoda, że wzięła tę nędzną czarną torbę, od razu widać, że to plastik. To dobra dziewczyna, uczynna. Ma z sobą problemy, ale jest w porządku. Natomiast nie ma co liczyć na to, że zrobi cokolwiek, by Vernon przestał pogrążyć się w szaleństwie. Jeśli jej powie: zdaje mi się, że jestem podłączony do drzew, ta niunia od razu doda: pewne plemiona wierzą, że kamienie mają dusze. Nic jej nie dziwi. Ludzie w jej wieku tacy właśnie są. Iluminaci, spiski, magia, wystarczy im powiedzieć: wszystko przed wami ukrywają, niczego wam nie mówią, i łykną każdą bzdurę. Vernon potrzebuje pomocy. Nie jest już tym samym człowiekiem. Ale Pamela tego nie rozumie. Sylvie ma wrażenie, że Vernon podróżuje. Przypomina jej to przebój z lat osiemdziesiątych: „Max jest wolny, niektórzy nawet mówią, że widzieli, jak lata”. To prawda, że trudno się martwić o Subutexa. Wygląda na tak wyciszonego... Sylvie widzi, jak się zbliża w towarzystwie Charles’a, Olgi i Laurenta. *Dream team* z parku des Buttes-Chaumont. Macha do nich ręką. Zawsze ją dziwi, że tak cieszy się na ich widok.

---

<sup>1</sup> RER (Réseau Express Régional) – szybka kolej aglomeracji paryskiej.

Garges-lès-Gonesse nie jest szczególnie zabawne, zwłaszcza gdy przyjeżdżamy tu, kiedy pada. W głębi pejzażu ciągną się bloki, a centrum miasta przypomina prowincję: niskie domy, dachy z czerwonej dachówki, bez żadnych estetycznych pretensji. Od razu widać, że to nigdy nie było burżuazyjne miasto, nikt z mieszkańców nie pomyślał: zbuduję sobie tutaj sympatyczny domek. Jazda podmiejską koleją trwa krótko, dopiero gdy przesiadli się do autobusu, mieli wrażenie, że to długa podróż.

Kiedy Gaëlle dotarła do kościoła, oznajmiła: „Nie ma mowy, żebym weszła do środka, po tym, co nam zrobili katole, moja noga więcej tam nie postanie. Gdy odbywały się manifestacje, kładli swoje homofobiczne ulotki tuż obok chrzcielnicy, a księża przymykali oko. Zaczekam na zewnątrz”. Pamela, zakłopotana, szeroko otwiera oczy, przywykła czuć się u siebie tam, gdzie zdaniem innych nie powinno jej być: „Jeśli sądzisz, że z tego powodu Chrystus przestanie nad tobą czuwać...”. Daniel, liżąc klej na bibułce, pyta: „A od kiedy Chrystus czuwa nad tobą?”. Pamela poprawia woalkę, spoglądając w lusterko wsteczne dostawczej furgonetki: „Umarł również za mnie, co sobie wyobrazasz? Że zachowuję swoje grzechy dla siebie, bo jestem ekspertką od robienia laski?”.

Gaëlle ma na sobie wyjątkowo obcisłe czarne skórzane spodnie, w których wygląda na jeszcze szczuplejszą i delikatniejszą. Trupia czaszka zdobi klamrę jej paska. Ma podkrążone oczy i włosy mokre od deszczu. Po przelotnej ulewie. Vernon dochodzi do wniosku, że dobrze wygląda, trochę jak zdechły szczurek. Przez większą część nocy tańczyła wtedy z Loikiem. Gdy dowiedziała się o jego zgonie, przeżyła wstrząs. Zaciska szczęki i dodaje, jakby chciała się wytłumaczyć: „Poza tym z czysto estetycznych względów nie lubię tego typu architektury. To kościół czy fabryka? Już trudno się w tym połapać”. Gdy tylko minęli La Courneuve, stara się robić dobrą minę do złej gry: nigdy nie zapuściła się tak daleko poza paryską obwodnicę, nie sądziła, żeby to było inspirujące doświadczenie. Sylvie zjawiała się w szykownej czarnej sukni, trzyma nad głową Gaëlle wielki szary parasol i mówi: „Zaczekam z tobą na zewnątrz, ja też nie lubię kościołów. Nie jestem ochrzczona i nie cierpię wszystkiego, co ma związek z jakąkolwiek religią. Powinni wybudować w środku baseny. W Paryżu tak bardzo ich brakuje”. Nawa powoli się wypełnia. Laurent i Olga wymieniają spojrzenia i wzruszają ramionami, oni chcą uczestniczyć w mszy, „spotkamy się przy wyjściu, tak czy owak, później idziemy w to samo miejsce”. Daniel staje obok Xaviera, który podczas całej podróży RER-em nie odezwał się słowem. Tylko on ma zaczerwienione oczy. Lydia się buntuje, ona też nie ma ochoty brać udziału w mszy, więc dłaczego wyznaczyli sobie

spotkanie tak wcześnie, mogliby pójść od razu na pogrzeb, zyskaliby dzięki temu dwie godziny snu. Vernon pociąga blanta, którego podaje mu Lydia. Charles wychodzi z kościoła, mówi, że w środku jest tłok i panuje nuda, jest zimno, ksiądz ma wygląd ponurego kretyna, dowiaduje się, że Sylvie nie bierze udziału w ceremonii i zaciera ręce, „nie śmiałem o tym mówić, ale mam cholerną ochotę na piwko”.

Zbliża się Patrice i wita się ze wszystkimi. Przyjechał wcześniej niż inni. W czarnej bejsbolówce, zaaferowany, ciągle wchodzi do kościoła i wychodzi na dwór. Jakby pilnował porządku. Zarezerwował w środku kilka miejsc siedzących, wskazuje je Oldze i Laurentowi i wychodzi, by spytać innych: „Czemu stoicie na zewnątrz? Dlaczego nie chcecie wejść?”. Obrusza się: „Pomyśleliście o wdowie?”. Ale już po chwili podziela opinię Gaëlle: „Nie stójcie pod kościołem. Trochę dalej jest bar”. Pamela czeka, aż zniknie, i zdziwiona unosi brwi: „Nie chciałabym wyjść na ciotkę przyzwoitkę, ale czy on nie zadaje się czasem z laską Loïca?”. A Vernon kiwa głową, on też to zauważył, Patrice bardzo się przejął tym pogrzebem.

Przede wszystkim nie bardzo rozumieli, dlaczego czuł się zobowiązany złożyć jej kondolencje. Nie byli przyjaciółmi. Ale tak bardzo starał się chronić Xaviera, że brał na siebie to, co powinien był zrobić jego przyjaciel. Zapytał Pénélope, wdowę, czy czegoś nie potrzebuje, i uświadomił sobie, że cała ta sytuacja kompletnie ją przerosła. Nieznajome osoby składały jej kondolencje i otrzymywała obelżywe anonimowe esemesy, namawiano ją nawet do udzielania wywiadów. Patrice uznał, że jest rycerzem bez skazy i musi stanąć w obronie damy swego serca.

Emilie rozgniała niedopalek, nim wejdzie do kościoła. Mówi, mijając tych, którzy wciąż stoją na dworze: „Ktoś powinien uprzedzić wdowę po Loïcu, że ma do czynienia z brutalnym facetem”, a Vernon zadaje sobie pytanie, skąd ona o tym wie. I dlaczego nigdy o tym nie mówiła. Przez cały ten czas, który spędzili na trawnikach parku, nigdy nie próbowała podjąć tego tematu. Xavier i Lydia wchodzi do wielkiej nowoczesnej budowli i drzwi się zamykają. Charles pyta: „Gdzie jest ta cicha przystań?”, i Vernon idzie za nimi. Trochę dalej na chodniku spotykają Sélima. Nikt się go tu nie spodziewał. „Pospiesz się, msza już się zaczęła”. „Nie idę na mszę. Nie miałem chęci siedzieć samemu w domu”. Vernon zwalnia, by zostać z nim trochę z tyłu: „Masz od niej jakieś wieści?”. „Niebezpośrednio. Ale podobno wszystko jest w porządku. Muszę w to wierzyć, nie mam innego wyjścia. Czekam. Myślę o tym, czego nie miałem jeszcze okazji jej powiedzieć. To nie ona powinna mścić się za swoją matkę, to było moje zadanie. Ale ja nie wierzę w zemstę. Wierzę jedynie w przebaczenie”. Zmienił się na twarzy, smutek go zatruwa. W chwili gdy wchodzi do baru, chwytą Vernona za rękaw. Musi jeszcze z nim porozmawiać, zanim zacznie udawać przed innymi, że nic się nie stało. „Jeśli



przyjdzie do mnie policja, powiem, że się pokłóciliśmy i odeszła. Jest dorosła, ma prawo. Powiem, że mam laickie poglądy i kazałem tej fanatyczce ściągnąć chustę albo wynosić się z mojego domu. Cóż mogą mi zarzucić? Że jestem porządnym republikaninem? Ale jeśli policja złoży mi wizytę, nie sądzę, abym był na tyle cyniczny, żeby to powiedzieć. Boję się, że zdradzę ją po raz drugi, nieporadnie kłamiąc”. Vernon odpowiada: „Hiena mówi, że Dopalet nie zamierza wnieść skargi. Brygada antyterrorystyczna na razie cię nie odwiedzi...”, a Sélim wzrusza ramionami: „Muszę na coś czekać, rozumiesz?”. I w milczeniu popychają drzwi baru.

Nie jest to stare dzielnicowe bistro ani świeżo wyremontowany lokal, wystrój baru przywodzi raczej na myśl miasteczka bloku wschodniego przed upadkiem muru. Natarczywa woń chloru przyprawia o mdłości i uspokaja Vernona – to zapach eau de javel, zapach jego dzieciństwa, matki, która krząta się po domu. Właściciel ma około sześćdziesiątki. Nie jest zbyt gościnnie. Ma wąsy, worki pod oczami, rumianą cerę pijaków, ale ani trochę wigoru, który charakteryzuje czasem alkoholików. Ponurym okiem patrzy, jak wkraczają na jego terytorium, jakby podawanie kawy czy piwa nie było częścią programu, jaki sobie ustalił, otwierając bar tego ranka. Mężczyzna przyjmuje zamówienia w wyraźnie złym humorze, obsługuje grupę, unikając wzroku gości, potem pochyla się nad zlewem, nieufny i gotowy wynieść ich stąd na kopach, jeśli ich zachowanie nie będzie bez zarzutu.

Sylvie mówi półgłosem o tym, co rano usłyszała w radiu, o Syrii, o cięciach wydatków w Grecji i tonach radioaktywnej wody, która wypływa jeszcze z Fukushima, całe miesiące po trzęsieniu ziemi. Laurent i Olga dołączają do nich wśród radosnych pokrzykiwań Charles’a, który pije już drugie piwo. Zestawiają dwa stoliki w opustoszałym barze pod pełnym wyrzutem spojrzeniem właściciela. Zjawia się Lydia, z mokrymi włosami. „Wydzwaniam do was, od kiedy odeszliście spod kościoła, nie mogliście na mnie poczekać? Ale tam piździ... Nie mogłam zostać w środku. Nie byłam w kościele od czasów pierwszej komunii, możecie być pewni, że nigdy nie wezmę kościelnego ślubu. Już po pięciu minutach nudzisz się tam jak mops”. Olga pomstuje, że nigdy nie widziała tylu idiotów zgromadzonych na tak małej przestrzeni. Gęby tak wstrętne, że dziękuję, pomyśleć, że przyjechała podmiejskim pociągiem, żeby je oglądać. Sylvie wybucha śmiechem, wyobrażając sobie, jak Olga złorzeczy w kościele. „A ty, Laurent, dlaczego wyszedłeś?” „Byłem bardzo spragniony”, na co Olga: „Napijmy się szampana!”. Sylvie patrzy na nią skonsternowana, potem uderza się w czoło, w precyzyjny i komiczny sposób: „Ależ tak, właśnie tego nam trzeba”, i odwraca się w stronę właściciela baru: „Szefie, czy ma pan szampana?”.

Ustawia kieliszki na stole, gdy do baru wchodzi Pamela i Daniel, a wraz z nimi Xavier, który jest wyraźnie nie w sosie. „Pijecie szampana?”, ale bierze kieliszek, który ktoś mu

podaje, Vernon wznosi toast: „Za Loïca”, a Laurent zaczyna śpiewać donośnym, pewnym głosem, o który nikt go nie podejrzewał: „Nie szalej, Manu, po co się zaraz chlastać, chociaż straciłeś łaskę, kumple wrócili i basta”<sup>1</sup>. Xavier patrzy na niego z niedowierzaniem. W pierwszym odruchu chciał mu powiedzieć: zamknij się, co cię napadło, a potem coś nagle go w tym urzekło. On też zaczyna śpiewać. Jego głos nie brzmi tak czysto, ale śpiewa z zapalem. I nastrój nagle się zmienia. Trudno powiedzieć, co dokładnie było przyczyną. Może to, że właściciel wziął do ręki kieliszek, do którego Lydia naląła szampana z trzeciej butelki, i odburknął, że w barze można puścić muzykę z telefonu przez łącze USB. Rozlega się głos Nicka Cave’a, „*You’ve got to just, keep on pushing, keep on pushing, push the sky away*”. Sylvie mówi: „Ależ to ponure, co to takiego?”, a Lydia zamyka oczy: „Uwielbiam tę piosenkę”. Vernon czuje, że poranny smutek zaczyna się rozwiewać. Wstaje i tańczy, wolno, z kieliszkiem w dłoni, przed kontuarem. Wyobraża sobie, że jest palmą poruszaną lekkimi podmuchami wiatru. Olga, która nigdy nie uczestniczyła w imprezach w Rosie Bonheur, ponieważ nie przepada za tańcem, staje obok niego, bez ruchu, nieśmiało, potem nagle jej wielkie ciało zaczyna się poruszać, wykonuje przedziwny choreograficzny układ, powolny, trochę w stylu paryskich apaszów, trochę w stylu grunge. Ci, którzy zostali przy stole, wahają się przez chwilę, nie jest dobrze, właściciel zaraz się wścieknie. Lecz dzieje się coś wręcz odwrotnego, ta prehistoryczna kobieta, która kołysze biodrami przed jego kontuarem, nie wyczuwając rytmu, niespodziewanie wprawia go w stan euforii. Wyciąga kolejną butelkę, mówiąc: „Ta będzie ode mnie”, i napełnia kieliszki, a kiedy Big Mama Thornton intonuje pierwsze nuty swojej wersji *You Ain’t Nothing but a Hound Dog*, staje u boku Olgi i wywija biodrami, na mocno ugiętych nogach, unosi ramiona w górę, to coś w rodzaju twista.

---

<sup>1</sup> Refren piosenki Renaud Séchana *Manu*.

Gdzieś dalej na podwórzu słycać muzykę z radia. Piosenka Alexa Bleacha. „Jestem w twoich ramionach, bo inna mnie nie chciała”. Marie-Ange nuci ją w kuchni, wyjmując naczynia ze zmywarki. Uważa na paznokcie. Dzień wcześniej była u manikiurzystki, nie chce ich zniszczyć. Dziewczyna, która nałożyła jej hybrydowy lakier, podkreślała, że jest bardzo odporny. To chyba prawda. Hybryda jest genialna: nie trzeba czekać dwadzieścia minut, aż wyschnie. Wsunęła dłonie na dziesięć sekund do miniaturowej suszarki i mogła wyjść, kiedy szperała w torebce, żeby znaleźć klucze, lakier pozostał nietknięty. Pałace promienie słońca wpadają przez okno i ogrzewają jej ramię, sprawia jej to przyjemność. Na ulicy rozlega się samochodowy alarm. Rano Marie-Ange przywykła robić jak najmniej hałasu. Xavier śpi dłużej niż ona. Średnio o dwie godziny dziennie. Czternaście godzin tygodniowo. Sześćdziesiąt godzin w ciągu miesiąca. Dwa i pół dnia odpoczynku, podczas gdy ona musi być stale na nogach i zajmować się domem. Potem się szykuje i idzie do pracy, a on uprawia jogging. Anne-Marie wie, że Xavier przez cały dzień nic nie robi. Ale wieczorem, gdy wraca, zawsze wynajduje sobie jakieś zajęcie.

Gdy zrozumiała, że domowe obowiązki spadły na jej barki, próbowała z nim o tym pomówić. Za pierwszym razem ją rozśmieszył, przybrał błazeńską minę i kategorycznie oświadczył: „Nie mogę odkurzać. Bo urosną mi piersi”. To było idiotyczne, ale powiedział to w taki sposób, że jej się spodobało. W tamtych czasach często ją zaskakiwał. Udawał kretyna, śmiała się, był rozbijający. Mówiła sobie: nie będziemy iść na udry z powodu domowych zajęć, to byłoby żałosne, z czasem zrozumie, że dalej tak być nie może, ona pracuje na pełny etat i opłaca rachunki, a on zostaje w domu i leży do góry brzuchem. Lecz widząc, że nawet mu się nie śni wziąć gąbkę i umyć zlew czy złożyć suche prześcieradło albo od czasu do czasu zmienić w łóżku pościel, przedstawiła mu swój punkt widzenia, starając się go nie zranić, to znaczy nie wspominając o tym, że Xavier nie przynosi pieniędzy do domu. Mówiła o szacunku, uczuciu, nie tyle o równości, ile o wzajemnej pomocy, również o tym, że ona też ma prawo wylegiwać się na kanapie po ciężkim dniu pracy... Wyglądało na to, że Xavier rozumie. Ale na tym koniec. Próbowała wykazać się zmysłem pedagogicznym i powiesiła na drzwiach lodówki listę regularnych domowych obowiązków: zmywanie naczyń, wynoszenie śmieci, pranie, układanie bielizny, mycie toalety, wanny, zmywanie podłóg, mycie okien, sprzątanie pokoju małej, wycieranie kurzów, mycie lodówki, kafelków w łazience... To zadziało: zaczął wynosić śmieci. Za każdym razem, gdy to zrobił, musiał z dumą oznajmić: „Wyniosę ci śmieci”. To „ci” doprowadzało ją do szewskiej pasji. Miała chęć chwycić go za

oszewkę i mocno nim potrząsnąć, „więc znajdź sobie jakąś robotę, żebyśmy mogli zatrudnić sprzątaczkę”. Bo tylko z jej jedną pensją nie jest za wesoło. Te żarty małego chłopca, który niczego nie traktuje serio, przestały ją bawić. Czuje się zdradzona: to ona musi sobie poradzić ze wszystkimi problemami. Wygląda na to, że nie jest tego świadomy. Gdy mówi o pieniądzach i dochodzi do wniosku, że trudno im będzie wyjechać na wakacje, zawsze ma wrażenie, że Xavier patrzy na nią, myśląc, że uzala się bez powodu.

Xavier zarabia tyle, że stać go najwyżej na dentystę, wyjście do baru od czasu do czasu i na bilety metra, gdy jakimś cudem zdarzy mu się jeszcze spotkanie w związku z pracą. W ich relacjach ta kwestia stała się do tego stopnia tabu, że wielu tematów po prostu nie można podjąć. Wychodzi z siebie, gdy Marie-Ange wspomina, że mogłaby sobie poszukać pracy na prowincji. Mówi, że nie szanuje swojego zawodu. Jednak łatwiej poradziliby sobie z jedną pensją, opuszczając Paryż. Gdyby sprzedali mieszkanie, mogliby kupić całkiem przyzwoity domek. Xavier nie cierpi Stéphane’a Plazy<sup>1</sup>, bo gdy tylko Marie-Ange trafi na jego program, zaczyna mówić o wyprowadzce.

Z początku Marie-Ange go wspierała, wydawało jej się normalne, że w artystycznej karierze zdarzają się okresy posuchy. Słuchała go ze zrozumieniem, gdy psioczył na bubków z branży. Był zbyt szczery, jego pomysły kłóciły się z panującą w filmie bylejąkością, kochał kino, którego we Francji się nie szanuje, nie wywodził się ze środowisk uprzywilejowanych, było mnóstwo rzeczy, które działały na jego niekorzyść. Solidaryzowała się z nim, gdy zrozumiała, że trafił na czarną listę, wprawdzie od czasu do czasu jakiś reżyser, powołując się na młodzieńcze dokonania Xaviera, wspominał jego nazwisko, jednak producenci reagowali na nie nerwowo. Nie ma mowy. Tylko nie on. Będą z nim same kłopoty. Był spalony, niekoniecznie z powodów, które podawał. Jego analiza sytuacji była fałszywa, dlatego nie mógł znaleźć właściwej drogi. Ale ona zarabiała dość dużo, by utrzymać ich troje, była przekonana, że Xavier ma talent, i dumna, że trwa u jego boku, kiedy mu się nie wiedzie. Jednak z czasem jej cierpliwość się wyczerpała. Już nie wierzy, że jego dzień nadejdzie. Sukcesy miał już za sobą.

Marie-Ange wychodzi z domu rano o wpół do siódmej, jedzie metrem do instytutu Ipsos, gdzie jest kierownikiem zespołu. Przez cały dzień bierze udział w debatach, panelach, ma mnóstwo rzeczy na głowie, a Xavier zostaje w domu, tworzy. Marie-Ange nic nie mówi. Ale ma już tego powyżej uszu. Życie artysty zaczyna ją wkurzać. Czuje, że nie nadaje się na mężę losera. Ostatnim razem, gdy wydrukował i oprowił scenariusz, by go jej podarować jako cenny prezent – była jego pierwszą czytelniczką – uświadomiła sobie, że już jej to nie zachwyca. Pracował nad tym projektem ponad rok. Dziewięćdziesiąt stron dialogów.

Osiemnaście miesięcy, w pełnym wymiarze czasu. Zgoda, to była twórczość. Ale się dupek nie spieszył. Czuła się zobowiązana przeczytać tekst tego samego wieczoru, była wykończona i wolałaby zrobić to w niedzielę. Ale zachowywał się jak dzieciak, który przestępuje z nogi na nogę, był tak niespokojny, że pomyślała: sen może poczekać, i przeczytała czterdzieści pierwszych stron. Pocałowała go, zanim zgasiła światło, i powiedziała z udawanym podziwem: „Zachowam sobie drugą połowę na jutro. Ale to jest genialne, brawo, misiu”. Tak go nazywała w intymnych chwilach, misiem. Jego tekst był słaby. Poprzednie projekty też nie były lepsze, teraz, gdy potrafiła już spojrzeć prawdzie w oczy, olśniło ją, że zawsze to wiedziała. Jednak kiedyś jego scenariusze były przynajmniej zabawne. Zawsze się uśmiechała, potem wybuchała śmiechem, czytając, co napisał. Miał fantazję, którą po drodze utracił. I nie zostało zbyt wiele. Nie miała już w sobie energii, by się okłamywać. Jej facet był kiepskim autorem. Powtarzał komunały, wierząc, że jest geniuszem, jego intrygi były zbyt proste, niedopracowane, dialogi słabe, postacie bez wyrazu. Nie musiała być profesjonalistką, żeby to zauważyć, wystarczyło obejrzeć od czasu do czasu jakiś film czy serial. Tej nocy, gdy leżała skulona na skraju materaca i nie mogła zasnąć, w pełni uprzytomniła sobie, że nie wierzy już w niego jako scenarzystę, a przede wszystkim, że nie ma odwagi zmierzyć się z tym, co nastąpi: Xavier wyśle scenariusz wszystkim osobom, które zna, będzie czekał na odpowiedzi, które nie nadejdą, bo odbiorcy poczują się zbyt skrępowani, by mu wyjaśnić, że tekst jest bez wartości, po prostu to przemilczą. I zacznie się użalać, odgrażać, a ona będzie musiała udawać, że go całym sercem popiera, i pocieszać wieczorami, gdy wróci padnięta z pracy. A czy ją ktoś wspiera? Xavier gardzi jej pracą, wcale go nie interesuje, mówi coś przeciwnego, ale gdy opowiada mu o swoich problemach zawodowych, wie, że on jest myślami gdzie indziej. Czuje, że go nudzi.

Ojciec ją uprzedzał. Gdy miała dwadzieścia lat, nie słuchała go, bo była przekonana, że starszek nie ma pojęcia, jak wielka jest siła miłości, którą odkrywała. Ale ją przestrzegał: „Dla kobiety nie ma nic gorszego, niż pójść do łóżka z kimś o klasę niżej”. Doszła do wniosku, że jej rodzice nic nie wiedzą o świecie, w którym ona żyje, tym świecie, w którym Xavier był apaszem, bezczelnym i seksownym, mającym wkrótce zrewolucjonizować francuskie kino. Byli w błędzie, nie doceniając go. Dziś dochodzi do wniosku, że to jej zabrakło przytomności umysłu. Postawiła na kulawego konia. System by jej sprzyjał, gdyby dokonała właściwych wyborów. Ale popełniała błędy we wszystkich dziedzinach i brnęła w ślepą uliczkę z jakimś maniackim uporem. Miała licencjat w kieszeni, kiedy postanowiła, na przekór rodzicom, rozpocząć staż w Ipsos. Owszem, wkroczyła na drogę kariery. I wcale nie w sektorze najbardziej zagrożonym kryzysem. Jednak o wiele łatwiej byłoby jeszcze przez dwa lata

studiować, nauczyć się jakiegoś obcego języka, posłuchać rad ojca.

Złe wybory... Zrobiła, co mogła, wykorzystując okazje, które się nadarzały. Nie miała żadnych predyspozycji, by kontynuować naukę, pójść na studia podyplomowe, jak oględnie mówiło się w jej domu: „uczonym nie zostanie”... Nie miała też okazji dać kosza gromadzie wielbicieli ustawionych lepiej niż ten, którego poślubiła. Zakochała się w Xavierze, gdyż był pierwszym dość ekscytującym facetem, który w niej dostrzegł księżniczkę. W owych czasach był pewny siebie. To było zaraz po skromnym sukcesie jego pierwszego filmu, w środowisku mówiło się o nim jako o Renoirze przedmieść. Nie podejrzewał wtedy, że reżyser, przyjaciel z dzieciństwa, będzie wolał sam napisać scenariusz kolejnego filmu. Xavier jest na swój sposób naiwny. Wyobraża sobie, że wszyscy są wielkoduszni jak on. Ale ludzie wokół niego dojrzeli, stali się pragmatyczni, scenarzyści dużo kosztują, więc obywają się bez nich. W tamtych czasach wszystko między nimi się układało. Marie-Ange po raz pierwszy miała to, czego oczekiwała od chłopaka. W związku był osobą dominującą, to on nosił spodnie, ale jadał jej z ręki, szalał na jej punkcie. Dotąd śliniła się na widok dziewczyn, które świetnie się bawiły z facetami o niezłej aparycji. Nadeszła jej kolej. Ten postawny brutal stawał się czuły, gdy tylko się do niego przytuliła. Pasowali do siebie. Wykazywał niezwykłą inwencję, prawiąc jej komplementy, dostrzegał w niej rzeczy, które jego zdaniem były wyjątkowe. Dał jej wiarę w siebie. To były piękne czasy. Jednak powinna była zachować czujność. Xaviera wszystko drażniło. Kolacja na mieście, wyjście do muzeum, wizyta u jej rodziców – wszystko krytykował, zżymał się bez powodu, był tak drażliwy, aż czuła się zakłopotana. Powinna była zwrócić uwagę na to, że wciąż chodzi do nędznego i zadymionego bistra w głębi osiemnastej dzielnicy, które nazywa „swoim barem”, nawet wtedy, gdy poczuł wiatr w żaglach i mógł poszerzyć grono swoich przyjaciół. Między jedną partyjką kart a drugą rozlegał się tam grubiański rechot, ciężkie łapska sięgały do miseczek z orzeszkami, a ludzie opisywani przez niego jako „barwne postacie” byli zwykłymi alkoholikami, w których towarzystwie mógł się czuć jak bóg, bo nazywali go „panem” z kina. Lubił otaczać się przyjaciółmi, którzy nie byli na jego poziomie, gdyż stale potrzebował dowodów uznania. Lecz jego kumple z bistra ciągnęli go w dół, podczas gdy on powinien był się rozwijać. Marie-Ange nigdy nie fascynowali tak zwani prości ludzie. Ma gdzieś to, jak żyją, nie interesuje jej życie codzienne nauczycielki lub pielęgniarce ani to, co takie osoby czytają albo lubią oglądać w kinie. To była jej pierwsza wielka historia miłosna. Szanowała Xaviera. I przez wiele lat, to prawda, dawał jej poczucie stabilizacji. Sprawiał, że w końcu myślała o czymś innym, niż tylko nigdy nie wyjdę za mąż nikt mnie nigdy nie zechce. A gdy ojciec próbował ją ostrzec, mówiąc o „mężczyźnie, który jest o klasę niżej, w jej łóżku”, nie mogła powiedzieć mu szczerze, jak to naprawdę jest,

że z początku z Xavierem w łóżku przeżywała odłot. I dla niej to było bardzo ważne, bo nie miała na tym polu porywających doświadczeń. Nie szło jej z chłopcami. Trudno to wyjaśnić. Była ładną dziewczyną i wiedziała o tym, ciemna blondynka o delikatnych rysach, bez problemów z nadwagą. Miała trochę za krótkie nogi, nie była wąska w talii, piersi były za małe. Lecz miała duże oczy, drobne kości, piękną cerę. Mężczyźni przed nią nie uciekali. Ale nie wyzwałała w nich erotycznej pasji. Xavier był pierwszym, który sprawił, że się poczuła kobietą, czyli osobą pożądaną. Wszystko w niej go ekscytowało. To było boskie uczucie, gdy rozbierała się przed nim, była niezmiernym zjawiskiem.

Czuła się szczęśliwa. I trwało to długo. Kiedy po roku zaczęła udawać w łóżku, nie czuła niepokoju. Myślała, że to chwilowe. Jest zbyt zmęczona, zajęta. Lecz wcale jej nie przeszło, było już tylko gorzej. Zmuszała się i stawało się to coraz bardziej uciążliwe. Nie mówiła o tym osobom ze swego otoczenia. Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus, oni kochają seks, a one mogą się bez niego obyć. Musiała mu to dawać. Nie chciała, by zaczął rozglądać się na boki. Poddawała się dopiero po cesarskim cięciu. Nie miała już ochoty udawać.

Ciąża nie była dla niej mistycznym objawieniem. Ostatnie miesiące były bardzo trudne. Nie doświadczyła sławetnej burzy hormonów, dzięki której uznałaby, że to wspaniale być niepełnosprawną. I nie czuła się dobrze po narodzinach Clary. Miała świadomość, że jest mamą tej małej istoty, ale czuła tylko paniczny strach. Wyszła z porodówki kompletnie załamana, nikt nie przejmował się tym, że nie potrafi zajmować się niemowlęciem. Jej własna matka, która związała na Karaiby trzy dni po porodzie, z całą pewnością nie mogła jej wyręczyć. Wtedy Xavier stanął na wysokości zadania. Miał odpowiedź na wszystko. Znalazł w internecie forum młodych tatusiów i poznał wszystkie aspekty tego zagadnienia, od temperatury butelki po najlepszą markę pieluch. Był zachwycony córką. Robił wszystko, by byli we troje szczęśliwi. Błogie poranki, kiedy całował maleńkie stópki, indiańskie tańce, żeby ją rozśmieszyć, godziny spędzone w specjalistycznych księgarniach, gdzie szukał dla niej bajek, radość za każdym razem, gdy zrobiła kupkę, „urocza, wygląda naprawdę uroczo”. I Marie-Ange wystarczyło już tylko wejść w to rodzinne życie, które sobie wymyślił. Rozluźniła się. To, w jaki sposób odgrywał rolę ojca, przypadło jej do gustu. Przestała kochać mężczyznę, który jej nadal pragnął.

Jednak ze społecznego punktu widzenia macierzyństwo było źródłem rozczarowania. Wszystkie znane jej matki rywalizują z sobą, mówiąc o swoich dzieciach. W pierwszych latach Marie-Ange była nieświadoma, wyobrażała sobie, że skoro urodziła, dołączy *de facto* do grona młodych mam i też będzie mogła wyciągać iPhone'a, by chwalić się zdjęciem pociechy. Lecz to nie takie proste. Inne matki ją deprymują. „Moja córka zaczęła chodzić, gdy miała pół

roczku, otwieraliśmy szeroko usta ze zdumienia, widząc, jak drepcze po salonie”. „Moja w wieku dwóch lat opanowała dwa języki”. „U mojego syna już w żłobku odkryto wielki talent piłkarski”. „Otworzyłam córeczce konto oszczędnościowe, spytali, czy nie chciałaby pozować jako modelka, nie spodziewałam się tego, ale mała za tym przepada i mamy mnóstwo propozycji”. „A teraz pokażę ci film, w którym moje dziecko robi przewrót na równoważni, rozkłada na części komputer z zawiązanymi oczami, śpiewa arię operową...” Clara jest aniołem, lecz trudno się nią pochwalić. Odziedziczyła to zapewne po matce. Nie ma żadnych szczególnych uzdolnień, które zasługiwałyby na uwagę. Gdy tańczy przy piosence rapera Maître Gims, wygląda jak kosmiczny robot Goldorak podczas rozgrzewki. Marie-Ange uwielbia swoją córkę, ale nauczycielka w szkole nigdy nie zatrzymała jej po lekcjach, żeby wyrazić zdumienie: pani dziecko jest takie utalentowane. Nigdy. W tym roku z okazji tłustego czwartku ojciec sprezentował jej strój Elsy z *Krainy Lodu*. Kostium pięknej księżniczki, w ładnym opakowaniu. Ale gdy mała go włożyła, przypominała raczej Shreka niż cokolwiek innego. Marie-Ange robiła jej zdjęcia, nie chce, by jej córka czuła się gorsza od innych. Ale nie zamieszcza ich na Facebooku. Nie ma złudzeń. Mała tylko raz odniosła sukces w biurze Marie-Ange, gdy pokazywała jej zdjęcia z marszu żywych trupów. Miała pomarańczową perukę i rajtuzy w czarne i białe prążki, w stylu Emily the Strange. Przyjaciel Xaviera, który zajmuje się efektami specjalnymi w filmie, przyjechał do ich mieszkania, żeby zrobić jej na policzku ogromną sztuczną ranę, ukazującą zęby... Clara szalała przez cały dzień, pełzając ze śliną na ustach po placu Republiki. Po raz pierwszy w jej życiu obcy ludzie robili jej zdjęcia. I Marie-Ange doskonale zdaje sobie sprawę, że inne dzieci nie zapraszają jej na urodziny. Nie jest popularna. Jej ojciec oburza się, kiedy mu o tym mówi. „To ja odbieram ją ze szkoły, zrozum, że w jej klasie są same matoly”.

Drugie. Często o tym myśli. To smutne, że mała dorasta sama. Poza tym para z jednym dzieckiem wygląda trochę dziwne. To niedobrze kojarzy się Marie-Ange. Nie jest zadowolona ze swojego związku, ale nie musi rozpowiadać wokół, że mają tylko jedno, bo im się nie układa. Co to kogo obchodzi. Coraz częściej namawia Xaviera na drugie. Nie wygląda na to, żeby mu się spieszyło. A przecież poza wychowywaniem córki nie ma nic do roboty. Nie grozi mu wypalenie zawodowe, gdyby jej zafundowali braciszka...

Marie-Ange daje sobie jeszcze trochę czasu. Cesarka zostawiła jej bardzo przykre wspomnienie. Faceci są naprawdę super, kiedy traktują cię z góry: „Tylko nie mów, że boisz się oszpecić ciało”. Więc daj sobie rozerwać brzuch obcęgami, rozplatać macicę na dwoje, a potem porozmawiamy o małostkowych kobietach, które dwa razy pomyślą, zanim to powtórzą. Zabliźnianie się rany, dziękuję. Przez miesiąc chodziła zgięta wpool. Mięśnie brzucha



są ci niezbędne, właśnie wtedy to sobie uświadamiasz. Po normalnym porodzie możesz uprawiać sport już po miesiącu. Po cesarce trzeba czekać pół roku. Wyglądała jak worek kartofli, gdy wreszcie mogła wrócić na zajęcia pilates. I nie miała już nic – śladu mięśni brzucha – rok męczarni, by znów chodzić w pozycji wyprostowanej. Tyle pracy, żeby w końcu włożyć kostium kąpielowy. O tym też nie wiedziała, ale w opinii rywalizujących z sobą matek cesarskie cięcie to żaden poród. Macierzyństwo nie wygląda tak, jak sobie wyobrażała, myślała, że mamy się nawzajem wspierać, że są solidarne. Ale poród daje ci tylko prawo do wyjścia na boisko. Nie gwarantuje medalu.

A jednocześnie ma to wszystko gdzieś. Clara nie pozwala jej błyszczeć w towarzystwie, ale jej potrzeba czułości nigdy nie była tak dobrze zaspokojona, a jej życie nie miało by żadnego sensu bez małej. Xavier jest nadzwyczajnym ojcem. Zarzuca mu mnóstwo rzeczy, ale jeśli chodzi o Clare, nie ma powodów do narzekania. Jest cierpliwy, stanowczy, robi z siebie błazna, okazuje troskę, stawia wymagania, prawi jej komplementy. Marie-Ange pozostaje tylko go naśladować, by proces wychowania małej przebiegał poprawnie. Szaleje za swoją córką, lecz jest to miłość, która nie wyklucza matki. A w świecie mam jest to premiowane. Z początku wolała nie mówić: codziennie odbiera ją ze żłobka, myślała, że dziewczyny natychmiast dojdą do wniosku, że związała się z bezrobotnym. Myliła się. Z czasem to zrozumiała. „Sześćdziesiąt trzy razy obejrzał z nią *Aryskotratów*, to jego ulubiony film z czasów dzieciństwa, a Clara go uwielbia” albo „gra z nią w gry wideo, chce mieć pewność, że nie ogląda niczego, czego sama mogłaby nie zrozumieć”, czy też „kupił jej małą gitarę basową i uczy ją grać”. I punktujesz. Dziewczyny wcale nie mówią: „Okej, twój facet nigdy nie rozstał się z joystickiem Nintendo i nadal trzyma w szafie swój bas w futerale”. Nie. Myślą: to kreatywny gość, męski, lecz nowoczesny, i mówią rzeczy w rodzaju: „To takie ważne dla małej, spojrzenie jej ojca. Jeżeli ją docenia, masz świadomość, jak to wpływa na jej postrzeganie kobiecości i mężczyzn”. Marie-Ange wie, że to fałsz, jej ojciec też był bardzo opiekuńczy. Nie zmienia to faktu, że ona jest do niczego. Ale ponieważ jej kumpelki w to wierzą, chętnie im opowiada, jak Xavier daje radę.

Kolejny powód, by się z nim nie rozstawać. Wiemy, co utracimy, nie wiemy, co zyskamy. Gdyby jeden z facetów, z którymi od czasu do czasu sypia, urządził jej cyrk, żeby rzuciła Xaviera, i gdyby miał niezły etat, nie wahałaby się, ma tego świadomość. Ale jej kochankowie nigdy nie próbowali rozbić jej małżeństwa. Tak samo jak nie zamierzali niszczyć własnych związków. Więc w tym trwa. Ostatecznie woli być z ojcem swojej córki, niż zostać sama i nigdy więcej nie zaznać życia we dwoje. Czasem gdy budzi się rano, czuje do niego autentyczną nienawiść. Sprząta mieszkanie, przeżuważając to wszystko, co sprawia, że czuje się

zablokowana, że się przy nim dusi, okropnie nudzi. Lecz mu o tym nie mówi. Nie jest pewna, czy tak samo dobrze czułaby się z Claram, gdyby zostały same. Kocha swą córkę, patrząc na nią również jego oczami. Czuje się taki dumny, że jest ich mężczyzną.

Trzeba się wystrzegać wysłuchanych modlitw. Tak często prosiła, wracając wieczorem z pracy, „spraw, by mnie czymś zaskoczył”. Miała już dość patrzenia na Xaviera siedzącego w domu. Cieszącego się na jej widok. Tak bardzo zakochanego, tak bardzo zależnego, zanadto czułego... Musiała tłumić w sobie uczucie niechęci. Nie zdawał sobie sprawy, że stał się namolny. Czasem gdy ją obejmował, miała chęć go odepchnąć, pozwól mi śnić, przestrasz mnie, zrób coś, żebym poczuła, że żyję, do cholery. Modliła się, by ją zaskoczył. Ale wyobrażała to sobie inaczej. Bo niespodzianka w końcu się pojawiła... Teraz dla niego liczą się tylko „tamci”. Banda Subutexa. Nie jest już pępkiem świata dla swojego męża. Nigdy by nie uwierzyła, że będzie go jej brakować. Zaczęło się od śpiączki. Lekarze to osły. Na niczym się nie znają. Miałyby chęć walnąć któregoś ciężkim lichtarzem w głowę, wyniki badań to jedno, ale przecież widać gołym okiem, że facetowi brakuje piątej klepki. I nikt mu nie pomógł. Vernon Subutex stał się idolem jej męża. Taka oferra. Ale ma w sobie coś. Miała na niego chrapkę, gdy go zobaczyła w salonie w ten weekend, kiedy przyszedł, by zająć się ich pudlem. Są tacy faceci, nie wiadomo, na czym to polega. Czuć ich seksem.

Jej obecny *sex friend*, Dimitri, właśnie taki jest. To erotyczna bomba. Bardzo młody. Depiluje ramiona, tors i goli sobie jaja, gdy ma się z nią zobaczyć. To facet, który myje szyby w jej firmie. Minęli się kilka razy, nim zwrócili na siebie uwagę. Kiedy odkryła, że się depiluje, zrobiło się jej go żal. Podobno wszyscy chłopcy w jego wieku to robią. Ileż się muszą nacierpieć, biedacy... Jakby kobietom to było potrzebne, by uznać, że są pociągający! Często zastanawiała się, czy Xavier ją zdradza. Ma tak dużo wolnego czasu, że wcale by się nie zdziwiła... Lecz przede wszystkim nie chce o tym wiedzieć. Zadała sobie to pytanie, kiedy zaczął codziennie wychodzić do parku. Była zazdrosna. Mówił „my”, mając na myśli swoich przyjaciół, i był taki zadowolony. Wzięła kilka wolnych dni, żeby go obserwować. Była pewna, że ma tam jakąś kochankę. Śledziła go. Spędzał dni w parku, paląc skręty na trawie. Ze swoją sławetną bandą. Gdy na nich patrzy, myśli o historiach, jakie czytała na temat średniowiecza, o przypadkach zbiorowego szaleństwa w wioskach. Dobrze się tam bawi. Tyle że bez niej. Często proponuje jej, żeby z nim poszła, chce nawet zabrać Claram, ale Marie-Ange jest temu przeciwna. Nie ma zamiaru uczestniczyć w tej groteskowej zabawie. Zmienił się. Jest pogodniejszy. To jej najbardziej przeszkadza. Czuje się jak piąte koło u wozu. Jej nie przydarzyło się nic, co mogłoby poprawić jej samopoczucie. Nie rozumie, co go tak pociąga w tej zgrai łapserdaków. Tymczasem on rozkwita, odzyskuje siły. Wymyka się jej z rąk. Ma

wielką ochotę postawić mu ultimatum: albo ja, albo oni. To byłoby żalosne. Ale musi mieć pewność, chce, by znów jej powiedział, że dla niej jest gotowy na wszystko. Teraz brakuje jej tego, na co uskarżała się przez całe lata, jego stałej i obsesyjnej miłości. I nie rozumie, co się z nim dzieje. Nie chce go stracić. Już go nie kocha, ale nie zniósłaby myśli, że nie ma go już u jej boku.

Filut wychodzi z pokoju małej. Znaczy, że się obudziła. Wylizał miskę i domaga się pieśczoć, uderzając lekko głową w udo Marie-Ange. Na początku nie mogła go znieść. Przypominał jej Xaviera. Głupie bydlę, które nie jest jej do niczego potrzebne. To niesamowite, jak kiedyś kochała tego mężczyznę, jak go podziwiała. A teraz gdy widzi starego śmierdzącego pudła na kanapie, myśli o swoim facecie. Z początku się kochali. Nikt jednak nie mówi prawdy na ten temat. I tyle. Po kilku latach wszyscy się z sobą nudzą. Widzi to wokół siebie, każdy stara się stwarzać pozory, ale wszystkie pary umierają z nudów. To tylko inscenizacja, działanie na pokaz. Niektóre pary są zakochane we własnym obrazie, jaki starają się zaprezentować innym. Dopóki mają publiczność, udają. Ale gdy tylko znajdą się w sypialni, zaczynają się nudzić.

Wyłania się Clara, stoi boso na podłodze, Marie-Ange wrzeszczy: „Gdzie twoje kapcie!” i ma sobie za złe, że zaczyna dzień od reprimendy. Przywykła mówić do niej oschłym tonem. Kiedy Xavier jest w domu, stara się bardziej uważać. Dziewczynka wraca w kapciach w czerwoną kratkę, z rozczochraną głową, zaspanymi oczami, istny aniołek. Obejmuje matkę za szyję. Ładnie pachnie rano. „Zrobisz mi nesquik?” „Za chwilkę, kochanie. Chcesz małą czy dużą miseczkę cheerios?” To ich sekret, kiedy nie ma Xaviera, daje jej rano słodkie płatki zbożowe. To bardzo niezdrowe, ale Clara za nimi przepada.

„Mamo, mogę obejrzeć film, gdy będę jadła śniadanie?” Marie-Ange wzdycha. Kiedy jej ojciec jest w domu, nigdy nie pyta, czy może oglądać telewizję rano... Matka chętnie zostawia małą przed telewizorem, żeby trochę posprzątać czy spokojnie przeczytać maile. To nic dobrego, wszyscy rodzice to wiedzą. Od razu powinna ją ubrać i zaproponować jej jakąś zabawę. Tyle że to takie praktyczne. Mówi: „Zgoda, ale tylko jeden film, pamiętaj” i czuje się winna, bo to ją urządza.

Xavier przesadza, zostawiając ją samą na długi weekend. Mogliby wybrać się gdzieś we troje. Powinien był o tym pomyśleć. Albo powiedzieć sobie: „cóż, zajmę się małą, żeby Marie-Ange mogła trochę odpocząć”. Już trzeci raz pojechał się z „nimi” zobaczyć. Jest coraz lepiej. Już w parku wydawało jej się, że przegina, ale teraz musi jechać pociągiem. I nie mówi jej dokąd. Lepiej robi, jeżeli szybko wróci, nie ma zamiaru długo tego znosić. Nie wie, gdzie jest. Nie może się z nim połączyć. Faktycznie robi jej niespodzianki, nie ma co. Ale nie takie,

jakich oczekiwała.

Clara nastawia DVD z *Krainą Lodu*. Marie-Ange przechodzi dreszcz obrzydzenia, gdy słyszy chóralne śpiewy na początku filmu. Nie może już znieść tej melodii... Mała taka jest, od zawsze, gdy polubi jakąś kreskówkę, musi ją puszczać w kółko, do znudzenia. Clara ułożyła się między łapami psa. Marie-Ange przysiada na pięć minut, gładzi córkę po kostce, patrząc na dwie siostry na ekranie, jedna potrafi wykrzesać lód z dłoni, a druga bawi się na górach śniegu, które jej starsza siostra wyczarowała w salonie... Niechcący rani ją w zabawie, starsza siostra jest niepokieszona, nie może już wykorzystywać swojej mocy. Marie-Ange zasypia. Budzi ją pewna myśl. Jak mogła obejrzeć tę historię tak wiele razy i nigdy nie wpaść na to, że to także historia Xaviera? Nie rozumiała, co właściwie widzi w tym kretyńskim filmie, choć to natychmiast rzuca się w oczy. Dwójka dzieci, które rozdzielił biały proszek. Stojąc po obu stronach drzwi, oplakują utracone porozumienie. To on i jego brat. Dlaczego czuje się rozdrażniona, gdy Xavier wspomina o tej wewnętrznej pustce, o swym żalu, że nie potrafił ocalić brata? Wszystko, co jego porusza, ją irytuje, i Marie-Ange przyjmuje postawę obronną. Gdzie podziała się czułość, która kiedyś istniała między nimi? Patrzy inaczej na Elbę, królową, która wzniosła lodową ścianę między sobą a światem. Czy jest do niej podobna? Czy ktoś jeszcze może się do niej zbliżyć, by nie próbowała się bronić? Uświadamia sobie tę złość narastającą w jej piersi przez cały poranek. Co takiego straszego zrobił jej mąż, że tak mu to wyrzuca? Co zrobić, gdy wspólne życie zmieniło się w fabrykę frustracji? Xavier się zmienił. Otrzymał cios w głowę i nie jest już taki sam. I co z tego? Tuż przed tym zdarzeniem ubolewała nad tym, że się nie zmienia. Nie chce go porzucić, nie chce, by z nią został, to sytuacja bez wyjścia.

Marie-Ange pochyla się, by ucałować kostkę swojej córki, krągłą i wystającą. Już nigdy nie będzie kochała jej ojca. Nie będzie go pożądała fizycznie. To zarezerwowane dla innych. Nie będzie o nim śniła. Nie wierzy w bajkę o wygasłych wulkanach, które nagle ożyły i tak dalej. Ale czy naprawdę konieczny jest tak wielki dystans i taka wściekłość... Co zrobić z miłością, gdy już nie ma miłości? W kreskówce chłopiec, który kumpluje się z reniferem, mówi bohaterce: „Ja nigdy cię nie opuszczę”. I Marie-Ange zbiera się na płacz.

Jak co dzień po przebudzeniu Vernon zadaje sobie pytanie, jaka jest pogoda w Paryżu. Brakuje mu miasta. Pamela podarowała mu ray-bany, złocona oprawka i przyciemniane szkła, jakie nosili dilerzy w latach osiemdziesiątych. Wygląda w nich jak pajac, ale lubi barwę, jaką nadają rzeczom, jak gdyby lato było zanurzone w whisky. Kilkaset metrów dalej jest kemping, organizują imprezę na rozpoczęcie sezonu. Wkrótce otworzą plażowe bary kryte strzechą. Wiatr niesie dźwięk – Daft Punk, *Get Lucky*. W dali słychać pociąg. Kursuje wzdłuż wybrzeża. Dziesięć mil stąd na piechotę znajduje się mały dworzec. Dziś przyjadą ostatni wczasowicze, całymi grupami, lądując w tym zagubionym zakątku l’Ile Rousse... W domku, który stanowi ich bazę, prysznic jest na zewnątrz, na tarasie. Woda spływa po schodach z łupanych kamiennych bloków. Czasami w ciągu dnia Vernon rozgląda się wokół i nie może uwierzyć, że to dalszy ciąg jego życia. Nie zna Korsyki. Są tu od dwóch tygodni. To trzecie miejsce, w którym się zatrzymali. Przyjmuje wszystko ze stoickim spokojem. Kilka metrów stąd wieczorem przechodzi gromada dzików, w porze sjesty po tarasie pełzają zaskrońce. Pajaki wielkości pięści kryją się w zaroślach, a ogromne ptaki szybują nad dachem. Plaża jest niedaleko. Lecz nigdy tam nie chodzi. Nie chce, by piasek dostał mu się do butów. Wołał Bretanię. Tu wszyscy chodzą w japonkach. Jak na jego gust, widać za dużo palców u stóp.

Xavier już wstał. Bawi się z Emmą, starym pitbullem z hodowli, którego przygarnęła Olga. Suka ciągnie sutkami po ziemi. Trochę dalej trzech chłopców rozmawia, siedząc w kucki u stóp oliwki. Mają jakieś dwadzieścia lat. Vernon nigdy ich tu nie widział. Na dzikim obozowisku nie ma już wolnych miejsc. Od jutra mieszkańców zacznie powoli ubywać, jak wody w wannie, kiedy wyciągnie się korek. Trzy małe postacie są wyraźnie ożywione, jeden z chłopców drapie się po szyi, dołącza do nich dziewczyna, próbuje ich przekonać, by wstali i poszli za nią. Wołają siedzieć i pić piwo. Spali w jednym z dziesiątków namiotów, które w ciągu dwóch dni wyrosły wokół domu. Przy okazji każdej kolejnej imprezy zjawia się więcej ludzi. To wszystko nie ma żadnego sensu. I nie będzie trwało. Vernon wstał z piosenką *A Day in the Life* w głowie. Słońce już pali niemilosiernie. Na Korsyce lato zaczyna się wcześniej. To dopiero maj. Osy latają nad filiżanką kawy. Emilie siada obok niego. Przyjechała dzień wcześniej. Nie może znaleźć tu sobie miejsca, jest spięta. Jak zawsze. Ma na sobie niebieską suknię w stylu lat pięćdziesiątych, w której jest jej do twarzy. Vernon bierze ją za ramię, pyta: „Chcesz posłuchać kawałka Julosa Beaucarne’a?”. Puścił tę płytę w Bretanii, potem Emilie przez cały dzień z niego drwiła. „Nie mogę uwierzyć, że się ośmieliłeś”. „Podobało się czy nie bardzo?” To było o świcie. Na parkiecie było wiele

osób dużo młodszych od nich. „Zawsze to można powtórzyć”. Wiedział, że może sobie na to pozwolić. Na parkiecie ten numer niespodziewanie zaskoczył. Było super. Tylko na Emilie jakoś nie zadziałał, po kilku tygodniach nadal ją to śmieszy.

\*

Wszystko zaczęło się po pogrzebie. Kiedy trumnę Loïca spuszczano do grobu, Sylvie była niewzruszona. Z rękami w kieszeniach czarnego prochowca, z głową wciśniętą w ramiona, patrzyła obojętnie na ludzi, którzy przechodzili tuż przed nią, by położyć na grobie różę, i poszła za całą resztą, gdy grupa dyskretnie ruszyła w stronę wyjścia.

W pociągu powrotnym wszyscy mieli moralnego kaca. Zajęli koniec wagonu i z początku nikt nic nie mówił. Lydia Bazooka pogwizdywała drżącymi wargami, jakby chciała ich rozweselić. Potem zwróciła się do Daniela: „Nie wiedziałam, że Loïc miał tylu kumpli nazioli... Ponury był ten pogrzeb”. Przeciągnął się, krzyżując ramiona nad głową: „Patrząc na te ludzkie wraki, dochodzisz do wniosku, że mają tupet, twierdząc, że bronią białej rasy... Z takim genetycznym dziedzictwem daleko nie zajedziemy. Francuzi staną się najbrzydszym narodem świata, jeśli pozwolimy im działać”. Lydia lekko przysunęła biodro do jego biodra, aby wiedział, że jeśli na dwie minuty zapomni o swojej małej tatuażystce, jest skłonna wrócić do tej rozmowy w swoim mieszkaniu jeszcze tego wieczoru. Właśnie w tym momencie Sylvie zaczęła szlochać. Głośno. To nie była otarta ukradkiem łza, której nikt nie powinien dostrzec. Nie, zaczęła płakać jak bóbr. „Nie widzicie, że wszystko jest do chrzanu? Wszystko. Wszystko jest do chrzanu”. Wszyscy wokół zamilkli. Nikt nie zrozumiał, o co właściwie jej chodzi: czy o nieprzyjemną atmosferę podczas pogrzebu, czy o to, że lato się kończy i że nie zobaczą się już więcej w parku, a może chodziło o coś bardziej osobistego? Sélim objął ją ramieniem, żeby ją pocieszyć. Xavier, przygnębiony, ukrył się za przepierzeniem wagonu. Daniel i Lydia wymienili zakłopotane spojrzenia w rodzaju kurwa, musieliśmy bezwiednie powiedzieć jakąś straszną głupotę. A Pamela Kant wkroczyła w środek grupy i przytrzymała się rurki, żeby nie upaść: „Kocham was. Nie możemy ni stąd, ni zowąd nagle się rozdzielić”. Vernon liczył na to, że ktoś zażartuje, żeby rozluźnić atmosferę, ale wszyscy milczeli jak zakłęci.

Właśnie tego dnia wszystko się odmieniło. Tym razem to nie on odleciał. Ze zdumieniem patrzył na wyjątkowe zjawisko: było to coś w rodzaju zbiorowego szaleństwa. Chodziło nie tyle o wypowiedane słowa, ile o atmosferę, jaka powstała między nimi. Vernon został w swym kącie, myślał o Loïcu, widział, jak tańczy. To nie było tak naprawdę wspomnienie, raczej wymyślony obraz, ale żywy jak rzeczywistość. Widział, jak z zaciśniętymi pięściami i wypiętą piersią podskakuje w miejscu i uderza w pustkę. Ekspresja radości w czystej postaci.

Pamela wsunęła rękę pod jego ramię, niepostrzeżenie, intymny gest, nie dość seksualny, by uznać, że można włożyć jej dłoń między uda, ale na tyle czuły, by sobie pozwolić na objęcie jej w talii, toteż wszystko, co nastąpiło potem, toczyło się w na pół erotycznym, na pół przyjacielskim półmroku, i poważnym tonem zapytała Vernona, czy wyjechałby z nią na kilka dni, żeby przemyśleć „to wszystko”, a on od razu wyobraził sobie plażę, lecz bez piasku, jedynie Pamelę Kant w kostiumie kąpielowym z nim na tarasie, jak roztrząsają tę kwestię. Odparł: tak oczywiście gdzie chcesz kiedy chcesz co tylko chcesz. Nie słuchał dalszego ciągu rozmowy. Pograżył się swoim światem, jak często mu się zdarza. Rozstali się na Dworcu Północnym.

Cztery dni później Pamela, uznając, że Vernon doszedł do siebie po grypie, zabrała go w Wogezy, do jakiejś zagubionej chaty kilka kilometrów od Remiremont. Postanowiła opuścić miasto. Nie chodziło o dziesięciodniowe wakacje. Mówiła, że czas odmienić życie. Wkroczyła w fazę, którą można by określić jako maniacką, gdyby równoważyły ją stany depresyjne. Ale nikt z jej otoczenia nie nakłaniał jej, by wróciła do rzeczywistości. Nawet największe szaleństwo, dzielone przez grupę, może się stać sposobem na życie.

Dołączyła do nich Hiena. Chciała się tu ukryć. Dzięki niej wszystko nagle nabrało przyspieszenia... Pamela ma słabość do tajnych stowarzyszeń. Wizja świata Hieny jest ultraparanoiczna. Obydwie, pozbawione zajęcia, zadziały jak iskry. Właśnie wtedy zrodził się pomysł baz, w których przygotowywaliby ceremonie. Z początku chodziło tylko o to, żeby zorganizować imprezę i „móc się znów zobaczyć”. Ale już pierwszej nocy, w starej, jeszcze nie odrestaurowanej wytwórni papieru, którą bez uprzedzenia zajęli, nie zostawiając po fakcie śladów swojego pobytu, zgromadziło się ponad pięćdziesiąt osób.

Jednak ci, którzy chcą brać udział w ceremoniach, muszą spełnić kilka warunków: na dzień przed wyjazdem dostają do rąk własnych karteczkę z dokładną informacją, zwykle podczas spotkania na dworcu autobusowym. Może to być też pociąg lub samochód. Nigdy nie wiadomo. Reguły gry są ściśle określone. W dniu wyjazdu nikomu nie wolno używać karty chipowej. Musi kupować bilety za gotówkę. Nie może zwłaszcza korzystać z taksówek ani rowerów miejskich. Szereg tego rodzaju środków ostrożności sprawia, że podróż staje się dość skomplikowana. Ale wszyscy starają się dostosować, gdyż jest to jeden z warunków powodzenia całego przedsięwzięcia. Trzeba zostawić w domu telefon i laptop. Gdy docierają na miejsce, ktoś wychodzi im na spotkanie. Osoby, które jednak zabrały z sobą telefon, zostawiają go we wskazanym mieszkaniu. Pamela ma fanów w najodleglejszych zakątkach Francji. Zna swoją publiczność: ci ludzie raczej daliby wyrwać sobie serce, niż złamali daną jej obietnicę. To oni udostępniają swoje mieszkania. Właśnie tak to wszystko wygląda: jest

bardzo skomplikowane i niemal nieprawdopodobne. To cały urok tego przedsięwzięcia. I co miesiąc jest więcej osób. Vernon zajmuje miejsce w kabinie didżeja, puszcza muzykę przez całą noc. Ludzie mówią, że podczas ceremonii tańczą jak nigdy dotąd w życiu. Ponoć to też jego zasługa. Vernon rozgląda się wokół. Wiele dziewcząt, ale rzadko hetero. Coraz więcej puszystych. Kilku hipisów. Chyba coś się zmienia. Trochę pedałów, transów. Sporo kurew. Kilku przystojniaków. Starzy też się zjawiają. Wszyscy są w japonkach, co w ciągu dnia go wkurza.

Ci, którzy jak on są tu bez przerwy, mieszkając w obozowiskach, chcą, by ślad po nich zagał. Ubezpieczenia społeczne konto w banku tożsamość internetowa telefon na abonament podatki ubezpieczenia dowody rejestracyjne. Chcą zgaść dla starego świata. Dla nikogo nie jest to jeszcze do końca jasne. Ale Pamela i Hiena mają rozległe plany. A Laurent i Olga, którzy, rzecz jasna, też do nich dołączyli, raczej nie mogli ich pokrzyżować. Pamela, wykazując zmysł praktyczny, o który Vernon nigdy by jej nie podejrzewał, znajduje miejsca, gdzie mogą się zatrzymać przez kilka tygodni. Ma tyle pomysłów, że mogą żyć jak nomadzi jeszcze przez dziesięć lat.

W obozie wyczuwa się zarzewia konfliktów, ale jeszcze do niczego nie doszło. To kwestia czasu. Między tymi, którzy stale pracują, i tymi, którzy woleliby spać, tymi, którzy lubią rządzić innymi, i tymi, którzy nie znoszą być pod kontrolą, tymi, którzy myślą tylko o tym, żeby się naćpać, i tymi, którzy mówią, że narkotyki niszczą więź grupową, tymi, którzy chcą rozmawiać serio, i tymi, którzy opowiadają głupstwa, tymi, którzy mają chęć spać ze wszystkimi, i tymi, którzy stawiają na monogamię... Będą problemy z pieniędzmi, problemy z ego, problemy z próbami manipulacji, będą nadużycia... Będzie masa kłopotów i okazji, by przeżyć rozczarowanie... Ale na razie przygotowują trzecią ceremonię. Nie świętują niczego. Nie mają nic do sprzedania. Robią to, bo jest to możliwe. I dlatego, że w te noce coś się naprawdę dzieje. Trudno powiedzieć, co łączy wszystkich tych ludzi, którzy napływają. Dopiero gdy się zgromadzą, tworzą ogromną gwiazdę – przybyli tu, żeby tańczyć.

\*

„Przestańcie się łudzić. Ten świat jest skończony. Ten, który dobrze znamy. Wszystko, o czym mówicie, jest już bez znaczenia. Opóźnieni w rozwoju, którzy uwijają się jak w ukropie, żądając powrotu mszy po łacinie, kamienowania ladacznic i przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej... to wszystko jest skończone. Uczepili się świata, który już nie istnieje. Przestańcie opowiadać, że wczoraj było lepiej i że jutro będzie na pewno gorzej. To stan przejściowy. Trzeba z tego skorzystać. Jutro wszystko trzeba będzie zacząć od nowa”.



Przywykł słuchać tekstów tego rodzaju przy śniadaniu. Dziewczyna, która mówi, ma wytatuowanego smoka z tyłu głowy. Ale to musi boleć, myśli Vernon. Zastanawia się, co się dzieje z Céleste. Hiena mówi, że dziewczyny „mają się świetnie”. I nie chce rozwijać tego tematu. Lydia ma na głowie wielki słomkowy kapelusz, który zasłania górną część jej twarzy, kiedy się pochyla, i chciałoby się zobaczyć jej oczy. Uśmiecha się do Vernona, zbliżając się do niego, idąc, robi skręta, umieszcza filtr w bletce leżącej na jej lewej dłoni.

– Nie przygotujesz playlisty? – pyta, ale nie słucha jego odpowiedzi.

Z otwartymi ustami patrzy za dwoma przechodzącymi przez taras chłopcami o nagich torsach. Mają szerokie barki, mocne plecy. Przechyla głowę na bok.

– Ale samce. Co za sylwetki. To już przesada. Skąd oni się tu wzięli? – wzdycha Emilie.

Vernon daje do zrozumienia, że nie wie.

Charles usiadł pod parasolem na składanym krzeselku, po jego lewej stronie stoi wiaderko z lodem, pełne butelek piwa, siedzi w rozpiętej koszuli, pokazując kałdun, ma na nogach pomarańczowo-niebieskie buty marki New Balance. Nadal się upiera, że chce dać im trochę pieniędzy za możliwość uczestniczenia w imprezach. Vernon jest wzruszony, wyobrażając sobie, że facet gromadził oszczędności, a teraz chce je wydać, by pomóc im zorganizować fetę na prowincji... Chociaż sam nie tańczy. I nie cierpi japonek, tak samo jak Vernon. Gdy Sylvie mówi: „Nie wiem, czemu mają służyć te wasze imprezy”, Charles zawsze odpowiada: „Niczemu. Właśnie to jest piękne”.

Daniel stawia na stole ogromną torbę świeżych migdałów, chce przekonać Xaviera, by napisał scenariusz filmu o zombies. „Pamiętasz Karen Greenlee? Nekrofilie? Nigdy nie okazała skruchy... Nie twierdzę, że to będzie film dla szerokiej publiczności, ale jestem pewien, że jest taka nisza”. Nieczęsto się pojawia. Boi się pajaków w pokoju, wspólnotowego życia i samokompostujących toalet. Uprawiając sport, wyrobił sobie barki tragarza. Sylvie siada na końcu stołu, ma na sobie T-shirt Thee Oh Sees, którego rękawy odcięła. Spędza wiele czasu w kuchni, nadal piecze ciasta. Mówi, że to, co robią, nie ma żadnego sensu, ale większość czasu spędza wśród nich.

Krótko obcięta brunetka, która siedzi obok, z włoskim akcentem odpowiada Oldze:

– Wiem, o co ci chodzi. Gdy myślisz o obronie, stajesz się ofiarą. Kiedy jesteś ofiarą, musisz się nauczyć uciekać. Biegać, kryć się. Unikać kontaktu z ludźmi. Pomyśl o koniach. Nigdy nie powinny były dać się oswoić. Mogły uciec i powinny były tak uczynić.

A Olga wyraża swoją dezaprobatę:

– Jesteście zabawni z tą waszą medycyną naturalną, komunikacją ze zwierzętami, wędrownym trybem życia, zbieraniem leśnego runa, transem i medytacją... ale wyobraź sobie podkomendanta Marcosa, który gotuje zioła w kociołku, nucąc „om”... Nie wiedziałabyś, że facet w ogóle istnieje. Żyłby sobie sam w dżungli, opędzając się od komarów. Potrzebne są kominiarki, karabiny i krew, inaczej nic to nie da.

– Twoje argumenty są anachroniczne.

– Jedyne skuteczne sposobem samoobrony to być lepiej uzbrojonym od wroga. Trzeba zgromadzić zapas broni maszynowej. Reszta to czcze gadanie. Jeżeli chcecie się ograniczyć do tak zwanych sztuk walki, równie dobrze możecie się uczyć malować na jedwabiu... Kiedy te treningi będą nosiły nazwę „choć tu, pojebie, a wyrwę ci jaja zębami”, wrócimy do tematu...

Olga się zmieniła. Mniej pije. Rzadziej jej odbija. Nauczyła się rąbać drewno. W Wogezach. Od drwała z pobliskiej wioski, nieśmiałego jąkały, który kochał swój zawód. Wyjechała stamtąd z piłą łańcuchową, Vernon nie chce myśleć, co ofiarowała mu w zamian w zaciszu stodoły, że oddał jej swoje narzędzie pracy. Odtąd się z nią nie rozstaje. W siedzibie Armii Zbawienia w Épinal wyszperała dziwaczne suknie, jakaś kobieta o jej gabarytach zostawiła tam całą kolekcję nocnych koszul. Z piłą mechaniczną w ręku, w długiej sukni w chabrowe wzory z koronkowym obszyciem na ramionach... Gdy idzie, niosąc to ciężkie narzędzie, wygląda jak ożywiony posąg. Robi meble. To stało się jej powołaniem. Tnie bale na deski, przecina je, hebluje, zbija gwoździami. Nie przestaje pyłować. Przemoc to jej obsesja. Natomiast obsesją Pameli jest pacyfizm. Nie kłócą się: próbują się nawzajem przekonać do swoich racji. Olga mówi, że bez terroru nie ma drogi ocalenia. Ruch, który stroni od przelewu krwi, jest z góry skazany na porażkę. Pamela odpowiada, że tym, co charakteryzuje świat, jaki znamy, jest to, że wszystkie cywilizacje opierają się na stosowaniu przemocy. Olga wtrąca: „No widzisz, zgadzasz się ze mną”. Pamela dodaje: „Dopóki będziemy akceptowali język panów, będziemy zgadzali się na ich metody. Nie ma temu końca”. „Przemoc sankcjonuje wojowniczy system, wzmacnia go i nie jest go w stanie obalić”. „To wszystko bzdury... Jeśli będziemy obmacywali drzewa i tańczyli nago na łonie natury, daleko nie zajdziemy... Trzeba pokazać kły. A potem zabijać. Na dużą skalę. Odpowiednie osoby. Dopiero wtedy możemy usiąść do stołu i posłuchać, co mają do powiedzenia... Co ty sobie myślisz, że ludzie wynaleźli gilotynę, bo się nudzili w niedzielę? Nie. Gilotynę wynaleziono dlatego, że to najlepszy sposób, żeby wzbudzać szacunek”.

Sélim uwielbia tego rodzaju starcia. Szczególnie kiedy dołącza do nich Patrice i podejmują temat we czwórkę. Dzień wcześniej roztrząsali kwestię w konfiguracji sześciuosobowej, Sylvie i Xavier także się przyłączyli. Spędził cudowny wieczór. Potrzebuje tego.

Ma wieści od córki. Otrzymuje jej listy powierzone innym osobom, które wysyłają je z rozmaitych krajów, byle nie z tego, w którym faktycznie przebywa. Skrupulatnie przechowuje swoje odpowiedzi, których nie może jej wysłać. Mówi, że od lat tak dobrze się nie rozumieli. Jego mieszkania jeszcze nie przeszukano. Hiena myśli, że to niekoniecznie dobry znak. Lecz Sélim, na pozór melancholik, jest w gruncie rzeczy szalonym optymistą. Wierzy, że w końcu wszystko się ułoży.

Hiena również chciałaby pisać listy do dziewczyny, o której myśli. Ale dopóki nie może sama do niej pojechać, powstrzymuje się. Vernon ją pyta: „Na długo zamierzasz zniknąć?”, a ona odpowiada: „To się okaże”. I niczego więcej nie może z niej wyciągnąć.

Po pobycie w Wogezach Laurent także wbił sobie do głowy, że ma dryg do ciesiołki. Lecz przede wszystkim skorzystał z okazji, żeby przechadzać się z nagim torsem, facet jest naprawdę dobrze zbudowany. Podczas majsterkowania całymi dniami ćwiczył mięśnie brzucha... Tyle że jego stołki to jedna wielka porażka... Nie ma pojęcia o konstrukcji mebli, nie bierze pod uwagę ciężaru i budowy ludzkiego ciała. Długo nie chciał odpuścić. Liczył na to, że ludzie przystosują się do jego sprzętów. Ale nawet gdy ma się dobrą wolę, spartaczony taboret zawsze się w końcu rozpadnie. Opuścił ich pewnego ranka, tuż przed ceremonią w Bretanii. Natrudził się, przygotowując halę opuszczonego dworca. Zrobił nawet hamaki. Po czym zarzucił plecak na ramię, nikogo nie uprzedzając. Charles mówi, że osiedlił się na terenie miejskich nieużytków w Rennes.

Pamela przynosi kolejną pełną kafetierę. Upięła włosy w kok za pomocą drewnianej szpilki, ma szerokie kształtne ramiona, porusza się z gracją, jakby przez trzydzieści lat uprawiała taniec klasyczny. Od kiedy przybyli na tę korsykańską plażę, dużo pływa. Jej ciało przechodzi metamorfozę, nabiera wigoru. Zostawia zgaszonego papierosa na brzegu stołu i napełnia filiżanki. Vernon kładzie dłoń na wierzchu jej dłoni, by zaznaczyć, że już nie chce kawy. Wstaje i się przeciąga. Musi się przygotować.

\*

Kiedy zapada zmierzch, ludzie kierują się w stronę kaplicy. To pół godziny marszu. Mają kilka latarek. Potem wszystko będzie się rozgrywało w ciemnościach. Ci, którzy tutaj żyją, już do tego przywykli. Zaczęło się od awarii prądnicy w Wogezach, gdy tylko przybyli do górskiej chaty. Spędzili tydzień bez elektryczności. To było w zimie, wcześniej zapadał zmrok. Tylko kominek w kącie dawał trochę światła, lecz reszta domu była pogrążona w mroku. Szybko doszli do wniosku, że to im odpowiada. Wreszcie nie patrzyli na siebie nawzajem. To był inny sposób bycia razem. Po ciemku nie mówili tak samo, nie poruszali się w ten sam

sposób. Świadomość, że nikt na ciebie nie patrzy i ty nie możesz obserwować innych, wpływa na zachowanie. To ich oczyszcza. Od tej pory wieczory w obozowisku wyglądają tak samo, nie zapalają światła.

To była opuszczona kaplica. Przystosobiają ją od wielu dni. Ciężarówka kursuje tam i z powrotem, trzeba ustawić nagłośnienie. Tym razem to Sélim zajął się sprowadzeniem sprzętu. Wypożyczył aparaturę od jakiegoś stowarzyszenia w Bobigny, nie mówiąc, że ma zamiar zawieźć ją ciężarówką na Korsykę. Światło księżyca wnika do wnętrza przez otwory okienne i jest na tyle jasno, by można było rozróżnić ludzkie sylwetki. W półmroku krąży mikrofon. Patrice czuwa nad programem wieczoru. Organizuje wszystko jak dobry szef ekipy. Ci, którzy chcą coś powiedzieć, zgłaszają się do niego po południu, sporządza plan, wskazuje każdemu miejsce, w którym powinien czekać na mikrofon i małą lampkę, jeśli chce coś przeczytać. Potem mogą się przemieścić, ale dopóki nie zabiorą głosu, łatwo ich zauważyć, bo się nie poruszają. „Nie będziemy sumienni. Będziemy leserami. Nie zamierzamy być czyści. Będziemy lawirowali. Nie chcemy być dzielni ani prawi. Nie zamierzamy być bohaterami. Nie będziemy wielkimi zdobywcami. Z pokrzywionego drewna, z którego zrobiony jest człowiek, nie będziemy próbowali zrobić nierdzewnej stali. Nie chcemy terytoriów ani żadnych sztandarów”. To głos Pénélope, wdowy po Loïcu, która przysłała z Patrice’em. Jeszcze nie śpiąją razem, ale rzadko się rozdzielają. Dźwięk jest czysty. Niektórzy się położyli, inni chodzą bez celu. W ciemnościach słychać kolejne głosy. Jakiś chłopak zadziwiająco basem czyta wiersz Garcii Lorki. „*No duerme nadie por el cielo. Nadie, nadie*”. Vernon rozpoznaje sylwetkę Xaviera. Siedzi pomiędzy swoją żoną i córką. Przyjechały ostatnim pociągiem. Matka była spięta, mała zachwycona, że może iść na plażę. Ojciec omal nie zemdlął z radości, że go odwiedziły. Vernon nie ma obaw. W nocy się rozkręca. Dotąd nie widział nikogo, kto stałby na uboczu. „O wszystkim zapomnimy. Wszystko wybaczymy. Będziemy słabi i pobłażliwi”. To się znów zaczyna. Nie jest już zdziwiony, gdy jego statek odrywa się od ziemi. Nie zawsze panuje nad tymi odlotami, ale nie próbuje już stawiać oporu. Przeciwnie, poddaje się przypiływom szaleństwa. I wie, że może na nie liczyć podczas wieczornych imprez. „Jesteśmy pokonani, i są nas tysiące. Poszukamy przejścia”. Vernon myśli, że nie liczy się to, co się mówi, wszystko dzieje się na innym poziomie. Czuje to w głębi piersi.

A potem długa cisza. Puszcza dźwięki alfa Alexa. Nie spieszy się. Pogłos w kaplicy sprawia, że efekt jest natychmiastowy. Wciąż w ciemnościach, przeczysty dźwięk. Bootsy Collins. *I'd Rather Be with You*. Sylwetki wstają z miejsc i tworzą efemeryczne kręgi. Hiena jest prawie nieruchoma, gdy tańczy, jedynie lekko porusza biodrami. Większość ciał jeszcze się nie porusza. Wielu nadal leży. Napotyka spojrzenie Pameli. Nawiązuje kontakt

z nieobecnyimi. Szuka w myślach ruchomych grodzi – tajemnych przejść w czasie i substancji rzeczy. Między ludźmi otwierają się spirale księżycowej poświaty. I jak często w nocy, widzi smukłą sylwetkę Alexa, ogromną pośród mrowia gwiazd, która pochyla się nad nimi i ich obserwuje, dmucha lekko na ziemię z uśmiechem na ustach. Wokół żywych tańczą umarli i niewidzialni, cienie mieszają się z sobą, a jego oczy powoli się zamykają. To już ruszyło. Zaczyna się. Porywa wszystkich do tańca.

Tytuł oryginału: *Vernon Subutex. Tome 2*

© Virginie Despentes et les Éditions Grasset & Fasquelle, 2015

Copyright © for the translation by Jacek Giszczak

Opieka redakcyjna: Robert Chojnacki

Adiustacja: Anna Kopeć-Śledzikowska / Wydawnictwo JAK

Korekta: Bogumiła Ziembla / Wydawnictwo JAK,

Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

Łamanie: Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Projekt okładki: Eliza Luty

Grafika na okładce: Karim Adduchi

Fotografia użyta w grafice: © Dimitri Otis / Stone / Getty Images

ISBN 978-83-7515-714-7



**OTWARTE**

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)